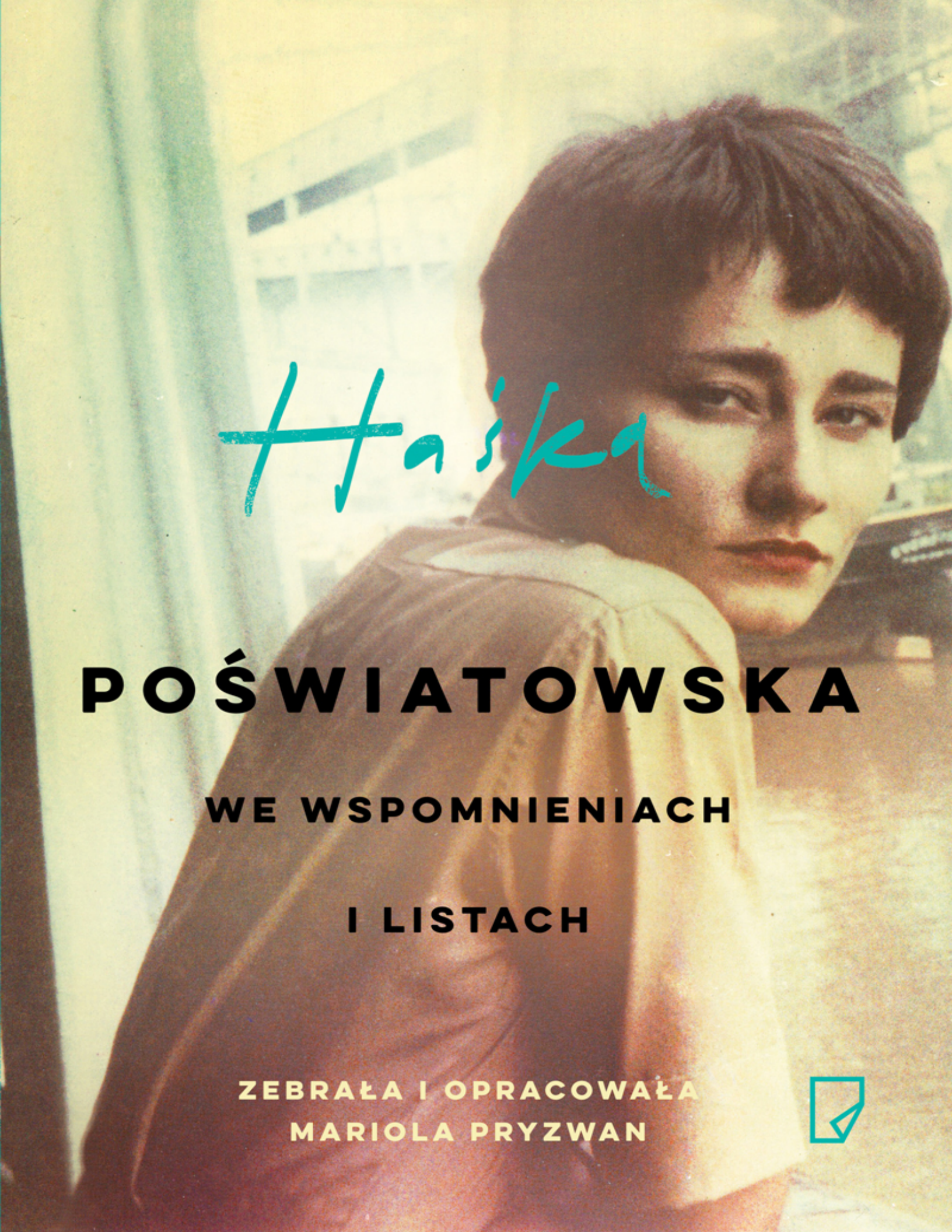

POŚWIATOWSKA

WE WSPOMNIENIACH I LISTACH

ZEBRAŁA I OPRACOWAŁA
MARIOLA PRYZWAN

Haśka

POŚWIATOWSKA

WE WSPOMNIENIACH

I LISTACH

ZEBRAŁA I OPRACOWAŁA
MARIOLA PRYZWAN

WYDAWNICTWO MARGINESY

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Wstęp

STANISŁAWA MYGOWA

Matka Haliny Poświatowskiej

Fragmenty listów Haliny Poświatowskiej do matki

ZBIGNIEW MYGA

Brat Haliny Poświatowskiej

Fragmenty listów Haliny Poświatowskiej do brata

JERZY MYGA

Stryjeczny brat Haliny Poświatowskiej

HALINA SCHWEIGER

Stryjeczna siostra Haliny Poświatowskiej

JERZY ROMAN

Cioteczny brat Haliny Poświatowskiej

Fragmenty listów Haliny Poświatowskiej do Jerzego Romana

DANUTA GÓRSKA

Szwagierka Haliny Poświatowskiej

List Haliny Poświatowskiej do Danuty Górskiej

IRENA POŚWIATOWSKA

Druga żona teścia Haliny Poświatowskiej

JULIAN ALEKSANDROWICZ

Lekarz internista, hematolog, twórca III Kliniki Chorób Wewnętrznych AM w Krakowie

List Haliny Poświatowskiej do Juliana Aleksandrowicza

WISŁAWA SZYMBORSKA

Poetka, eseistka, felietonistka, krytyk literacki

GRAŻYNA PANCZENKO

znajoma z Krakowa

BOGUMIŁA PANCZENKO-KRESOWSKA

znajoma z Krakowa

LUDMIŁA WALUSZEWSKA

Przyjaciółka Haliny Poświatowskiej, aktorka

Fragmenty listów Stanisławy Mygowej do Ludmiły Waluszewskiej

ANNA ORŁOWSKA

Najbliższa przyjaciółka Haliny Poświatowskiej, psycholog

Fragmenty listów Haliny Poświatowskiej do Anny Orłowskiej

IRENEUSZ MORAWSKI

Przyjaciel Haliny Poświatowskiej, adresat Opowieści dla przyjaciela

Fragmenty listów Haliny Poświatowskiej do Ireneusza Morawskiego

ANNA SMOLIŃSKA

Stryjeczna siostra Haliny Poświatowskiej

LIDIA BANK-WYROBIEC

Aktorka, instruktorka teatralna

Fragmenty listu Haliny Poświatowskiej do Lidii i Ignacego Banków

Fragmenty listu Haliny Poświatowskiej do Jana Niwińskiego

List Magdaleny Samozwaniec do Zofii Jachimeckiej

JERZY PAWŁOWSKI

Szermierz

JERZY BIGOSIŃSKI

Stryjeczny brat Haliny Poświatowskiej

HALINA WITTLIN

Żona pisarza Józefa Wittlina

Listy Haliny Poświatowskiej do Haliny i Józefa Wittlinów

ELŻBIETA WITTLIN-LIPTON

Córka Haliny i Józefa Wittlinów

JULIUSZ KYDRYŃSKI

Pisarz, tłumacz

Listy Haliny Poświatowskiej do Tadeusza Śliwiaka

GYÖRGY GÖMÖRI

Poeta, eseista, tłumacz literatury polskiej

Fragmenty listów Haliny Poświatowskiej do Györgya Gömöriego

YASUKO NOGAMI-SUZUKI

Przyjaciółka Haliny Poświatowskiej ze studiów w Smith College

MARIAN KWAŚNY

Historyk literatury, filolog polski

Listy Haliny Poświatowskiej do Mariana Kwaśnego

LEOPOLD ZGODA

Przyjaciel Haliny Poświatowskiej, filozof

JANINA SZAREK

Bibliotekarka

BEATA SZYMAŃSKA-ALEKSANDROWICZ

Filozof, tłumaczka, poetka

STANISŁAW STANUCH

Historyk literatury, krytyk literacki

JOANNA RAWIK

Piosenkarka, publicystka

TADEUSZ NOWAK

Poeta, prozaik

JAN PIESZCZACHOWICZ

Krytyk literacki, historyk literatury

MICHAŁ HEMPOLIŃSKI

Filozof

RYSZARD KŁYŚ

Pisarz

JERZY LISIEWICZ

Lekarz hematolog

ZDZISŁAWA PIĄTEK

Filozof

STANISŁAW GROCHOWIAK

Przyjaciel Haliny Poświatowskiej, poeta

JAN ZYCH

Poeta, tłumacz

RYSZARD MATUSZEWSKI

Krytyk literacki, eseista, tłumacz

JAN ADAMSKI

Ostatnia miłość Haliny Poświatowskiej, aktor, literat

Fragmenty listów Haliny Poświatowskiej do Jana Adamskiego

JÓZEF TISCHNER

Ksiądz, filozof

TADEUSZ BAIRD

Kompozytor

TADEUSZ GIERYMSKI

Poeta, prozaik, krytyk literacki

Kalendarium życia i twórczości Haliny Poświatowskiej

Źródła tekstów

Spis ilustracji

Podziękowania

Przypisy

Redaktor prowadzący: DOROTA KOMAN
Redakcja, indeks osób: DOROTA KOMAN
Korekta: IRMA IWASZKO, DOROTA KOMAN
Projekt okładki, opracowanie graficzne i typograficzne: ANNA POL
Łamanie, montaż: Agencja Poligraficzna Sławomir Zych
Zdjęcie na okładce z archiwum Jana Adamskiego
Zdjęcie na okładce © Iberfoto / Photoaisa

Copyright © by Mariola Pryzwan
Copyright © by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2015

Wydanie pierwsze w tej edycji (poszerzone wydanie książki Marioli Pryzwan *Ja minę, ty miniesz. Wspomnienia o Halinie Poświatowskiej*)
Warszawa 2015

Wydawnictwo Marginesy dołożyło należytej staranności w rozumieniu art. 335 par. 2 kodeksu cywilnego w celu odnalezienia aktualnych dysponentów autorskich praw majątkowych do zdjęć opublikowanych w książce.
Z uwagi na to, że przed oddaniem niniejszej książki do druku nie odnaleziono niektórych autorów zdjęć, Wydawnictwo Marginesy zobowiązuje się do wypłacenia stosownego wynagrodzenia z tytułu wykorzystania zdjęć aktualnym dysponentom autorskich praw majątkowych niezwłocznie po ich zgłoszeniu do Wydawnictwa Marginesy.

ISBN 978-83-64700-43-9

Wydawnictwo Marginesy
ul. Forteczna 1a
01-540 Warszawa
tel. (+48) 22 839 91 27
e-mail: redakcja@marginesy.com.pl

Konwersja: eLitera s.c.

RODZEŃSTWU

HALINY POŚWIATOWSKIEJ

– MAŁGORZACIE PORĘBSKIEJ

I ZBIGNIEWOWI MYDZE

WSTĘP

Halina Poświatowska – poetka legenda, jedno z najciekawszych zjawisk polskiej poezji powojennej. Od lat budzi zainteresowanie i emocje. Wciąż fascynuje jej subtelność, wdzięk, literacka wrażliwość i pasja życia. Dziewiątego maja 2015 roku przypada osiemdziesiąta rocznica urodzin poetki.

Powtarzała za profesorem Julianem Aleksandrowiczem, że „człowiek jest tyle wart, ile po sobie zostawi...”. Po niej zostały wiersze, przekłady, autobiograficzna proza *Opowieść dla przyjaciela* i niezwykle bogata korespondencja, która najpełniej ukazuje tę fascynującą osobowość.

Poezja Poświatowskiej to przede wszystkim wiersze o miłości – zmysłowe, odważne, pełne liryzmu. Wiersze o ponadczasowej wartości.

Gdy ponad dwadzieścia lat temu przygotowywałam książkę *„ja minę, ty miniesz...”. O Halinie Poświatowskiej. Wspomnienia, listy, wiersze*, spotykałam się z przyjaciółmi i znajomymi poetki.

Miałam też szczęście poznać matkę Haliny – panią Stanisławę Mygową – i wielokrotnie z nią rozmawiać.

Obecne wydanie, które ukazuje się pod zmienionym tytułem *Haśka*, uzupełniają wspomnienia dwóch dam polskiej literatury: Wisławy Szymborskiej i Magdaleny Samozwaniec, oraz japońskiej przyjaciółki Poświatowskiej Yasuko Nogami-Suzuki i krakowskiej znajomej Grażyny Panczenko. Po raz pierwszy także publikowane są zwierzenia Ireneusza Morawskiego, adresata *Opowieści dla przyjaciela*, o którym Poświatowska powiedziała: „jesteś połową mej duszy, albo takim koniecznym zwierciadłem, w którym się dobrze mojej duszy przeglądać, bo wtedy nie jest zupełnie sama".

Halina Poświatowska chciała opublikować listy Ireneusza do niej, ale Morawski nie wyraził zgody. Przez lata konsekwentnie odmawiał napisania wspomnień o Halinie, o ich niecodziennym, trudnym do zdefiniowania uczuciu.

Zaprzyjaźniłam się z Ireneuszem Morawskim w ostatnich latach jego życia. Nie prosiłam o nic i może dlatego 6 stycznia 2009 roku Ireneusz przysłał mi długie wspomnienie-spowiedź zatytułowane *Halina P. i ja*.

„Ciągle jestem zdziwiony, że jakaś wewnętrzność podkusiła mnie, żebym Marioli opowiedział to, czego do dzisiejszego dnia nie mówiłem absolutnie nikomu. Opowiedziałem, bo Halina Poświatowska jest ciągle

Twoim żywiołem i w dodatku obiecałaś mi... Zdaje się, że należę do ludzi, którzy lepiej czują się w ostatnim rzędzie niż na estradach w feerii świateł”.

Obiecałam Ireneuszowi Morawskiemu, że nigdy nie zobaczy tego tekstu w postaci wydrukowanej, natomiast dostałam pozwolenie, że potem... mogę opublikować fragmenty. Dziękuję żonie Ireneusza Helenie Morawskiej, że zgodziła się na ich publikację.

Dziękuję także Dorocie Koman, która jako redaktor książki doradza mi i mnie wspiera, a jako przyjaciółka cieszy się wraz ze mną, że... znowu Poświatowska.

Serdeczne podziękowania składam również adresatom listów i osobom, które wyraziły zgodę na ich publikację.

Haśka to nie tylko wspomnienia o poetce i jej listy, to także fotografie i rzadkie dokumenty w większości z rodzinnego archiwum Haliny Poświatowskiej. Za ich udostępnienie oraz okazywane mi od lat zaufanie, serce i przyjaźń dziękuję bratu poetki Zbigniewowi Mydze.

Mariola Pryzwan

Warszawa, 2 marca 2015

Siedmioletnia Halinka z siostrzyczką Elżunią, 1942

STANISŁAWA MYGOWA

MATKA HALINY POŚWIATOWSKIEJ

Haśka zachorowała jako dziewięcioletnie dziecko.

Chodziła do szkoły tylko dwa lata, i to z ogromnymi przerwami, a przez pozostały czas uczyła się w łóżku. Równie dobrze mogłaby zostać analfabetką.

Uczyłam się razem z nią. Pomogła miłość matki. Nie byłam wykształcona, uczyłyśmy się więc obydwie. Uczyła się całe dnie i noce, dlatego gdy po operacji poczuła, że może normalnie oddychać, natychmiast pomyślała o szkole. Chciała kontynuować naukę – studia, które były dla niej wciąż nieosiągalne. To było niesamowite, jak Haśka chciała iść na studia. Maturę zdawała na kursach wieczorowych jako eksternistka. A potem szpitale: w Warszawie, Krakowie, Poznaniu. Niezliczone szpitale. Półtora roku tak ciężkiej choroby, że trzeba było Haśkę wynosić do ogródka na hamak lub leżak, bo nie mogła chodzić.

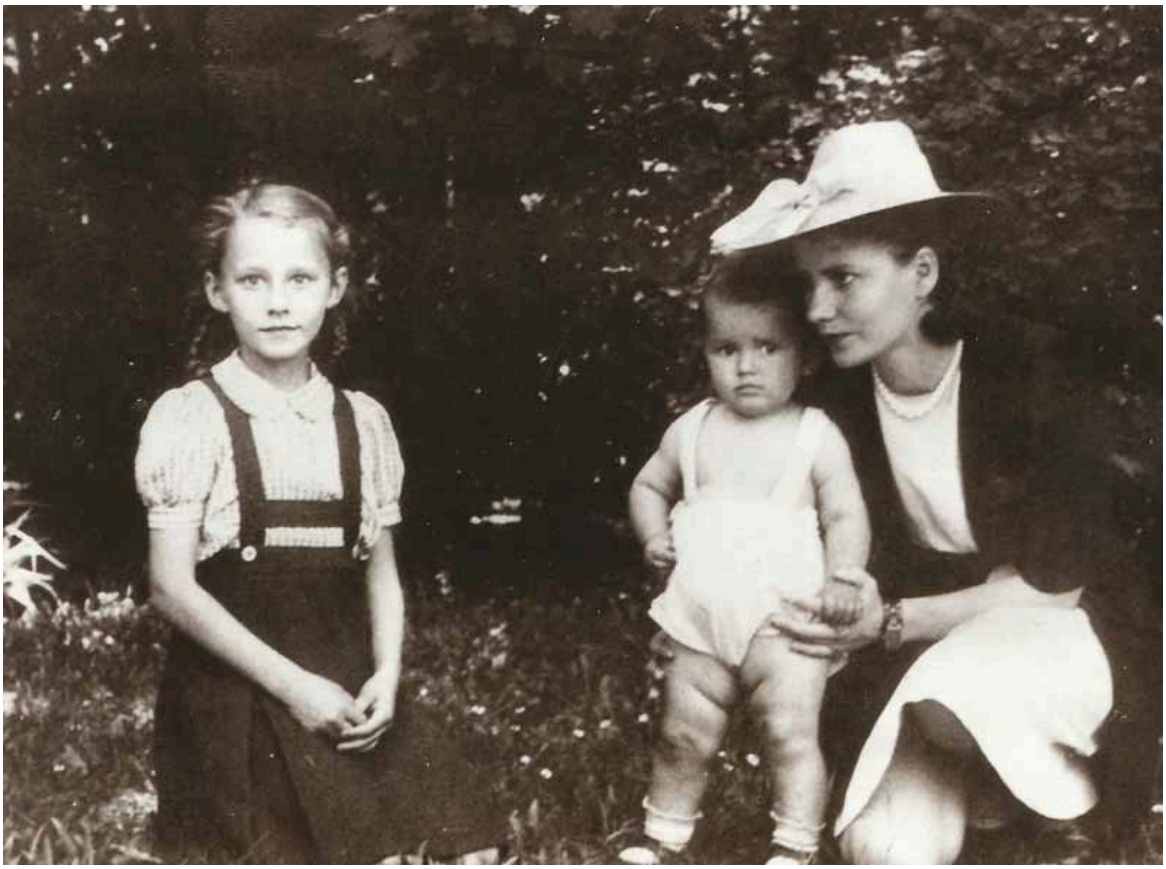

Z matką i Elżunią, Częstochowa 1943

Jakże mogłaby żyć, gdyby nie ciągła ciekawość, gdyby nie głód wiedzy?

Profesor Aleksandrowicz twierdził, że praca jest jedynym ratunkiem dla ludzi, przynajmniej tych, którzy są w pewien sposób upośledzeni.

Haśka poznała profesora Aleksandrowicza w czasie, kiedy po śmierci męża zupełnie się załamała [Poświatowska została pacjentką profesora Aleksandrowicza jeszcze przed wyjściem za mąż – przyp. aut. Wszystkie przypisy nieopisane inaczej pochodzą od Autorki]. Była przekonana, że nie ma dla

niej innego końca niż rychła śmierć. Nie broniła się przed nią. To chyba było najniebezpieczniejsze; to wówczas po raz pierwszy depresja zwyciężyła jej niesamowite siły witalne.

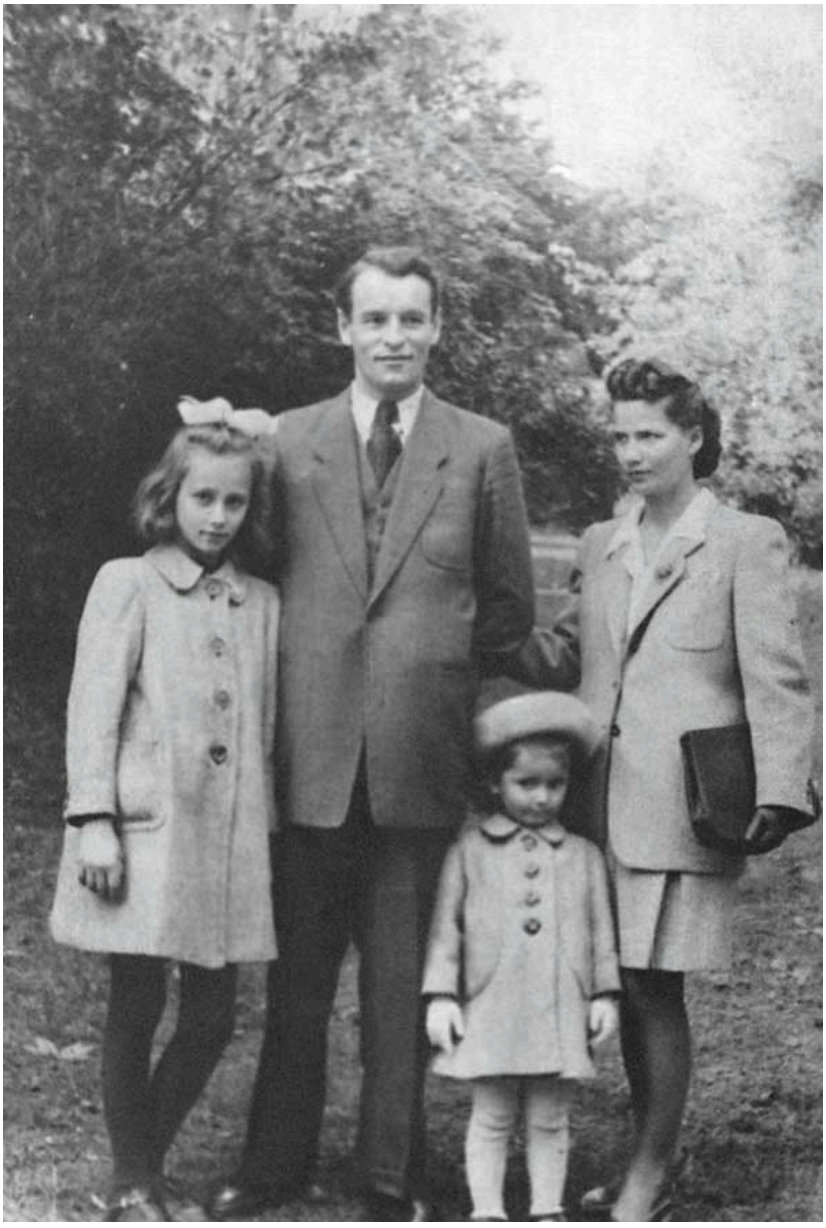

Stanisława i Feliks Mygowie z córkami: Halinką (z lewej) i Elżunią, 1945

Nasi lekarze najczęściej interesują się chorymi o tyle, o ile ich samych interesuje jakiś ciekawy przypadek. Przeważnie jednak przechodzą mimo... Profesor Aleksandrowicz był wyjątkiem. Haśka widziała poświęcenie profesora jako naukowca i jako człowieka. Jego wielką potrzebę niesienia jej pomocy. Miał przed sobą dziewczynę młodą, zdolną, pracowitą. Postanowił jej pomóc i w tej pomocy szedł tak daleko, jak żaden inny lekarz.

Dawano jej najwyżej pół roku życia. Oczywiście nie wiedziała o tym. I pracowała – jak zwykle pełna humoru, temperamentu. Może dlatego profesora ogarniała coraz większa panika. Załatwił Haśce wyjazd na operację; potem postanowił ten wyjazd przyspieszyć i zrobił wszystko, by jak najszybciej wysłać ją za granicę.

Zainteresował Polonię amerykańską losem Haliny. To było bardzo trudne. Wszystko szło tak opornie. Pomimo znajomości, pomimo listów, które płynęły w tę i z powrotem przez ocean, nikt nie zamierzał wydać tak ogromnej sumy, nawet kiedy chodziło o młodą poetkę. Trzeba było szukać innych dróg, wobec czego profesor Aleksandrowicz nawiązał kontakt z profesorem Boltonem z filadelfijskiej kliniki. Amerykanie zgodzili się wykonać tę operację bezpłatnie, jako zabieg reklamowy. Polonia miała tylko opłacić bilet w obie strony. Przysłali bilet, zaproszenie i 9 sierpnia 1958

roku Halina wyjechała do kliniki profesora Boltona do Filadelfii.

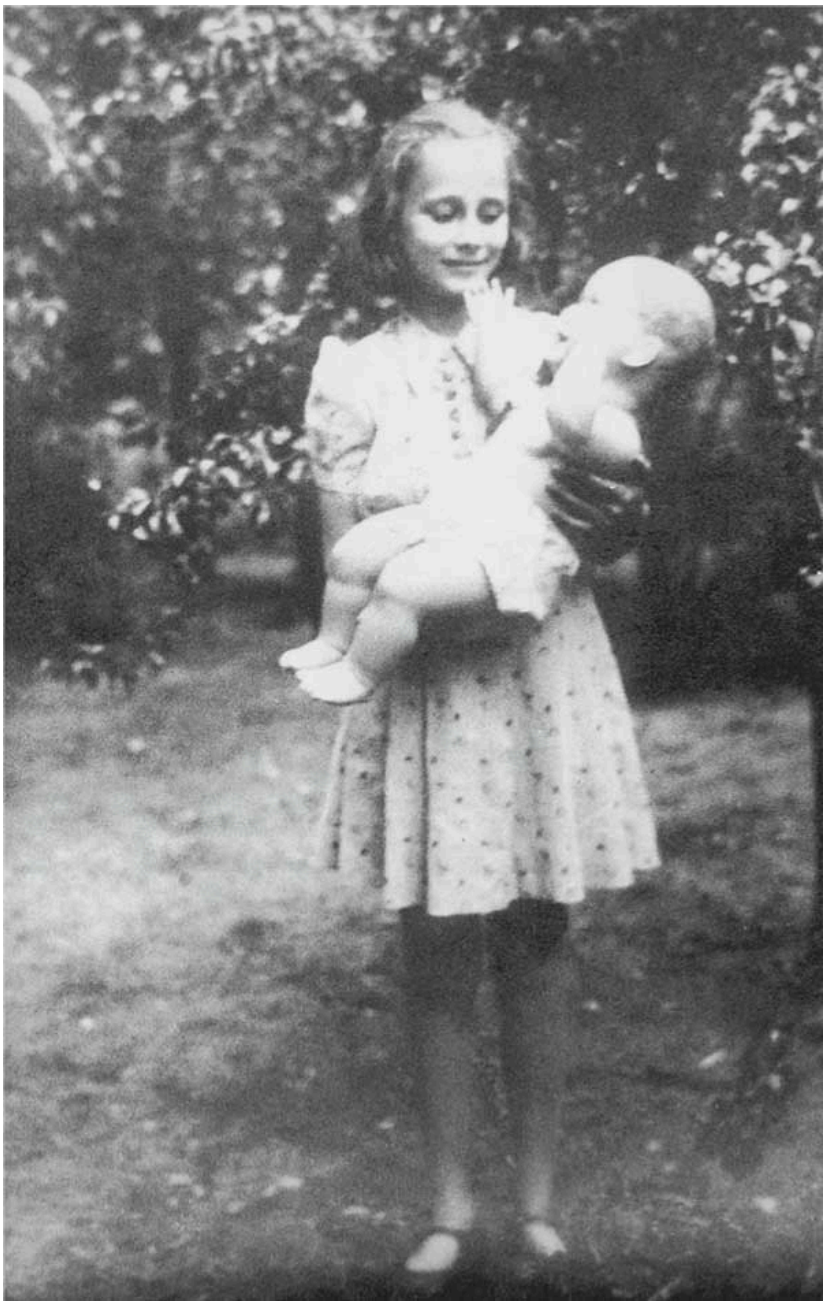

Kilkuletnia Halinka z lalką

Operacja się udała. Oczywiście Haśka nie była zupełnie zdrowa nawet po operacji. Zwyrodnienie

zastawki poczyniło w całym organizmie potworne spustoszenia, których nie udało się cofnąć. Przedłużono jej jednak życie. Darowano dziewięć lat.

Mając chore serce, nie mogła długo mówić do studentów. Szybko się męczyła i często brakowało jej głosu. Musiała siedzieć, a to podobno przeszkadza; lepiej, gdy prowadzący ćwiczenia stoi na katedrze lub chodzi. Mimo to nie oddałaby tej pracy za żadną inną.

W końcu nadszedł moment, kiedy nie można było dłużej czekać, i profesor stwierdził bezwzględnie: „Musisz przyjść do szpitala, pozostać w klinice tak długo, aż się trochę nie podreperujesz”.

Przyszła. Profesor zainteresował warszawskich kardiologów stanem jej serca. Przebadali ją, stwierdzili, że organizm jest jeszcze na tyle mocny, że wytrzyma drugą operację. Poinformowali o tym Haśkę. Chciała być zdrowa. Wierzyła, że to, co udało się po raz pierwszy, uda się jeszcze raz. Medycyna przecież poszła naprzód.

W dniu Pierwszej Komunii Świętej, Częstochowa, 24 czerwca 1941

Prosiłam Haśkę (profesor Aleksandrowicz też o tym wspominał), żeby ponownie pojechała do Stanów Zjednoczonych. Nie chciała o tym myśleć. Powiedziała, że nie pojedzie po raz drugi do Ameryki. Operacja – tak, ale tu, w kraju. Tymczasem profesor zaczął się bać.

Odwlekał, tłumaczył, prosił: „Może zrezygnujesz, jesteś już w tej chwili mocna”.

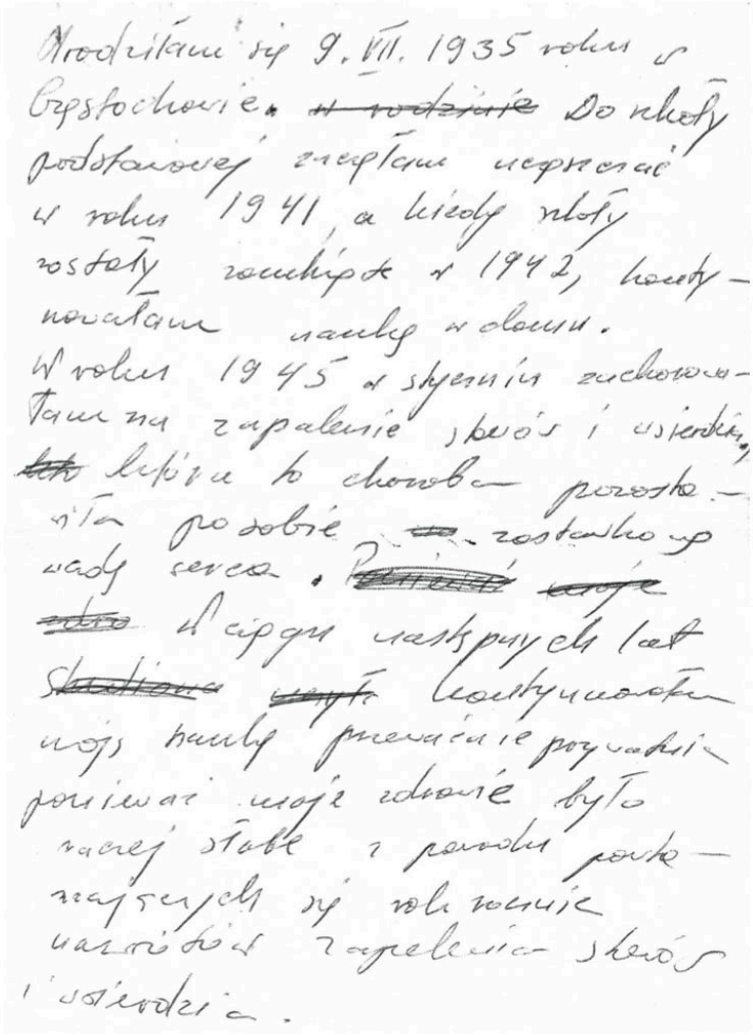

Urodziłam się 9. VII. 1935 roku w Częstochowie. ~~W rodzinie~~ Do klasy podstawowej zaczęłam uczęszczać w roku 1941, a liceum ukończyłam ~~zostały~~ w 1942, kontynuowałam naukę w domu. W roku 1945 w styczniu zachorowałam na zapalenie płuc i osierdzia, ~~które~~ które to choroba przeszła pozostawiła po sobie ~~[illegible]~~ zniszczone wady serca. ~~[illegible]~~ ~~moje~~ ~~serce~~ W ciągu następnych lat ~~leczono~~ ~~mnie~~ kontynuowałam moją naukę pracując ponieważ moje zdrowie było zawsze słabe i pomimo podejmowanych się kolejnych zajęć zapalenia płuc i osierdzia.

Fragment życiorysu napisanego przez Halinę

Cztery miesiące pobytu w klinice podreperowały jej siły. Naprawdę mogła wyjść ze szpitala i pożyć jeszcze kilka lat... Ale nie chciała. Nie chciała życia w fotelu, życia bezczynnego. Chciała żyć, ale chciała także pracować. Przede wszystkim pracować i poruszać się

jak ludzie zdrowi. Nie chciała być kaleką. Wstydziła się choroby.

Z siostrą Elżunią, 1945. Elżunia zmarła w grudniu tego roku

Nic nie trafiało jej do przekonania – ani moje prośby, ani prośby profesora Aleksandrowicza. Była dla nas obojga za silną osobowością. Słuchaliśmy jej i robiliśmy najczęściej to, czego chciała. Zdecydowała

się na operację. Umarła dziewięć dni później. Serce nie chciało się po raz drugi skleić. Niestety.

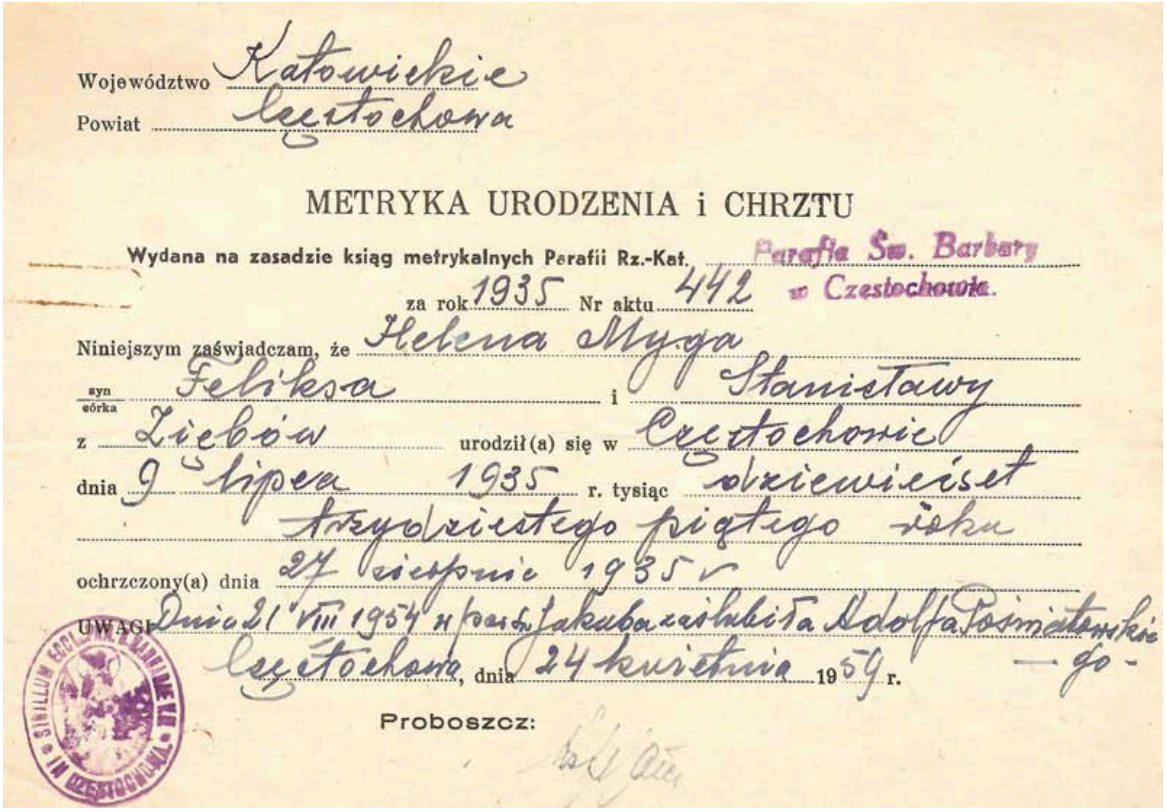

Województwo Katowickie
Powiat Częstochowa

METRYKA URODZENIA i CHRZTU

Wydana na zasadzie ksiąg metrykalnych Parafii Rz.-Kat. Parafia Św. Barbary w Częstochowie.
za rok 1935 Nr aktu 442

Niniejszym zaświadczam, że Helena Myga
syn / córka Feliksa i Stanisławy
z Lisowa urodził(a) się w Częstochowie
dnia 9 lipca 1935 r. tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego roku
ochrzczony(a) dnia 27 sierpnia 1935 r.
UWAGI Dnia 21 VIII 1954 r. na podst. Jakuba zaświadczenia Adolfa Poświatowskiego
Częstochowa, dnia 24 kwietnia 1959 r. — go —

Proboszcz:

FRAGMENTY LISTÓW HALINY POŚWIATOWSKIEJ DO MATKI[1]

7-my dzień po operacji
[chodzi o operację w USA 12 listopada 1958 roku]

To zamiast prawdziwego listu – bo co się wybiorę, to przystanę po dwóch zdaniach – mokra jak mysz. Jutro będzie tydzień – trudno, o jak trudno. Głupio ludzi zaopatrywać w ciała, które ulegają zgnieceniu – upadkom – krojeniu. I bolą... Pocięta jestem tak, że sobie lepiej wyobrazić nie można – ale to nawet zabawne, zawzięcie

wypyskowuję się o zastrzyki morfiny. Oni mnie mają za zdrową i każą samej jeść i myć się, i nabijają się ze mnie, że krzywo trzymam ścierkę z wodą. No a ja nie mam kawałeczka siebie, bo wszystko rozparcelowane pod kłucie, cięcie i ból. O jak boli – moje złotko – jak boli.

Nie wpadaj w histerię, bo zanim list zajdzie, to już to będzie bardzo mało aktualne. No i zresztą gdyby mi nie było lepiej, to bym jeszcze nie pisała. Ale Leszek [Dereń; lekarz, który wraz z dr. Nicholsem operował Halinę] mi kazał. A ja go lubię słuchać. Byłam cholernie dzielna przed tym – nic się nie bałam – zaczęłam się bać panicznie po operacji. W czwartek było bardzo źle, w piątek też, dopiero w sobotę się uładziło. Jurka Bigosińskiego przy najbliższej okazji spiorę po pysku, niefrasobliwa świnia – on sobie do Ciebie wysyła telegram, kiedy jeszcze nic nie było wiadome. Telegram miał wysłać Leszek, i to na adres cioci Heli [Anna Roman – siostra Stanisławy Mygowej], gdy już będzie wszystko dobrze. Na szczęście wyżyłam Ci. To było trudne, i jeszcze – boli – wiesz. Kobieta operowana w moim pokoju zmarła na trzeci dzień. To było najgorsze. W ogóle nie mówiłam Ci, ale tu po tych operacjach mrą jak muchy. Dlaczego ja nie? Podejrzewam w tym ciemne machinacje losu. Oni mówią, że zdrowieję bardzo ładnie.

[listopad 1958]

Jakoś mi dziwnie lżej się oddycha, tętno mam nieregularne – ale nic we mnie nie skacze – piersi spokojniutkie, nie uwierzyłabyś. Leszek wczoraj przylazł i opowiedział mi trochę o tej operacji. Wesołe rzeczy. Podobno miałam zupełnie zniesioną zastawkę, rozszerzenie jakiegoś tam czwartego stopnia i że oni jeszcze tego nie operują. Przemyciłam się na operację dzięki temu, że badanie było niedokładne. A dopiero gdy mnie ładnie rozkroili – przyszedł Nichols (najlepszy chirurg, który mnie operował). Zgodził się (bo go Leszek prosił, żeby zdecydować czy operacja się odbędzie) – włożył mi palec

do serca i stwierdził, że jest bardzo źle i że strasznie niebezpiecznie jest w tych warunkach operować, i kazał zobaczyć Leszkowi – więc Leszek też włożył paluch do serca i zgodził się, żeby robić. Nichols poszedł sobie palić papierosa, a oni mnie rozcinali dalej, i zakładali ten aparat do przetaczania krwi. Ten aparat przetaczał mi krew, zabierał sprzed serca i wtłaczał w pachwinę, gdzie mam takie szerokie cięcie, bo tu była arteria.

Obudziłam się, gdy mnie przenoszono do łóżka. Leszek coś do mnie gadał, ale nie wiem co, pomyślałam, że to już chyba po – a potem miałam potworne dreszcze. Takie dreszcze. Dostałam jakiejś zawrotnej gorączki, telepało mną dosłownie. A oni położyli mnie na lód i obłożyli workami z lodem – i przykryli jednym prześcieradłem. A ponieważ mi noga wystawała spod tegoż, więc krzyczałam, aby mi ją przykryli bo mi jest zimno. Na drugą noc znowu ta potworna gorączka, i znowu położyli mnie na lodzie i pootwierano wszystkie okna i kazali mi pić dużo wody z lodem ale ja się trzęsłam potwornie. I nie przeziębiłam się, nie dostałam zapalenia płuc, chociaż przyrzekałam tym czarnym że to zrobię. Zbadali mnie i coś im się nie podoba, bo mi się migotanie przedsionka utrzymuje, ale to nic nie jest. Leszek mówi, że z tą zastawką żyłabym najwyżej rok, lub półtora, a potem udusiłabym się. Genialny Nichols przyszył ją czterema ściegami na amen nylonem, już teraz tylko serce musi przywyknąć do pracy i będzie dobrze.

ZBIGNIEW MYGA

BRAT HALINY POŚWIATOWSKIEJ

Po prostu była. Dla brata istnienie siostry jest rzeczą zupełnie naturalną. Oboje byliśmy podobni do ojca. Siostra Małgorzata wdała się w mamę.

W domu było wesoło, nie mówiło się o chorobie, ale dom był jej podporządkowany. Kiedy Haśka źle się czuła, robiło się zamieszanie. Pogotowie, szpital, matka wyjeżdżała. Trzeba było jakoś to gospodarstwo domowe prowadzić. Ojciec szedł do pracy, a dzieci robiły obiad.

Najdokładniej pamiętam ostatnie lata życia Haliny. Matkowała mi. Usiłowała czegoś nauczyć. Kiedy wróciła ze Stanów, mieszkała w Krakowie; my – w Częstochowie. Wszystkie święta spędzała w domu. Bywała tu często. Tutaj miała swoją przystań. Nabierała sił do dalszego życia, pracy. Pamiętam przyjazdy siostry do domu w piątki czy soboty, bo wtedy miała pociąg z Krakowa. Rano w domu panowała cisza jak makiem zasiał. Haśka spała do dziesiątej, jedenastej. Jako dzieciak cierpiałem bardzo, nie mogąc obejrzeć w telewizji moich ulubionych kreskówek z Myszką Mickey (telewizor stał w pokoju, w którym spała Haśka, nie wchodziłem tam, żeby jej nie obudzić).

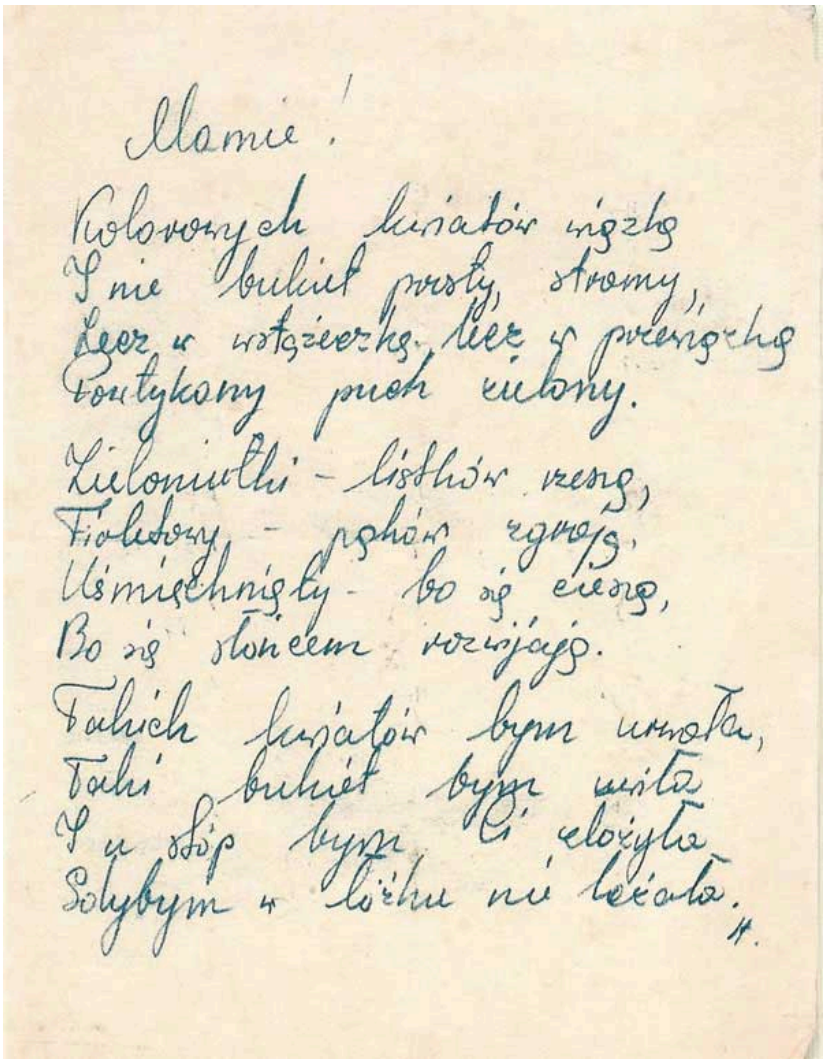
Mamie!

Kolorowych kwiatów więzłg
I nie bukiet prosty, słomy,
Lecz u wstążeczkg, lecz z pręgchg
Kontrykony pach cudowny.

Liliowiołki - listków rzęsg,
Fiołkowy - rgbin rgmjg,
Uśmiechnięty - bo się cieszg,
Bo się słońcem rozwijajg.

Takich kwiatów bym uwiła,
Taki bukiet bym wiła
I u stóp bym Ci złożyła
Gdybym w lichu nie leżała.

Jej warsztatem pracy było rozgrzebane łóżko. Pisała, siedząc obłożona poduszkami. Długopis w ręce, jakaś książka, słownik (woziła ze sobą całą bibliotekę). Tu pisała swoją pracę doktorską. Pisała też wiersze. Ten proces twórczy wyglądał niepozornie. W pewnym momencie smarowała coś na kartce i mówiła: „Mamci, napisałam wierszyk”. Mama siadała do maszyny. Wystukiwała wiersz, rano wysyłała i za tydzień był już w „Życiu Literackim”.

Halina – uczennica Liceum im. Juliusza Słowackiego w Częstochowie, 1951

Haśka nigdy nie rozmawiała o swojej poezji. Dotarło do mnie, że jest sławna, gdy ukazał się artykuł o niej w jakiejś gazecie. Kiedy powiedziałem w szkole, że jest moją siostrą, koledzy z technikum hutniczego nie chcieli mi uwierzyć. „Głupstwa gadasz”, komentowali. Uwierzyli dopiero, gdy Haśka dała mi swoje zdjęcie zamieszczone na obwolucie *Opowieści dla przyjaciela* i napisała na nim dedykację.

Nie miała do czynienia z cenzurą, ale w dziesiątą rocznicę jej śmierci, gdy przygotowywano w częstochowskim muzeum wystawę, mówiono: „Ten wiersz nie, bo pisany w Stanach Zjednoczonych; ten nie, bo za smutny”.

Takie historie. Na szczęście ona już tego nie widziała...

Zbyszek z matką, Częstochowa 1958

Przyznam, że nie lubię białego wiersza. Wychowałem się na Mickiewiczu, Słowackim, Tuwimie i Baczyńskim. Raczej interesuje mnie gra słów, cudowne operowanie językiem. Wiersz kojarzy mi się z rymem. Ale Halina też czasem używała rymu. Trzymam jeszcze fotokopię *Bajki o sówce, która w dzień spać lubiła*, pisanej właśnie do rymu dla dzieci. Nigdy nie była drukowana [została wydana w 1997 r.; patrz: Halina Poświatowska, *Dzieła*, t. 2: *Poezja* 2, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1997, s. 257–267]. Jest jeszcze dużo utworów niepublikowanych, bo Haśka zapisywała całe zeszyty. Kiedyś trudziła się dramatami, ale to nie są rzeczy, które chcielibyśmy publikować.

Haśka miała bliższe kontakty z siostrą Małgosią. Mnie usiłowała matkować. Starała się zadbać o moją edukację, światopogląd – była przecież filozofem. I prowadziła ze mną dyskusje na tematy filozoficzne. Tłumaczyła, co to jest pojęcie czasu, przestrzeni, czasoprzestrzeni, jednoczesności wydarzeń.

Nie pomagała mi w odrabianiu lekcji. U nas w domu nie było czegoś takiego jak pomoc w odrabianiu lekcji. Natomiast uczyła mnie angielskiego. Efekt był taki, że nauczyła po amerykańsku.

Pamiętam wakacje w Spychowie na Mazurach. Miałem kłopoty z ortografią. Codziennie musiałem pisać dyktando. Szlag mnie trafiał ogromny, bo to jednak jakiś obowiązek – żadne wakacje. Okropność.

A Halina była bardzo konkretna i tak pioruńsko obowiązkowa, że jeśli jej się coś powiedziało, po prostu to wykonała.

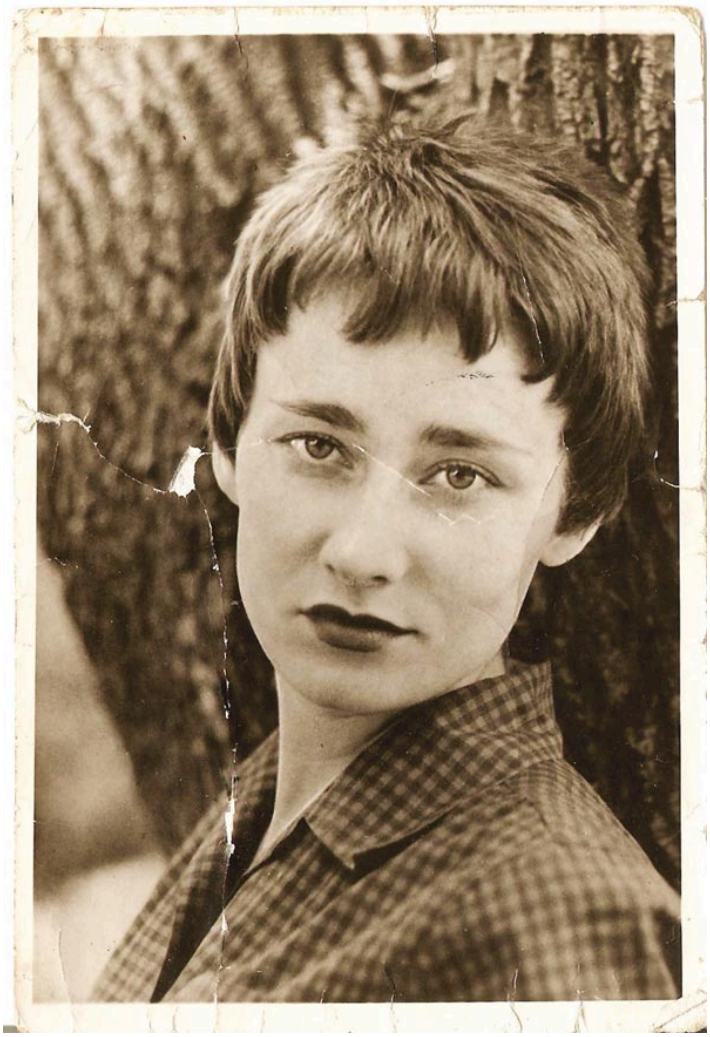

Nigdy nie byłem zaniedbywany, ale mając dwie starsze siostry, można mieć nieraz dosyć. Starsze siostry potrafią zatruć młodemu człowiekowi życie choćby dyktandami. Byłem pewien, że to jakaś zemsta losu. Do dziś pamiętam tekst jednego z dyktand: „Hrabia Hilary ubił chomika halabardą, po czym wsiadł do wehikułu i wykrochmalił się hipopotamem”.

W zachowaniu Haliny przed wyjazdem do Ameryki i po powrocie nie było żadnej różnicy. A właściwie była – przedtem jedynie leżała w łóżku, a potem nie tylko chodziła, lecz zaczynała nawet biegać. W Spychowie byłem używany jako pomoc przy wchodzeniu pod górę. Zapierałem się wtedy obiema nogami i pchałem Halinę w plecy, żeby jej się lekko szło.

To nieprawda, że Halina w ostatnim okresie życia była bardzo chora. Na pewno samopoczucie miała gorsze (w porównaniu z latami zaraz po operacji), ale przecież mogła z tym jeszcze żyć. Oczywiście prowadząc odpowiedni tryb życia. A ona nie chciała siedzieć w fotelu otoczona poduszkami, nie potrafiła też spokojnie leżeć. Pewnie, że siedziała w łóżku, bo chyba to lubiła. Zresztą kto nie lubi? W każdym razie jestem przekonany (i rodzina chyba także – nie wiem, czy w tym momencie nie burzę jakiegoś mitu), że mogła żyć długo. Halina mogła jeszcze żyć! Nie wiem, dlaczego zgodziła się na tę drugą operację. Chyba jej po prostu chciała. Przypuszczam, że pamiętała cud, który się zdarzył w Ameryce, i chciała doświadczyć tego ponownie. Wiadomo, medycyna poszła naprzód. Myślała, że jest szansa. Cóż, cuda zdarzają się rzadko, niestety!

Kuzyn, który miał telefon, przyniósł wiadomość mnie i ojcu...

Portret Haliny Poświatowskiej? Sto sześćdziesiąt siedem centymetrów wzrostu, zgrabna, ładna, fryzura różna: przed wyjazdem do Stanów długa, potem na ogół krótka, pod koniec życia taka za uszy. Nie była blondynką, nieprawda, miała kasztanowe włosy. Oczy zaś szare, ale mówiła, że zielone.

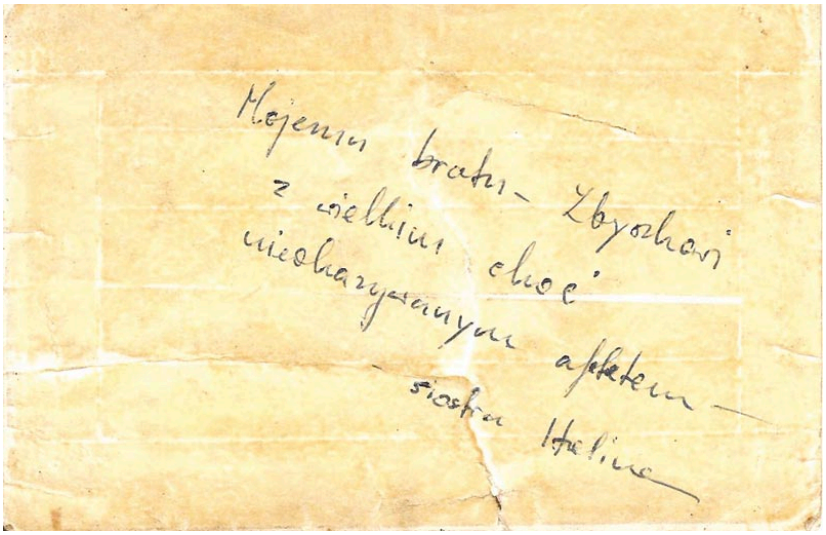

Zawsze bardzo dbała o urodę. Gdy siedziała w łóżku, przyklejała na czoło kawałek przezroczystej taśmy i strofowała młodszą siostrę: „Nie marszcz brwi! Wiesz, że kobieta, aby być piękna, musi się nauczyć płakać i śmiać w taki sposób, by nie powstawały zmarszczki”.

Była bardzo elegancka. Kiedy wyjeżdżała do Paryża, miała uszytą całą wyprawę (według najnowszych wzorców mody). Wróciła, a krawcowa, która to wszystko uszyła, pyta, spodziewając się pochwały własnego kunsztu: „Pani Hasiu, jak się pani czuła w Paryżu?”. A Haśka bezwzględnie: „Proszę pani, jak ostatni żebrak”.

Tam się chodziło w czym innym. Jej ubrania były solidne, eleganckie, a w Paryżu dziewczyny nosiły szmatki. Halina zaś była ubrana jak dama.

Zwierzęta w domu to oddzielny rozdział. Mieliśmy szaroburą kocicę o imieniu Godot, kocicę Miszkę i psa Baryłkę. Dopiero później był Tim.

Halina lubiła nasz ogródek, ale trudno, mieszkając w mieście, nie lubić własnego ogrodu. Była do niego przywiązana. Myślę, że z konieczności, bo jeśli już została skazana na taki tryb życia, musiała polubić to, co miała – inaczej można zwariować. Lubiła leżeć w hamaku przywiązanym do bzów.

Częstochowy nie darzyła sympatią, to fakt; ale czy lubiła Kraków? Na pewno kochała Nowy Jork. Nie było jej tam źle, a poza tym to przecież pierwsze miasto, w którym naprawdę żyła – to również robi wrażenie.

Mówiła do mnie: „Zbik”, ja do niej: „Halina”. Nigdy nie przeszło mi przez gardło: Haśka, choć teraz czasem tak mówię. Halina, Haśka... Po prostu była.

FRAGMENTY LISTÓW HALINY POŚWIATOWSKIEJ DO BRATA

15 II [19]59

Drogi, Kochany Zbyszku!

Dziękuję Ci za wszystkie śliczne listy. Nie gniewaj się, że nie odpisuję, ale naprawdę teraz nie mam czasu, bo się muszę uczyć i czasami pracować. To jest bardzo trudne mówić ładnie po angielsku, a jeszcze czytać i pisać. Właściwie to chyba jesteśmy w tej samej klasie – w pierwszej. Posyłam Ci trochę znaczków – pewnie Ci się będą podobać bo mnie się podobały kiedy je wybierałam. Napisz mi co słychać w Polsce i czy chcesz żebym już przyjechała. Napisz, co chciałbyś mieć z Ameryki, bo Ciocia i Wujek [Anna i Henry Fiedorowiczowie] jadą do Polski w czerwcu i odwiedzą Was i Wujek mógłby Ci zawieźć. Wujek jest bardzo dobry – wiesz – jak będziesz miał czas – to napisz do niego list że czekasz aby przyjechali że się cieszysz. Narysuj im co ładnego – zrób to dla mnie – proszę. A teraz mocno Cię całuję –

Halina

15. II. 57

Drogi Kochany Zbyszku!

Dziękuję Ci za wszystkie śliczne listy. Nie gniewaj się, że nie odpisuję, ale naprawdę teraz nie mam czasu, bo się muszę uczyć i czasami pracować. To jest bardzo trudne mówić ładnie po angielsku, a jeszcze czytać i pisać. Właściwie to chyba jesteśmy w tej samej klasie - w pierwszej. Posyłam Ci trochę znaczków - pewnie Ci się będą podobać bo mnie się podobały kiedy je wyjmowałam. Napisz mi co słychać w Polsce i czy chcesz żebym już przyjechała. Napisz co chciałbyś mieć z Ameryki, bo ciocia i wujek jadą do Polski w czerwcu i

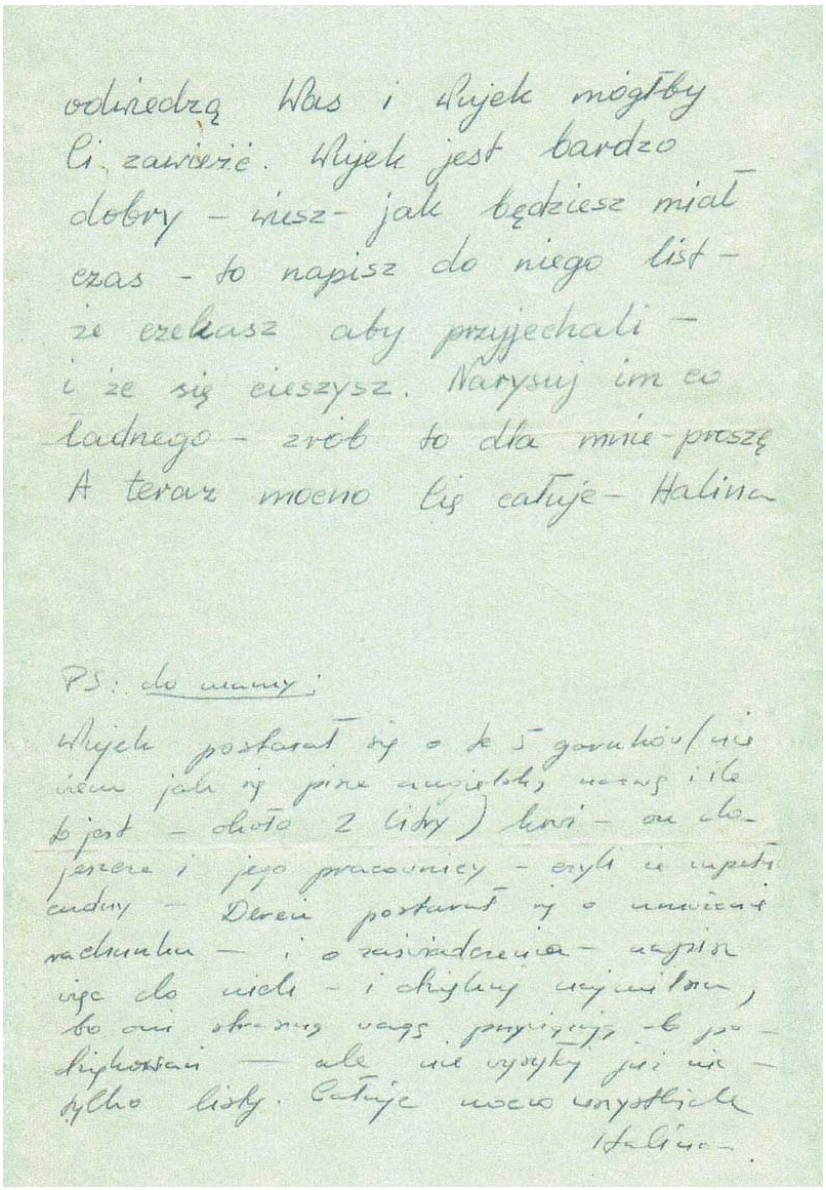

6 VIII [1966]

Kochany Zbyszku!

To jest mały port na wyspie Mljet i stąd popłyniemy [z przyjaciółką Caroline Karpinski, Amerykanką polskiego pochodzenia, którą Poświatowska poznała w Stanach] w poniedziałek do Dubrownika. Strasznie tu wszędzie pięknie i zdaje się, że

nareszcie będę mogła sobie pożyczyć osiołka. Osiołki strasznie miłe tylko okropnie ryczą. A dzieci śmieją się ze mnie, bo nie umiem po chorwacku – a one umieją.

Całuję Cię – Halina

[Paryż] 10 X 1966

Zbyszku bracie!

Kartkę tę posyłam Ci ku przestrodze, że, jak się człowiek nie uczy języków obcych za młodu, to potem jest jak śnięta ryba w cudzoziemskim kraju, a takie zaczynają się już całkiem niedaleko od Częstochowy. Gadam po francusku, z bykami, ale gadam. Paryż cudo – trzeba tu być chociaż raz na życie. Całuje Cię mocno

Halina

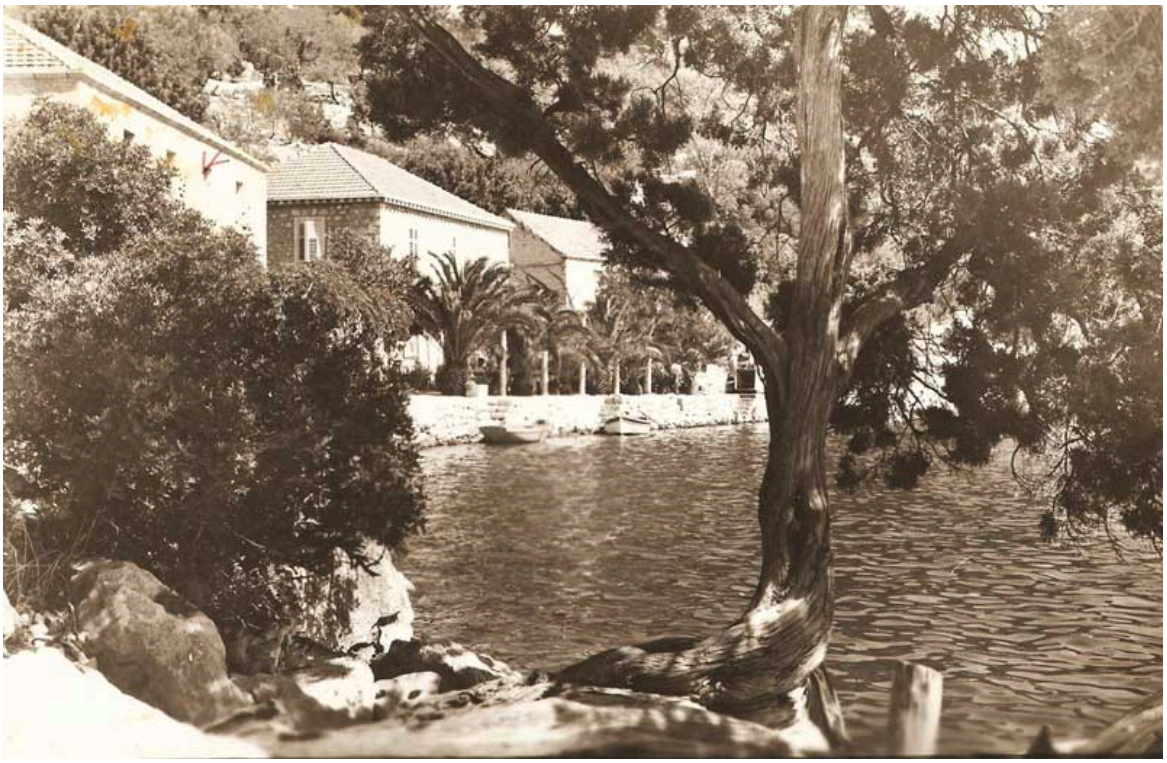

MLJET — GOVEDARI

M 18 2

Fotoslužba - Zagreb

sobota.

Kochany Papciu!

W tym domu z lewej strony
to mieszkamy i kąpiemy się
w tym jeziorze - ja też się
kąpię po kilka razy dziennie.
Woda ma powyżej 30°C - jest
taka ciepła i słona. I słońce
jest ogromne, prawie się nie
opalam, a i tak jestem już
ciemna. I czuję się lepiej niż
w domu, chociaż gorąco - i nie
martwcie się o mnie, tym bardziej
że Jaś ulroście przyjechał. I pogoda
zdaje - kąpiemy. Całuję Cię bardzo i mamę - Halina

SVETOZAREVO
50
ЈУГОСЛАВИЈА

W-ny Pan
Feliks Myga
Częstochowa
Jasnogórska 23 m 7
POLIJSKA

JERZY MYGA

STRYJECZNY BRAT HALINY POŚWIATOWSKIEJ

Mój ojciec Kazimierz był rodzonym bratem ojca Haliny Feliksa. Był też ojcem chrzestnym Haliny. Spotykaliśmy się przeważnie u nich na Jasnogórskiej. Mieszkała tam nasza babcia Teofila.

Halina albo leżała w łóżku, albo w ogrodzie na leżaku. Zawsze z książką. Taką ją zapamiętałem.

Nie chciałem jej nigdy męczyć zbyt długą rozmową. Chyba wszyscy z rodziny oszczędzali ją, dbali o jej zdrowie. To było najważniejsze. Rozmowa z wujkiem Felkiem czy ciocią Stasią przeważnie dotyczyła zdrowia ich córki...

Halina częściej była poza domem niż w domu w Częstochowie. Zbyt rzadko się spotykaliśmy, abym mógł coś powiedzieć o jej charakterze. Była rodzinna i dobrze wychowana. Interesowała się moim życiem. Grałem w piłkę nożną. Halina pytała o sukcesy sportowe, choć to ją mało interesowało. Oczywiście pytała też o postępy w nauce, ale o to pytała każdego! Nauka była jej konikiem.

Jeździliśmy do Poronina i do Rabki. Wujek Felek miał samochód, więc robiliśmy stamtąd wycieczki po

okolicy. Halina nie zawsze chciała w nich uczestniczyć, bo szybko się męczyła, ale na przykład nad Morskie Oko pojechała. Z tego pobytu zostały mi pamiątkowe fotografie.

Nad Morskim Okiem z ojcem, stryjenką Ireną i stryjecznym bratem Jurkiem Mygą, ok. 1947

HALINA SCHWEIGER

STRYJECZNA SIOSTRA HALINY POŚWIATOWSKIEJ

Wujek Felek, ojciec Haliny, moja matka Janina i wujek Kazik stanowili bardzo zżyte rodzeństwo. Wujek Felek ogromnie kochał swoje dzieci i żonę, ciocię Stasię. Nie interesowały go spotkania z kolegami, wspólne wyjścia na piwo. Liczyła się tylko rodzina, którą musiał utrzymać.

Kiedy Mygowie zamieszkali przy Jasnogórskiej 23, byłam częstym gościem w ich domu. Jakoś wrosłam w tę rodzinę.

Dom był wciśnięty między inne kamienice; od ulicy oddzielał go piękny ogród. Przebywając w nim, nie miało się wrażenia, że jest się w mieście. Przyroda pozwalała Halinie zachować dystans do codzienności.

Gdy przyjeżdżałam do Częstochowy, ciocia Stasia opowiadała mi (zawsze w kuchni) o Halinie trochę tak, jakby mówiła o sobie. Przypuszczam, że gdyby inaczej ułożyło się jej życie, także zajęłaby się literaturą. Halina była ucieleśnieniem aspiracji intelektualnych cioci Stasi. Odnosiłam wrażenie, że „pracowały” na tej samej fali. Miały ze sobą naprawdę świetny kontakt. To było piękne i takie ciepłe... W ogóle rodzice żyli sprawami Haliny. Byli szczęśliwi i dumni z niej.

Halina była inna niż my wszyscy. Była jakby obok nas. Miała świadomość tego, że wyróżnia się – nie tylko niebanalną urodą, która zawsze mnie zadziwiała. Jej głowa kojarzyła mi się z obrazami Renoira. Było w niej coś nieodgadnionego...

Miała piękne oczy o kształcie dużych migdałów i nieokreślonym kolorze. Było w nich trochę seledynu, trochę ciemnej zieleni i niebieskiego. Miały wyraz i głębię. Ich uroku nie oddaje żadna fotografia ani rysunek.

JERZY ROMAN

CIOTECZNY BRAT HALINY POŚWIATOWSKIEJ

Byliśmy rówieśnikami i kuzynami. Nasze matki to rodzone siostry. Mieszkaliśmy blisko siebie – Halina przy Jasnogórskiej, my w II Alei pod numerem 32. W latach 1951–1953, do czasu jej ślubu z Adasiem, spotykaliśmy się prawie codziennie, gdy tylko była w Częstochowie. Chodziliśmy na spacery, do kina, do teatru. Wyjeżdżaliśmy do lasu i nad rzekę. Nie pamiętam konkretnego filmu ani spektaklu, który widzieliśmy razem, ale zdarzało się, że przeżywałem katusze, będąc z nią w kinie lub teatrze. Halina miała trochę dziwny zwyczaj śmiać się w miejscach, w których inni się nie śmiali. Wyczuwała wszelki fałsz i kicz.

ŚWIADECTWO DOJRZAŁOŚCI
KORESPONDENCYJNEGO
LICEUM OGÓLNOKSZTAŁCĄCEGO

Ob. Poświatowska Helena
(nazwisko i imię)

urodzony a dnia 9 lipca 19 35 r.

w Częstochowie

powiat /.

po ukończeniu nauki w Korespondencyjnym Liceum Ogólnokształcącym zdał egzamin dojrzałości przed Państwową Komisją Egzaminacyjną, powołaną przez Wydział Oświaty Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej

w Stalinogrodzie

pismem z dnia 14 czerwca 1955 r.

Nr O.VIII-4.8/13/55/R-Kal

Świadectwo niniejsze uprawnia do ubiegania się o przyjęcie na studia w szkołach wyższych w myśl. art. 26 ust. I ustawy z dnia 15 grudnia 1951 r. o szkolnictwie wyższym i o pracownikach nauki (Dz. U. Nr 6, poz. 38).

Korespondencyjne Liceum Ogólnokształcące Nr ——

w Częstochowie

Częstochowa, dnia 18 czerwca 1955 r

CZŁONKOWIE PAŃSTWOWEJ KOMISJI EGZAMINACYJNEJ

pieczęć

PRZEWODNICZĄCY PAŃSTWOWEJ KOMISJI EGZAMINACYJNEJ

Mgr Józef Skiba

CWD. MSO-6 Dn. Zam. 1973/T-1/II
346 — Łak — 9.2.55 — 3.000 — Piśm. kl. VII A1/60 g

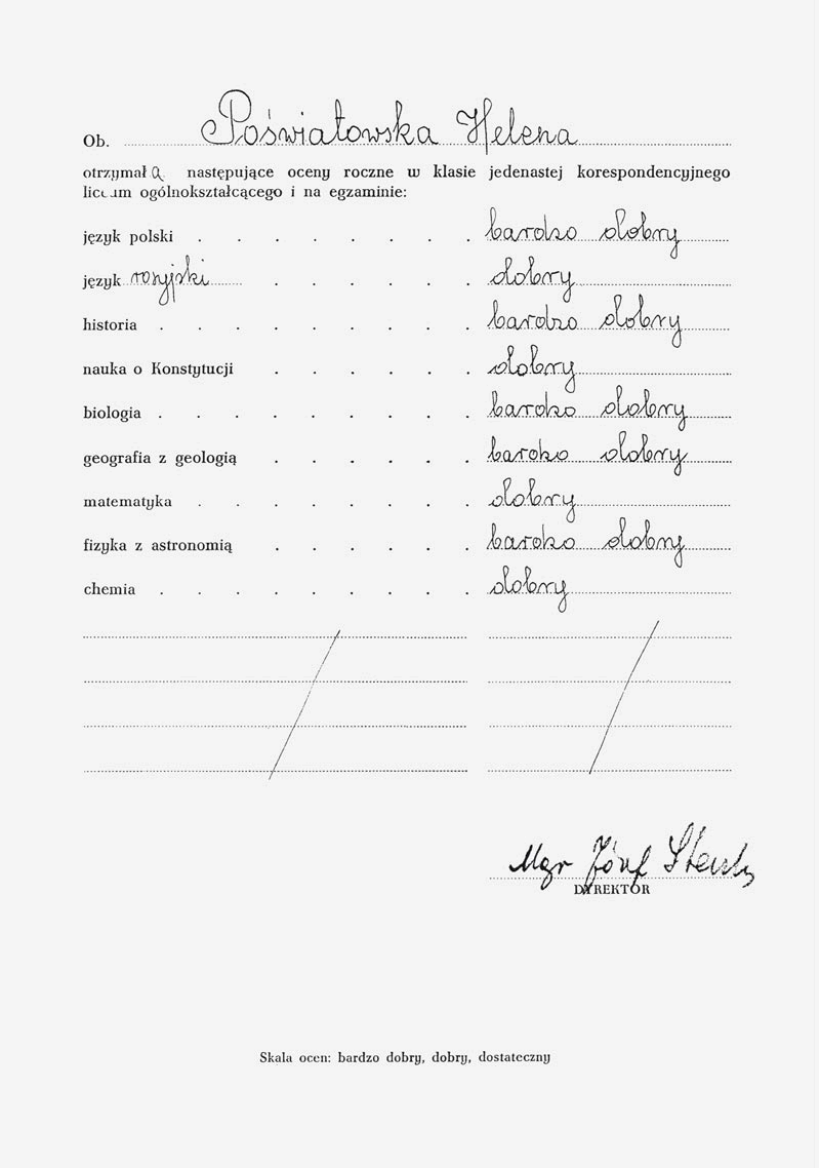

Ob. Poświatowska Helena

otrzymała następujące oceny roczne w klasie jedenastej korespondencyjnego liceum ogólnokształcącego i na egzaminie:

język polski	bardzo dobry
język rosyjski	dobry
historia	bardzo dobry
nauka o Konstytucji	dobry
biologia	bardzo dobry
geografia z geologią	bardzo dobry
matematyka	dobry
fizyka z astronomią	bardzo dobry
chemia	dobry

Mgr Józef Stawiarz
DYREKTOR

Skala ocen: bardzo dobry, dobry, dostateczny

Reakcje miała może nietypowe, ale była przecież szalenie wrażliwa... I ogromnie inteligentna. Kiedy się z nią rozmawiało, cały czas trzeba było uważać, skupiać się na tym, co mówiła.

Gdy Halina uczyła się w liceum korespondencyjnym, moi koledzy udzielali jej korepetycji z przedmiotów ścisłych. Jeśli któryś z nich chciał jej zaimponować, była niemiłosierna. Nie lubiła pozerstwa. Bywała

ironiczna, ale nigdy nie była obcesowa. Wiedziała, że pewnych granic nie można przekroczyć. Imponowała nam. I to już wtedy, gdy miała siedemnaście, osiemnaście lat! Później chyba trochę wyciszyła się, stała się bardziej tolerancyjna, wyrozumiała, stonowana.

Z czasów, kiedy byliśmy nastolatkami, z lat 1951–1953, zostało mi najwięcej jej listów. Halina pisała do mnie z sanatorium w Polanicy, Kudowie, Rabce, ze szpitala w Krakowie. Są także listy z Jastarni pisane przed wyjazdem do Stanów Zjednoczonych.

Kiedy wróciła do Polski, studiowała, pracowała – żyła. Wówczas nasze kontakty trochę się rozluźniły, ale regularnie spotykaliśmy się podczas uroczystości rodzinnych. Halina lubiła spotykać się z rodziną. Miała wspaniałych rodziców. Nie była jednak wylewna jak wujek, raczej traktowała ludzi z lekkim dystansem.

W latach 1963–1967 przychodziłem na Jasnogórską razem z żoną i synami (rocznik 1963 i 1964). Strasznie rozrabiali, a przecież w tym domu, gdy przyjeżdżała Halina, panowały cisza i spokój, dyscyplina. Moi synowie mogli rozrabiać, bo im na to pozwalała. Właśnie ona. Wszystko było jej podporządkowane. Była główną postacią w domu. Jesienią 1966 roku, po powrocie z Francji, czuła się naprawdę nie najlepiej, potrzebowała spokoju. Paryż ją dobił. Tam trzeba chodzić, zwiedzać, i ona to robiła. Wróciła więc zmęczona i chora. Chyba straciła wtedy sporo sił...

Ze swoich podróży przywoziła mi prezenty. Ze Stanów na przykład piękny żółty długopis, który mam do dzisiaj.

W czasie Świąt Wielkanocnych 1967 roku podarowała mi *Opowieść dla przyjaciela*. Długo ją prosiłem, by napisała dedykację, bo nie lubiła tego robić. Wreszcie uległa: „Mojemu ukochanemu bratu, Jurkowi Romanowi, z przywiązaniem i pamięcią zawsze ta sama Halina”.

Z ciotecznym bratem Jerzym Romanem, Żarki, czerwiec 1951

Byłem świadkiem kilku wydarzeń opisanych w tej książce. Odprowadzałem ją, gdy odpływała „Batorym” do Ameryki. Bała się tej podróży. Była wystraszona, oszołomiona. Pierwszy raz w życiu płynęła tak daleko, transatlantykiem, sama, w dodatku chora. Mimo to trzymała się wspaniale. Była naprawdę dzielna.

Halina bardzo dużo czytała. Rozmawialiśmy o poezji. Pamiętam ciągłe dyskusje: Mickiewicz czy Słowacki? Ja wolałem Mickiewicza, bo był dla mnie bardziej zrozumiały. Aby zrozumieć Słowackiego, trzeba trochę innej wrażliwości. Halina zachwycała się Słowackim. Znała na pamięć wiele jego wierszy. W tamtych młodzieńczych latach był jej ulubionym poetą. Czytała także Schillera, Goethego – w ogóle lubiła romantyzm. Co czytała potem, kiedy wróciła ze Stanów? Nie wiem.

Często czytała mi swoje wiersze. Pytała o opinię. Bardzo mi się podobały. Mówiłem jej o tym. Nie komentowała jednak moich reakcji.

Lubiła też słuchać muzyki, ale o muzyce raczej nie rozmawialiśmy. Słuchaliśmy i zachwycaliśmy się przywiezionymi ze Stanów i z Paryża płytami Armstronga, Edith Piaf, Joan Baez, Paula Robsona. Byliśmy pod urokiem jego wspaniałego wykonania *Missisipi*.

To ja byłem tym kuzynem, który przekazał wujkowi Felkowi wiadomość o śmierci Haliny. Mygowie nie mieli telefonu, a u nas był. Ciocia z Małgorzatą czuwały przy Halinie w szpitalu w Warszawie, wujek ze Zbyszkiem zostali w Częstochowie. Nikt nie chciał ze mną pójść, by przekazać im tę tragiczną wiadomość...

Następnego dnia pojechaliśmy z wujkiem i Jasiem Adamskim do Warszawy, przywieźć Halinę.

Bardzo często o niej myślę. Pozostała mi bliska. Była człowiekiem, którego nie sposób zapomnieć.

FRAGMENTY LISTÓW HALINY POŚWIATOWSKIEJ DO JERZEGO ROMANA

Drogi Jurku!

Na dworze jest tak bardzo ślicznie, od samego rana sypie śnieg i wszystkie drzewa i płoty i domy są białe. Wiesz, sama się sobie dziwię, bo wyobraź sobie, że pomimo strasznie żałosnych prognoz jakie sobie stawiałam wszystko układa mi się bardzo miło i gdyby tak było dalej byłabym zadowolona, szczęśliwa, nie wiem jak to nazwać, ale w każdym razie pozbyłabym się tych idiotycznych przeczuć, które ciążą na mnie jak fatalizm. A gdybyś wiedział, co ja wyprawiałam jeszcze dzień temu. Beczałam jak wariatka, spakowałam na trzy spusty walizkę i na gwałt wybierałam się do domu, tatuś nie mógł ze mną dać rady. Wymęczył się biedak strasznie, ale żadne perswazje nie pomagały. Dopiero wizyta u doktora mi pomogła. Ten typ jakkolwiek głuchawy wysłuchał, że z tym moim sercem jest wszystko w porządku i pozwolił mi łazić i schodzić do jadalni i wychodzić, a na zakończenie powiedział mi trochę nieprzyjemnych rzeczy, ale i tak o mało go nie uściskałam z radości.

Dzisiaj rano byłam na długim spacerze, oczywiście prowadzona pod rękę przez pewnego pana, którego wytrzasnął skądś ojciec, a ten uważa za swój obowiązek opiekować się mną. W każdym razie dla mnie jest to dość uciążliwe, bo towarzystwo tego pana odstrasza ode mnie innych panów, z którymi miałabym ochotę się poznać. Na razie jestem jeszcze trochę do kitu, ale za kilka dni postaram się tego gościa spławić, chociaż jest bardzo miły i ładnie opowiada.

Jeśli chodzi o sanatorium to wiesz, to w Polanicy było dużo ładniejsze. Tutaj nie ma takich ślicznych urządzeń, nie ma windy ani

ciepłej wody, ale mieszkać się da, tym bardziej, że pokój w którym ja mieszkam jest na wysokości niecałego piętra, [...] co tutaj nazywa się parterem i jest bardzo jasny, duży, tylko poza łóżkami i dwiema szafami nic nie ma, ani obrazka, ani dywanika; trochę pusty. Dzisiaj przykwaterowali mi pewną panią ze Szczecina. Bardzo miła, ma jakieś trzydzieści lat, jest ładna i zdaje się, że chciałaby się trochę pobawić. Bardzo mi to odpowiada, bo może przy niej i ja co skorzystam.

Gdybyś wiedział jaka śliczna jest Kudowa, to na pewno byś tu przyjechał. Mnie się bardzo podoba, choć widziałam tylko mały kawałeczek, ale można tu jeździć i na nartach i na sankach, bo są śliczne góry i można się nieźle bawić, ale do tych rzeczy potrzebne jest zdrowie.

Napisz mi Jureczku jak poszły twoje egzaminy [...] i nie gniewaj się, że ten list jest taki nudny – drugi będzie inny

Halina

Adolf Ryszard Poświatowski, 1954

Cz-wa, środa, VII [1953]

Drogi Jurku!

Właściwie już kilka dni temu miałam zamiar napisać do Ciebie, ale w międzyczasie pogniewałam się na Twoją mamę (już mi przeszło), a ponieważ i Ty też należysz do klanu Romanów, więc i na Ciebie. O co, wolę nie pisać, wiem przecież jak silnie są w Tobie rozwinięte uczucia braterskie, więc fakt, że chwyciłam twojego brata [Andrzeja Romana] za kark i zrzuciłam z hamaka, mógłby Ci zepsuć humor,

a co za tym idzie mógłbyś mi nie odpisać. Tego ostatniego jednak lepiej nie rób, bo ja mam jeszcze jednego ananasa kuzynka [Jerzego Mygę], a Tobie trudno byłoby się postarać o drugą siostrę cioteczną [...].

Pytałeś się, czy gdzie nie wyjechałam. Na razie to raczej nie, ale mam zamiar i myślę, że może w przyszłym tygodniu go zrealizuję. Gdzie? Oczywiście, że do tej wstrętnej Kudowy, o której nawet myśleć mi się nie chce, a co dopiero jechać. Właściwie to powinnam się raczej cieszyć, bo to tak blisko Polanicy, ale tak strasznie mi zobojętniały wszystkie sprawy, wiesz jakie, że pół tuzina, żeby nie wiem jak przystojnych doktorów, oddałabym za jednego naturalnego bałwana morskiego (takiego jak na twojej pierwszej kartce).

Na razie, żeby się przygotować do tej eskapady, wypuszczam się po trochu na ulicę, a w sobotę byłam w teatrze na górze. *Wesela Figara* niestety już nie dawali, ale był *Ożenek* Gogola i naprawdę świetnie wystawiony, więc chyba nie ma czego tak bardzo żałować. W najbliższych dniach pójdę na *Śluby panieńskie*, a potem to już chyba na nic, bo pewnie budę zamkną.

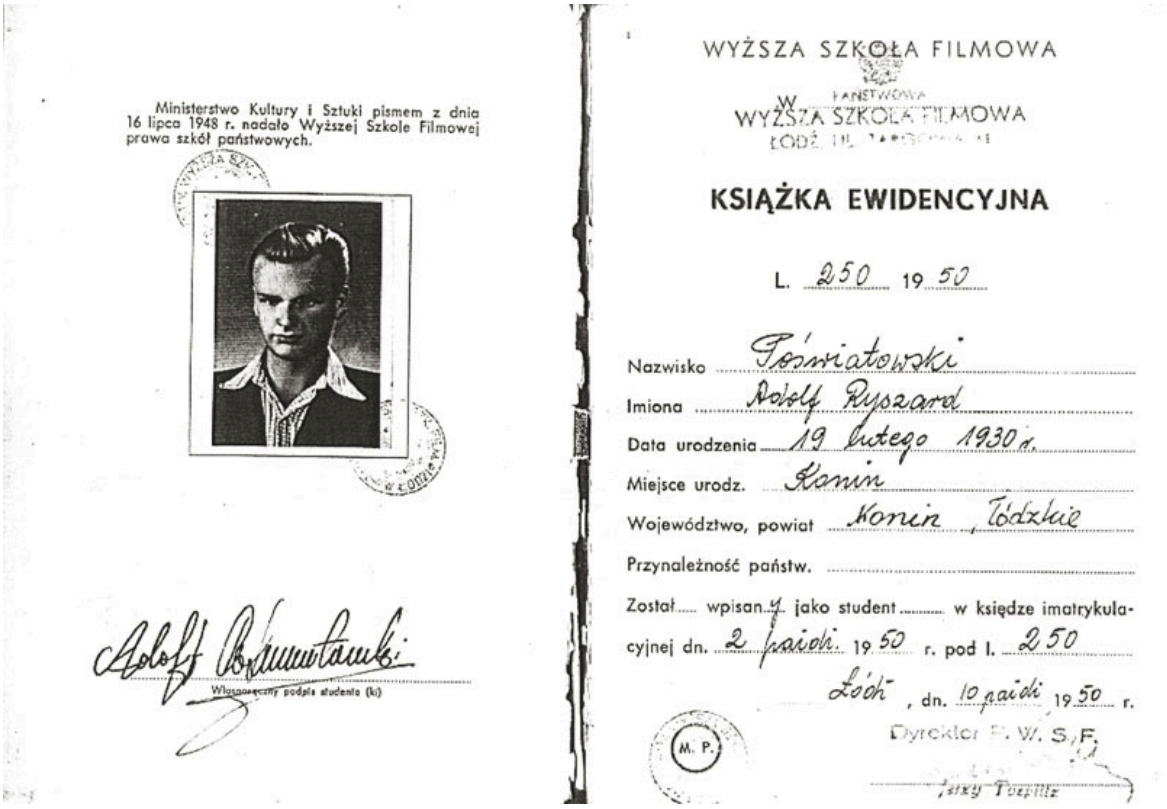

Ministerstwo Kultury i Sztuki pismem z dnia 16 lipca 1948 r. nadało Wyższej Szkole Filmowej prawa szkół państwowych.

Własnoręczny podpis studenta (ki)

WYŻSZA SZKOŁA FILMOWA

PAŃSTWOWA WYŻSZA SZKOŁA FILMOWA ŁÓDŹ UL. [illegible]

KSIĄŻKA EWIDENCYJNA

L. 250 19 50

Nazwisko Świątowski

Imiona Adolf Ryszard

Data urodzenia 19 lutego 1930 r.

Miejsce urodz. Konin

Województwo, powiat Konin, Łódzkie

Przynależność państw.

Został wpisan-y jako student w księdze imatrykulacyjnej dn. 2 paźdz. 1950 r. pod l. 250

Łódź, dn. 10 paźdz. 1950 r.

Dyrektor P. W. S. F.

M. P.

To już chyba byłoby wszystko, bo poza tym to jest tak samo nudnawo, jak przed twoim wyjazdem. Siedzę w ogrodzie, napycham się owocami i próbuję się po trochu opalić, zresztą z bardzo marnym skutkiem. Jak wyjadę z Częstochowy, to postaram się dostarczyć Ci rewelacyjniejszych wiadomości, ale i Ty powinieneś się lepiej starać. Poślę Ci kopertę, więc najważniejszy pretekst odpadnie, a z innymi, jak lenistwo i brak chęci, postaraj się załatwić sam i Jureczku kochany o tym, że się kąpiesz w morzu i opalasz [Jerzy Roman był na wczasach w Niechorzu] już wiem, więc postaraj się napisać coś rozsądniejszego. Tematu na pewno Ci nie zabraknie.

Mam ochotę Cię uściskać

Halina

PS Jak z pieniędzmi i czy jesz dużo?

H.

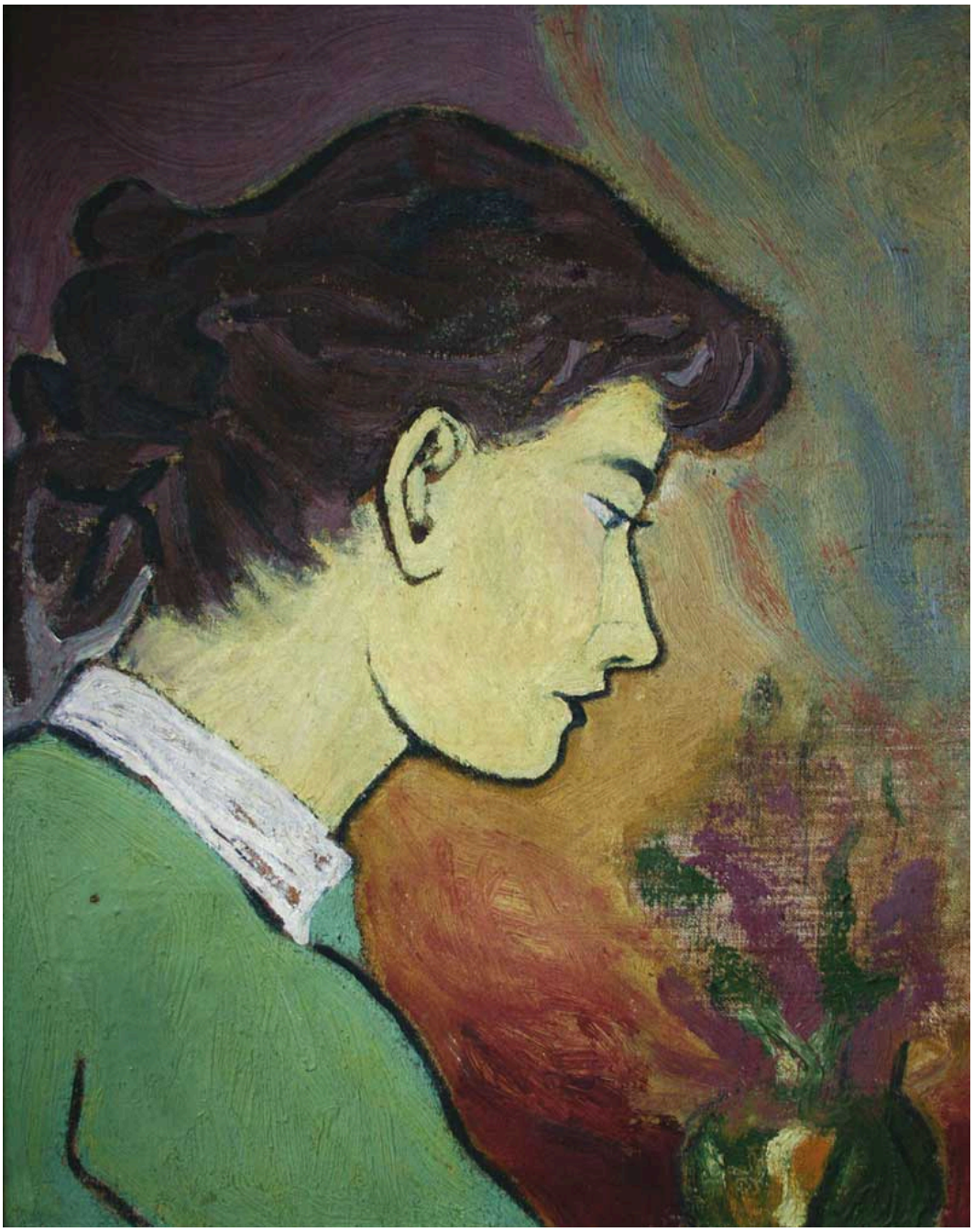

Portret Haliny namalowany przez Adolfa ok. 1954 roku

[Kudowa Zdrój] 8 VII [1953]

Drogi Jurku!

To, że nareszcie piszę piórem wcale nie jest wyrazem szacunku dla Ciebie, tylko faktem, że moja sąsiadka (nowa) posiada taki instrument. Jest to dziewczę 15. straszliwie głupie, jeśli się porówna poziom intelektualny twój czy mój z jej i co najgorsza w ogóle nieuświadomione, a ja na każdym kroku, czy raczej przy każdym słowie muszę się pilnować, żeby jej nie oddać tej niebezpiecznej przysługi. Toteż mówię w domu bardzo mało, a poza domem też, bo dostałam jakiejś paskudnej chrypki, a głos zachrypnięty nikomu nie dodaje uroku, wprost przeciwnie, przeważnie też posługuję się mimiką używając w tym celu głowy, którą kiwam, nigdy z góry na dół.

Niesłychanie śmieszną rzeczą jest, że jakiś student szkoły reżyserskiej w Łodzi [Adolf Ryszard Poświatowski, późniejszy mąż Haliny] chce mnie „zaangażować” (bycze słowo, co?) do swego dyplomowego filmu. Oczywiście powiedziałam mu, że to nonsens, ale nie mogłam mu odmówić przyjemności (nie posądzaj mię w tym miejscu o zarozumiałość – to on tak powiedział) odfotografowania mnie na 12 odbitkach. Łaziliśmy dzisiaj po południu po parku i pod każdym krzakiem, z bliska i z daleka, w słońcu i w cieniu robił zdjęcia i to zawsze w takich głupich pozach. No, mniejsza o to, niech się chłopak cieszy, bardzo ciekawie gada, a mnie to wystarczy, a poza tym zaciekawia mnie, czy naprawdę łazi za mną (na razie tylko dwa razy, bo znam go dopiero od wczoraj wieczór) tylko ze względu na ten zaplanowany film. Jak to wybadam, to Ci powiem. Poza tym znam masę innych chłopców i strasznie żałuję, że nie mogę chodzić z wszystkimi naraz, bo wyobraź sobie, że jak z jednym przejdę przez uliczkę w parku, to się wszyscy inni wysztywniają, właśnie tak, to jest świetne określenie, bo po prostu udają, że mię nie widzą i przechodzą obok dumni i bladzi. [...] Pozdrawiam

– Halina

[Kazimierz Dolny] wtorek, 20 VII [1954]

Jureczku!

Czy jeszcze Ci się powodzi tak nieszczególnie? U nas już ta najgorsza passa minęła i gdyby nie ciągłe deszcze – można by żyć wcale wcale. Ale leje – jakby się uparło – ciekawe czy w Gliwicach [Jerzy Roman przebywał na praktyce w Chorzowie] też – jeśli tak, to na pewno cieszysz się, że taki kapiący okres przypadł Ci na czas tej praktyki. Początkowo było mi przykro, ale teraz już się przyzwyczaiłam.

Adaś poszedł po deski do obijania płótna – jedno dzieło już prawie wykończone – imponujących rozmiarów – coś około metra w kwadracie. Nosił to na górkę, a wreszcie, ponieważ znudziło mu się czekać na słońce – domalował resztę w pokoju. Jest tam jakaś górka-krzyże, kościół, kilka domków – całość w sinym sosie, ponieważ się chmurzy. Ja też maluję dwa domy i stodołę. Na stodołę miejsca nie starczyło i wygląda tak, jakby chciała wysypać się z tekturki – za to domy są imponujące – a jeden ma czerwony dach. Poza tym ja mam umalowany sweter a Adaś spodnie.

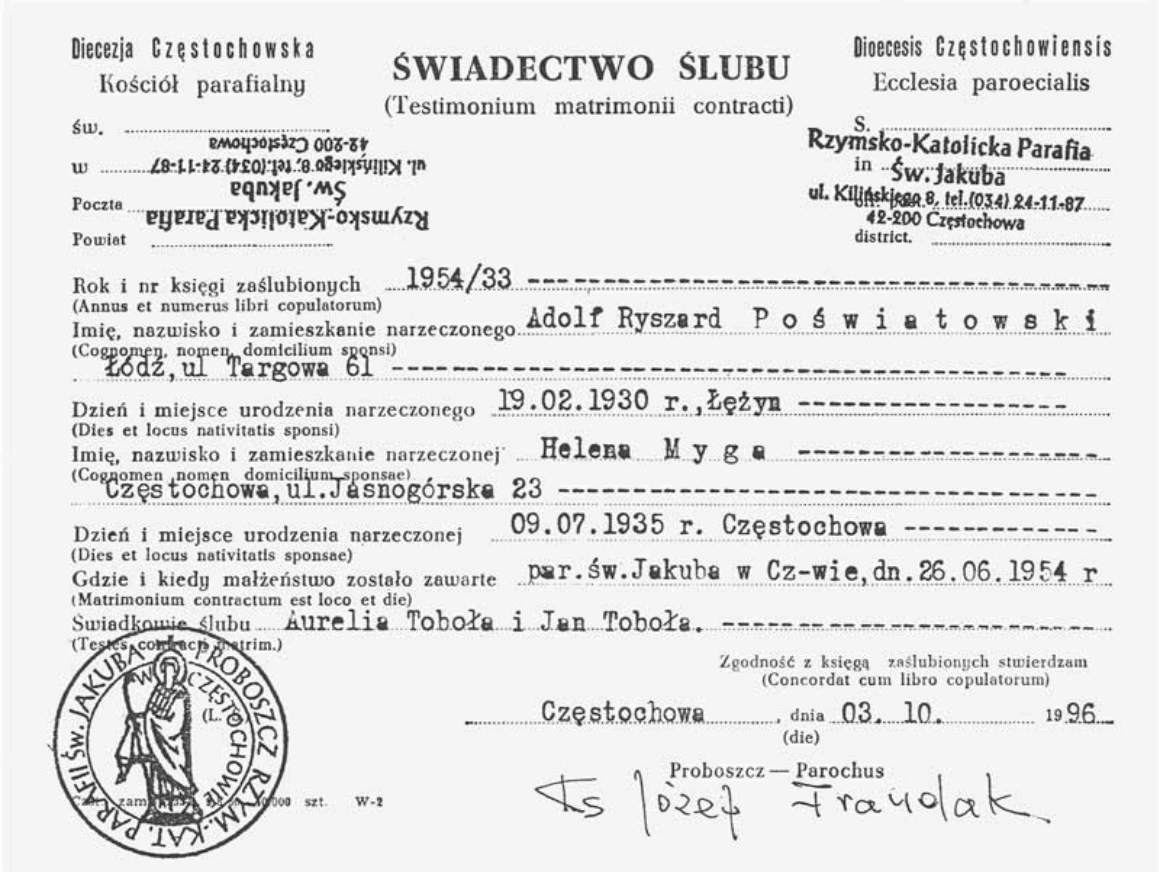

Diecezja Częstochowska
Kościół parafialny

św. .....
m .....
Poczta .....
Powiat .....

Rzymsko-Katolicka Parafia
Św. Jakuba
ul. Kilińskiego 8, tel.(034) 24-11-87
42-200 Częstochowa

ŚWIADECTWO ŚLUBU
(Testimonium matrimonii contracti)

Dioecesis Częstochowiensis
Ecclesia paroecialis

S. Rzymsko-Katolicka Parafia
in Św. Jakuba
ul. Kilińskiego 8, tel.(034) 24-11-87
42-200 Częstochowa
district. .....

Rok i nr księgi zaślubionych (Annus et numerus libri copulatorum) 1954/33 ----------

Imię, nazwisko i zamieszkanie narzeczonego (Cognomen, nomen, domicilium sponsi) Adolf Ryszard P o ś w i a t o w s k i
Łódź, ul Targowa 61 ----------

Dzień i miejsce urodzenia narzeczonego (Dies et locus nativitatis sponsi) 19.02.1930 r., Łężyn ----------

Imię, nazwisko i zamieszkanie narzeczonej (Cognomen, nomen, domicilium sponsae) Helena M y g a ----------
Częstochowa, ul. Jasnogórska 23 ----------

Dzień i miejsce urodzenia narzeczonej (Dies et locus nativitatis sponsae) 09.07.1935 r. Częstochowa ----------

Gdzie i kiedy małżeństwo zostało zawarte (Matrimonium contractum est loco et die) par. św. Jakuba w Cz-wie, dn. 26.06.1954 r

Świadkowie ślubu (Testes confecti matrim.) Aurelia Toboła i Jan Toboła. ----------

Zgodność z księgą zaślubionych stwierdzam
(Concordat cum libro copulatorum)

Częstochowa, dnia (die) 03. 10. 1996

Proboszcz — Parochus
ks Józef Trawiak

PARAFIA ŚW. JAKUBA APOSTOŁA PROBOSZCZ RZYM.-KAT. CZĘSTOCHOWA (L.S.)

Kazimierz nawet niebrzydki – tylko pełno górek, nawet się nie spostrzeżesz, a już wylazłeś kilka pięter wyżej – ładne widoki, ale to męczy. Wisła ogromnie szeroka – z wyspami pośrodku porośniętymi trzciną – miłe chałupki i podobno ładne drogi, ale ja nie łażę. Adaś ma za to dużo bieganiny – co dzień na Rynek po zakupy – potem gotujemy mleko i jajka – potem jemy śniadanie – potem trochę sprzątamy albo nie, zależnie od nastroju, potem Adaś zapowiada, że pracuje (tzn. pisze scenopis), ale nie pisze; obiad, po obiedzie łazimy trochę. Tak sobie te pochmurne dzionki uciekają. Nie wiem, czy Ci mamcia opowiadała, jaką miałam przeprawę na samym wstępie? Ale to historia epokowa i wymagałaby co najmniej tuzina kartek – w każdym razie strzeż się, żeby Cię nigdy nie rozbolał brzuch. Nie ma nic gorszego, a jeszcze na wakacjach. [...]

O wszystkim innym też raczej Ci opowiem, bo przedziwnie nie chce mi się pisać. A jeszcze muszę do papcia Adasia. Przysłał nam

miły list i chce, żebym pojechała do nich – a ja po tej historii z żołądkiem – boję się podróży jak...

Trzymaj się ciepło!

Halina

[Rabka, X 1956 r.]

Kochany Jureczku!

Za dużo się nudzisz – i zresztą w ogóle w to nie wierzę. Czyżby wszystkie małpiszony wyjechały z Częstochowy – przecież mówiłeś, że zostaną – no i filmy są naprawdę świetne. Ja w Krakowie byłam na *Komediantach* – to jest fantastyczny film – Jean Louis Barrault cudny – przecudny. Kochanie, przy nim Gérard Philipe wysiada i wszyscy inni – on gra całą duszą. Poza tym byłoby nieźle, żebym mogła chodzić, ale ja byłam strasznie ograniczona – do południa leżenie, po południu do państwa Niwińskich, to wszystko. Inna rzecz, że dla mnie to było bardzo, bardzo wiele. Pan Niwiński ma swoiste metody nauczania – trzeba siedzieć 4–5 godzin i słuchać, potem zaczynam mówić sama, a on co chwila przerywa i objeżdża. Nie wiem, jak się zapatrujesz na naukę recytacji – prawdopodobnie masz tę sztukę w głębokiej pogardzie tak jak i wiersze, ale dla mnie jest to objawienie i koniecznie chcę się nauczyć. Nawet to mnie nie zraża, że siedemnastoletnie smarkule mówią lepiej ode mnie – na razie lepiej, bo ja nie rezygnuję absolutnie. Niwiński przygotował 4 takie sroki do egzaminu w szkole aktorskiej. Kandydatów było mnóstwo, ponad 500, przyjęto tylko 6 i wśród nich tamte 4. Byłam tam z nimi – oczywiście w korytarzu – żebyś wiedział jakiego miały pietra – były blade i trzęsące – ale pomimo to zdały – Niwiński je uczył. Niwińska namalowała mnie – na pewno Ci się ten obrazek spodoba. Jest okrutnie prawdziwy – nie śliczny, ale prawdziwy – wiesz, wyraz twarzy, oczu jest kapitalnie uchwycony. Ciekawe, co by Adaś na to powiedział.

Poza tym byłam świadkiem niedoszłego samobójstwa – nieudaną Wandą był sześćdziesięcioletni staruszek – skoczył z mostu ślicznie, ale go wyłowili i musi zapłacić z 1000 zł za usiłowanie itd. Kraków prześliczny – ogromnie kochany, ludzie zastanawiająco grzeczni. Do szpitala latałam jeszcze – doktorzy mnie nie poznawali – przekradałam się przed południem i zanosiłam jedzenie Zosi – to ta dziewczyna, co leżała ze mną w ’53 roku.

Tu w Rabce bardzo spokojnie, żeby nie powiedzieć Twoim stylem – nudno. Mogę trochę więcej łazić niż w tamtym roku i już to mnie cieszy. Raz się nawet wybrałam ze świarnym górolem po siano na górkę – cudna to była jazda, chociaż przeraźliwie trzęsło. Wszystkie pastuchy już mnie znają i uśmiechają się do mnie z daleka, oprócz pastuchów nie ma nikogo z ludzkim pyskiem.

Jutro jadę do Zakopanego gadać te wiersze Kasprowicza – Państwo Niwińscy też tam są – zostanę tam kilka dni. Napiszę do Ciebie po przyjeździe. [...]

Pozdrowienia – Halina

[Yonkers] 12 XII [19]58

Mój Złoty!

Załatwimy to polubownie – zamiast uczciwego listu dostaniesz dzwoneczki i będziesz się starał być nieurażony. Przecież i tak wszystko wiesz – i tak, bo na pewno mama zamęcza was lekturą moich listów.

Na razie wszystko ładnie – ludzie nieskąpi i żyję sobie, jak tasiemiec na wątrobie Polonii. Żeby stypendium dali – ale na razie kończy się to na westchnieniu, bo nikt się nie kwapi. Trudno. Tutaj w ogóle trudno o ludzkie stypendium. Twardokens [Jerzy Twardokens – szermierz] dostał, ale on sławny –a ja też – ale inaczej. Chociaż właściwie było w tym coś ze sportu – jak wyścigi konne. Ludzie się mogli przy śniadaniu już zakładać czy wyżyję czy nie bo wszystko

było w gazecie. Zrobiłam im brzydki dowcip, bo wyżyłam i chcę zostać. Co ty na to – niezłomny Jurku? Jeśli nie masz nic do pracy to napisz. Całuję

– Halina

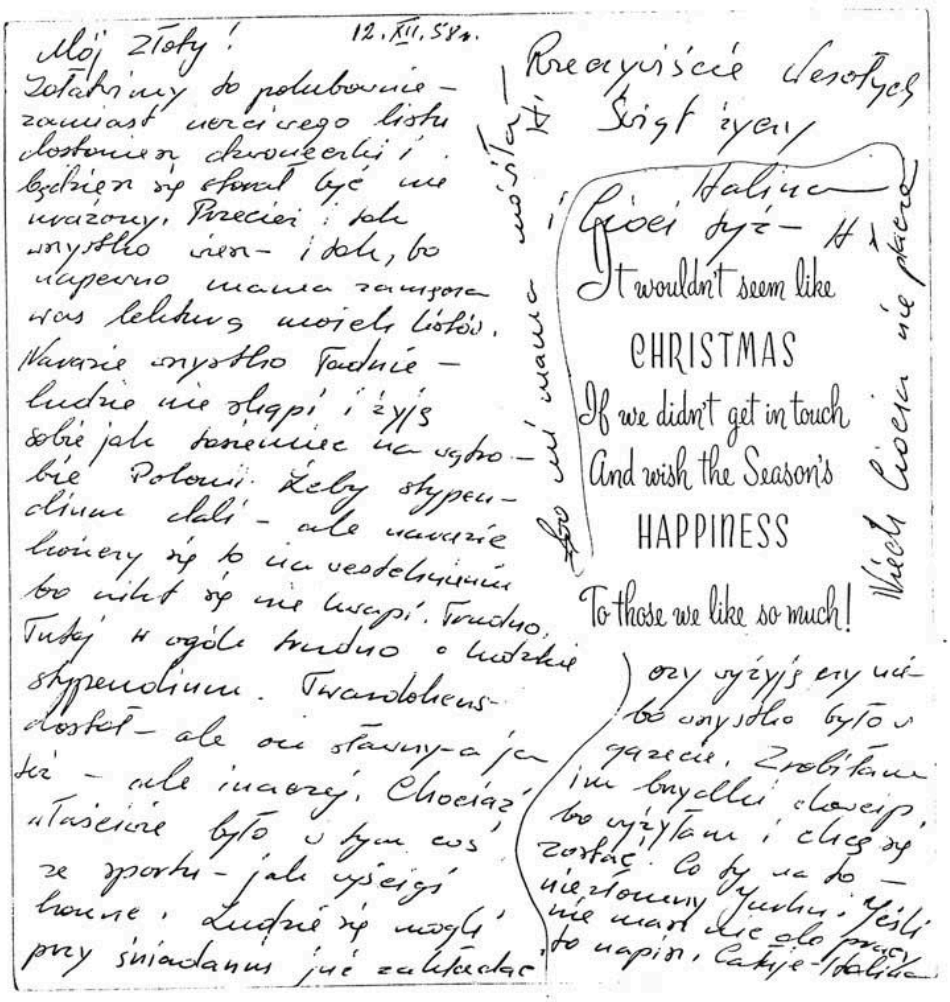

DANUTA GÓRSKA

SZWAGIERKA HALINY POŚWIATOWSKIEJ

Jesienią [w rzeczywistości latem] 1953 roku Adek przyjechał z sanatorium i powiedział: „Poznałem wspaniałą dziewczynę”.

Pokazał nam jej zdjęcie. To była Halina. Brat był w niej bardzo zakochany. Odradzali im małżeństwo, ale oni nie chcieli słuchać nikogo. Mówili, że się kochają, i... uparli się.

Szkoda, że Adek zaniedbał swoje zdrowie. Ojciec zawsze mu radził, by rzucił studia i poważnie zajął się zdrowiem. Nie słuchał, mówił, że musi, bo ma teraz żonę. Czuł się skrępowany tym, że jest na utrzymaniu teściów. W dodatku studiował i sam potrzebował pieniędzy.

Haśkę poznałam dopiero wtedy, gdy dostałam telegram, że Adolf nie żyje. Razem z mężem [Jerzym Górskim] pojechaliśmy do Częstochowy. Haśki nie było w domu, w tym domu, gdzie leżał Adek. Była u swojej cioci. Poszłam tam (nie pamiętam już z kim: z matką czy bratem Haliny?). Zobaczyła mnie. Przywitałyśmy się. Smutne to było powitanie i poznanie zarazem. Nie pamiętam, dlaczego nie byliśmy na ich ślubie. Zresztą

oni też nie byli na naszym. My braliśmy ślub w czerwcu, Adek – na Wielkanoc 1954 roku. Tak więc nasze poznanie nastąpiło w okolicznościach nie do pozazdroszczenia.

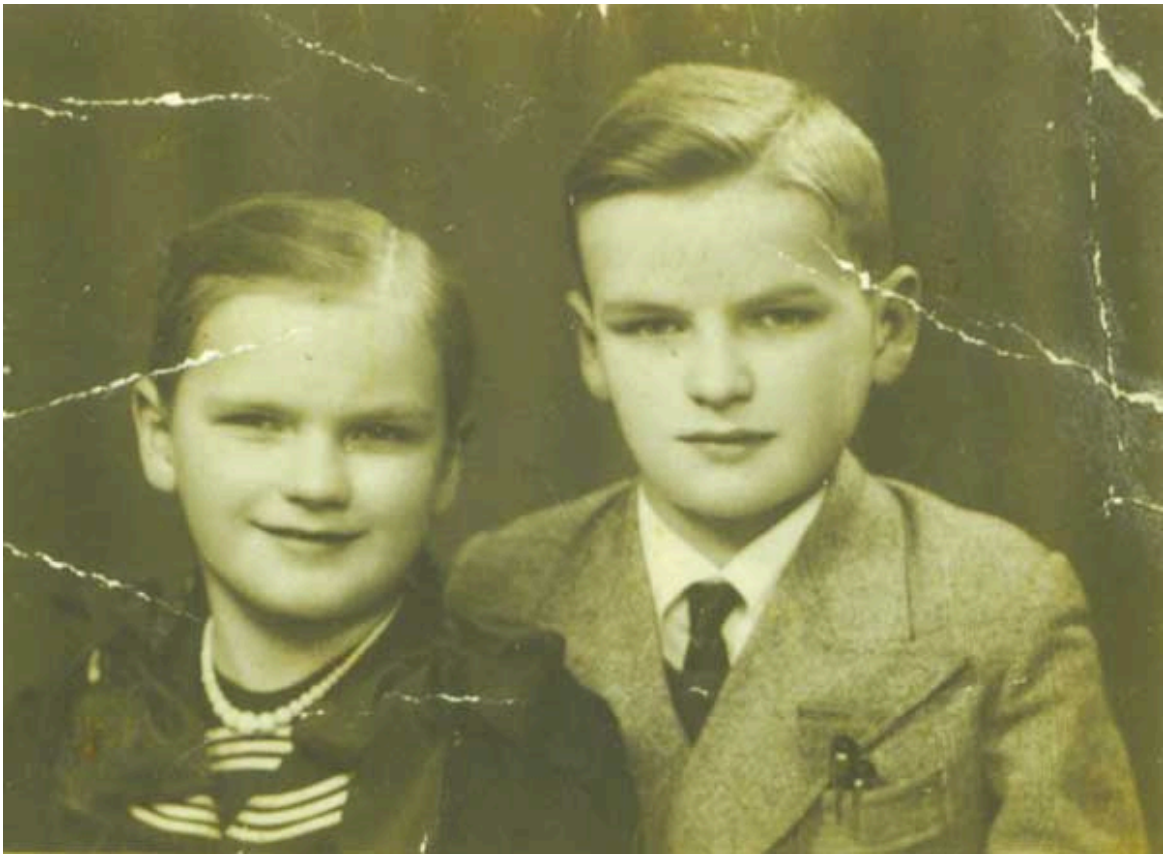

Rodzeństwo Poświatowskich: Danusia i Adek

Na cmentarzu łzy mi się same lały z oczu – co spojrzałam na grób – nie mogłam... Pamiętam, że Haśka stanęła koło mnie, spojrzała na mogiłę, zrobiła się fioletowa na twarzy i powiedziała: „Danusiu, nie płacz”. A ja na to: „Hasiu, wolę płakać, zamiast to w sobie wszystko dusić”.

O łzy u Haliny było trudno, ale bardzo przeżywała śmierć męża. Gryzła w sobie tę rozpacz.

Po śmierci Adka w pokoju, w którym mieszkali Poświatowscy, przez długi czas jego rzeczy były nieruszane. Haśka mówiła: „Ten pokój to nasze muzeum”.

Dość często jeździliśmy na grób brata. Wtedy zawsze zaglądaliśmy na Jasnogórską. Kiedyś w naszej obecności Haśka dostała ataku. Boże, jak matka biegała koło niej! I ojciec. To był bardzo dobry, poczciwy człowiek. Wtedy już wiedzieliśmy, że Halina wybiera się na operację do Stanów – mówiła o tym. Nie wiedzieliśmy jednak, kiedy pojedzie.

Minęło parę miesięcy. Któregoś jesiennego dnia 1958 roku włączamy radio (Wolną Europę) i słyszymy, że w USA „przeprowadzono bardzo skomplikowaną operację na otwartym sercu. Operowaną była Halina Poświatowska z Częstochowy”.

A mnie serce podeszło pod gardło...

Halina nie pisała ze Stanów. Dopiero gdy wróciła, dostałam list od pani Mygowej, że Haśka jest znowu w Polsce. Pojechałam do Częstochowy, by ją odwiedzić. Nie widziałyśmy się tak długo... Był sierpień, na Jasnej Górze odbywały się uroczystości religijne.

Karmiłam wówczas swego młodszego syna Zygmunta. Dostałam temperatury (38 stopni). Czułam

się źle. Pamiętam, że Haśka mówiła: „Nie puszczę cię, nie pójdziesz na Jasną Górę”.

Dała mi jakiś proszek, przyniosła ściągaczkę – razem ściągałyśmy pokarm. Potem położyłam się, a ona mi przyniosła sałatkę jarzynową – takie małe kuleczki ładnie przybrane. „Zjedz, proszę, ale nie pójdziesz nigdzie sama”.

Wtedy pan Myga wziął samochód i razem z Haliną pojechaliśmy na grób Adka.

Bardzo ładnie się zachowała, nie zapomnę jej tego nigdy.

Mówiła mi, że się dobrze czuje: „Danusiu, mogę po schodach latać. Mogę!”.

Pokazywała ślady po operacji, opowiadała o tym, jak leżała obłożona lodem. Mówiła, że bała się potwornie.

Wtedy widziałam Halinę po raz ostatni. A był to rok 1961. Później pisała tylko. Często wspominała Adka. Mówiła, że gdyby żył, to staraliby się razem pojechać na tę operację do Ameryki.

Była bardzo przystojną dziewczyną. Gdy szłyśmy razem, chłopcy oglądali się za nią. Podobała się. Zresztą, nie dziwię się wcale.

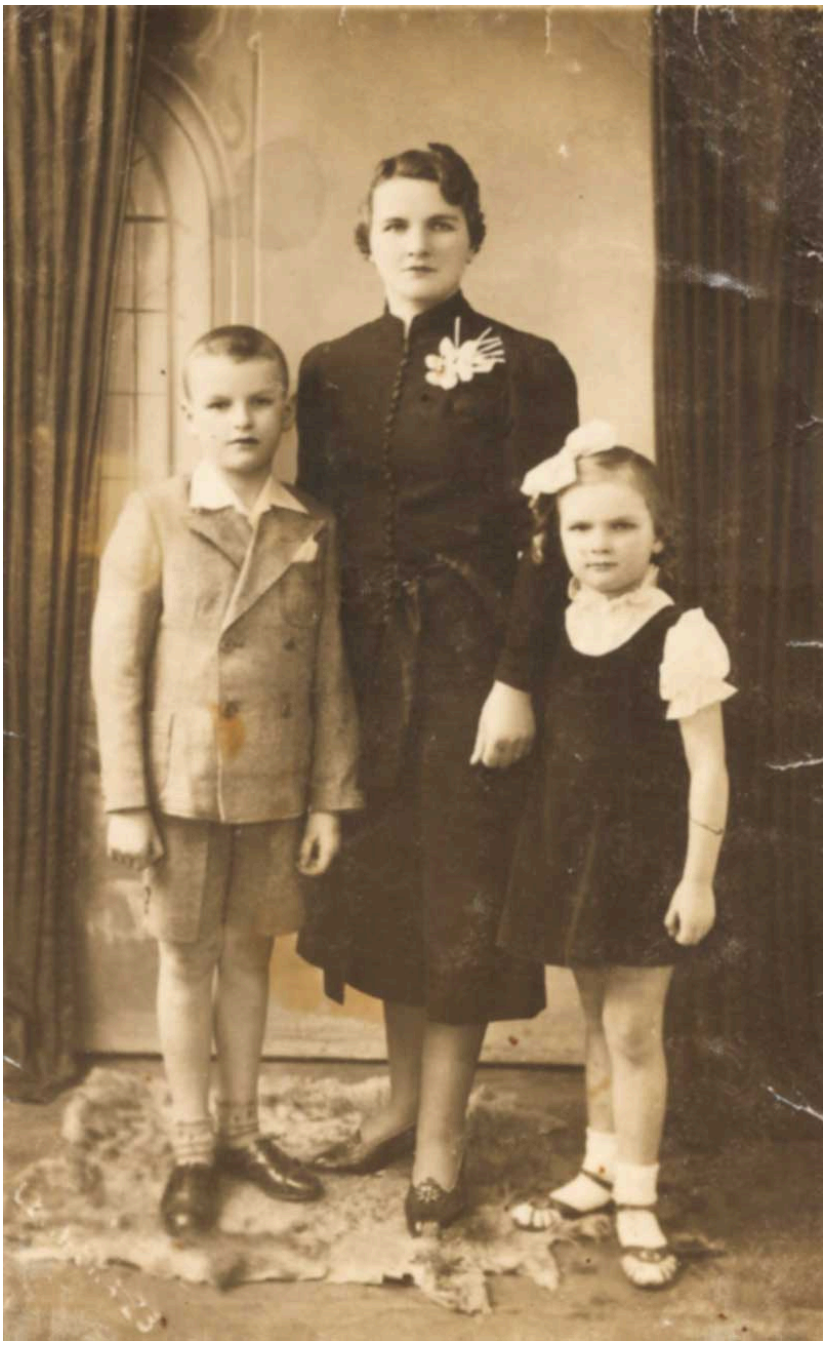

Adela Poświatowska z dziećmi, Warszawa 1940

LIST HALINY POŚWIATOWSKIEJ DO DANUTY GÓRSKIEJ

Roztoka 22 VI 1965 r.

Kochana Danusiu!

Siedzimy z Tatusiem [Bolesławem Poświatowskim, ojcem Danuty i Adolfa] w domu (Tata właśnie wrócił z pracy) a Irenka [druga żona teścia Poświatowskiej] z dziećmi poszła pracować w polu. Już trzeci dzień jestem w Roztoce i bardzo mi się tu podoba i żal wyjeżdżać, a muszę wyjechać już jutro. W piątek pojadę znowu z Krakowa do Warszawy, a więc w Twoje okolice i gdyby nie to, że mam tak dużo spraw załatwić – to pewnie wpadłabym z kolei do Ciebie i narobiłabym kłopotu. Bo tak – ani buraczków nie mogę okopywać, ani gotować nie umiem i zamiast pomóc rodzinie to jeszcze powoduję dodatkową pracę – bo wszyscy chodzą koło mnie.

Myślałam, że może Cię tu zastanę, bo Tatuś pisał, że miałaś przyjechać z dziećmi na wakacje – bardzo chciałabym Cię znowu zobaczyć, Ciebie i Twoje dzieci. Tatuś pokazał mi zdjęcia – należy Ci pogratulować takiej udanej trójki chłopców, tylko powiedz mi, jak Ty sobie z nimi dajesz radę. Czy są posłuszni, czy dobrze się uczą – Marek i Leszek oczywiście, bo Zygmuś jeszcze zupełnie mały. Dziewczynki [Jola, Basia i Genia] lubią go bardzo i dużo mi opowiadały o nim i o Tobie. One także już bardzo chciałyby Cię zobaczyć i nie mogą się doczekać kiedy przyjedziesz. Ja być może będę miała w to lato jeszcze chwilę czasu – to wtedy z chęcią przyjechałabym do Roztoki i byłabym bardzo szczęśliwa, gdybym mogła tu spotkać także i Ciebie. Dlatego proszę, daj mi znać kiedy będziesz jechała z wizytą do Tatusia i w ogóle napisz co u Ciebie słychać.

Całuję Cię mocno i chłopców

także, męża twojego serdecznie

pozdrawiam

Halina

IRENA POŚWIATOWSKA

DRUGA ŻONA TEŚCIA HALINY POŚWIATOWSKIEJ

Halinka była tu, u nas, w roku 1966 w maju [w rzeczywistości była w Roztoce w czerwcu 1965 r.]. Trochę rozmawialiśmy o jej życiu, o książkach i wierszach. [...] Była zadowolona, że ludzie czytają jej książki.

Gdy żył mój mąż, a Halinki teść, rozmawiał z nią dużo i mówił, aby wyszła za mąż. Powiedziała wtedy, że miała męża jednego, Adka, którego kochała nad życie, i drugiego przyjaciela nie chce [...].

Była u nas dwa dni, ja pracowałam, a ona była po prostu sama. Była bardzo grzeczna i miła. [...] Cieszyła się, że pisze wiersze, że zna inne języki, że może komuś pomóc i pomimo choroby cieszyła się życiem. [...] Siedziała na podwórku, szczęśliwa, że słońce świeci, z książką w ręku przez cały czas. Pomimo że była chora, na jej twarzy widać było zadowolenie z życia.

W ogródku przy Jasnogórskiej w Częstochowie, ok. 1955. Jedyna zachowana fotografia, na której Halina jest razem z mężem Adolfem. W środku Aurelia Toboła, świadek na ślubie Poświatowskich

JULIAN ALEKSANDROWICZ

LEKARZ INTERNISTA, HEMATOLOG,
TWÓRCA III KLINIKI CHORÓB WEWNĘTRZNYCH AM
W KRAKOWIE

Był to rok 1955 [w rzeczywistości Poświatowska trafiła pod opiekę profesora Aleksandrowicza w 1953 roku], piąty [trzeci] rok istnienia III Kliniki Chorób Wewnętrznych Akademii Medycznej w Krakowie. Przywieziono do nas z Częstochowy szesnastoletnią [osiemnastoletnią] dziewczynę. Cierpiała na wadę serca. Przyczyną było reumatyczne zapalenie wsierdzia. Rozpoznanie ustalono, przepisano typowe leczenie i Haśkę – tak ją bowiem wołali – oddano pod opiekę miejscowych lekarzy w Częstochowie. [...]

Wieczorami bywałem w klinice. Pewnego razu Haśka poprosiła mnie, abym usiadł przy jej łóżku. Ślady obrzęku płuc w postaci rzężącego jeszcze oddechu świadczyły o wczorajszym ataku niewydolności serca. Miała bladą twarzyczkę, wargi były sine.

– Powiedz mi, profesorze – wyszeptała – co to jest śmierć. Tak się boję umierać. Chcę wiedzieć, to nie będę się bać. – I przytuliła się do moich rąk.

– Dla przyrodnika – odrzekłem – jest chyba zagadką, jak życie. Dla fizyka przeistoczeniem jeno materii. Dla

wierzącego – to odrodzenie w innym bycie... Dla cierpiących – wyzwoleniem. Nie masz się więc czego bać.

– Tak pan mnie uspokoił, że lęk gdzieś jak czarny ptak ze snu odleciał.

Tak zaprzyjaźniliśmy się.

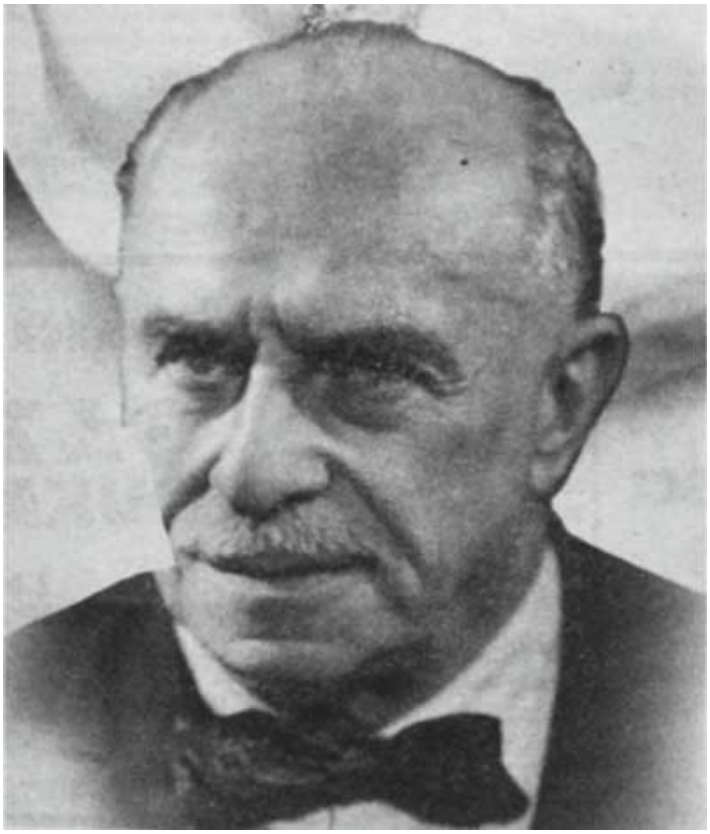

Profesor Julian Aleksandrowicz

Nie rokowaliśmy jej długiego życia. Utrzymywał się zastój w płucach. Męczyła ją duszność. Większość doby spędzała, siedząc w łóżku. Świadoma swego stanu, kpiła z siebie, kpiła z innych, a przede wszystkim kpiła z nas, lekarzy, i naszego zawodu.

Pewnego wieczoru dostrzegłem na jej nocnym stoliku tomik wierszy Wisławy Szymborskiej. Zrodził się wówczas plan terapii Haśki. Może by tak przestawić unicestwiające ją myśli o śmierci na myśli o tworzeniu, które mogłoby wypełnić pustkę jej życia? Przyprowadziłem panią Wisławę. Obie kobiety się sobą zafascynowały. W kilka miesięcy pani Wisława wykreowała Haśkę na poetkę.

Halina w obiektywie profesora Aleksandrowicza, Kraków 1958

Do Haśki garnęli się artyści, muzycy, aktorzy, poeci z Krakowa. Haśka powracała do zdrowia szybciej, niż

to zazwyczaj obserwowaliśmy u ludzi cierpiących z powodu podobnych chorób serca. Poczucie sprawności psychicznej szybko wracało, mimo że skołatane chorobą serce nadal niemrawo wstrząsało klatką piersiową. Pisała w każdej wolnej chwili. Tworzyła coraz doskonalszą poezję. Pierwszy jej tomik *Hymn bałwochwalczy* ujrzał wreszcie światło dzienne. Potem *Oda do rąk* i wiele innych [*dzień dzisiejszy, jeszcze jedno wspomnienie*].

Haśka miała niezwykły dar improwizacji. Po raz pierwszy po kilku tygodniach pobytu w mrocznej klinice wywiozłem ją w ciepłe południe na Sikornik. Przeżywała to wydarzenie w sposób wzruszający. Mówiła coś szeptem ni to do mnie, ni to do siebie. Pogłaskałem ją po głowie i tu nagle wiersz:

ile lat mają twoje ręce
sękate drzewa
są wiosną
kiedy dotykają moich włosów

poprzez kruchość jesieni
przebija
zapach zbudzonych kłączy
szept ziemi

pośrodku suchych palców
tańczy kwietniowy wiatr
gnę
moją zieloną szyję
głębiej – ostre pragnienie
przywrzeć
skórą ciepłą
do twoich rąk

*** (*ile lat mają twoje ręce*)

[...] Dzięki Ludziom Dobrej Woli, takim jak redaktor Zofia Morstinowa czy poeta Józef Wittlin, Haśkę sprowadzono do Stanów Zjednoczonych, gdzie dokonano operacji zwężającej zastawkę dwudzielną. Po udanym zabiegu tworzyła jeszcze ponad dziesięć [dziewięć] lat.

My, ludzie leczący i ludzie leczeni, uprzytomniliśmy sobie prawdę o wzajemnej wierności somy i psyche, wierności, która podtrzymuje się w niedoli, wyrównując niedomagania ciała duchem. Haśka dowiodła nam swym życiem i twórczością, że można mieć chore serce, a przy tym sprawność psychiczną i społeczną, czyli subiektywne poczucie zdrowia. Parafrazując tradycyjne słownictwo, można rzec, że człowiek może mieć przedwcześnie uszkodzone ciało, a więc być chory, ale

przy tym odzyskiwać subiektywne poczucie zdrowia, afirmując się twórczością. Można być więc zdrowym psychicznie i społecznie, gdy nasza twórczość świadczy dobro innym. Haśka była osobą prawdziwie dobrą.

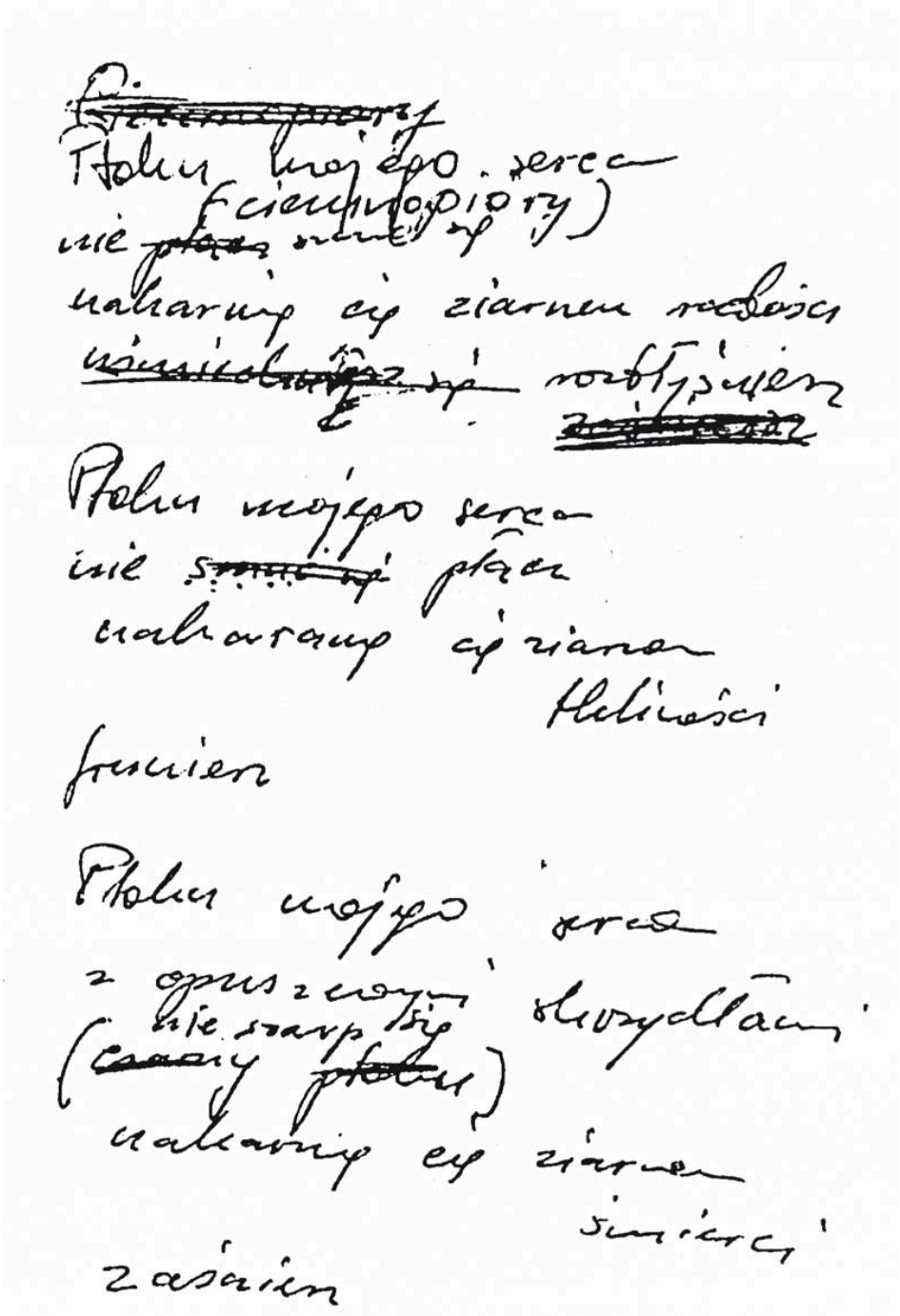

Odeszła przedwcześnie, ale pozostała żywa w naszej pamięci jako inspiratorka nowej taktyki leczenia. Pożegnała nas wierszem:

ptaku mojego serca
nie smuć się
nakarmię cię ziarnem radości
rozbłyśniesz

ptaku mojego serca
nie płacz
nakarmię cię ziarnem tkliwości
fruniesz

ptaku mojego serca
z opuszczonymi skrzydłami
nie szarp się
nakarmię cię ziarnem śmierci
zaśniesz

*** (*ptaku mojego serca*)

Droga Halinko,

Przesyłam list Prof. Boltona, który jest zasadniczo powtórnym zaproszeniem. Ucieszyłbym się jakąś wiadomością od Ciebie i nowymi wierszami.

Łączę dużo serdecznych pozdrowień dla Ciebie i Mamusi z rodzeństwem

życzliwy

Kraków, dnia 28.III.1958.

List profesora Juliana Aleksandrowicza do Haliny, 1958

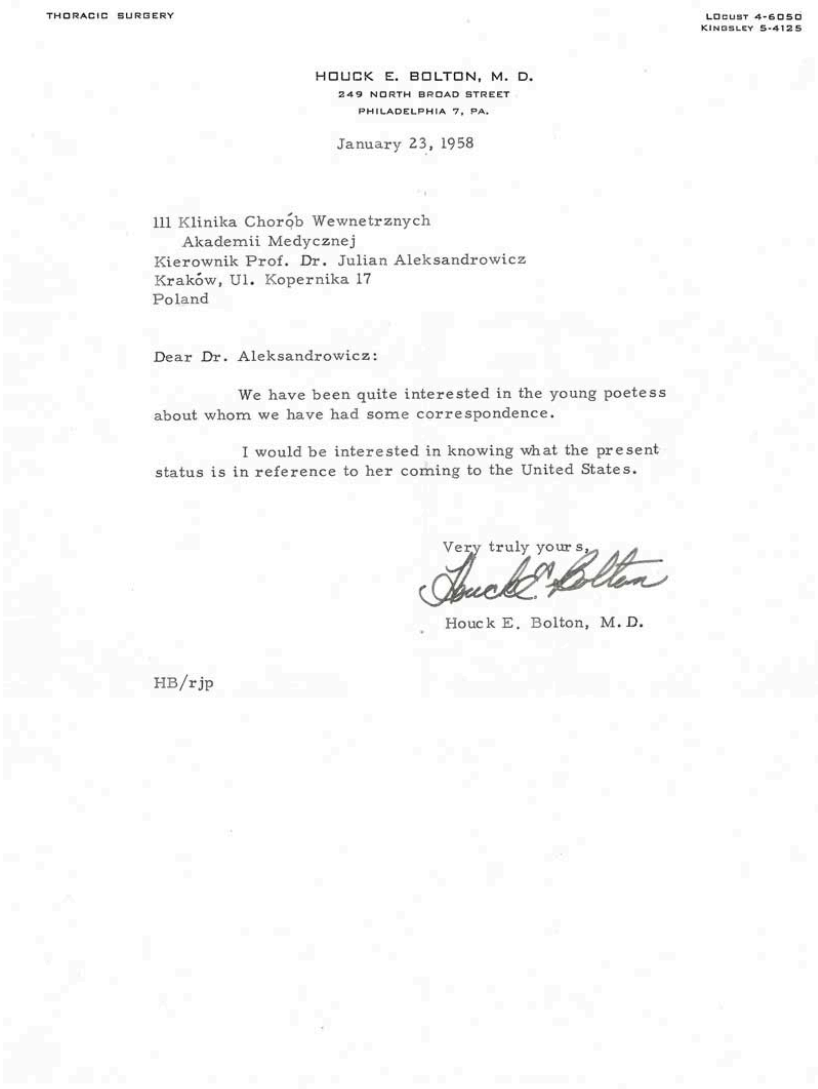

THORACIC SURGERY

LOCUST 4-6050
KINGSLEY 5-4125

HOUCK E. BOLTON, M. D.
249 NORTH BROAD STREET
PHILADELPHIA 7, PA.

January 23, 1958

III Klinika Chorób Wewnetrznych
Akademii Medycznej
Kierownik Prof. Dr. Julian Aleksandrowicz
Kraków, Ul. Kopernika 17
Poland

Dear Dr. Aleksandrowicz:

We have been quite interested in the young poetess about whom we have had some correspondence.

I would be interested in knowing what the present status is in reference to her coming to the United States.

Very truly yours,

Houck E. Bolton, M.D.

HB/rjp

List profesora Houcka E. Boltona do profesora Aleksandrowicza, 1958

LIST HALINY POŚWIATOWSKIEJ DO JULIANA ALEKSANDROWICZA

Kochany Panie Profesorze!

Pisane będzie trochę krzywo, bo pochylić się porządnie to jeszcze problem – ale na ogół daję sobie cudownie radę. 11 dni po operacji – a już maszeruję dziarsko, jutro wyrzucają mnie ze szpitala i jadę do Deborah-Sanatorium [Deborah Heart w Browns Mills, New Jersey]. Tam jest tyle drzew i miło i spokojnie i nareszcie bez zmory w piersi będzie się można uczyć i uczyć i uczyć. Tak nie chcę wracać do tej niedawnej przeszłości, ale któż Panu o tym napisze jak nie ja – więc chociaż bardzo po laicku postaram się opowiedzieć. Że było paskudnie, to Pan wie najpierwszy i tu nie ma co powtarzać, ale podobno gdy rozkroili – było całkiem źle – rozszerzenie 4-tego stopnia czyli tego ostatniego. Podobno nieomal wszystka krew, bo więcej niż 80%, ganiała mi z powrotem z drugiej komory do pierwszej (Boże odpuść, to pewnie jakieś medyczne herezje!) i do organizmu szło te mizerne 20. I byłam okrutnie niedotleniona.

Oni powiedzieli, że mogłabym żyć jeszcze rok, dwa – to wszystko. Ale oni nie wiedzą o istnieniu Pana i o moim – to jest o naszym wściekłym uporze. Chcieliśmy żyć, prawda? Chociaż tuż przed operacją wszystko wydawało nam się jedno – i nie martwiłam się nic, i tak ładnie chciałam umrzeć, i tak bardzo miałam dość. Poszłam jak malowanie, pouśmiechaliśmy się do siebie z dr Nicholsem – on bardzo miły – potem Leszek Dereń powiedział „dobranoc Halinka” – a ja „to ślicznie Leszku, bo jestem śpiąca – wiesz, nie wyspałam się w nocy”... a potem – ciemnawo było gdy obudziłam się, i bolało z miejsca, i trzęsło, bo gorączka. A oni mnie na lodzie dokolutka – i w ogóle jakieś mnóstwo rur. Bolało tydzień – teraz to już nie jest ból, tylko takiego coś oswojonego i jak się łagodnie obchodzić – to znaczy poruszać – można z tym współżyć. Spuchnięte jeszcze – a już lżej oddychać i gadać mogę przedziwnie szeroko i nic nie dusi. Podobno ładnie zaszyte nylonem – podobno skurczyło się już na stole – podobno Nichols się wahał czy robić operację – bo nie miał nadziei, więc się Dereń dodatkowo zgadzał – i tak mnie wspólnie spreparowali. A teraz – po raz pierwszy w życiu zaczynam się podejrzewać o coś takiego jak przyszłość. To przyszło samo – razem z oddechem, i nie wiem czy nie sprawię Panu przykrości, nie

chciałabym, naprawdę, nikt o tym jeszcze nie wie, to plan moich ostatnich 2 dni – tych dni już bez bólu: ja chcę ich prosić o stypendium. Poszłabym na uniwersytet i studiowałabym język angielski i literaturę oczywiście. Potem mogłabym przekładać, miałabym taki cudowny fach. Po powrocie do Polski mogłabym pomagać rodzicom, a nie jak do teraz, że oni ciągle i zawsze mnie. Przecież oni są biedni – i naprawdę nie mogą. Co Pan o tym myśli – zanim zacznę mówić, muszę wiedzieć. Proszę napisać do mnie.

Dziękuję i pozdrawiam i – tak trudno mówić.

Halina

WISŁAWA SZYMBORSKA

POETKA, ESEISTKA, FELIETONISTKA,
KRYTYK LITERACKI

Zadzwonił do mnie profesor Julian Aleksandrowicz i powiedział, że jego pacjentka, młoda dziewczyna, pisze interesujące wiersze. Spytał, czy nie chciałabym ich przejrzeć.

Dlaczego zadzwonił do mnie? Pracowałam wówczas jako redaktorka działu poezji w „Życiu Literackim”.

Wtedy poznałam Halinę. To była dziewczyna bardzo piękna, o jakimś niezwykłym sposobie bycia, z poczuciem humoru, które w jej sytuacji było czymś więcej niż tylko poczuciem humoru.

A wiersze? Wydały mi się rzeczywiście bardzo interesujące – niezależnie, broń Boże, od tego, czy pisała je dziewczyna ciężko chora, czy zupełnie zdrowa. Obiektywnie były bardzo ciekawe.

Od tego czasu wiersze Haliny pojawiały się nie tylko u nas w „Życiu Literackim”, ale w całej prasie literackiej.

SZYMBORSKA

Wołanie do Yeti

Halinie Poświatowskiej z przyjaźnią
i życzeniami, aby jak najwięcej
wydała Wasyl Tomik —

WS.

Kraków, 1957

GRAŻYNA PANCZENKO

ZNAJOMA Z KRAKOWA

Wspominając Poświatowską, nie sposób nie mówić o niezwykłej matce poetki. O niesamowitym oddaniu Stanisławy Mygowej, z jakim budowała codzienne życie ciężko chorego dziecka. Drobna, energiczna, niezwykle inteligentna, o wyśmienitej dykcji (jak po szkole teatralnej), siadała zawsze na podwiniętej nodze i monologowała. Lubiliśmy jej słuchać.

Nim pojawiła się u nas przy ulicy Bujwida 6 [w Krakowie], „przycupnęła” na krótko u mojej cioci pielęgniarki [Stefanii Ziobro] w jej służbowym pokoiku w suterenie kliniki przy ulicy Kopernika 15. Było to jedno pomieszczenie bez kuchni, bez łazienki – warunki raczej okropne.

Pani Mygowa w Krakowie nie znała nikogo. Szukała miejsca, w którym mogłaby się zatrzymać, by móc chodzić do szpitala do Haśki, czuwać przy niej i gotować dla niej. Nasza kamienica sąsiaduje przez szpitalne ogrody z kliniką profesora Aleksandrowicza. Moja matka [Anna Panczenko] też była tam pielęgniarką. Tak pani Mygowa zaczęła pomieszkiwać

z nami, zaprzyjaźniać się z Aleksandrowiczem i dzięki niemu poznawać ludzi z Krakowa.

Na tle obrazu namalowanego przez męża, Częstochowa 1957

W trudnych latach pięćdziesiątych, gdy zaopatrzenie sklepów było żadne, wydobywała spod ziemi różne produkty, żeby gotować zdrowe i smaczne obiady, które codziennie nosiła Haśce do szpitala. Pamiętam, jak dzień w dzień ucierała marchew na drobnej tarce, przeciskała ją przez gazę i sok, tak zalecany przez profesora, był gotowy. Większość dnia spędzała przy łóżku córki – uczyła się razem z nią, bo Haśka – niezwykle zdolna – bardzo chciała być studentką.

Nie wiem, czy kiedykolwiek jeszcze zobaczę taką więź między matką i córką...

Którejś wiosny po kolejnej kuracji Halina wracała do domu. Ja także jechałam z nimi do Częstochowy. Co to była za podróż! Ledwo zmieściłyśmy się do taksówki wypełnionej po dach szpitalnym ekwipunkiem: walizka, kołdry, poduszki, szlafroki... Obładowane starałyśmy się wcisnąć do nieludzko przepełnionego pociągu. Upchałyśmy się pomiędzy siedzących już ludzi. Haśka usiadła na kolanach śpiącego podchmielonego żołnierza i oparła głowę o jego ramię, a on przez całą podróż nie zorientował się, że ma na sobie „słodki ciężar”.

Dom rodzinny Haliny – niski, podłużny parterowy domek z werandą – przepełniony był spokojem, o który wszyscy dbali. Jej młodsze rodzeństwo i ja chodziliśmy na paluszkach. Byliśmy na każde jej skinienie. Dnie spędzaliśmy w pięknym ogrodzie ciągnącym się aż do ulicy Jasnogórskiej. W pokoju, w którym wisiały obrazy zmarłego męża Haliny, nie wolno było nic ruszyć.

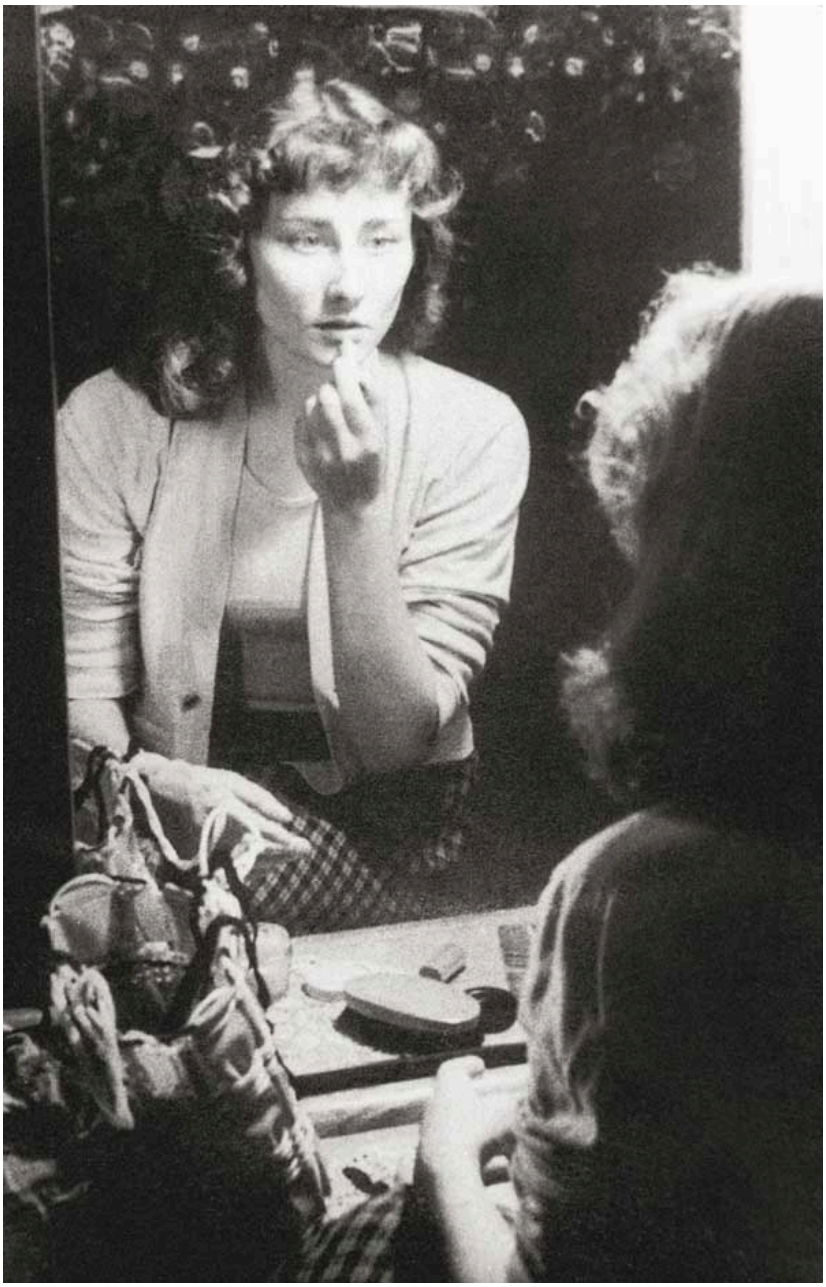

W swoim pokoju w Częstochowie

Haśka polegiwała albo siedziała w łóżku. Czytała, pisała, czasem domagała się pachnących fiołków z ogrodu... Matka zajmowała się domem, rzadko go opuszczała. Wieczorem odbywały się seanse pielęgnowania urody – całe misterium. Pani Mygowa

szczotkowała włosy Haliny, nakładała jej cienkie papiloty wokół twarzy, wklepywała krem i masowała jej twarz. Halina bardzo dbała o urodę. Uczyła się także chodzić prosto – z położoną na głowie książką.

Z mojego pobytu w Częstochowie natomiast zupełnie nie pamiętam ojca Haliny. Jakby go nie było.

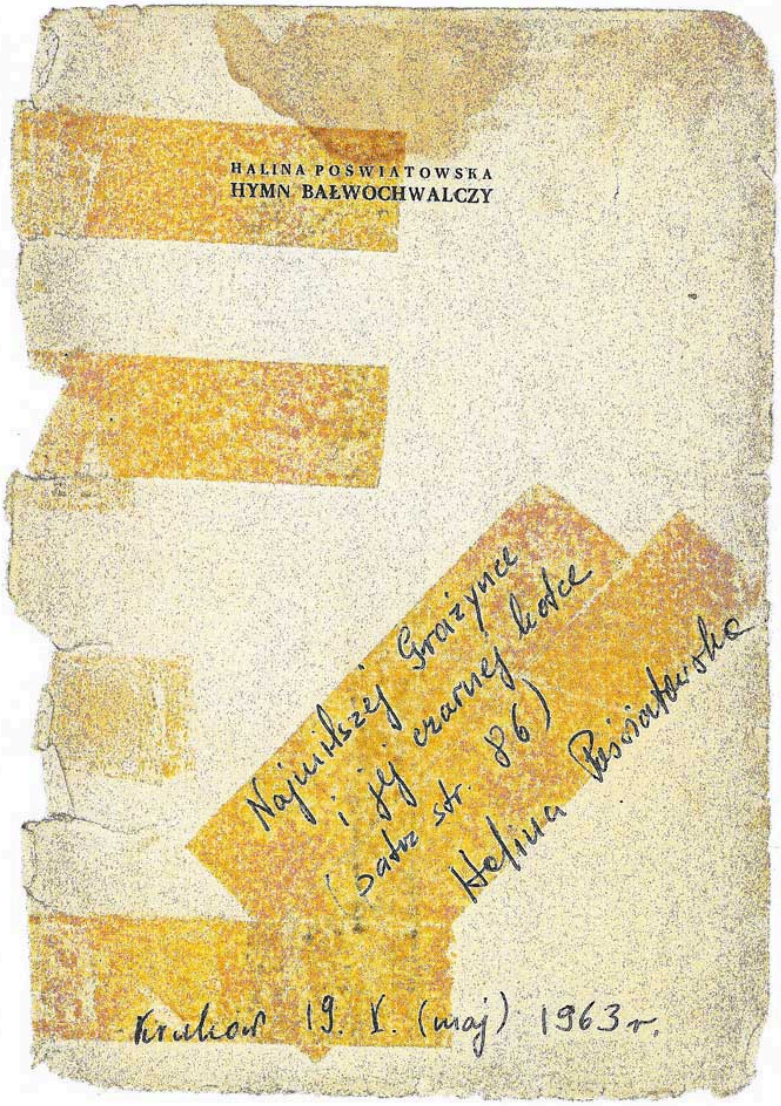
HALINA POŚWIATOWSKA
HYMN BAŁWOCHWALCZY
Najmilszej Grażynce
i jej czarnej ledce
(Satze str. 86)
Halina Poświatowska
Kraków 19. V. (maj) 1963 r.

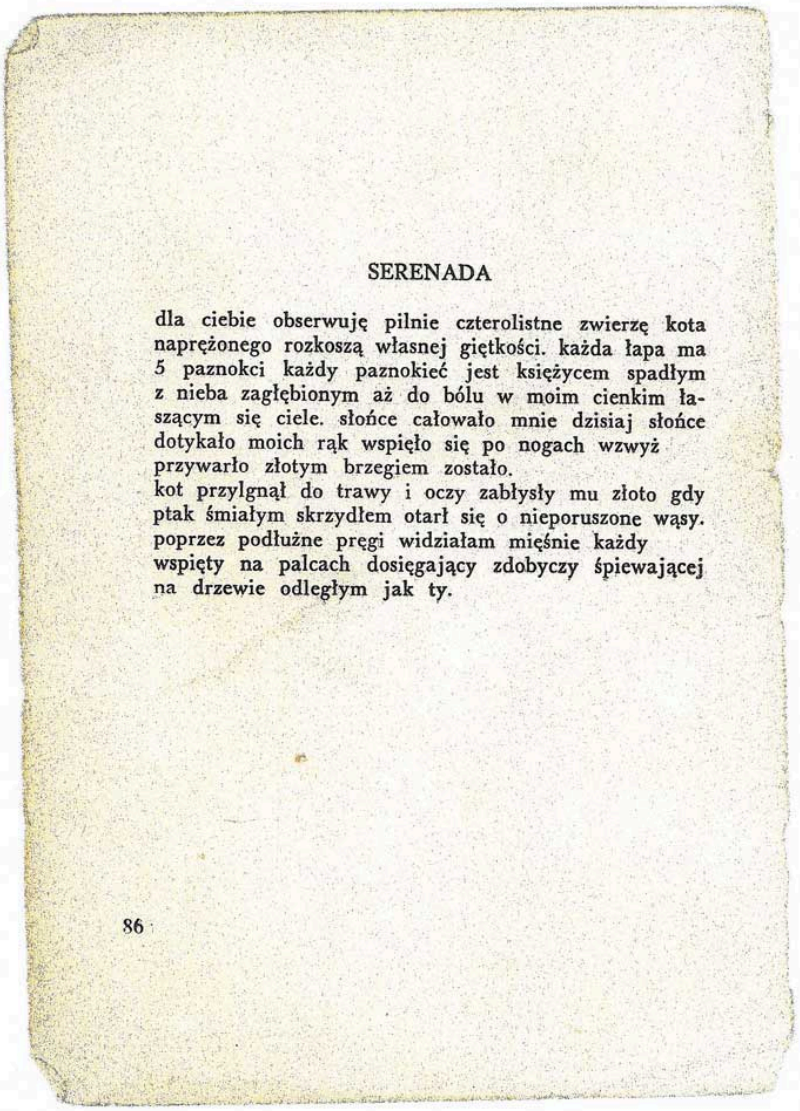

SERENADA

dla ciebie obserwuję pilnie czterolistne zwierzę kota
naprężonego rozkoszą własnej giętkości. każda łapa ma
5 paznokci każdy paznokieć jest księżycem spadłym
z nieba zagłębionym aż do bólu w moim cienkim ła-
szącym się ciele. słońce całowało mnie dzisiaj słońce
dotykało moich rąk wspięło się po nogach wzwyż
przywarło złotym brzegiem zostało.
kot przylgnął do trawy i oczy zabłysły mu złoto gdy
ptak śmiałym skrzydłem otarł się o nieporuszone wąsy.
poprzez podłużne pręgi widziałam mięśnie każdy
wspięty na palcach dosięgający zdobyczy śpiewającej
na drzewie odległym jak ty.

86

W późniejszych latach pobyt pani Mygowej i Haliny u nas związany był zawsze ze szpitalem. Halina albo czekała na leczenie, albo była po, albo przyjeżdżała na konsultacje. Kiedy nie było pani Stanisławy, opiekę nad nią przejmowały moja matka i moja siostra [Bogumiła

Panczenko-Kresowska], niewiele tylko młodsza od Haliny. Ja byłam wtedy od ganiania z posiłkami. Czasem, żeby umilić Halinie czas, przynosiłam jej w koszyku naszego czarnego kota. Ale kot nie wytrzymywał tych wizyt, ponieważ pani Mygowa polewała wężem żywopłot w przyszpitalnym ogródku, żeby Haśka mogła oddychać rześkim powietrzem.

Kiedy Halina wydała swój debiutancki tomik *Hymn bałwochwalczy*, zrewanżowała się mi pamięcią i dedykacją.

Trudno teraz, po upływie tylu lat, zachować przynależną faktom chronologię, ale pamiętam pierwszą wizytę „ważnego gościa”. Tak się złożyło, że w mieszkaniu panował nieludzki bałagan, a tu Haśka z dużego pokoju obwieszcza mi, że za chwilę odwiedzi ją „ważny gość”. Wykombinowałyśmy więc, że posadzimy gościa tyłem do bałaganu – u wezgłowia łóżka, na malutkim rozklekotanym taborecie. Tym gościem okazała się Wisława Szymborska. Całą wizytę przesiedziała z kolanami pod brodą. Pod oknem krążył zniecierpliwiony Adam Włodek, ówczesny mąż poetki.

Z upływem miesięcy krąg znajomych Haliny powiększał się. Zaczęli ją odwiedzać aktorzy, literaci, znajomi znajomych. Czasami bywało wesoło. Pamiętam Jana Niwińskiego wysiadującego na ławeczce pod naszym domem, wpatrzonego w nasze okna...

Haśka podobała się. Miała wielu adoratorów. Była odrębna, trochę egzaltowana. Swoją osobowością przyciągała wielu ludzi – wszyscy starali się jej pomóc. Ale czy tylko uroda decydowała o jej powodzeniu? Cokolwiek by o niej mówić – nigdy nie była nudna. Wbrew ciężkiej chorobie prowadziła intensywne i burzliwe życie. Był w niej sznyt inteligencki, kobiecość, talent, poczucie humoru i odwaga. A ile wybitnych postaci przewinęło się przez jej krótkie życie!

Dwa epizody – nagła śmierć męża i późniejsza o lata próba samobójcza – doprowadziły ją do brzegu dojrzałości, na którym staje się zazwyczaj u schyłku życia. Dodało to jej twarzy pewnego wyrazu skupienia i goryczy.

Moja nieuporządkowana chaotyczna pamięć zaciera wspomnienia wizyt u niej na Krupniczej, kilkakrotnego uczestnictwa w ćwiczeniach, które prowadziła ze studentami. Wtedy była już bardzo chora. Stała tyłem do grupy przy otwartym na oścież oknie, a studenci byli dla niej okrutni. Podśmiewali się z niej. Uważali, że jest dziwna – nie wiedzieli, że jest chora. Halina nie panowała nad tymi młodymi ludźmi.

Ostatni raz widziałam Halinę w szpitalu na kilka tygodni przed operacją. Stałyśmy na werandzie. Była też jej siostra Margosia. Przyszłam zapłakana z sąsiedniego szpitala, w którym leżała moja ciężko

chora matka. Może szukałam wsparcia? Margosia przegoniła mnie od niej, bo Haśka nie mogła się denerwować...

Złoty pierścionek z dużym pękniętym czerwonym oczkiem, pierścionek, z którym się nie rozstawała, leżał na stole. To pamiętam z wizyty w pokoju Haliny na Krupniczej już po jej śmierci. I niemoc, kiedy staje się wobec czegoś nieodwracalnego...

Podczas wieloletniego pobytu w Nowym Jorku (już po śmierci Haśki) miałam okazję rozmawiać z tymi, którzy ją poznali. Uderzała żywa pamięć, którą o niej zachowali. Tylko Jerzy Kosiński unikał rozmowy o Halinie, „schodził z tematu”. Czuło się, że coś niemiłego wydarzyło się między nimi. Ale chylił głowę przed jej dokonaniami uniwersyteckimi. Był pod ogromnym wrażeniem tego, co można zrobić w Stanach w tak krótkim czasie.

Z racji sąsiedztwa mijam często klinikę profesora Aleksandrowicza. Patrzę w okno separatki na pierwszym piętrze, w której często widywałam Haśkę. To wszystko było tak dawno, ale nadal jest ważne i bliskie memu sercu.

BOGUMIŁA PANCZENKO-KRESOWSKA

ZNAJOMA Z KRAKOWA

Kiedy ją poznałam, miała kilkanaście lat. Nasze mieszkanie w Krakowie było tym miejscem, w którym Haśka i jej matka zatrzymywały się, gdy przyjeżdżały na kolejne wizyty do profesora Aleksandrowicza. Moja mama była pielęgniarką w klinice profesora. Znałam więc Haśkę – bo tak ją wszyscy nazywali – długo. W miarę upływu lat zaczęła pojawiać się w naszym domu już jako Haśka Poświatowska. Po powrocie ze Stanów wpadała z wizytą (mieszkała wtedy u Literatów przy Krupniczej). Nigdy nie przyjeżdżała, zawsze przychodziła. Nie lubiła jeździć tramwajami. Pamiętam ją idącą. Bardzo ładnie się poruszała. Chodziła wyprostowana, z głową uniesioną wysoko. Nie sposób było nie zauważyć jej wśród przechodniów.

Adam Kilian

Kochana Pani Hanio.

Życzymy Pani Wesołych
i Szczęśliwych Świąt.

Ja już się czuję prawie
tak dobrze jak przed
szpitalem i spaceruję do
Fausta po przyjeździe do
Krakowa. Nawzajem uściski
bardzo, bo to już ostatni
raz. Życzę Wszystkim dużo
zdrowia, dziewczynki całuję
Halina Panczenko

NIETRZEZWO
PRZYCZYN
NAJCIĘŻSZY
WYPADKOW
DROGOWYCH

POZNAN
10-4-66-11
40 POLSKA GR

1S

P.R.L. KORESPONDENCJA

Wszelkie prawa zastrzeżone

P. na Pani
Anna Panczenko
Kraków
Bujwida 6

Jako młodsza od Haśki o kilka lat, pilnie ją obserwowałam, a gdy leżała w szpitalu, często nosiłam jej różne smakołyki gotowane przez moją mamę. Pani Mygowa miała jeszcze dwoje dzieci, które w Częstochowie wymagały opieki, więc opiekę nad Haśką przejmowałyśmy my.

W moich wspomnieniach pani Mygowa przedstawia się jako siła sprawcza wszystkich poczynań literackich Haliny. Tylko ona miała jasny i rzetelny obraz choroby córki. Tylko ona wiedziała, że Haśka, aby się samorealizować, musi się zająć czymś, co można robić na leżąco. Bardzo często powtarzała to w rozmowach z moją mamą.

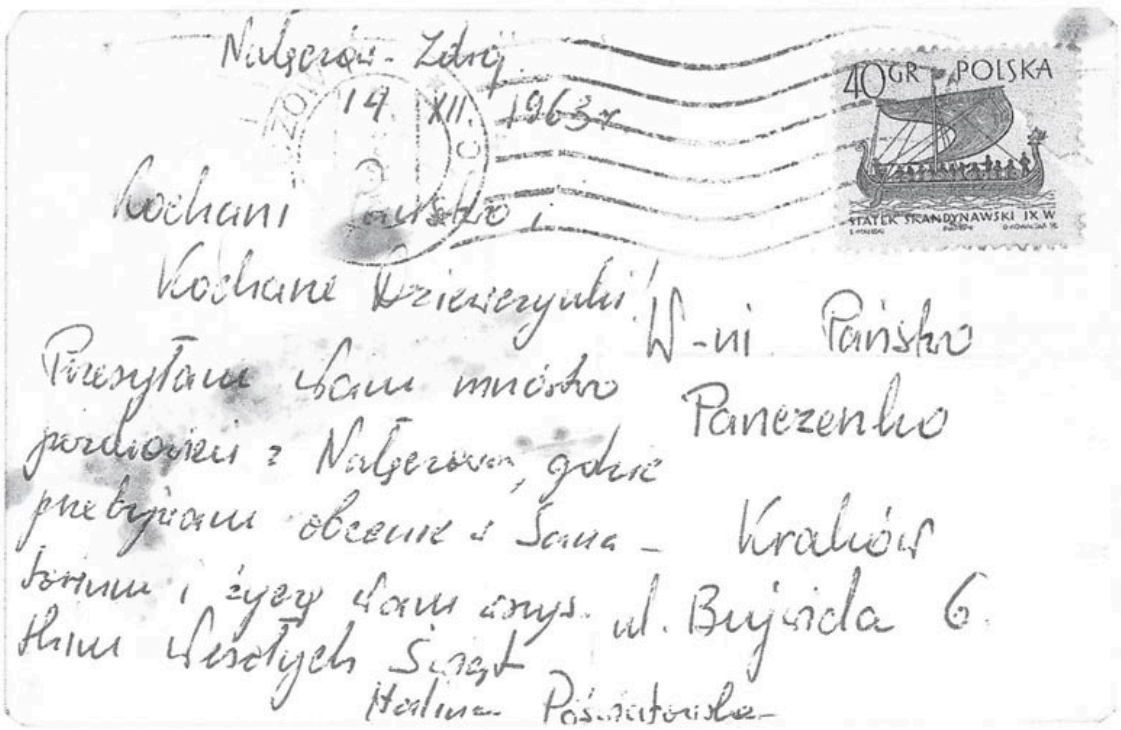

Wiersze pisane przez Haśkę leżącą w łóżku były potem przepisywane przez matkę po tysiąc razy jednym palcem na maszynie, po czym zanoszone również przez matkę do redakcji, bo Halina nie miała na to ani siły, ani czasu.

Pamiętam panią Mygową, tę drobną, energiczną kobietę o niezwykle pogodnym usposobieniu, jak siedziała w kuchni na wysokim stołku i ciągle coś gotowała (często kisiel z żurawin, ponieważ zawierał dużo witamin). Potem, zmęczona, biegła do szpitala. I tak codziennie. Podziwiałam ją, jej niezwykłą energię, wiarę i hart ducha.

Haśka kochała koty. Mieliśmy w domu czarną kotkę. Halina brała ją na kolana i głaskała, delikatnie dotykając puszystej sierści, tak jakby chciała tę puszystość pokazać potem w wierszach. Potrafiła też godzinami patrzeć w kocie ślepia.

Tę miłość do kotów można odnaleźć w jej poezji.

Wesołych Świąt
Danuta Imielska
Droga Pani Hanio,
Kochane Dzieweczyny,
Jeszcze raz bardzo dziękuję za opiekę w szpitalu i życzę dużo Wesołych Świąt i Szczęśliwego Nowego Roku
Halina z Rodziną
PS: Już drugi miesiąc siedzę w domu w Chyżnem, do Krakowa może przyjadę dopiero po Świętach.
PRZYSPIESZA DORĘCZENIE LISTU
UWAGA
Pani Janina Panasiuk
Kraków
ul. Bajeńska 6 m 3.

Halina zajmowała się również przekładami. Kiedy chciała przetłumaczyć wiersz, słuchała najpierw jakiegoś tekstu w tym języku. Wsłuchiwała się w jego melodię. Dopiero później dobierała do niej słowa odpowiadające treści oryginału. Chciała, żeby wiersz był lekki, śpiewny i względnie prawdziwy.

Halina nie szanowała książek – robiła mnóstwo notatek na marginesach, zakreślała ołówkiem i piórem. Książka, która ją interesowała lub była potrzebna na zajęcia, raczej nie nadawała się do pożyczania komukolwiek.

Kiedy z nią rozmawiałam po raz ostatni, wspominała o planowanym doktoracie. Chciała wziąć urlop dziekański i zająć się pisaniem. Nawet się zdziwiłam, że tak szybko zamierza to zrobić – minęły zaledwie cztery lata od obrony pracy magisterskiej. Ale taka właśnie była – szybka.

Haśka dbała o swój wygląd zewnętrzny: zawsze miała umyte włosy i uprasowane ubranie.

Była wysmukła, wiotka, twarz miała pociągłą, cerę jasną, bardzo proste brwi, duże szarozielone oczy (ta bladość twarzy jeszcze je powiększała) i popielate włosy.

Haśka była zwyczajną dziewczyną, były więc randki (i ja stojąca w oknie i wypatrująca, czy ukochany już przyszedł i czy Halina może wyjść), w pośpiechu myta głowa i włosy suszone nad gazem (nie mieliśmy jeszcze suszarki), bo nagle trzeba było wyjść na przykład do pani Szymborskiej.

Haśka miała chandry, była zazdrosna o kochanego mężczyznę, chciała popełnić samobójstwo, gdy ją zdradził. To wszystko fakty, nie można ich zamazywać czy ukrywać pod płaszczykiem poezji...

Nie chodziła z transparentem: „Jestem śmiertelnie chora i dlatego piszę wiersze”. Pisała, bo całe jej życie sprowadzało się do lekarstw, szpitalnego zapachu i umierania. Z biegiem lat uodporniła się nawet na własną śmierć.

LUDMIŁA WALUSZEWSKA

PRZYJACIÓŁKA HALINY POŚWIATOWSKIEJ, AKTORKA

Była jesień 1957 roku. O istnieniu Haśki dowiedziałam się od Kurczaba [Jan Kurczab – krakowski dziennikarz i powieściopisarz], przyjaciela profesora Aleksandrowicza, w którego klinice leżała. Wybieraliśmy się ją odwiedzić. Nieoczekiwanie dla siebie samej nagle i ja znalazłam się w klinice jako pacjentka. I oto dziewczyna: wysoka, gibka, w bordowym, dołem mocno rozkloszowanym, aksamitnym szlafroku. Mówiło się o niej wśród pacjentek i personelu. Zwracała na siebie uwagę. Można by tak pisać, opisywać i wspominać bez końca. Ale jak przywołać nasze wieczorne rozmowy, gdy ona – autentycznie chora, z tłukącym się ogromnym sercem, i ja – niby chora z bezgranicznym poczuciem bezpieczeństwa? Haśka chciała wiedzieć, czy naprawdę nie myślę o śmierci, czy się nie boję? Naprawdę się nie bałam, nie myślałam o śmierci zupełnie, nigdy.

Poczuciem bezpieczeństwa Haśki byli matka i profesor. Haśka była przekonana, że te dwie osoby zawsze ją uratują. Bała się śmierci, nicości, nieistnienia. Bała się śmierci bardzo. Może właśnie dlatego była

w jakiś sposób nią zafascynowana?... Według mnie ze śmiercią łączy się cierpienie. Według Haśki – nie. Ona nie była człowiekiem cierpienia, więc zastanawiałam się, czy jej nic nie boli. Czasem wołała mnie do swego łóżka, kładła moją rękę na swoim sercu. Tłukło się naprawdę, jak spłoszony ptak w małej klatce.

Różniłyśmy się wszystkim. I chyba ta wzajemna ciekawość zbliżyła nas do siebie. Ale jak przywołać nasze rozmowy, podśmiechiwania się z pacjentek, lekarzy, księdza, który nas cierpliwie odwiedzał i przed którym Haśka popisywała się elokwencją i złośliwością? Wyczekiwała go jednak codziennie i żartowała, że to dziesięć minut zamiast gimnastyki.

Chciała wiedzieć, jak to jest być księdzem. Śmieszne, dziecinne zabawy.

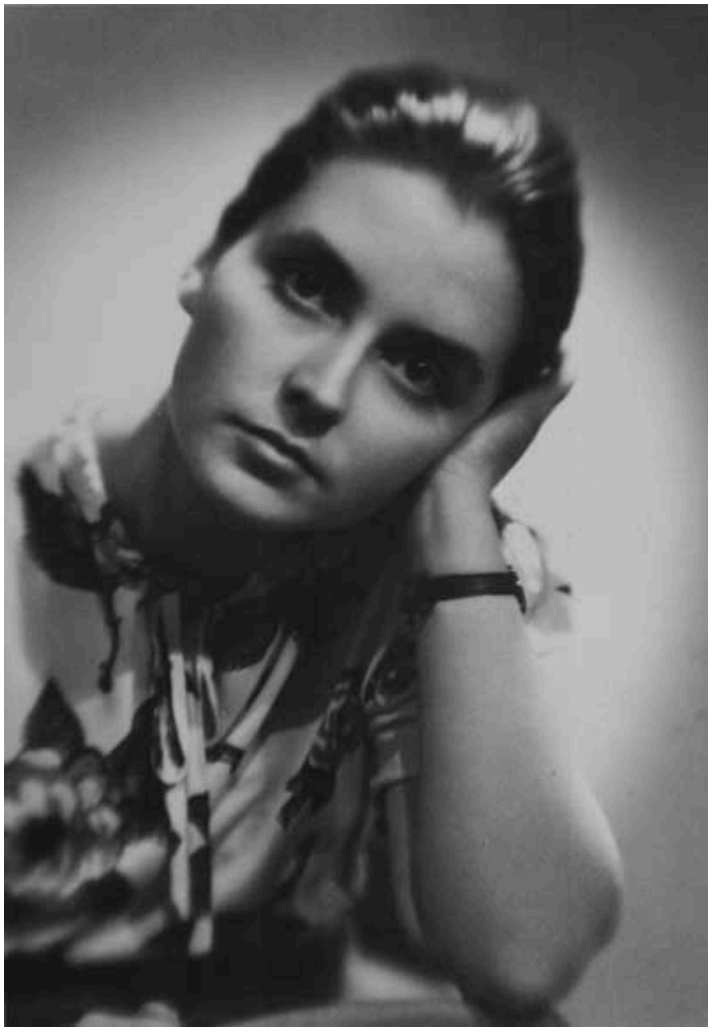

Ludmiła Waluszewska

Patrząc na swoją ładną rękę – bladą i „podeszłą wodą” – pytała mnie, co będzie potem. Byłyśmy wtedy obie daleko od Kościoła. Jednak wszystkie nasze oceny życia i świata były na wskroś chrześcijańskie.

Dużo mówi się o miłości, gdy się wspomina Haśkę. Była wypełniona miłością – przede wszystkim kochała matkę. Bardzo, bezgranicznie, wspaniale. Miała absolutną świadomość tego, że wszystko w jej życiu wykreowała matka. Miała też przekonanie, że żyje

dzięki niej. I wtedy, kiedy matki Haśki jeszcze nie znałam, w każdej rozmowie choć na moment musiała zaistnieć.

Haśka kochała swój dom rodzinny, ojca, rodzeństwo, babkę. Opisywała mi więc ten dom, to mieszkanie bardzo dokładnie – gdzie co stoi, gdzie co wisi. Stwarzała mi obraz poetycki i wierny – jak się później przekonałam. Jej dom rodzinny to parterowy domek w głębi ogrodu, z dala od nikłego w tamtych czasach ruchu ulicy Jasnogórskiej. Był jej całym światem, bo przecież Haśka była więźniem swojego serca. Tego nikt z nas zdrowych nie jest w stanie zrozumieć (rozumiała to Anna [Orłowska], bo i ona miała takie samo serce). Haśka była dosłownie więźniem, miała minimalne pole działania. W tym domu poznawała świat. Była ciekawa, pełna chęci poznania i zrozumienia. Była też oczytana, przeczytała wiele wspaniałych książek. Te książki wybierała, kupowała lub przynosiła z biblioteki jej matka. To ona rozbudziła w Haśce tę ciekawość świata, ten niepokój intelektualny. Kiedyś moja matka [Milica Horbacka] zauważyła, że według niej pani Mygowa jest bardziej interesująca niż Haśka, i dziwiła się, dlaczego nikt inny tego nie dostrzega. Jakże ta kobieta umiała dobierać książki!

Haśka, która prawie wcale nie mogła chodzić do szkoły, którą każdy najmniejszy wysiłek fizyczny męczył i ciągle musiała leżeć, do której tak często

przyjeżdżało pogotowie, która tyle czasu spędzała w szpitalach, umiała jedną rzecz wspaniale: uczyć się. To matka pomogła jej doprowadzić do perfekcji tę umiejętność. Haśka umiała, chciała i lubiła się uczyć.

HALINA POŚWIATOWSKA

SIROCCO

Sirocco nas cisnęło na brzeg
moje włosy utopione w wodzie
moje nogi pachnące rumiankiem
upiętane w trawy
rzuciły wyzwanie niebu

sirocco gór — halniak
duszny gorący wieje
brzoza się chwieje
osika szepcze
drży świerk

A ty pochylony nade mną
z twarzą w wietrze i liściach
zgryzasz
uparty grymas z warg
— śmiej się
— nie chcę
— śmiej się
topisz moją głowę
i topi liście wierzby
w Popradzie halny wiatr

* * *

Mówiłeś: masz rzęsy
stąd do nieba
nie lubię takich rzęs
a ja się śmiałam
mówiłeś: masz stopy które w dłoni
kryją się wąsko
nie trzeba
— a ja się śmiałam
mówiłeś: masz uśmiech jak skrzydła
świerszcza
nie wolno
— a ja się śmiałam
mówiłeś: spódniczkę masz cienką
i w ogóle wiatr
— a ja się śmiałam

potem na żółtym promyku jaskra
poprowadziłam cię ścieżką
ciężkiego niedźwiedzia
w nadąsanym futrze
— uklękłam na trawie
i nie mówiłeś nic

Rzadko kiedy tak intensywny sensualizm manifestuje się równie subtelnymi środkami. Uroda konkretu przechodzona zwiewną, polotną kreską. Wyrazistość doznania — sprzymierzona z czystością wypowiedzi artystycznej.
Tak więc w sposób bardziej reprezentatywny przedstawia się czytelnikom Halina Poświatowska właśnie na kartach „Zebry". W nurcie najmłodszej poezji polskiej pojawił się szczególnie interesujący i wiele zapowiadający talent. (a. w.)

WIERSZE

HALINA POŚWIATOWSKA

Jestem zaczadzona pięknem mojego ciała. Patrzyłam dzisiaj na siebie twoimi oczyma. Odkryłam miękkie zagięcie ramion znużoną okrągłość piersi które chcą spać i powoli na przekór sobie staczają się w dół. Moje nogi rozchylające się oddające bezmiernie aż po krańce których nie ma to co jest mną i poza mną pulsuje w każdym ilściu w każdej kropli deszczu. Widziałam się jak gdyby poprzez szkło w twoich oczach patrzących na mnie czułam twoje ręce na ciepłej napiętej skórze moich ud i posłuszna twojemu rozkazowi stałam naga naprzeciw wielkiego lustra. A potem zasłoniłam oczy twoje żeby nie widzieć i nie czuć samotności mojego rozkwitłego tobą ciała.

* * *

Mogę się spełnić tu — płasko
rozsypać dziesięć palców po twoim ciele
każdym dotknięciem sprężać mięśnie
w żyłach — potoczyć brunatną krew

mogę ubarwić twoje czoło
czerwienią lipcowego wschodu
i rzęsy — zakręcić na zębach tak pięknie
jak wiatr — gałęzie drzew

mogę szybkimi pocałunkami
związać cię w drgający węzeł
i wolno
rozginać ręce
z których wychodzisz ty
inny
z obudzonym bogiem w piersi
gotów zawładnąć światem
owiniętym w kłębek
nisko — u twoich nóg

Jej słabość fizyczna musiała rozbudzić zainteresowanie ludźmi zdrowymi, silnymi. Bała się ich, a jednocześnie ją śmieszyli. Niezwykle celnie wyszukiwała w nich śmieszności, którymi umiała bawić się długo i na różne sposoby. Zagadnięta o pewną osobę, powiedziała: „Ona zapytała mnie kiedyś: «co zamiarujesz?», no więc wiesz...". Innym razem

zabawiała mnie długo wariantami zdania naszego wielkiego przyjaciela: „Wyjąłem ze szczelnie zamkniętej probówki...”. A że on upierał się, iż tak właśnie było, Haśka cieszyła się ogromnie.

Z matką w ogrodzie przy Jasnogórskiej, Częstochowa 1954

Była piekielnie złośliwa, tyle że nie chciała ani dokuczyć, ani zniszczyć. Jej złośliwości polegały na bardzo celnym, błyskawicznym wyłapywaniu śmiesznostek, potknięć itp. Nie lubiła ludzi głupich, pruderyjnych, zakłamanych, mieszczańskich. Szkoda jej było na nich czasu.

Haśka miała ogromne poczucie wartości czasu. Nie chciała go tracić na bzdury, nie chciała, żeby jej przeciekał przez palce. Wypełniała swój czas po brzegi, najpierw nauką, czytaniem, później pracą. Nieprzeciętna uroda Haśki, radość życia, ciekawość, wesołość i wdzięk sprawiały, że ludzie absolutnie nie zdawali sobie sprawy z tego, że mają do czynienia z osobą tak beznadziejnie chorą. Młode żony drżały o swój spokój, gdy na spotkaniach towarzyskich kokietowała ich mężów. Nie wiedziały, że Haśka tak mało może – oprócz tych intelektualnych figli, do których wielu nie dorosło. Obrażały się więc.

Haśki wgryzanie się w filozofię...

U nas w domu było dużo mądrych książek. Haśkę to cieszyło. Śmieszyły ją dziewiętnastowieczne tłumaczenia, więc czytała, równocześnie sycąc się treścią i pękając ze śmiechu nad formą.

Platon był pięknie tłumaczony i ładnie wydany. Odegrał ważną rolę w naszym życiu, w naszych rozmowach, ale niestety nie jestem w stanie ich przywołać.

Iluż rzeczy nie jestem w stanie przywołać! Zamykam oczy i tuż pod powiekami snuje mi się tyle obrazów. To wszystko zewnętrzność, ruszyć wnętrze jest o wiele trudniej.

KRYNICA – Fragment uzdrowiska
fot. T. Hermańczyk
WYDAWNICZE RUCH
Agatka Kochana
i Rodzice, Dzieci.
Byłam jak burza przez
Kraków i wyjechałam
w Huszynie na dwa
tygodnie. Muszę zdać do
listopada a ty egza
miny, czyli jest nadzieja
że od przyszłego zyskamy
dodatkowe i angielski prze-
powiemy. Zjawię się po powrocie
do Krakowa. Całuję mocno i pozdrawiam Halina
24
POZNAN
MUSZ
02.9.61
POLSKA GR
W-ua Pani
Ludmiła Horbacka
Kraków
Dietla 71 m 5.

FRAGMENTY LISTÓW STANISŁAWY MYGOWEJ DO LUDMIŁY WALUSZEWSKIEJ

Cz-wa, 3 II 1958 r.

Hala dostała nareszcie ten list z Ameryki i bilet do Ameryki, cieszę się i jestem zrozpaczona. Tak się tego boję, Pani najlepiej chyba zdaje sobie sprawę z moich uczuć. Nie wiem, co lepsze? Nikt tego nie wie, niestety i... Chyba pojedzie, bo nic innego zrobić nie można. Wittlin pisze bardzo ładnie „z Bożą pomocą wróci Pani zdrowa”, to znaczy Haśka po tej operacji. Och, jak się boję. [...]

Bardzo się cieszę, że były mówione wiersze Haśki, ale jeszcze więcej cieszyłabym się, gdyby to Pani je mówiła. Bardzo lubię, gdy Pani w ogóle mówi, a co dopiero recytacja?

Ale i tak jestem zadowolona i chyba, że Haśka chciałaby, aby jej wydano tomik, ale czy się to uda? To pytanie. Pani Szymborska twierdzi, że na wydanie tomiku wierszy czasem po 10 lat czekają. Muszę jej wierzyć, ale ja sama mam na to wielką chęć. [...]

Posyłam Pani kilka najnowszych wierszy. Może nie są najlepsze, ale są dojrzałe choć smutne, bo to najnowsze przeżycia ze szpitala. Może się Pani domyśli nawet osób, o których są pisane.

Częstochowa, 9 IX 1958 r.

Przychodzą listy od Halinki, jedne lepsze, drugie gorsze. Marzy dziewczyna inne, zdrowe życie, tęskni za nami i nic nie robi. Nie pisze do nikogo ani słowa, bo jej się nie chce, boi się roztkliwiać, wzruszać, boi się w ogóle. Każe mi pisać do siebie co dzień, każe mi prosić Was, abyście do niej pisali wszyscy, ale sama przed operacją pisać nie może i nie chce.

Zabierają jej masę czasu wizyty różnych ludzi, co chwila coś nowego. [...] Pani zna Haśkę – trzeba jej koniecznie coś obiecywać wiecznie i przekupywać ją. Ja też to robię zawsze.

4 września o godzinie 11 miała się stawić w Klinice, czas wyznaczony przez Boltona. Bardzo miły jest Wittlin, daje jej książki do czytania, zabiera na spacery i w ogóle Haśka strasznie go lubi podobno. Zapoznał ją ze swoją córką Elżunią; Haśka była u niej kilka razy. [...]

Rodzina wozi ją autem i pokazuje cuda New Yorku, Haśka jest zachwycona, choć więcej pisze o swoich stanach psychicznych niż o czym innym. Boi się operacji i strasznie się lęka, że mogą jej nie chcieć zrobić operacji, a to by była klęska dla niej i dla nas.

[...] Ciekawe jak jej się w Klinice powodzi, bo jeszcze z tego okresu listu nie mam. Pani Agatko [Halina i jej bliscy nazywali Ludmiłę Waluszewską Agatą lub Lalką] Kochana, bardzo się martwię w dalszym ciągu, ale teraz jest mi jakoś łatwiej.

Częstochowa, 16 IX 1958 r.

Muszę Pani donieść, że Haśka jest teraz w Filadelfii u dra Derenia. Ponieważ w miesiącach letnich są urlopy, w związku z tym Haśka musi czekać jeszcze dwa tygodnie, na który to okres dr Dereń zabrał ją do siebie. Haśka pisze, że ma przemiłą żonę i dwoje małych dzieci. Dali jej pokój i jest jej bardzo wygodnie, a co najważniejsze, nie potrzebuje mieszkać w Filadelfii, która na niej zrobiła złe wrażenie. Podobno wielkie i wysokie miasto, ni to Katowice, ni robotnicza Łódź; ciemne, brudne i zamieszkałe tylko przez Murzynów. Klinika Boltona stoi w samym środku, kilkupiętrowy gmach z „oknami” jak sprytnie zauważyła Haśka. Upały są nieznośne, siedzi pod zimnym prysznicem, zjada całą masę lodów i poci się bez końca. Jest chuda i zmęczona. Pani wie, jak na nią gorąco działa. Biedna Halinka, strasznie mi jest smutno, nie ma Pani pojęcia jak mocno.

[Częstochowa] 21 IX 1958 r.

Haśka przysyła śliczne listy, ale ponieważ do Pani też pisze – nie będę powtarzać. Teraz znowu jestem podminowana, ta operacja zbliża się niesamowicie powoli, ale jednak. Teraz już wiem, że to są ostatnie dni, gdy tylko dostanę telegram – prześlę Pani zaraz.

Jakoś mimo wszystko boję się o Haśkę. Tak bardzo mi przykro, że jest sama i tęskni za mną. Też źle. Ostatecznie, nie powinna – przecież jest dorosła i może się obejść beze mnie. Bo ja, to zupełnie naturalne, jako matka mam zawsze dziecko, które potrzebuje opieki.

[Częstochowa] 6 XI 1958 r.

Haśka [...] się źle sprawuje. Tęskni za mną niesamowicie i szuka matki w zastępstwie. Kiedyś pani Wittlin trzy godziny ją piastowała na kolanach i zamiast mnie przekonywała o potrzebie życia. Odesłano ją znowu do Deborah, bo przestała jeść i źle się czuła. Wszystko ze strachu, biedna ona. Nie pisała do mnie całymi tygodniami, odkąd ją zabrano do szpitala Hahnemann, teraz już pisze znowu. [...] I tam szpital jest szpitalem, pełno umierających, krzyku i cierpienia. Nie dziwię się, że Haśkę zastraszono na amen. Nie wiem, czy pisze do Pani i jak często, a w ogóle jej listy są tak lakoniczne, tak mało dotyczą jej zdrowia i warunków, że wszystkiego muszę się domyślać, albo wiem od innych ludzi.

[Częstochowa] 12 XI 1958 r.

Nie wiem nic nowego o Haśce, siedzi w Deborah i na tym koniec. Przysłała mi śliczny wiersz, który napisał dla niej amerykański chłopak, który leżał razem z nią w szpitalu Hahnemann, zanim wyszedł do domu dał jej ten wiersz napisany po angielsku, ale Haśka go przetłumaczyła dla mnie.

Nie wiem, jak teraz długo potrwa. Wystraszyła się bardzo, pisze do Juliusza, bo przede mną ukrywa pewne rzeczy, że akurat Polka w 10 dni po operacji zmarła na serce właśnie. Ponieważ Haśka ją lubiła, zrobiło to na niej ogromne wrażenie, płakała i w ogóle czuła się bardzo źle. Zmartwiona jestem okropnie, bo to stanowczo za długo już się przeciąga, można oszaleć jak nic. Pani sama rozumie, że jednak to nad nią wisi i nie można tego lekceważyć, gdy o nas właśnie chodzi, a nie kogoś drugiego. Piszę do niej często, wysyłam jej książki, robię, co mogę, ale raczej mogę bardzo mało.

[Częstochowa] 13 XI 1958 r.
[telegram]

12 była operacja. Stan zadowalający. Mygowa.

[Częstochowa] 31 I 1959 r.

Haśka [...] chce wracać najdalej za parę miesięcy, z czego jestem ogromnie zadowolona, nie ma Pani pojęcia, jak się tym bardzo cieszę. Po co miałaby siedzieć tam dłużej niż trzeba. Haśka nudzi na temat swego przerżnięcia, ma jakiś paskudny kompleks, uważa, że to ją poniża, w ogóle sugeruje sobie nie wiadomo co, ale co ja poradzę na tę przeklętą odległość? Do niej trzeba mówić, trzeba z niej kpić, trzeba jej to ośmieszyć, a w listach jak? Nie da się, choć piszę dużo na ten temat.

[Częstochowa] 23 II 1959 r.

Haśka [...] się źle sprawuje, pisze mało i o rzeczach błahych, które mnie nie interesują, nie słucha moich rozkazów albo je ignoruje, a mnie to do rozpaczy przywodzi.

Dzwonił do mnie p. Profesor, prosił, aby napisała reportaż do „Przekroju”, a ona milczy. [...] W ogóle nie wiem, co robi i co zamierza.

Myślę, że rozsądniej byłoby raczej urabiać grunt niż liczyć na korzyści z tamtej strony. Ale Pani zna Haśkę, dla niej nie istnieją problemy przyszłości, pracy, utrzymania. Jednym słowem, że mi

trochę przekornie bruździ, może bez złej woli, ale jednak. Chciałabym, aby już raz była znowu w domu, bardzo chciałabym. [...]

A ja piszę, wielkimi literami, podkreślam, robię co mogę, zaczynam grozić nawet, tylko że to groch o ścianę. Zdaje się, że przestanę do niej pisać, aby ją zmusić do zajmowania się swoimi interesami.

[Częstochowa] 10 III 1959 r.

Haśka sama jeszcze nie wie, co ze sobą zrobić. Ja też nie. Przykazuję jej srogo, aby wracała, ale ona ignoruje moje przykazania i pisze sobie a muzom, puszczając moje rady koło uszu.

Z tą odległością, z tymi listami włóczącymi się langsam, langsam, to jest nie do pojęcia. Można się wściec jak nic.

JAN DZIUBA

MIŁOŚĆ MIESZKA W TOBIE

„Byle ten obłok niełaski
z naszego słońca się zwlókł
a położę się jak cień płaski
u Twoich nóg...".

M. Jasnorzewska-Pawlikowska
„Cień", z cyklu „Pocałunki".

1

I oto jeszcze jeden debiut poetycki*). Jeden z nielicznych debiutów kobiecych i jeden z nielicznych ciekawych. Poświatowska niewiele publikowała w prasie. Nie zrobiła wokół siebie szumu — nie przygotowała sobie — jak mówią wydawcy — gruntu. Rok temu przeszło debiutowała Małgorzata Hillar. Natychmiast po ukazaniu się jej tomiku zjawiły się recenzje — pochlebne, a niekiedy zachwytliwe, mówiło się o nim bardzo wiele w literackich kuluarach, zjawiła się w następstwie Nagroda Księgarzy. O Poświatowskiej do tej pory, nie licząc dwu czy trzech recenzji — niemal głucho. A szkoda. Jej „Hymn bałwochwalczy" jest debiutem udanym, rzekłbym nawet — bardzo udanym i w swoim rodzaju — chyba najlepszym w ciągu kilku ostatnich lat. Dobrej poezji zawsze należy się trochę uwagi i pochwał. Dużo uwagi należy się „Hymnowi bałwochwalczemu".

2

Problem ludzkich uczuć nie jest problemem prostym. Nie wszyscy jednakowo przeżywają swoje problemy. Jedni są bardziej wrażliwymi — inni mniej. Jedni przeżywają swoją miłość spokojnie — inni burzliwie. Nie każdy jednak potrafi przeżywać szczerze. Szczerość, szczególnie w poezji lirycznej jest zjawiskiem ważnym i, chciałoby się rzec, koniecznym. Poeta pisząc w pierwszej osobie, siłą rzeczy narzuca konwencję prawdziwości lub może lepiej — autentyczności przedmiotu lirycznego. Poeta jest opowiadającym i przeżywającym. Ponieważ jego uczucia i przeżycia są treścią wiersza, on sam jest i przedmiotem i podmiotem swojej liryki. Tej miary autentyzm daje czytelnikowi poczucie całkowitej bezpośredniości i szczerości wyznań lirycznych. Ta szczerość nie zawsze jest jednakowa. Czasem poeci starając się być szczerymi, równocześnie pieczołowicie chronią pewne sfery swych przeżyć przed oczyma czytelnika. Uważają bowiem, że z pewnych bardzo intymnych uczuć zwierzać się nie należy. Pokazują w swych utworach tylko te przeżycia, którym oficjalnie — jeśli się tak można wyrazić — zezwolono na pokazywanie się w literaturze. Otrzymujemy w rezultacie takiej postawy namiastkę przeżyć, otrzymujemy obraz uczuć i doznań nie wykraczających ponad przeciętność. Czyżby więc prawda, że poeta powinien być najwyższym z czujących, stała się nieaktualna? A przecież przeżycia wyrażamy w pierwszej osobie najbardziej osobiste, najbardziej intymne tylko poprzez swoją siłę, poprzez maksymalną szczerość mogą stać się własnością wielu ludzi, mogą zyskać sobie rangę przeżyć obiektywnych. To jest naczelna zasada poezji lirycznej. Zasada ta dotyczy nie tylko poezji epok poprzednich. Wydaje mi się, że jej aktualność dla poezji najnowszej nie powinna budzić wątpliwości.

3

Poezja Poświatowskiej jest poezją uczuć, poezją przeżyć intymnych. Większość wierszy zawartych w „Hymnie bałwochwalczym" to liryki miłosne. Postawiony na początku recenzji wiersz Marii Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej nie bez powodu został użyty. Twórczość Poświatowskiej utrzymana jest w podobnym tonie, co wiersze Pawlikowskiej w cyklach: „Pocałunki" i „Dansing". Wyrasta z tej samej atmosfery uczuciowej i myślowej. Jeśli chcielibyśmy szukać jej artystycznego dowodu — musielibyśmy sięgnąć do twórczości właśnie autorki „Pocałunku".

Poświatowska nie wstydzi się swych uczuć. Przeżycia swoje ukazuje szczerze, z siłą właściwą chyba tylko kochającej kobiecie. Przenikliwy liryzm stąd się bierze, że poetka nie stara się na siłę obiektywizować swych problemów.

Mówi więc w pierwszej osobie, o tym, co jest jej własnością. Ale poprzez szczerość i siłę, z jaką mówi o swych uczuciach, przeżycia jej obiektywizują się i w rezultacie mówi o moim — czytelnika uczuciu.

Do takiego wniosku dojdzie z pewnością wielu młodych czytelników „Hymnu bałwochwalczego". To nieprawda, że proces twórczy zaczyna się i kończy w świadomości artysty. Proces twórczy tylko zapoczątkowuje artysta. Zaś dokonywać winien się on w świadomości odbiorcy niezliczoną ilość razy, w niezliczonej ilości odmian.

Na tym polega wielkość prawdziwej sztuki. Na tym też polega jej trudność. Refleksje, myśli, wnioski, uczucia, nawet protesty, jakie budzi dobry wiersz w świadomości czytelnika, są dalszym ciągiem procesu twórczego, zainspirowanego przez poetę. Poświatowska nie ma wierszy „skończonych", które poczęły się i zostały na kartce papieru. Każdy jej wiersz wrzyna się w świadomość, wymaga ustosunkowania.

Czasem poprzez liryzm przebija nuta ironii — ironii ostrej, choć nie napastliwej. Nuta ironii spokojnej, a sugestywnej. Wydać to najlepiej w takich wierszach, jak: „Pytanie w pustkę" i „Tańcząca Nina".

Poświatowska w większości swych wierszy pisze o miłości, o swojej miłości. Wszystko, o co potrąca w utworach, przeniknięte jest miłością. Obrazy, przedmioty, nawet metafory, nawet słowa, kochają i są kochane. Wiersz „Scheila" tego dowodem. Miłość, o której pisze autorka „Hymnu bałwochwalczego", ma kolor lata, podobna jest do kwitnącej w południe dziewanny („W słońcu południa"). Jest to miłość jasna, spokojna, która mieszka w każdym człowieku. Tylko człowiek musi się do niej przyznać. Nie powinien jej wypędzać od siebie, by błąkała się sama po pustych wieczorem ulicach.

Poezja Poświatowskiej jest chyba najpiękniejszą liryką miłosną od czasów Pawlikowskiej. Może stać się własnością każdego człowieka, który zechce ją zrozumieć. Pokolenie nasze też ma swoją Pawlikowską.

*) Halina Poświatowska: „Hymn bałwochwalczy". Wydawnictwo Literackie. Kraków 1958.

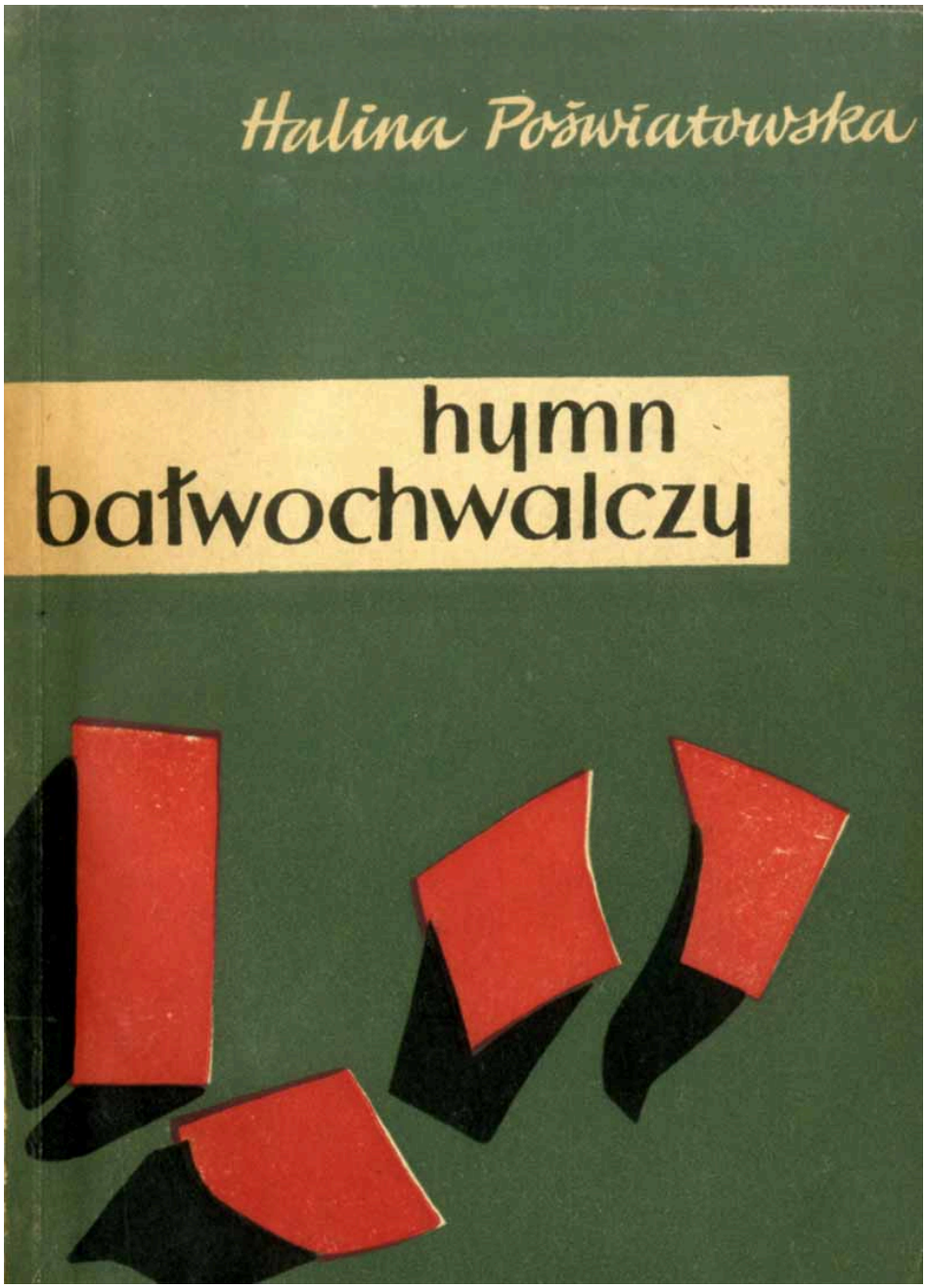

[Częstochowa] 4 V 1959 r.

Wybieram się znowu do Krakowa, tylko jeszcze nie ustaliłam daty, a być muszę, ponieważ chciałabym być w Wydawnictwie [Literackim] w sprawie nowego tomiku Hali. Nie wiem, czy zna Pani

recenzje z *Hymnu bałwochwalczego*, które są bardzo pochlebne, prócz tego ukazała się także recenzja w „Kierunkach” nr 15 pt. *Miłość mieszka w Tobie*, artykuł Jana Dziuby [...]. To jest śliczna recenzja i schowam ją sobie na wieczną rzeczy pamiątkę. W każdym razie Haśkę zowią po raz drugi poetką pokolenia i stwierdzają, że już dawno nie było tak dobrego debiutu; że wiersze Haśki są najpiękniejszą liryką, jaka się ukazała w ostatnich latach. Upomina się, aby więcej pisano o *Hymnie bałwochwalczym* i aby się zainteresowały odpowiednie czynniki.

Pisze, że Małgorzata Hillar dostała nagrodę księgarzy, a o Poświatowskiej jakoś za mało się mówi. Rację może ma, ale zapomina o tym, że Hillar sama starała się o swoje interesy, a Poświatowska była zawsze chora, a teraz jej nie ma. Kto ma robić ten szum wokół jej osoby? [...] Niech nam wystarczy, że nasza Haśka nie tylko pisała, ale że pisała najładniej ze wszystkich Polek, że jednak na tym poznali się i mimo wielkiego tłoku jaki dziś panuje w literaturze, nie pominęli jej w ogóle milczeniem.

Częstochowa, 16 XI [19]59 r.

Haśka uczy się, uczy i jeszcze raz się uczy. Dzień i noc podobno. Odrabia zaległości całych lat spędzonych na lenistwie.

Czuje się świetnie i ostatnio pisała mi, że o operacji będziemy tylko obie wiedziały. Nawet jej skóra zmieniła się nie do poznania, jest zdrowa i jędrna, i śliczna podobno.

No, cieszę się ogromnie z tego, bo to przecież rocznica dopiero, a zmiany już takie olbrzymie. [...]

Dwa tygodnie temu dostałam list z Florencji, aby przysłać Profesorowi Verdianiemu tomik i wiersze do tłumaczenia na włoski. Oczywiście z polecenia starszego asystenta przy Katedrze Historii Literatury UJ pana M. Kwaśnego, który jest podobno wielbicielem talentu Haśki, a który pozostaje w tej chwili we Florencji jako stypendysta. Jednym słowem, że zawsze ktoś o niej pamięta

i tłumaczą trochę tych wierszy, bo i Szwajcaria, i Niemcy Zachodnie, i teraz Włosi. To już coś i Haśkę zawsze to choć trochę mobilizuje, bo inaczej zwątpiłaby dokumentnie w swój talent i potrzebę pisania. [...]

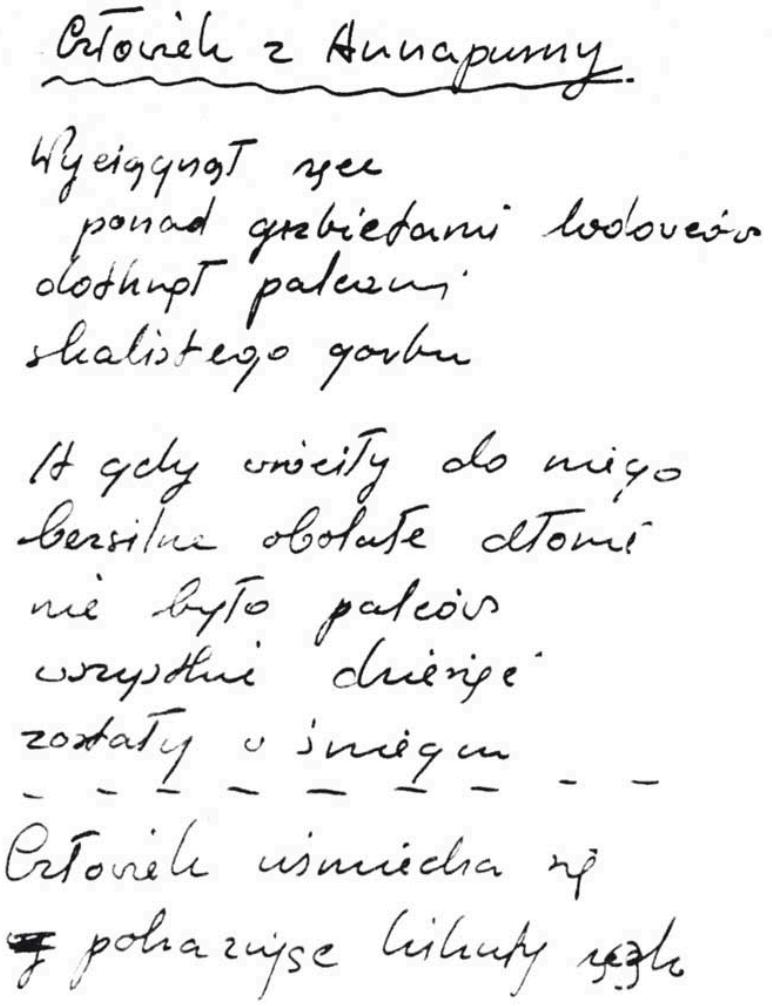
Częstochowa, 22 XI 1959 r.

Chce Pani ode mnie Haśki biografię, to jest szalenie łatwa sprawa. Szpital, szpital, sanatorium dla odmiany i znowu szpital. Warszawa, Kraków, Poznań i znowu Kraków, nie mówiąc już o takich pomniejszych, jak Rabka czy Polanica, szpital i oczywiście sanatorium też.

Dwa lata w całym życiu szkoła, to od 13–15 roku, 9-ta i 10-ta klasa do 11 trzy miesiące i potem jako eksternistka matura.

Wyszła za mąż (reżyser filmowy, poznany w sanatorium, więc siłą rzeczy chory, umiera po dwóch latach), a potem znowu szpitale aż do wyjazdu.

Pierwsze wiersze w „Życiu Literackim” 1957 r. Tomik w 1958, a teraz Ameryka i nareszcie zdrowa i może się uczyć, co robi z wielkim zapałem. Może za wielkim, jak na jej siły. Tęskni i wróci jak tylko się nasyci tą nauką, o której całe lata marzyła.

Częstochowa, 27 IX 1960 r.

Donoszę garść szczegółów o Hali i jej życiu. Haśka jednak nie wróci w tym roku, postanowiła skończyć szkołę w Northampton i nie przerywać sobie roku. Prócz tego stawia nam warunki, na których zgodzi się na [...] powrót, chce abyśmy się przenieśli z całą rodziną do Krakowa, czy się to da zrealizować, to wielkie pytanie, bo wie Pani jak trudno powziąć takie postanowienie. [...]

Haśka przysłała mi parę wierszy naprawdę bardzo dobrych [...]. Może mi Pani będzie mogła pomóc? Hali zależy, aby te rzeczy ukazały się w druku w jakimś solidnym tygodniku: „Powszechnym”, „Życiu Literackim” czy „Nowej Kulturze”, choć tam jest trudno trafić, gdy się nie ma znajomości. A ja nie mam [...].

Zobaczy Pani sama, że warto, że to naprawdę dobre wiersze, że Hala pisze teraz dużo lepiej, tylko tak trudno o poparcie.

Częstochowa, 24 XI 1960 r.

Ostatnio zwróciła się do p. Profesora Aleksandrowicza p. redaktor Ewa Borejszyna z Naszej Księgarni w Warszawie w sprawie Haśki, chcą bowiem, aby im Haśka napisała wspomnienia z okresu swej choroby. Uważają, że to powinna być zajmująca książka dla młodzieży.

Oczywiście napisałam do Halki i posłałam jej nasze listy, ale nie ma jeszcze od niej odpowiedzi. Ciekawa jestem czy Halka zgodzi się na pisanie, czy będzie miała czas i chęć grzebać się we wspomnieniach tamtych chwil, wiem, że nie lubi do tego powracać. A z drugiej strony, to by jej dało jakąś pozycję i stanęłaby na nogach. Co najważniejsze i o czym jej pisałam – taka książka nie sprawiłaby jej trudności zważywszy, że posiadam z tamtych lat pamiętniki i listy, całą masę jej własnych listów, na podstawie których można odtworzyć mniej więcej historię tamtych lat.

Częstochowa, 15 XII 1960 r.

Halka pisze, książki ze wspomnieniami nie będzie, że ona nie myśli o pisaniu czegoś takiego. Uczy się jak wariat, zdaje egzaminy i ma nadzieję na to stypendium do wyższej szkoły, dla zrobienia doktoratu. Nie pomaga mój sprzeciw, nie pomaga biadolenie, że mi jest koniecznie potrzebna, że obiecała wrócić do mnie, że będzie w Krakowie studiować, jeśli już tak koniecznie musi; to do niej nie dochodzi, a ja tracę zdrowie i cierpliwość.

Dobrze, że jej przedłużyli wizę, bo już się bałam, aby nie zrobiła jakiegoś głupstwa.

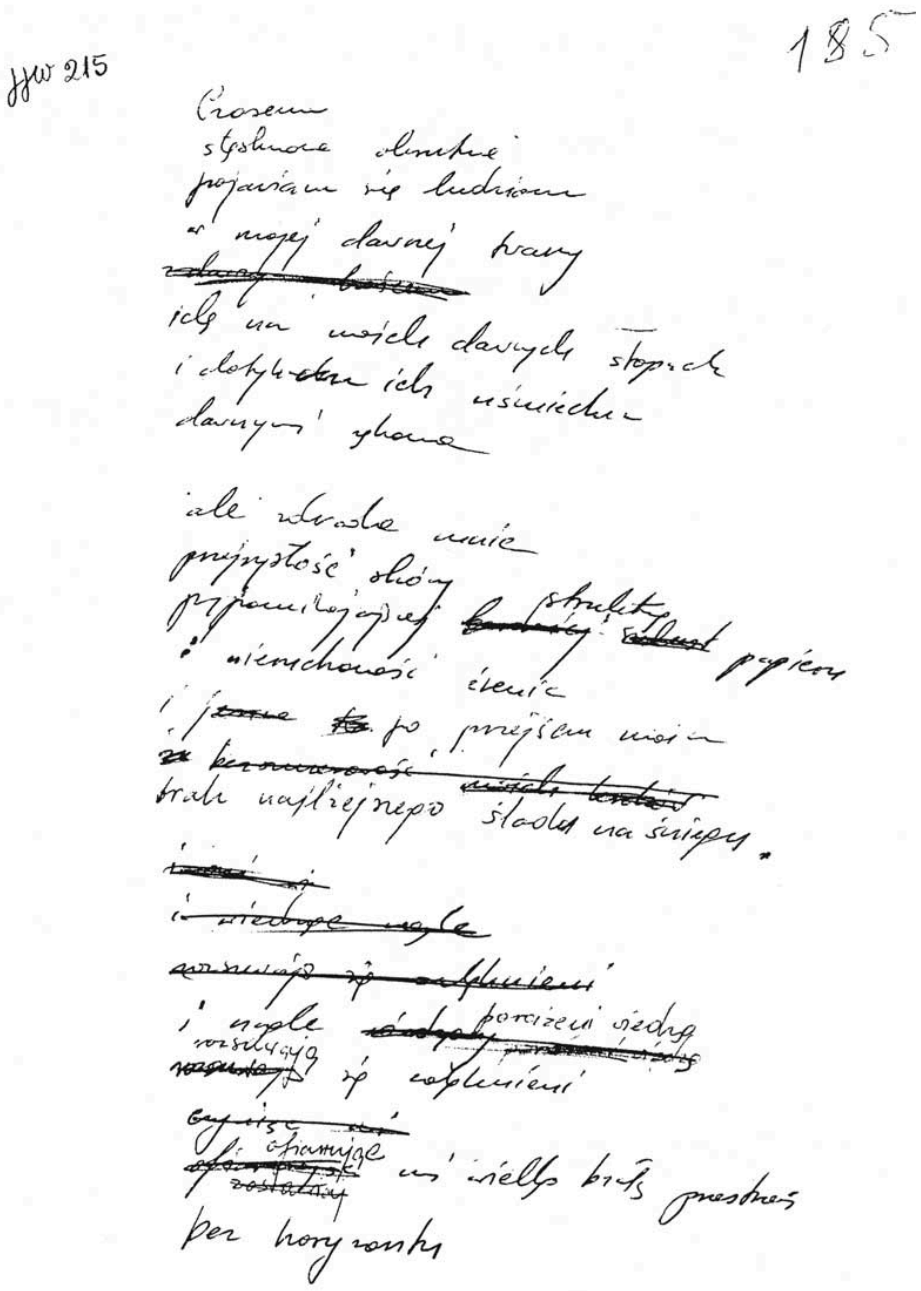

Częstochowa, 2 VI 1961 r.

Profesor lęka się, że Haśka będzie tęskniła za Stanami, ale ja wierzę w piękno Krakowa i starych, miłych przyjaciół, o których nie

zapomniała i których chętnie powita.

Wysłała już papiery do rektoratu na Gołębią pod 24, tylko nie wiem czy one już tam są i co dalej należy czynić. [...] Pan Profesor obiecał mi swą pomoc, jako że chcemy Halkę ulokować na czwartym roku; nie mam pojęcia jak jej policzą studia w Stanach.

W Smith College wydali gazetę o osiągnięciach uczennic za rok 61, Halka jest na pierwszym miejscu ze zdjęciem i opisem swoich osiągnięć. [...]

Haśka jest całym kłębkiem nerwów, żal jej porzucać tamtych ludzi i miejsca, a nie chce za nic pozostać tam sama, nie mam pojęcia o kim myśli, ale chyba ma kraj i znajomych na myśli. [...]

CURATORES
Collegii Smithensis
OMNIBUS HAS LITERAS PERLECTURIS
Salutem in Domino.
Notum sit quod admisimus
Halina Poswiatowska
pro ejus meritis ad gradum Baccalaurealem in Artibus eique dedimus et concessimus omnia insignia, et jura, honores, dignitates, et privilegia ad gradum suum spectantia.
In cujus rei testimonium literis hisce Collegii Sigillum Publicum atque Chirographum Praesidis apposita sunt.
NORTHAMPTONIAE MASSACHUSETTENSIUM,
die XI Junii anno Salutis Humanae MDCCCCLXI Reipublicae Americanae CLXXXV
Thomas C. Mendenhall Praeses.

Dyplom ukończenia Smith College, czerwiec 1961

Częstochowa, 5 VII 1964

Czasem Haśka narzeka: „dokąd ty mnie będziesz traktowała jak dziecko?” A niech tylko ma jaki problem, w te pędy do domu.

Ja nie narzekam. Bogu dzięki, że ma do mnie zaufanie, ale mogłaby już raz być dorosłą. Mogłaby i byłaby, gdyby nie miała mnie, ale na szczęście czy nieszczęście ja jestem, więc ona jest zawsze niedorosła. Raz tylko wykazała swoją niezależność, odsuwając mnie na margines, ale potem było nam jednakowo trudno...

[Częstochowa] 23 XI 1966 r.

Haśka, no cóż, niedługo wraca do domu, już za tydzień, z czego się cieszę ogromnie, bo prawdę mówiąc nie lubię, jak jest z dala od domu.

Umówiłam się właśnie z Anną [Orłowską], że będziemy razem na nią czekały na lotnisku w Warszawie. Niech Pani sobie wyobrazi, że Haśka w Paryżu spotkała profesora Ingardena, że on się nią opiekował w tymże Paryżu, że oprócz profesora spotkała także swoją profesorkę z College Smith [...].

Haśka nie czuje się zbyt dobrze, ale jak zwykle upiera się, aby nie robić sobie urlopu i pracować do samych świąt. Zawsze z nią masa kłopotu.

[Częstochowa] 6 I 1967 r.

Haśka jest obecnie w Krakowie, też się o nią zamartwiam [...]. Po powrocie z Paryża miała okropny bronchit. [...] Profesor nie pozwala jej pracować, faktycznie, czuje się bardzo źle, ale słuchać nie chce jak

zawsze, a na ten raz, kto wie, czy nie ma racji... Bo jak żyć bez pracy? [...]

Częstochowa, 14 I 1970 r.

Lubię mieć pracę, lubię nie mieć czasu, który i tak zabijam wszelkimi sposobami... Trudno mi się żyje odkąd Haśki nie ma, jakoś inaczej... tak bez jutra. Może dlatego lubię pracować, aby tylko nie myśleć, nie wspominać. Pamięć jest bezlitosna, okrutna.

ANNA ORŁOWSKA

NAJBLIŻSZA PRZYJACIÓŁKA HALINY POŚWIATOWSKIEJ, PSYCHOLOG

Obie miałyśmy to szczęście, że trafiłyśmy do kliniki profesora Aleksandrowicza. I ona, i ja zawdzięczamy profesorowi naprawdę wiele. Mnie przywieziono tam zimą 1957 roku. Nie wolno mi było chodzić. Haśka czytała wiersze. Wtedy jej pasją był Szekspir. Uczyła się całych fragmentów na pamięć, a potem deklamowała. Lubiła deklamować, mówiła bardzo ładnie, tylko niestety ze względu na chorobę serca nie mogła właściwie mówić, miewała zadyszki.

Choroba była bardzo zaawansowana, zagrażała życiu. Profesor był typem lekarza humanisty, który leczył nie tylko poprzez zabiegi medyczne, ale również poprzez słowo. Umiał zmobilizować Haśkę i zachęcić ją do pisania wierszy. Wiedział, że jej wiersze są doskonałe, wierzył, że będą coraz lepsze. Zdawał sobie sprawę z tego, że ona potrafi się uczyć i potrafi być bardzo wytrwała, jeżeli uwierzy w cel, do którego ma dążyć.

Haśka pisała wiersze od dawna, ale nie były one drukowane. Profesor zwrócił się do pani Wisławy Szymborskiej, której poezję Halina bardzo lubiła.

Wydaje mi się, że był to moment zwrotny w życiu Haśki, odtąd bowiem zainteresowano się nią jako poetką.

Po udanej operacji Haśka miała wrócić do domu. Tymczasem zaskoczyła wszystkich, bo gdy tylko poczuła się dobrze, doszła do wniosku, że nie może wyjechać, nie nauczywszy się czegoś. Postanowiła zostać i starać się o stypendium, żeby ukończyć college.

To było dość trudne, bo trzeba było opłacać studia, a poza tym Haśka pojechała, znając zaledwie kilkadziesiąt angielskich słów. Wobec tego bezpośrednio po operacji zaczęła się uczyć angielskiego. Do egzaminów konkursowych do college'u przystąpiła w maju (operacja była w listopadzie). W ciągu zaledwie kilku miesięcy musiała opanować język na tyle dobrze, by zdać egzaminy. Zdała je tak wspaniale, że dostała stypendium.

Z Anną Orłowską w Kobierzynie, 1958

Musiała ciężko pracować, po kilkanaście godzin na dobę. Uczyła się zupełnie nieprzytomnie. W następnym roku ukończyła college. Program czteroletniego college'u zaliczyła w dwa lata. Zdała wszystkie obowiązujące egzaminy. Korzystała też z letnich sesji na Uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku.

Pracowała na okrągło. Po operacji czuła się względnie dobrze, ale mam wrażenie, że najważniejsza

była jej postawa psychiczna. Haśka potrafiła zmobilizować się do wysiłku, nadmiernego wysiłku, bo przecież nawet nie każdy zdrowy człowiek mógłby sobie na coś takiego pozwolić. Miała jakąś niesamowitą pasję korzystania z wiedzy, z życia. Nagle otworzyła się przed nią perspektywa życia i to chyba ona pomogła jej pokonywać trudności.

Niestety już w tym momencie Haśkę żarła tęsknota za krajem.

Po powrocie od razu zaczęła pracować nad książką, która ukazała się jako *Opowieść dla przyjaciela*. Ta książka, wydaje mi się, odzwierciedla bardzo dobrze osobowość Haliny. Haśka jednak zawsze przywiązywała większą wagę do poezji. I jeżeli miała się wypowiadać, robiła to w wierszach. Poezja ją pasjonowała.

Zaraz po powrocie doszła do wniosku, że musi ukończyć studia. Zapisała się na Uniwersytet Jagielloński, na filozofię. Była uczennicą profesora Ingardena. Potem pracowała na uniwersytecie jako asystentka.

Ze Stanów wróciła w nie najlepszej formie fizycznej, a każdy rok pogarszał sytuację. Na pewno można by przedłużyć Haśce życie, gdyby udało się zmienić jej osobowość. Tylko to mogło jej pomóc. Ale wtedy nie byłaby Poświatowską, nie byłaby tą poetką, którą była.

Miała duże powodzenie – była śliczną, pełną wdzięku, a przy tym niezwykle mądrą dziewczyną. Potrafiła zaciekawiać, lubiła zdobywać. Jej życie było intensywne, kolorowe, ale nie było to życie cygańskie. Haśka chciała przeżywać je w sposób bardzo intensywny – i właśnie tak je przeżywała.

FRAGMENTY LISTÓW HALINY POŚWIATOWSKIEJ DO ANNY ORŁOWSKIEJ

[Częstochowa] czwartek [1958]

Anni, Kochanie!

Wiem, że nie masz czasu i że nie powinnam Ci zawracać głowy swoją nędzną – ha – posturą, ale niezdrowa ciekawość sen mi z powiek spędza. Ciekawość dotyczy Twojej osoby, a ściślej mówiąc – serca. Jak się czujesz, Kochanie, bo jestem zdezorientowana i zupełnie nie wiem, jak ja się mam czuć. Czy umrzemy już – czy jeszcze trochę – nie, a jak nie – to co mamy robić?

[Częstochowa] niedziela [1958]

Bardzo tu ślicznie – a jednak grymaszę. Grymaszę dosłownie i jeszcze w duchu. Cóż robić, kiedy mi wszystko wolno. [...]

Najpierw sobie przeczytałam Przybosia i Różewicza. Potem się bardzo złośliwie cieszyłam. Bo i cóż ten Przyboś – poeta tęgi –

metafora błyszczy – metafora jak błyskawica – ale jedna siedzi na drugiej i z wierszyka robi się szarada. Nawet konstrukcja ścisła jak w szaradzie. Zimne to jakieś – jednym słowem – smutno być Przybosiem. Z Różewiczem inna historia. Różewicz jest bardzo ludzki – bliższy – pozwala zajrzeć w to i owo – częściej po prostu wzrusza, nie zostawia cię z otwartą gębą, ale obsesyjny jak Gajcy czy Baczyński – nie może zapomnieć o okupacji – ma to sobie za chlubę, że nie może zapomnieć. I to męczy – przynajmniej mnie. Popatrz, jaki śliczny jest Gałczyński, że w obozie pisał tylko erotyki dla żony [...]. Tak to sobie w cichości ducha rozprawiam się z tymi, którzy mnie będą sądzić. Żebyśmy w razie czego nie byli sobie dłużni.

[Częstochowa] 1 lipca 1958

Anni, Kochanie!

Będziemy mieli ogromne mieszkanie nad morzem, składające się z czterech łóżek i jedziemy już za pięć dni. Czyli, że zawsze będziesz mogła przyjechać, jeśli Ci się znudzi Żegiestów [...]. Wiesz, przyszło już pozwolenie z ministerstwa – i promesa na wizę – i coś tam jeszcze – mama jedzie pojutrze do Katowic – i jak Bóg da – to niedługo. Anni, skóra cierpnie mi wzdłuż grzbietu i smutek mnie żre przeraźliwy. Nie mów profesorowi, że się tak boję, bo mnie jeszcze nie wyśle – a w ogóle to mów o mnie dużo i ciepło [...]. Wygrzebałam jakieś podłe wiersze – poprzepisywałam i posyłam w świat – może będą pieniądze.

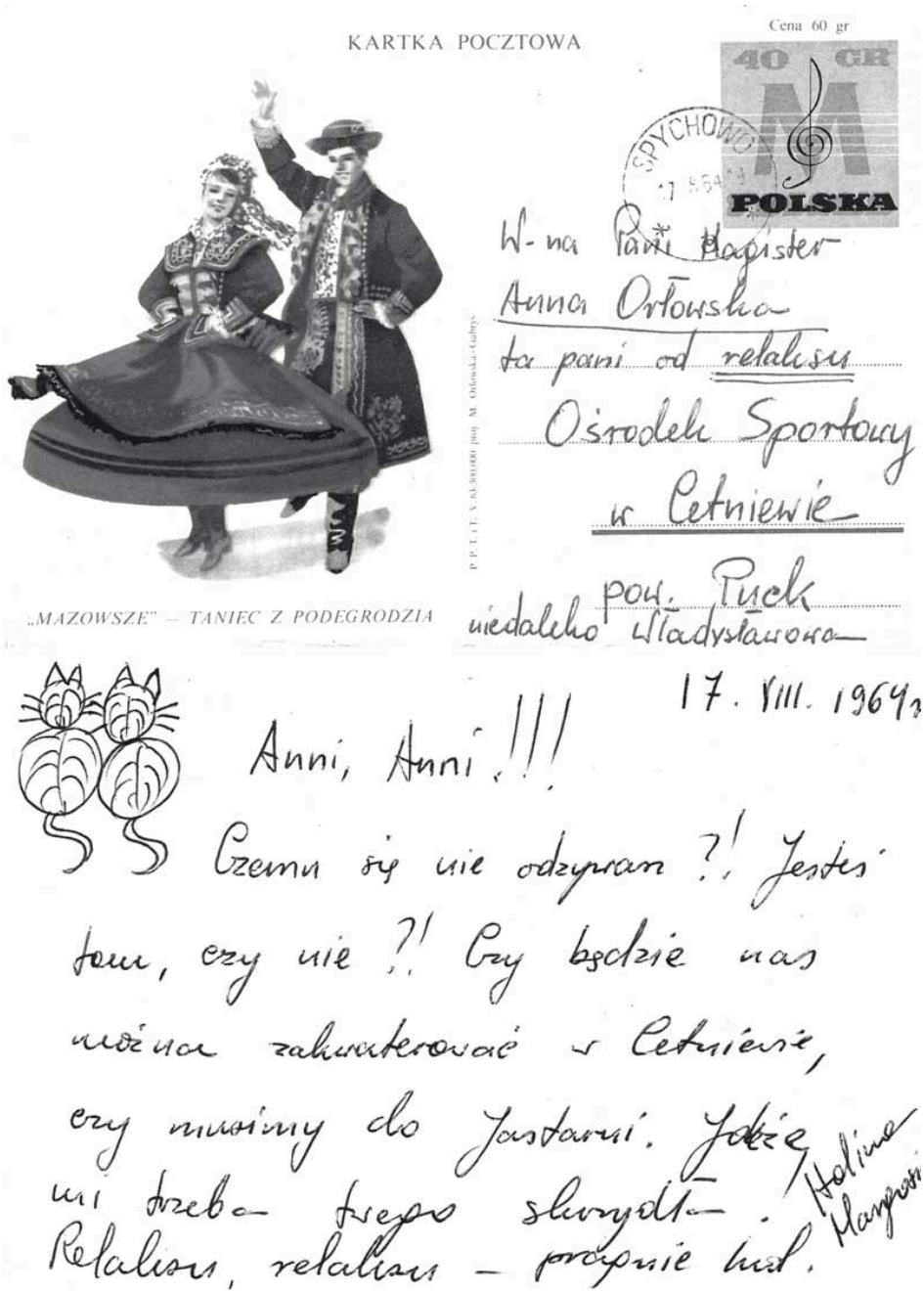
KARTKA POCZTOWA

Cena 60 gr

40 GR

POLSKA

SPYCHOWO

W-na Pani Magister
Anna Orłowska
ta pani od relaksu
Ośrodek Sportowy
w Cetniewie
pow. Puck
niedaleko Władysławowa

„MAZOWSZE" — TANIEC Z PODEGRODZIA

17. VIII. 1964 r.

Anni, Anni!!!

Czemu się nie odzywam?! Jestes
tam, czy nie?! Czy będzie nas
można zakwaterować w Cetniewie,
czy musimy do Jastarni. Jakże
mi trzeba tego słowidła. Holine Margot
Relaksu, relaksu – prędzie list.

[Jastarnia] 3 sierpnia 1958

Anni, nie gniewaj się, bo będzie mało – ale ja naprawdę nie mogę pisać – nie umiem pisać i to jest dość okropne, bo tak bym chciała

umieć – właśnie teraz. [...] Jestem przewrażliwiona, rozdrażniona, coś we mnie cały czas się trzepie i trudno utrzymać to pod powierzchnią [...], a to przecież właściwie nic, sensacja dla paru osób, które sobie piszą, piszą...

[...] Wyjeżdżam w sobotę [9 sierpnia – do Ameryki].

[Nowy Jork] 26 XII 1958

Kochana Anni,

tyle durnych listów muszę pisać, że mi to zajęcie zbrzydło do cna i dziękować, dziękować, dziękować. Skórka za wyprawkę – duża skórka pocięta dokolutka i jeszcze trochę kości. [...] Nie męcz się i nie trać tak zwanej nadziei – i nie myśl, że bardzo się cieszę, bo to nieprawda. Melancholia mnie zjada po trochu i słaba jestem piesko, jakkolwiek upłynęło nieskolko tygodni po –

Pisz, całuję Cię mocno

Halina

[Northampton] 3 I 1960

Czasem mam gwałtowne wyrzuty sumienia, że zaniedbuję Kraków z Wami wszystkimi, a potem znowu maszeruję ulicą New Yorku, Greenwich Village, Broadway, obcasy mi stukają, domy rosną duże, pochmurne. Takie okrutne, obojętne miasto. Takie podniecające. [...] Teraz mi się właśnie wakacje kończą i jadę do szkoły, chyba się zauczę na śmierć.

[Northampton] 2 II 1961

Dni są długie, potwornie długie [...]. Żałuję, że oni mnie z tego wygrzebali. To była taka ładna okazja, teraz zaczynać muszę od początku, codziennie od początku i codziennie jednakowo trudno...

[...] Jestem jak pół-sparaliżowana – i nie potrafię się z tego wydostać – wydaje mi się, że ożyłabym tylko w jednym miejscu – w szpitalu.

[...] I boję się, okrutnie się boję wszystkiego! Pozostania, powrotu, jutrzejszego dnia, niemieckiego egzaminu, spotkań, rozstań i bólu i znowu bólu – Oni myślą, że ja jestem wyleczona, że człowieka można jak dziurawy but szydłem i nicią. Potem dusze zeszyte niefortunnie błądzą i patrzą w tył, zawsze w tył, chodzą niechętnie ociągając się, w tył patrzą...

Ząb mnie bolał przez cały dzień i przeleżałam w łóżku. Przeczytałam pięć sztuk Szekspira, bo mam jutro egzamin z tegoż to. Egzaminy piszę szybko z okropnymi błędami.

[Northampton] 20 V 1961

Bardzo Ci dziękuję za list i za zaproszenie i za wszystko. Nie potrafię pisać listów, bo widzisz jestem zmęczona na śmierć, kompletnie odarta z energii, z chęci – nawet oddychania, które przecież przychodzi łatwiej, niż, powiedzmy, ileś tam lat temu. Lata... nie chcę myśleć ani o pojutrzejszym egzaminie, ani o przyszłym roku. Nie mam siły na pojutrzejszy egzamin, a muszę pisać przez dwie godziny – popatrz, co za idiotyzm – o konfliktach osobistych Tomasza Manna... No jestem skończenie głupia, bo czemu do tego niedouczonego angielskiego potrzebny mi i francuski, i niemiecki, i logika, co się skomplikowała w jakąś zaplątaną algebrę i nie można tego odplątać. [...] Muszę się uczyć z powrotem całego polskiego – nie mówiłam i nie czytałam po polsku przez prawie dwa i pół roku. Wysyłam podanie o przyjęcie na Uniwersytet Jagielloński [...].

[Jastarnia] Lipiec 1961

Kochana Anni,

chcę pojechać do Krakowa i zobaczyć Kraków, Profesora i Ciebie. [...] Czy Kraków zmalał, czy Kraków zmaleje mi, kiedy go obejdę w kółko, czy będzie całkiem malutki i znajomy? Tak się złożyło, że najlepiej mi znanym miastem jest nawet nie Częstochowa, ale New York – nie wiem, dlaczego – ale właśnie New York. Zlazłam go przecież dzielnie na nogach, poobjeżdżałam kolejkami, autobusami i autami. Mogłabym wycieczki wozić po Harlemie i po Greenwich Village [...]. Ha, ha – a teraz już wróciłam i zobaczysz, że wszyscy będziecie mieli kłopot. Trzeba mi było wyjaśniać, że szczęście czeka mnie z daleka od ojczyzny i że nie mam prawa do żadnych sentymentów, do żadnej nostalgii. A była – i nie mogłam sobie miejsca znaleźć, i tęsknota była ogromna i nieład we łbie jeszcze większy – a teraz, teraz nie powiem, żeby było spokojniej. To chyba taki mój los, żeby się wyrywać ciągle i nie wiadomo do czego, żeby właśnie i uparcie tęsknić. [...] Łażę sobie nad morze i patrzę sobie na zachód i dziwnie mi jakoś, że gdzieś tam została taka moja i znajoma Ameryka. Przykrzy mi się za angielskim, a tu nie można mówić, bo jak i do kogo – do Ciebie będę gadać po angielsku [...].

[Częstochowa] 5 II 1965

Boję się w nocy, w dzień – i to wszystkiego. Zanim się wybiorę na spacer, to już wiem, że się zmęczę – i rzeczywiście. Boję się wrócić do Krakowa, boję się ćwiczeń [...] – męczy mnie to wszystko okropnie. Rozważania mnie nachodzą takie więcej egzystencjalne, a w dodatku co napiszę, to grafomaństwo.

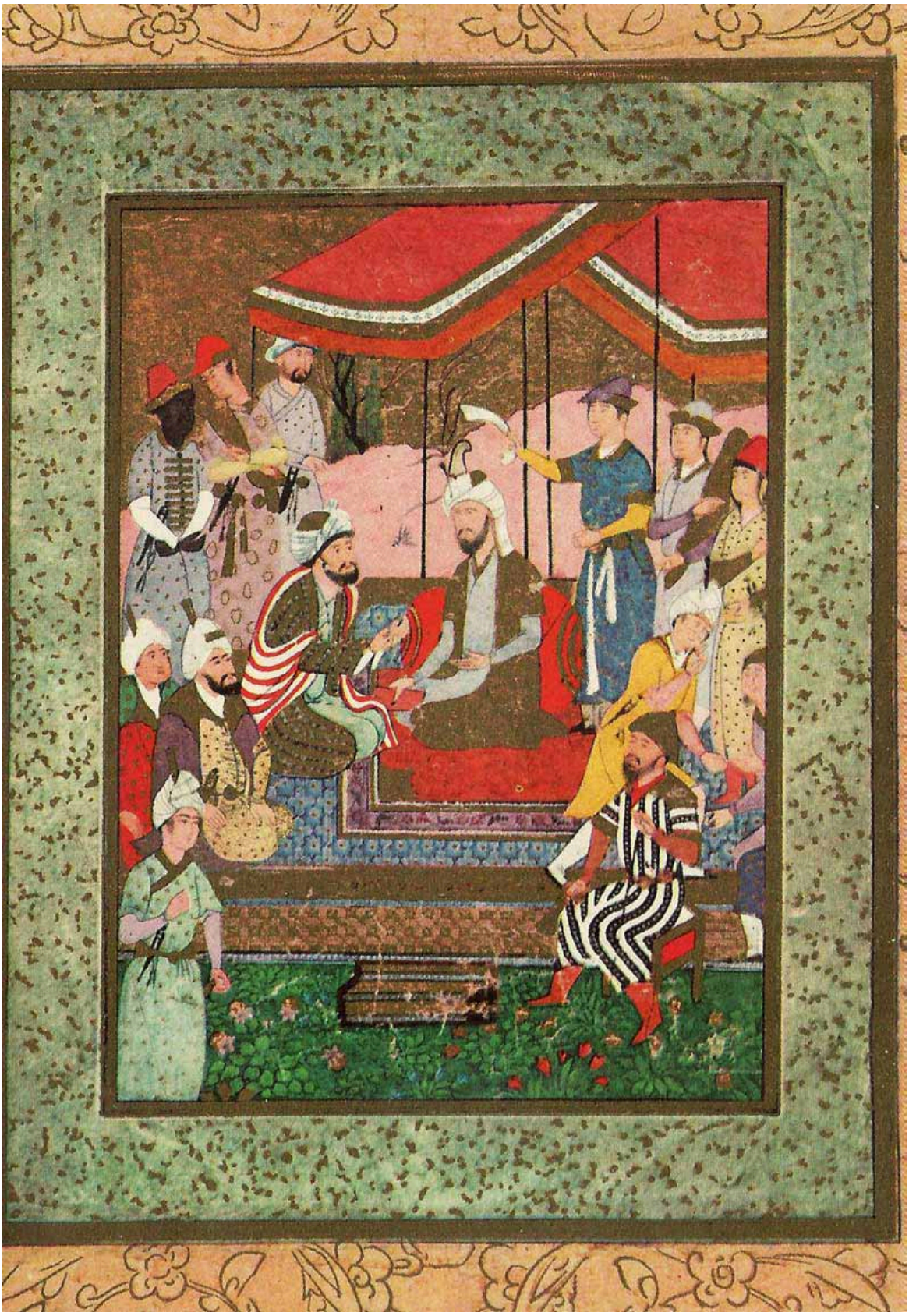

[Kraków] czwartek 1965

Kochana Anni, Wstrętny Koczkodanie!

Strasznie jestem niespokojna, od środka coś mnie nadgryza i sama nie wiem, czy to poważna choroba, czy wiosna. Albo stary duch we mnie odżywa i to znaczy, że trzeba mnie pilnować, bo maluczko, a coś zdziałam, albo mnie ta robota kończy... w każdym razie nie sypia mi się wręcz kosmicznie, a we dnie to mnie nosi po pokoju jak tego skowronka. Na razie moi geografowie poszli na prywatkę i dzięki temu mogę odetchnąć od tych ćwiczeń, które mnie jednak kosztowały dużo zdrowia. Strasznie się bałam na dwa dni przed każdym występem i rzeczywiście siedziałam całą noc w kucki na łóżku, gwałtownie próbując się czegoś tam nauczyć. [...] Poza tym zawiadomił mnie Augustynek [doc. Zdzisław Augustynek, kierownik Katedry Filozofii Przyrody], że chyba nie będzie mógł dla mnie dostać stypendium doktoranckiego, bo wszystkie te rzeczy odbywają się w Warszawie, a w UJ filozofii w ogóle stypendiów nie przyznają. Powiedziałam, że mnie obojętne, że ostatecznie mogłabym pobierać to stypendium w Warszawie, a siedzieć u niego w Krakowie i pod jego kierunkiem [...].

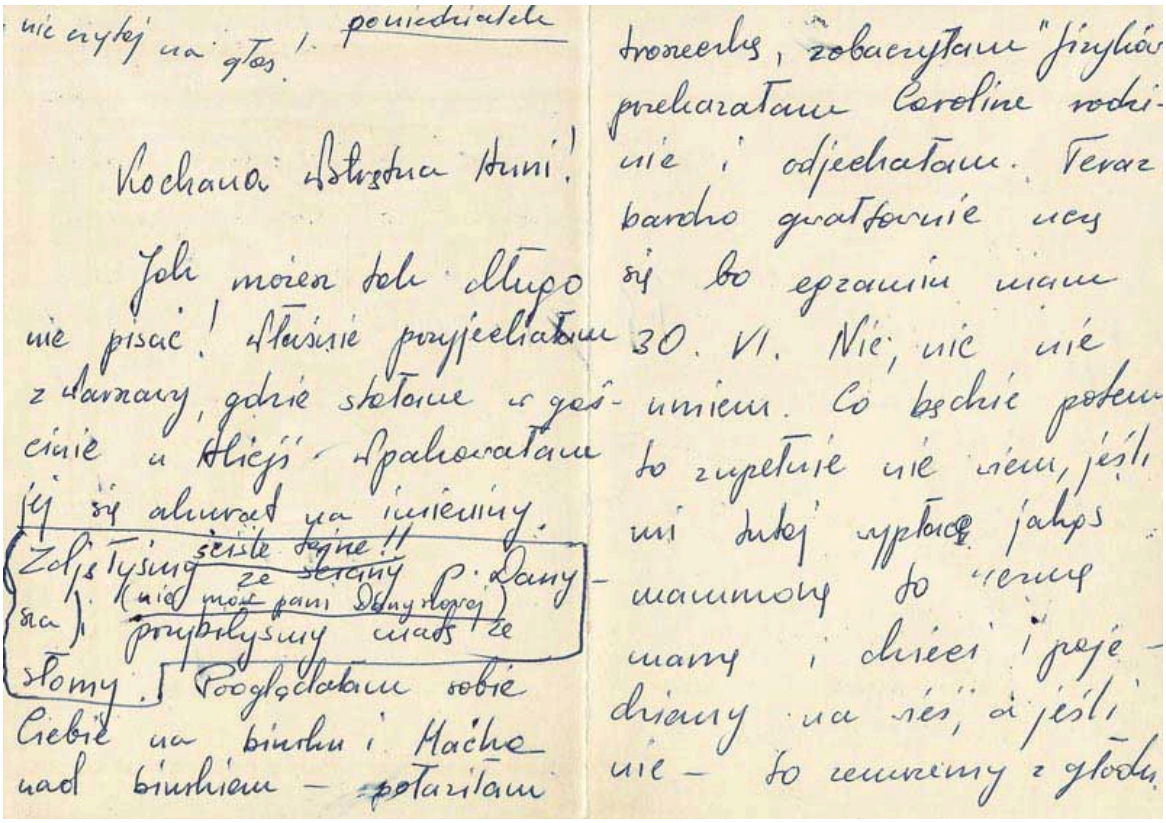

Potem pojechałam do szpitala na zastrzyk penicyliny, bo aktualnie jestem w posiadaniu grypy i w szpitalu profesora już nie było, a za to był ostry dyżur i wszyscy biegali jak szaleni, transfuzje, punkcje, jęki – uciekłam w popłochu bez zastrzyku. Teraz siedzę w samej koszuli przy stole i oczywiście jeszcze gorzej się przeziębię i może umrę i nie będę blokować kadr i nie wybiorę sobie filozofii na całe długie, milowe życie...

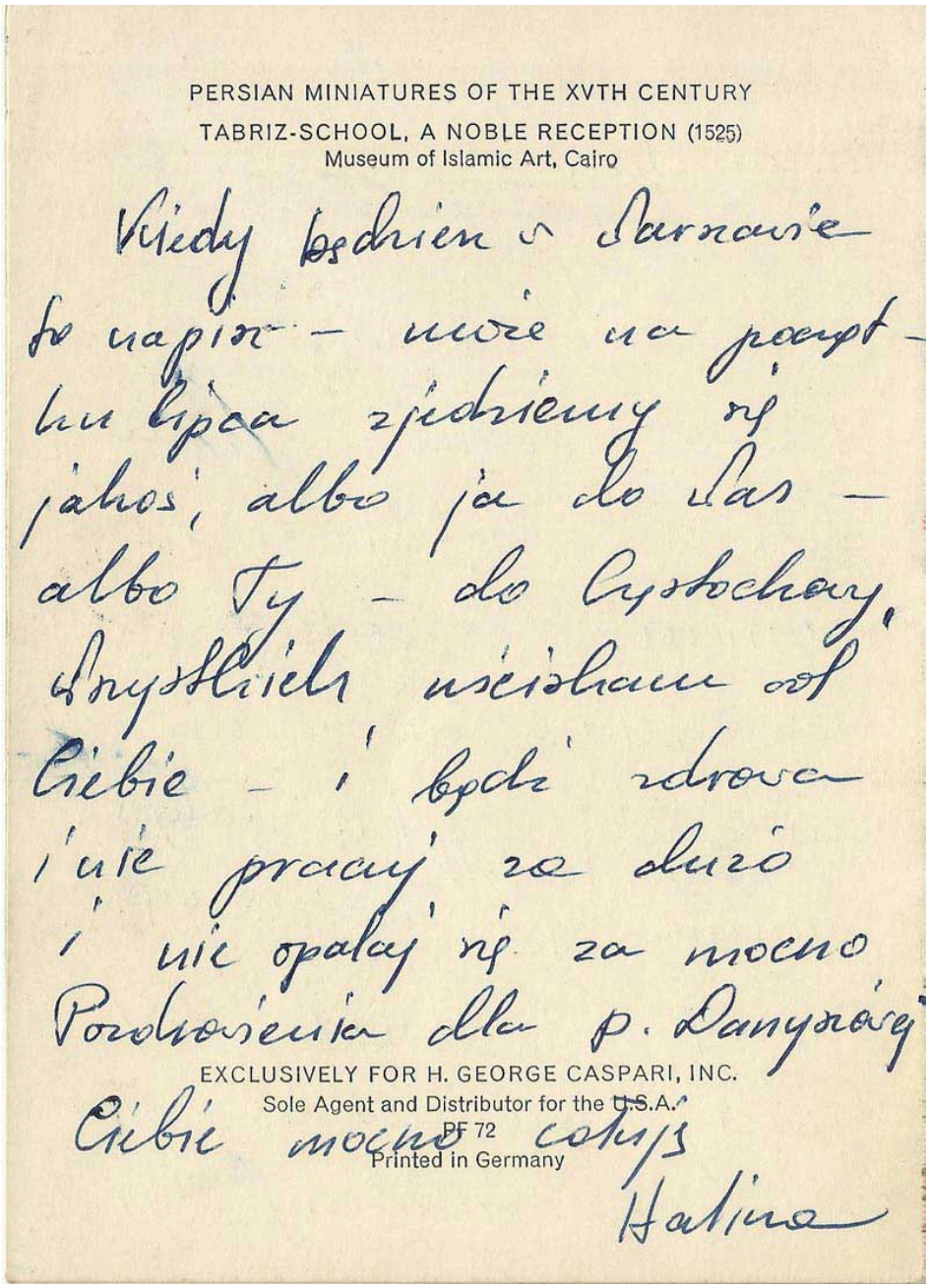
PERSIAN MINIATURES OF THE XVTH CENTURY
TABRIZ-SCHOOL, A NOBLE RECEPTION (1525)
Museum of Islamic Art, Cairo

Kiedy będzie z Warszawie
to napiszę – może na poczt-
kartce lipca zjedziemy się
jakoś, albo ja do Was –
albo Ty – do Cystochowy,
dwyślicie uściskam od
Ciebie – i bądź zdrowa
i nie pracuj za dużo
i nie opalaj się za mocno
Pozdrowienia dla p. Danysiowej
Ciebie mocno całuję
Halina

EXCLUSIVELY FOR H. GEORGE CASPARI, INC.
Sole Agent and Distributor for the U.S.A.
PF 72
Printed in Germany

[Kraków] 21 XI 1965

Byłam wczoraj w Warszawie, wyjechałam rano o ósmej, a wieczorem o 8 byłam już w domu. Najpierw kazałam się zawieźć do Grand Hotelu – zjadłam cudowny obiad, zrobiłam konspekt

konspektu pracy, bo w Częstochowie już nie zdążyłam. Pojechałam taksówką, a jakże, do pani Ossowskiej – gadałam trzy godziny – to bardzo wspaniała kobieta – duża i mądra. Będę więc pisać monografię o Kingu – z częścią analityczną, jak najbardziej – chciałam się wykręcić, ale powiedziała, że jak to ma być praca doktorska – to część analityczna musi być. [...] Prawda, ładnie? Ustaliłyśmy, że mam przeczytać książki pani Ossowskiej, trochę Moore'a, trochę Kołakowskiego itd. – skonspektować Kinga i wrócić za dwa miesiące. Zgodziła się prowadzić tę pracę. [...] Książka z wierszami [*Oda do rąk*] już się drukuje i chyba lada dzień przyślą mi korektę. Chyba w styczniu wyjdzie.

[Kraków] środa, 25 I 1967

Anni Kochana!

Wyrzuty mam sumienia, że o Ciebie nie dbam; całe szczęście, że ty masz inny charakter i że się nawet o takie coś niewdzięczne jak ja nie przestajesz troszczyć. [...] Profesor ostatnio był na mnie zagniewany, może nie tyle zagniewany, ile że mi nie dowierza i prawdę powiedzieć mi postanowił. A ta prawda to właśnie to, co Ty już dawno wymyśliłaś a ja wiem – że zastawki mi się znowu zrujnowały do poprzedniego stanu i od nowa nadaję się na operację. Tylko, że on już by nie chciał – a zatem pracę mam rzucić i w fotelu zacząć siedzieć. Niedoczekanie jego! I takeśmy się rozstali niezbyt wdzięcznie.

Książkę wydali [*Opowieść dla przyjaciela*], jak Boga kocham, nareszcie. Błękitna jak nieszczęście i niezbyt rzucająca się w oczy. I te 8 tysięcy egzemplarzy. Starczy dla wszystkich krewnych i znajomych królika i jeszcze co zostanie. Nie posyłam Ci, bo dostałam tylko dwa egzemplarze, a resztę chyba za miesiąc.

[...] Słuchaj, Kochanie, co Ty robisz na uparcie bolącą wątrobę – nie mam na tę cholerę rady. Dieta-cud nie chce pomagać. Jak u Ciebie z nogami? I w ogóle podziel się objawami i udział weź w wyścigu

zdrowia. Kto pierwszy – do nowej zagranicznej podróży, no kto? A profesorowi prześlemy pocztówkę...

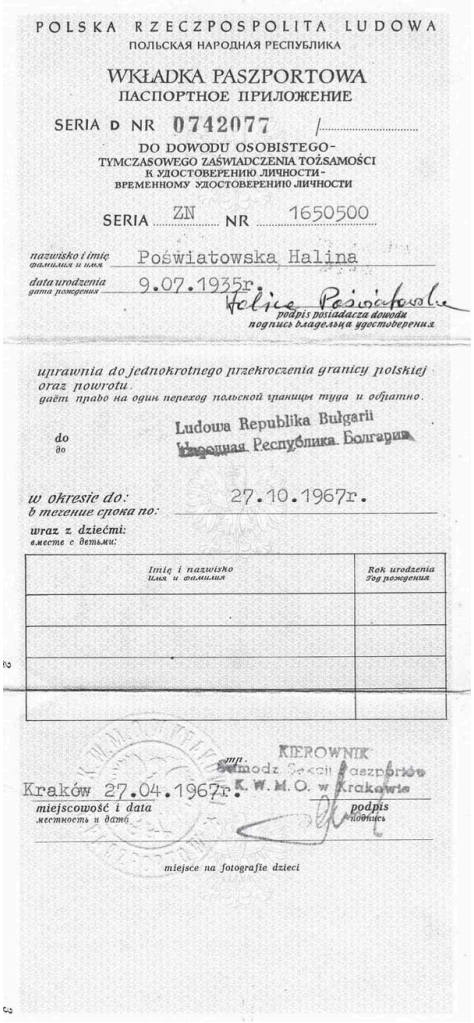

POLSKA RZECZPOSPOLITA LUDOWA
ПОЛЬСКАЯ НАРОДНАЯ РЕСПУБЛИКА

WKŁADKA PASZPORTOWA
ПАСПОРТНОЕ ПРИЛОЖЕНИЕ

SERIA D NR 0742077 /.....

DO DOWODU OSOBISTEGO -
TYMCZASOWEGO ZAŚWIADCZENIA TOŻSAMOŚCI
К УДОСТОВЕРЕНИЮ ЛИЧНОСТИ -
ВРЕМЕННОМУ УДОСТОВЕРЕНИЮ ЛИЧНОСТИ

SERIA ZN NR 1650500

nazwisko i imię / фамилия и имя: Poświatowska Halina
data urodzenia / дата рождения: 9.07.1935r.
podpis posiadacza dowodu / подпись владельца удостоверения: Halina Poświatowska

uprawnia do jednokrotnego przekroczenia granicy polskiej oraz powrotu
даёт право на один переход польской границы туда и обратно.

do / до: Ludowa Republika Bułgarii / Народная Республика Болгария

w okresie do: / в течение срока по: 27.10.1967r.

wraz z dziećmi: / вместе с детьми:

Imię i nazwisko / Имя и фамилия	Rok urodzenia / Год рождения

mp. KIEROWNIK
Wydz. Spraw Paszportów
K. W. M. O. w Krakowie

Kraków 27.04.1967r.
miejscowość i data / местность и дата

podpis / подпись

miejsce na fotografie dzieci

[Kraków] 1 III 1967

Dzisiaj i jutro zaordynowałam sobie fajne leżenie w pościeli – dzisiaj od południa, bo do południa miałam ćwiczenia. Mam jedną Murzynkę z głębokiej afryki i właśnie eksperymentuję – nauczę ją filozofii czy nie. łamanym francuskim (ona tym mówi) wytłumaczyłam jej, żeby sobie z jagiellonki wypożyczyła Historię filozofii po francusku, no i wypadałoby się tego francuskiego (mnie!)

nauczyć, bo inaczej to jej nie będę mogła odpytać. Widzisz, jakie problemiska.

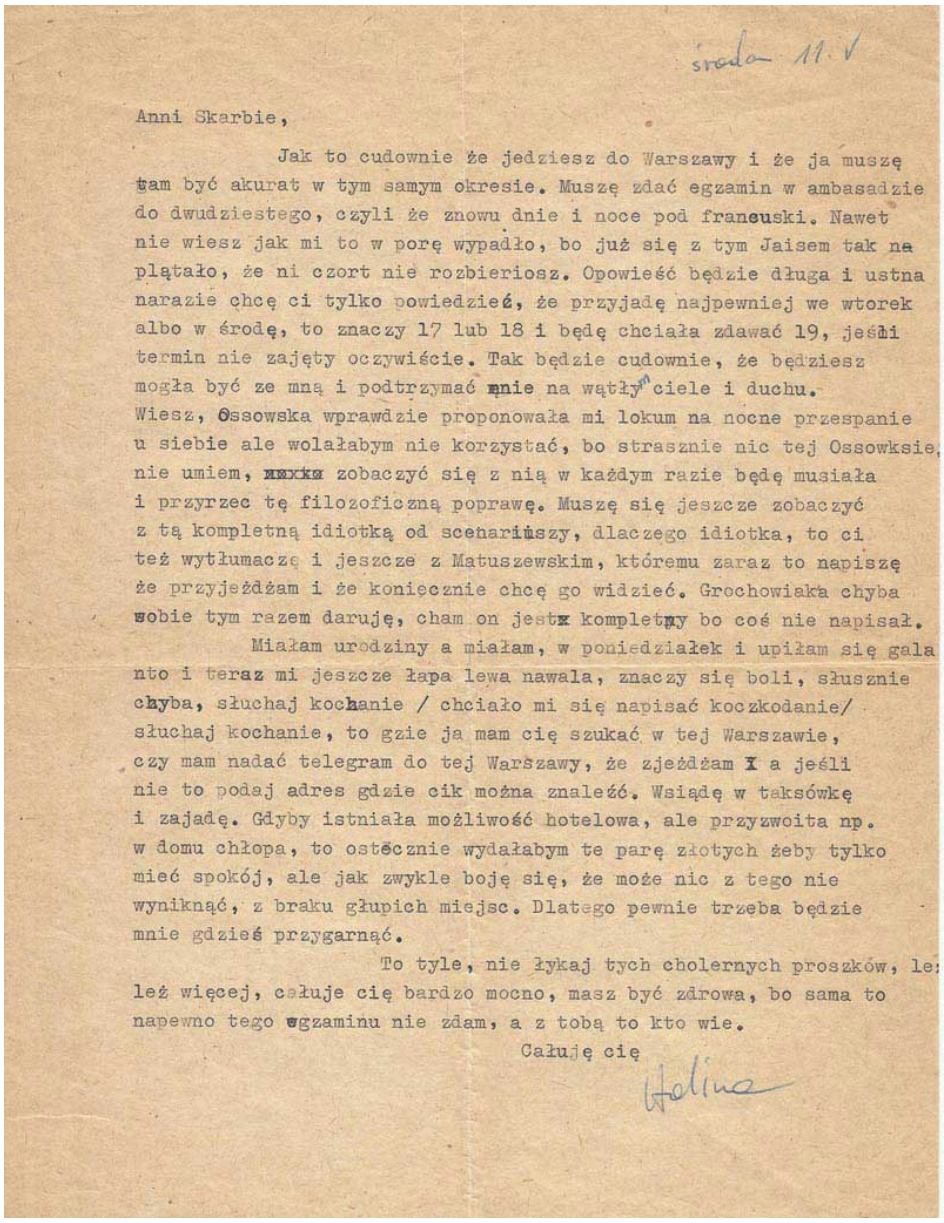

środa 11.V

Anni Skarbie,

Jak to cudownie że jedziesz do Warszawy i że ja muszę tam być akurat w tym samym okresie. Muszę zdać egzamin w ambasadzie do dwudziestego, czyli że znowu dnie i noce pod francuski. Nawet nie wiesz jak mi to w porę wypadło, bo już się z tym Jaisem tak na plątało, że ni czort nie rozbieriosz. Opowieść będzie długa i ustna narazie chcę ci tylko powiedzieć, że przyjadę najpewniej we wtorek albo w środę, to znaczy 17 lub 18 i będę chciała zdawać 19, jeśli termin nie zajęty oczywiście. Tak będzie cudownie, że będziesz mogła być ze mną i podtrzymać mnie na wątły ciele i duchu. Wiesz, Ossowska wprawdzie proponowała mi lokum na nocne przespanie u siebie ale wolałabym nie korzystać, bo strasznie nic tej Ossowksie nie umiem, zobaczyć się z nią w każdym razie będę musiała i przyrzec tę filozoficzną poprawę. Muszę się jeszcze zobaczyć z tą kompletną idiotką od scenariuszy, dlaczego idiotka, to ci też wytłumaczę i jeszcze z Matuszewskim, któremu zaraz to napiszę że przyjeżdżam i że koniecznie chcę go widzieć. Grochowiaka chyba sobie tym razem daruję, cham on jest kompletny bo coś nie napisał.

Miałam urodziny a miałam, w poniedziałek i upiłam się gala nto i teraz mi jeszcze łapa lewa nawala, znaczy się boli, słusznie chyba, słuchaj kochanie / chciało mi się napisać koczkodanie/ słuchaj kochanie, to gzie ja mam cię szukać w tej Warszawie, czy mam nadać telegram do tej Warszawy, że zjeżdżam I a jeśli nie to podaj adres gdzie cik można znaleźć. Wsiądę w taksówkę i zajadę. Gdyby istniała możliwość hotelowa, ale przyzwoita np. w domu chłopa, to ostecznie wydałabym te parę złotych żeby tylko mieć spokój, ale jak zwykle boję się, że może nic z tego nie wyniknąć, z braku głupich miejsc. Dlatego pewnie trzeba będzie mnie gdzieś przygarnąć.

To tyle, nie łykaj tych cholernych proszków, le: leż więcej, całuje cię bardzo mocno, masz być zdrowa, bo sama to napewno tego egzaminu nie zdam, a z tobą to kto wie.

Całuję cię

Halina

[Kraków] 4 V 1967

Poszłam dzisiaj do profesora [...]. Jakoś na chwilę odwróciłam jego uwagę od całej rozległej ludzkości i skierowałam na Poświatowską,

a dokładnie na te jej części, co boleć lubią. Posłuchał serca, wątroby, płucek (kaszelek jest, a jakże). Pojadę do domu ze zwolnieniem, żeby sobie tydzień odpocząć, a w końcu maja mam się zgłosić na malutkie leżenie. Będą nade mną konsylia odbywać profesor z doc. Królem [doc. Władysław Król] [...]. Smutne, co? [...] – to szpitalne leżenie. Żeby ot jeszcze w twym, kochanie, przyzwoitym towarzystwie. Widzisz, jak niepobożnie wzdycham.

[Kraków] wtorek, czerwiec 1967

Anni, Skarbie,

Rozchorowali mnie w tym szpitalu na dobre – głowa boli i wątroba boli i serce boli i smutek żre i perspektywy ciemne – a jaśniejszych nie widać. Profesor nie chce słyszeć o rychłym mnie uwolnieniu i króluje pośród białaczek i niedomóg serca (ale jakich!). I czuję jak mi się wszystko gwałtownie udziela. Ratuj psychicznie i terapeutycznie!

[Kraków] niedziela, sierpień 1967

Czekamy z profesorem na Króla, potem pewnie będziemy czekać na Sitkowskiego [doc. Wacław Sitkowski], potem już nie wiem, na kogo. Trochę mi się to czekanie przestaje podobać. Skołowana chodzę od luminalu kompletnie, śpię dużo, ale w nieuchwytny sposób przygnębia mnie to bezcelowe dni mijanie. Nie piszę pamiętnika, ani wierszyków, ani powieści na motywach autobiograficznych. Także nie czytam dzieł i dziełek filozoficznych, nie zastanawiam się nad metafizycznymi problemami. Jeszcze dużo rzeczy robię... [...] Profesor [...] miał telewizję w klinice. Kręcili telewizyjny programik i to na teletaśmie. Biblioterapię, zajęcioterapię – to pani bibliotekarka, potem gimnastykę, potem – samego profesora, potem profesora na tle

asystentów, na tle ogródka, na tle chorych itd. Wszyscy mieli czyste piżamy, ciekawie było.

[Kraków] 14. IX. 1967

Anni Najmilsza,

Zjeżdżamy do Warszawy we wtorek, najdalej w środę – termin mamy 20 września. Dziś właśnie zadzwonił docent Sitkowski i kazał mi się zjawić. Profesor ma przyjechać na sam zabieg – tak chyba najrozsądniej, wystarczająco dużo pracy ma tutaj [...]. Przyjedziesz, Anni, prawda, że przyjedziesz?

Podła jestem, że Ci dostarczam takich piekielnych emocji, ale Najmilsza, to chyba bardzo zdroworozsądkowo zgodzić się było, prawda? [...]

Moje kochanie, bądź zdrowa, całuję Cię mocno

Halina

Mamę Twoją pozdrawiam.

IRENEUSZ MORAWSKI

PRZYJACIEL HALINY POŚWIATOWSKIEJ,
ADRESAT *OPOWIEŚCI DLA PRZYJACIELA*

Po zdaniu matury we Wrocławiu w roku 1953, do kwietnia roku 1957 mieszkałem w Częstochowie, w dzielnicy Raków, więc tam, gdzie była kiedyś wielka i ważna Huta im. Bolesława Bieruta, czyli ładnych kilka kilometrów od centrum, od ulicy Jasnogórskiej, gdzie mieszkała Halina, i od ulicy (już nie pamiętam nazwy), gdzie mieszkał Andrzej [Rajcher], z którym w roku bodajże 1955 zaprzyjaźniłem się w sposób znaczny i znaczący. [...] Andrzej nie pracował, chciał być pisarzem, dużo czytał i miał dużo czasu. Przyjeżdżał do mnie. [...]

Rok później był słynny Październik z Gomułką. Jeździliśmy z Andrzejem na jakieś spotkania do Katowic, chodziliśmy na spotkania do Klubu Inteligencji, może Inteligencji Młodej... Planowano stworzenie pisma, żeby w nim lokować młode produkcje społeczno-literackie, i stworzono pismo „Lewary”, którego wyszły chyba i ze dwa numery.

Zaprosił mnie Andrzej na spotkanie z poetką Haliną Poświatowską. Podobno ma lat dwadzieścia jeden i już

jest wdową, zdaje się, że ma chore serce, ale pisze wiersze i może być ciekawie.

Ireneusz Morawski, połowa lat pięćdziesiątych

Poszliśmy. Prowadzący wieczór Tadeusz Gierymski chyba pochodził z tych samych stron co prymas

Wyszyński, bo też nie wymawiał wygłosowych „kie” i „gie”, jeno mówił: „życie take długe”, i w ten sposób zaczął czytać wiersze Haliny. Wiersze te zostały mu natychmiast z ręki wyrwane, przedtem rozległ się chyba ten jej dojmujący śmiech i Halina zaczęła czytać sama, ale szło jej to z trudem, po prostu brakowało powietrza. Niewykluczone, że my jeszcze nadymiliśmy w tej sali, tej niedużej salce.

Moje wspomnienia z tego wieczoru? Dotkliwe cierpienie przy wrażeniu braku oddechu u tej dziewczyny, autentyczny żal pana Gierymskiego, bo ja bym nie umiał się tak z nim obejść, i wspomnienie takiego wiersza, gdzie się powtarzało: „Szept, szept, szept” [*Nad Heloizą*] – to robiło wrażenie w jej wykonaniu.

Spytałem, czy te wiersze są technicznie dobrze zapisane, bo miałem już pewien pomysł. Powiedziała: „No, jak te, proszę zobaczyć”. „Maszynopis”, szepnął Andrzej.

Dostałem chyba z pięć tych wierszy, bo miałem już kontakty z Młodą Inteligencją Wrocławia i z nowym pismem „Poglądy”. Wyobraziłem sobie, że...

Ale wtedy modna była przelana tragicznie węgierska krew powstańcza, wtedy zaczynał być modny egzystencjalny smutek, proza Hłaski i inni. [...]

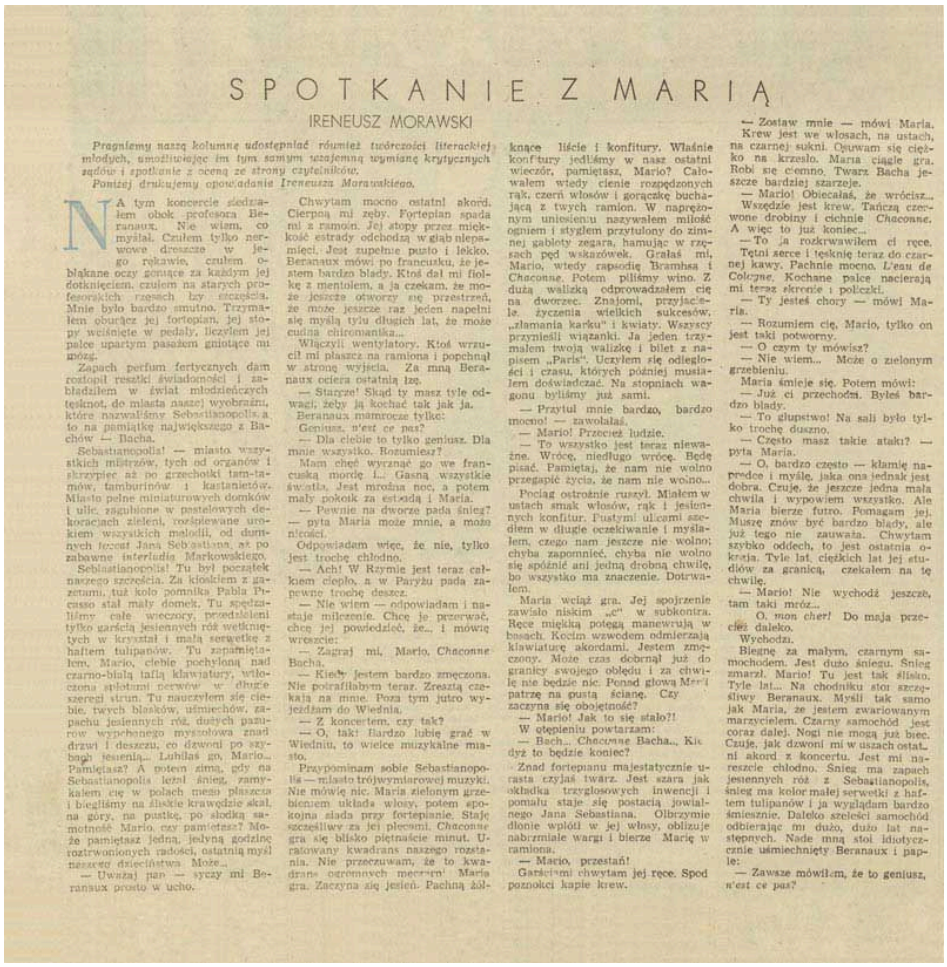

SPOTKANIE Z MARIĄ

IRENEUSZ MORAWSKI

Pragniemy naszą kolumnę udostępniać również twórczości literackiej młodych, umożliwiając im tym samym szerszą wymianę krytycznych sądów i spotkanie z oceną ze strony czytelników.

Poniżej drukujemy opowiadanie Ireneusza Morawskiego.

NA tym koncercie siedziałem obok profesora Beranaux. Nie wiem, co myślał. Czułem tylko nerwowe dreszcze w jego rękawie, czułem oblakane oczy goniące za każdym jej dotknięciem, czułem na starych profesorskich rzęsach łzy szczęścia. Mnie było bardzo smutno. Trzymałem obuńczę jej fortepian, jej stopy wciśnięte w pedały, liczyłem jej palce upartym paseżem gniotące mi mózg.

Zapach perfum fertycznych dam rozlopił resztki świadomości i zabladziłem w świat młodzieńczych tęsknot, do miasta naszej wyobraźni, które nazwaliśmy Sebastianopolis, a to na pamiątkę największego z Bachów — Bacha.

Sebastianopolis! — miasto wszystkich mistrzów, tych od organów i skrzypiec aż po grzechotki tam-tamów, tamburinów i kastanietów. Miasto pełne miniaturowych domków i ulic, zagubione w pastelowych dekoracjach zieleni, rozśpiewane urokiem wszystkich melodii, od dumnych fuccat Jana Sebastiana, aż po zabawne *interludia* Markowskiego.

Sebastianopolis! Tu był początek naszego szczęścia. Za kioskiem z gazetami, tuż koło pomnika Pabla Picasso stał mały domek. Tu spędziliśmy całe wieczory, przedzieleni tylko garścią jesiennych róż wetkniętych w kryształ i małą serwetkę z haftem tulipanów. Tu zapamiętałem, Mario, ciebie pochyloną nad czarno-białą taflą klawiatury, wtłoczoną splotami nerwów w długie szeregi virtu. Tu nauczyłem się ciebie, twych blasków, uśmiechów, zapachu jesiennych róż, dużych pazurów wypchanego myszołowa znad drzwi i deszczu, co dzwoni po szybach jesienią... Lubiłaś go, Mario... Pamiętasz? A potem zima, gdy na Sebastianopolis leżał śnieg, zamykałem cię w polach mego płaszcza i biegliśmy na złakte krawędzie skał, na góry, na pustkę, po słodką samotność Mario, czy pamiętasz? Może pamiętasz jedną, jedyną godzinę roztrwonionych radości, ostatnią myśl naszego dzieciństwa. Może...

— Uważaj pan — syczy mi Beranaux prosto w ucho.

Chwytam mocno ostatni akord. Cierpną mi zęby. Fortepian spada mi z ramion. Jej stopy przez miękkość estrady odchodzą w głąb niepamięci. Jest zupełnie pusto i lekko. Beranaux mówi po francuzku, że jestem bardzo blady. Ktoś dał mi flolkę z mentolem, a ja czekam, że może jeszcze otworzy się przestrzeń, że może jeszcze raz jeden napełni się myślą tylu długich lat, że może cudna chiromantka...

Włączyli wentylatory. Ktoś wrzucił mi płaszcz na ramiona i popchnął w stronę wyjścia. Za mną Beranaux ociera ostatnią łzę.

— Starzyc! Skąd ty masz tyle odwagi, żeby ją kochać tak jak ja.

Beranaux mamrocze tylko:

Geniusz, n'est ce pas?

— Dla ciebie to tylko geniusz. Dla mnie wszystko. Rozumiesz?

Mam chęć wyznać go we francuską mordę L.. Gasną wszystkie światła. Jest mroźna noc, a potem mały pokoik za estradą i Maria.

— Pewnie na dworze pada śnieg? — pyta Maria może mnie, a może nieości.

Odpowiadam więc, że nie, tylko jest trochę chłodno.

— Ach! W Rzymie jest teraz cudnie ciepło, a w Paryżu pada zapewne trochę deszcz.

— Nie wiem — odpowiadam i nastaje milczenie. Chcę je przerwać, chcę jej powiedzieć, że... i mówię wreszcie:

— Zagraj mi, Mario, *Chaconne* Bacha.

— Kiedy jestem bardzo zmęczona. Nie potrafiłabym teraz. Zresztą czekają na mnie. Poza tym jutro wyjeżdżam do Wiednia.

— Z koncertem, czy tak?

— O, taki bardzo lubię grać w Wiedniu, to wielce muzykalne miasto.

Przypominam sobie Sebastianopolis — miasto trójwymiarowej muzyki. Nie mówię nic. Maria zielonym grzebieniem układa włosy, potem spokojna siada przy fortepianie. Staję szczęśliwy za jej plecami. *Chaconne* gra się blisko piętnaście minut. Ukończony kwadrans naszego rozstania. Nie przeczuwam, że to kwadrans ogromnych mocy... Maria gra. Zaczyna się jesień. Pachną żółknące liście i konfitury. Właśnie konfitury jedliśmy w nasz ostatni wieczór, pamiętasz, Mario? Całowałem wtedy cienie rozpędzonych rąk, czerń włosów i gorączkę buchającą z twych ramion. W naprężonym uniesieniu nazywałem miłość ogniem i stylem przytulony do zimnej gabloty zegara, hamując w rzęsach pęd wskazówek. Grałaś mi, Mario, wtedy rapsodię Bramhsa i *Chaconne*. Potem piliśmy wino. Z dużą walizką odprowadziłem cię na dworzec. Znajomi, przyjaciele życzenia wielkich sukcesów, „złamania karku" i kwiaty. Wszyscy przynieśli wiązanki. Ja jeden trzymałem twoją walizkę i bilet z napisem „Paris". Uczyłem się odległości i czasu, których później musiałem doświadczać. Na stopniach wagonu byliśmy już sami.

— Przytul mnie bardzo, bardzo mocno! — zawołałaś.

— Mario! Przecież ludzie.

— To wszystko jest teraz nieważne. Wrócę, niedługo wrócę. Będę pisać. Pamiętaj, że nam nie wolno przegapić życia, że nam nie wolno...

Pociąg ostrożnie ruszył. Miałem w ustach smak włosów, rąk i jesiennych konfitur. Pustymi ulicami szedłem w długie oczekiwanie i myślałem, czego nam jeszcze nie wolno; chyba zapomnieć, chyba nie wolno się spóźnić ani jednej drobnej chwili, bo wszystko ma znaczenie. Dotrwałem.

Maria wciąż gra. Jej spojrzenie zawisło niskim „c" w subkontra. Ręce miękką potęgą manewrują w basach. Kocim wzwodem odmierzają klawiaturę akordami. Jestem zmęczony. Może czas dobrnąć już do granicy swojego obłędu i za chwilę nie będzie nic. Ponad głową Marii patrzę na pustą ścianę. Czy zaczyna się obojętność?

— Mario! Jak to się stało?!

W otępieniu powtarzam:

— Bach... *Chaconne* Bacha... Kiedyż to będzie koniec?

Znad fortepianu majestatycznie urasta czyjaś twarz. Jest szara jak okładka trzygłosowych inwencji i pomału staje się postacią jowialnego Jana Sebastiana. Olbrzymie dłonie wplótł w jej włosy, oblizuje nabrzmiałe wargi i bierze Marię w ramiona.

— Mario, przestań!

Garściami chwytam jej ręce. Spod paznokci kapie krew.

— Zostaw mnie — mówi Maria. Krew jest we włosach, na ustach, na czarnej sukni. Ojawam się ciężko na krzesło. Maria ciągle gra. Robi się ciemno. Twarz Bacha jeszcze bardziej szarzeje.

— Mario! Obiecałaś, że wrócisz...

Wszędzie jest krew. Tańczą czerwone drobiny i cichnie *Chaconne*. A więc to już koniec...

— To ja rozkrwawiłem ci ręce.

Tętni serce i tęsknię teraz do czarnej kawy. Pachnie mocno. *L'eau de Cologne*. Kochane palce nacierają mi teraz skronie i policzki.

— Ty jesteś chory — mówi Maria.

— Rozumiem cię, Mario, tylko on jest taki potworny.

— O czym ty mówisz?

— Nie wiem... Może o zielonym grzebieniu.

Maria śmieje się. Potem mówi:

— Już ci przechodzi. Byłeś bardzo blady.

— To głupstwo! Na sali było tylko trochę duszno.

— Często masz takie ataki? — pyta Maria.

— O, bardzo często — kłamię naprędce i myślę, jaka ona jednak jest dobra. Czuję, że jeszcze jedna mała chwila i wypowiem wszystko. Ale Maria bierze futro. Pomagam jej. Muszę znów być bardzo blady, ale już tego nie zauważa. Chwytam szybko oddech, to jest ostatnia okazja. Tyle lat, ciężkich lat jej studiów za granicą, czekałem na tę chwilę.

— Mario! Nie wychodź jeszcze, tam taki mróz...

O, *mon cher!* Do mają przecież daleko.

Wychodzi.

Biegnę za małym, czarnym samochodem. Jest dużo śniegu. Śnieg zmarzł. Mario! Tu jest tak ślisko. Tyle lat... Na chodniku stoi szczęśliwy Beranaux. Myśli tak samo jak Maria, że jestem zwariowanym marzycielem. Czarny samochód jest coraz dalej. Nogi nie mogą już biec. Czuję, jak dzwoni mi w uszach ostatni akord z koncertu. Jest mi nareszcie chłodno. Śnieg ma zapach jesiennych róż z Sebastianopolis, śnieg na kolor małej serwetki z haftem tulipanów i ja wyglądam bardzo śmiesznie. Daleko szeleści samochód odbierając mi dużo, dużo lat następnych. Nade mną stoi idiotycznie uśmiechnięty Beranaux i pyta:

— Zawsze mówiłem, że to geniusz, n'est ce pas?

Andrzej zaproponował, że odprowadzimy panią do domu. Pan Gierymski chyba się ucieszył...

Wyszliśmy. Pani Halina znalazła się pomiędzy Andrzejem a mną... „Kolegę trzeba wziąć pod rękę", powiedział Andrzej. Pytanie: „Dlaczego?". Spojrzała na mnie i powiedziała: „Aha". Dopiero wtedy zorientowała się, że nie widzę.

Powinienem do końca życia pamiętać, o czym rozmawialiśmy. Andrzej, który chciał zostać pisarzem, ja, który miałem już coś tam popisane, i poetka, która wracała ze swojego pierwszego koncertu. Niestety! Nie

pamiętam nic. Pamiętam, że ten listopadowy wieczór był całkiem ciepły, padał drobniutki, ciepły deszczyk. Latem w taki wieczór można się spodziewać inwazji komarów, a my szliśmy bardzo wolno, bo takie tempo podawało nam jej serce. Do czasu wyjazdu do Ameryki zawsze chodziliśmy bardzo wolno i lubiliśmy spacery właśnie w czasie deszczu. Przypuszczam, że idąc tą drogą, obgadywaliśmy uczestników tego wieczoru, przybliżając Halinie Młodych Inteligentów, o których już coś wiedzieliśmy. [...]

Przed domkiem na Jasnogórskiej 23 powitało nas szczekanie Baryłki, a w domku – mama. O matce Haliny Poświatowskiej też ktoś powinien napisać książkę. Na pewno siedząc przy ich masywnym – choć chyba na jednej nodze – stole, rozmawialiśmy jeszcze o minionym wieczorze autorskim, o będących tam ludziach, o przebiegu i na pewno o wierszach pani Haliny.

Mama pani Haliny mówiła krótkimi zdaniami, głosem bardzo dobitnym, tonem apodyktycznym, a Halina często była na nie. Kiedy mama chciała ją położyć, bo była zmęczona po przeżyciach i spacerze, to ona chciała koniecznie siedzieć z nami przy stole. Kiedy mama powiedziała, że z powodu Hasi mąż z paleniem wychodzi na dwór, to ona wołała, że bardzo lubi, gdy mężczyźni sobie zapalą.

Oczywiście nie paliliśmy. A w drugim pokoju było rozłożone „malowanie Adasia”, jak mówiła mama, i stało pianino, na którym kazano mi pobrzdąkać. I gdy skończyłem brzdąkanie, Andrzej powiedział: „Pokażę ci coś”. W tym drugim pokoju, niedaleko od tego pianina, zwinięta pod piecem leżała Halina. „Niech pan gra jeszcze”, poprosiła. [...]

W połowie stycznia ukazało się w „Kierunkach” moje opowiadanie *Spotkanie z Marią*, które Andrzej oczywiście natychmiast zaniósł do „pani Poświatowskiej”, jak się między nami mówiło, i oczywiście namawiał mnie, żebyśmy się tam jak najprędzej udali. Używał nawet pewnej kokieterii w stylu: „Pani Poświatowska jest w tobie zakochana. Bardzo chce cię znowu zobaczyć. Ciągle wspomina ten listopadowy wieczór”. Głośne wspominanie tak ciekawego wieczoru nie było, jak wnoszę z późniejszego, bliższego poznania Haliny, w jej stylu, a z „zakochaniem” pewnie też przesada. Chociaż w tym czasie pewnie była w tej Częstochowie bardzo samotna i nasze (Andrzeja i moje) towarzystwo było dla niej po prostu jakąś rozrywką w przebywaniu na tej ziemi. [...] A ja w marcu czy kwietniu wyjechałem do Wrocławia, żeby z moim przyjacielem (zupełnie innym Andrzejem) [Bartyńskim] przygotowywać się na polonistykę. W lipcu egzamin się zdał, zostaliśmy przyjęci i właśnie

teraz ojciec wezwał mnie z powrotem do Częstochowy. [...]

„Pani Poświatowska” właśnie wróciła skądeś tam, już nie wiem skąd, i teraz bywałem częściej na Jasnogórskiej 23. Nadal była „panią Haliną”, chodziliśmy na bardzo wolne spacery, w ciepłe przedpołudnia leżała w hamaku. Lubiła, żeby ten hamak wędrował z nią z prawa na lewo. Lubiliśmy też spacery w łagodnym deszczu, choć mama krzyczała, że Haśka znowu się przeziębi. Zdaje się, że to wtedy podjęliśmy próby czytania Apolinaire’a w oryginale, ale szło to nam byle jak. Andrzej czasem bywał, czasem go nie było. Pamiętam też, że upierała się, żebyśmy poszli do kawiarni. Broniłem się przed takim spacerem, bo przecież w kawiarniach pełno dymu, ale ona twierdziła, wręcz wołała, że jej to nie przeszkadza.

Mijał wrzesień i minął. Andrzej pojechał do Warszawy chyba szukać pracy i szczęścia. Nasz kontakt się urwał, a przy pożegnaniu z „panią Poświatowską” obiecaliśmy sobie wymianę listów. [...]

Wyjechałem na studia do Wrocławia. Był to październik roku 1957, nadal zachłyśnięcie się czarem wolności [...]. W listach Haliny (już nie była panią, już pisaliśmy sobie po imieniu, a najczęściej tak jakoś bezosobowo, i nie mam pojęcia, dlaczego akurat tak), w tych listach pojawił się wątek wyjazdu do Ameryki i operacji. Ja ową Amerykę nazwałem „Ziemią

Obiecaną” i chyba (przecież nie bardzo pamiętam te moje listy, które przeczytałem jeno raz i to przeszło dwadzieścia lat temu), zdaje się, że w tych listach z tej Ziemi Obiecanej miała powrócić odnowiona i szczęśliwa, a kiedy indziej znowu dowodziłem, że będzie zdrowa i zobaczy, że wszystko jest tak samo, czyli w podtekście, że byle jak. Mogło być tak, jak mówię, mogło być trochę inaczej, ale było mniej więcej w tym duchu. Zdaje się, że te listy niosące wiatr smutku i melancholijnej beznadziei bardziej się podobały, bardziej odpowiadały przekorności jej duszy. Ale przecież to już pięćdziesiąt lat temu. [...]

W roku akademickim 1957/1958 dość często przyjeżdżałem do Częstochowy, do ojca, który bardzo na mnie czekał. Haliny często nie było w Częstochowie, ale pamiętam, że jakoś udało się nam spotkać w okolicy Bożego Narodzenia, a potem na Wielkanoc. [...]

Na Wielkanoc roku 1958 była przepiękna pogoda i nie wiem, jakim sposobem, nie wiem, czyim samochodem pojechaliśmy do jakiegoś lasku, robiliśmy zdjęcia, których pewnie nie ma nikt, i wtedy była z nami pani Anna Orłowska – cicha, nieduża, spokojna... Poznałem jedną jedyną przyjaciółkę Haliny poznaniem zresztą bardzo krótkim i przelotnym. [...]

W końcu czerwca roku 1958 znowu byłem w Częstochowie. Może był to nawet dzień św. Ireneusza, a może Piotra i Pawła. Halina chyba

wczesnym popołudniem przyjechała do mnie, do mojego mocno zaniedbanego mieszkania na Rakowie. Zmęczona „podróżą” natychmiast położyła się na tapczanie. Usiadłem przy niej, żeby ją choćby pogłaskać, żeby jej było przyjemniej odpoczywać, i wtedy po raz kolejny doznałem przerażenia, słysząc, czując uderzenia jej serca. To było parę sekund ciszy i jedno gwałtowne kopnięcie gdzieś w piersi, i znowu cisza. Odczuwałem to ja, słyszał to mój stary mebel, na którym leżała. Wolno mi było trzymać rękę na tym tłukącym się sercu...

Byliśmy sami. [...]

Wciąż trwał w mojej (nazwijmy to) pamięci i trwa nadal ten dojmujący ni to szept, ni to wysoko dźwięczący dźwięk jej głosu, który w jakimś momencie cicho, jakby z głębi tej istoty powiedział: „Chcę żyć”. Nienaturalnie chore serce jak nienaturalny wielki ptak tłukło się w klatce, za parę tygodni przeprawa przez pięć tysięcy kilometrów oceanu, bardzo groźna i ryzykowna operacja... Zabrakło mi oddechu i słów, więc dopiero po nie pamiętam jak długiej chwili obiecałem jej, że wszystko to przeżyje, bo jest dzielna jak nikt na świecie całym, i czułem, że mówię prawdę, choć przecież żadna pewność nie jest zupełnie pewna aż do końca. Przecież obiecałem jej, że przyjedzie z powrotem z tej Ziemi Obiecanej. „A ty będziesz mnie

cały czas pilnował”. Stawiam tu kropkę, bo to było trochę jakby pytanie, trochę wyznanie czy zachęta...

Nie mieliśmy się już spotkać przed jej odjazdem. Żegnaliśmy się zwyczajnie, tak jak „do jutra”, ale całując na pożegnanie jej łepek, poprosiłem o wiersz tylko dla mnie. [...]

Za dzień czy dwa znowu wyjechałem z Częstochowy. Piątego lipca wyjeżdżaliśmy (dziewczyny, kumple i ja) na studencki obóz do Pokrzywnej koło Głuchołaz, więc jeszcze przed tym wyjazdem dostałem list i wiersz, który nazywał się chyba *Misterium z Szekspirem* i uzupełnienie (wiersz zaręczynowy) [*Na dzień zaręczyn (misterium z Szekspira)*].

W wierszu był Otello i Desdemona... Oczywiście aluzje do tej szekspirowskiej sztuki... Nigdy nie zrozumiałem znaczeń jego zawartości, ale wiedziałem, że owo „zaręczynowy” nie odnosi się do tamtego czerwcowego wieczoru. Były to raczej aluzje czy reminiscencje związane z jej małżeństwem, z wątkami zazdrości i zdrady.

Halina z rodziną wyjechała hen! na Hel do Jastarni, a ja hen! pod czeską granicę. Na tym obozie trwałem w jakimś może obłędzie – euforia, radość, smutek, uczucie jakiegoś uwolnienia, pełnia nienazwanych, nieuświadomionych co do istoty nadziei, ale w sumie jednak jak gdyby poczucie Szczęścia... Nigdy w następnych latach nie chciałem już tam wrócić, żeby nie zepsuć sobie pamięci tej zaczarowanej atmosfery. Do tego dostałem też jako pierwszy krótki list, list na dwóch cieniutkich bibułkach, a na tej cieniutkiej bibułce napisano: „Kocham”. Do tego w wolnych chwilach czytaliśmy głośno *Łuk Triumfalny* Remarque’a, dzieło jakże pogłębiające zwariowanie uczuć. Zdaje się, że nie mam już tych bibułek. Zdaje się, że je celowo zgubiono. [...]

W Częstochowie, w końcu czerwca, pożegnaliśmy się do dnia jej powrotu z Ameryki, a w Pokrzywnej w końcu lipca postanowiłem pojechać w dniu 9 sierpnia do Gdyni. Miałem wtedy całe 700 złotych, byłem

bogaty i namówiłem przyjaciela-poetę Krzysztofa [Coriolana], żeby pojechał ze mną. [...]

Od rana, a może i od dni kilku padał obrzydliwy deszcz, było zimno i źle.

Halina przybyła na Dworzec Morski oczywiście wraz z rodziną, ale też i w otoczeniu licznej gromady jakichś panów. Nie pamiętam, kto to zaaranżował, pewnie ona, że na dużej walizce usiedliśmy obok siebie, naprzeciwko tego całego tłumku, który stał właśnie na schodkach do tego dworca, trzymaliśmy się za ręce, a ona, tym tęskniącym do „być aktorką”, przenikającym do szpiku głosem recytowała, półszeptała, mówiła – co? Mówiła z pamięci fragmenty listów Ireneusza do Haliny Poświatowskiej. Nie wiem, nie rozumiem, czemu było tak, ale ilekroć byliśmy razem, stawałem się najważniejszy, miałem w każdym razie takie przekonanie. Nikomu innemu nie pozwalała, żeby mi nałożyć jedzonka na talerz. Ona nawet w nocy chciała odprowadzić mnie do tramwaju, ona...

Siedzieliśmy Najważniejszy obok Najważniejszej i na tej walizce w Gdyni rosło, pogłębiało się, coraz bardziej szalało moje szaleństwo!...

Z trudem docierało do mnie, że pani Mygowa chodzi na pertraktacje z lekarzem okrętowym, który absolutnie nie chciał zabrać takiej chorej, ale wiedziałem, że tej matce nie można nie ulec. I jednak w końcu przyszedł ten moment. Byłem bezradny jak potłuczone kocię,

zupełnie nie wiedziałem, jak się zachować i zachowywać, a kiedy przyszła chwila naprawdę pożegnania, pocałowałem ją w rękę... „No, przytul mnie i pocałuj!”.

I odeszła. [...]

List do Ameryki (*par avion*) leciał wtedy około dziesięciu dni, z Ameryki też dziesięć. Czasem prowadziliśmy wymianę, czasem gonitwę jeden za drugim. Pamiętam, że w każdym moim działaniu, w każdym zdarzeniu, w każdym zajęciu istniała uporczywa myśl o niej. [...]

A kiedy dostałem depeszę od p. Mygowej, że właśnie jest po [operacji serca], całymi nocami słuchałem Radia Wolna Europa, gdzie w audycji *Panorama Dnia* nadano raz czy może dwa razy wiadomość o tym wydarzeniu i przestano. A ja chciałem, żeby bez przerwy trwał raport o jej powrocie do zdrowia. Pamiętam, jakie było moje zdziwienie, kiedy pewnego dnia, jakoś całkiem niedługo po operacji, otrzymałem prawdziwy list od prawdziwej Haliny. Potem były wiadomości o jej chłodzeniu lodem, a potem, chyba mniej więcej w czasie świąt Bożego Narodzenia, „Przekrój” rozpisał się o Halinie. [...]

Wspomina się, że Halina była egoistyczna, egotyczna... Zapewne tak. Jej listy są prawie wyłącznie opowiadaniem siebie, swoich doznań wizualnych, nastrojów, emocji i uczuć, jeżeli między emocjami

a uczuciami istnieje jakaś różnica. Myślę, że owa egotyczność jest uzasadniona, bo wszak od lat całe funkcjonowanie jej domu i rodziny było podporządkowane jej potrzebom. [...]

Pisaliśmy nadal do siebie. Gdy dzisiaj próbuję ocenić wdzięk listów tych czasów, to stosunek Haliny do mnie był ciągle ten sam, a w każdym razie podobny do naszych początków. Ona potrzebowała korespondenta, któremu opowie siebie w danym dniu i godzinie, a ja dałem się wciągnąć w tę cudowną pułapkę, przed którą się broniłem, kiedy przyjaciel Andrzej mówił, że ty jesteś cholernie przystojny, że pani Poświatowska jest w tobie zakochana, że każe mi ciągle o tobie opowiadać i mam cię namówić, żebyś przyszedł do niej... [...] Coraz gorzej było mi w tej „Cudownej Pułapce". Chyba jest tak, że Miłość potrzebuje nadziei, rozwoju, potrzebuje jutra, a przyjaźni wystarczy tylko Kotwica, która utrzyma ją w miejscu.

Moja Miłość była bez jutra, a Kotwicy Przyjaźni nie czułem. Czułem, że spełniam postulat Haliny: „Jesteś mi potrzebny", ale zaczynałem nie móc sprostać tej Potrzebności. Ona bardzo chciała, żebym ją pokochał, bo tą drogą mogła tym bardziej mieć moją potrzebność. Zdaje się, że w ostatnim liście napisała, że Jesteś (to ja) drugą połową mojej duszy, takim lustrem, a może zwierciadłem, w którym dobrze się mojej duszy przeglądać. (Nie używam cudzysłowu, bo cytat jest

mało dokładny). I nieprawdą jest, że chciałem ją „z mięsa i z kości”, bo oczywiście chciałem, ale nie było to moim pragnieniem aż do bólu i najważniejszym. Chciałem, żebyśmy znowu byli po tej samej stronie, ale albo to było już niemożliwe, albo nie było już tej samej strony. [...]

Po jej powrocie z Ameryki w roku 1961 i 1962 spotykaliśmy się jeszcze parę razy. Nadal wolno mi było

trzymać rękę na jej sercu i zbliżyć się do blizn. Serce biło już zupełnie inaczej. Wolno mi było głaskać i co jeszcze... Pamiętam takie popołudnie, kiedy przyjechała do mnie na Raków. Na stole znalazła się butelka może wiśniowej nalewki. W radiu śpiewała Edith Piaf wchodzące w modę *Rien de rien* [*Non, je ne regrette rien*], Halina wypiła ze dwa kieliszki, ja oczywiście więcej... To zdaje się wtedy powiedzieliśmy sobie, że nie było między nami żadnych obietnic, więc... [...]

Było też takie spotkanie na Jasnogórskiej. Trzymając głowę na moich kolanach, oglądała Kabaret Starszych Panów, który – rzecz jasna – lubiliśmy obydwoje. Potem uparła się, że odprowadzi mnie do domu nocnym tramwajem. W temat wkroczył pan Feliks i to on ze mną pojechał. Kiedyś też do południa przyjechała do mnie i przeczytałem jej mój tekst chyba trochę poetycki, który nazywał się *Do Anny*, ale ona wolała moje groteski, takie bardziej wygłupy trochę literackie.

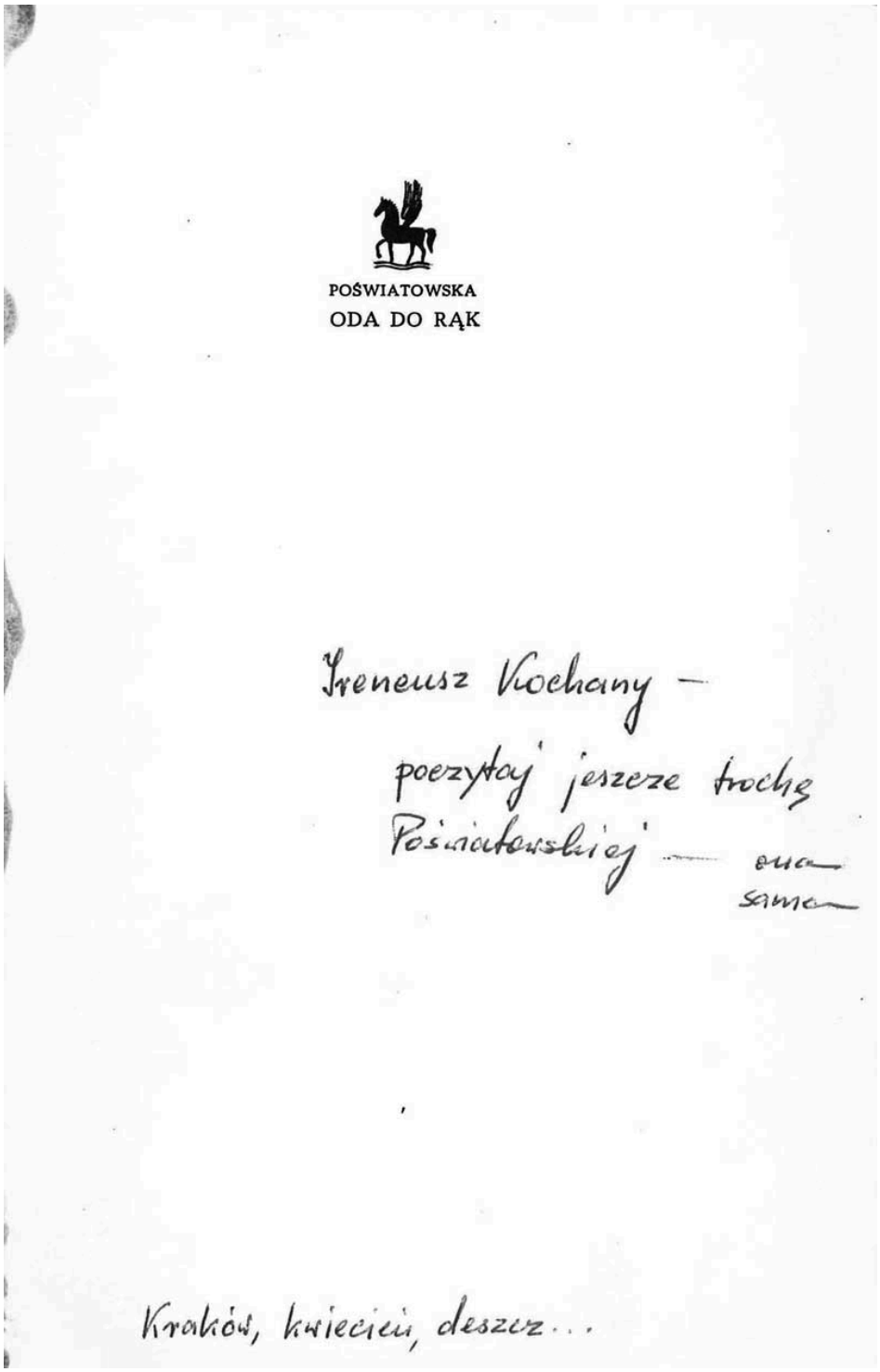

Był też taki drugi dzień świąt Bożego Narodzenia. Rok pewnie był 1961. Zupełnie nie pamiętam, jak i dlaczego znalazłem się na Jasnogórskiej. Do jedzenia

mieliśmy pieczonego indyka, cała rodzina poszła z wizytą do innej rodziny, byliśmy sami i całe dwie godziny, a może i dłużej, czytała mi Pounda po angielsku. Dzięki Ameryce i sobie wykonała stumilowy odskok ode mnie. W roku 1958 to ja radziłem sobie z językiem angielskim, a i po francusku umiałem może i kilkanaście zdań. A teraz? Pamiętam, że leżeliśmy obok siebie na tapczanie w poprzek, jakieś poduszki pod głową i... Pound? Po angielsku? Ho! Ho! Po polsku trzeba wysiłku, żeby to zrozumieć. Wyłapywałem znane mi słowa, ale słuchałem z napięciem czy natężeniem. Podobało mi się, że Halina znajduje się już na takim poziomie. [...]

W noc sylwestrową roku 1962 na 1963 ze wszystkich zabawnych propozycji wybrałem stygnący piec w moim

coraz zimniejszym pokoju, i chciałem, usiłowałem, próbowałem napisać list, który wreszcie nie byłby moim kolejnym wygłupem, ale żeby był o niej, o mnie, o nas, o tym, co nasze wspólne, o naszym „być dalej” [...].

W styczniu przyszedł list od Haliny... Chyba w lutym następny... Obydwa leżały nieprzeczytane długi czas, bo po co czytać, jeżeli nie ma się chęci odpowiadania. A w połowie lutego roku 1963, kiedy trwała zima, którą też nazywano „zimą stulecia”, kiedy na Osobowicach [dzielnica Wrocławia] i wszędzie leżały zwały śniegu... Przyszedł do mnie jak groźny wiatr, przyszedł smutek wielki jak ocean, więc z każdym, kto chciał pić, piłem z tym smutkiem, w tym smutku, przez niego, dla niego i ponad nim, złamałem przyjacielowi płytę, która kończyła się *Adagio lamentoso* z *Szóstej Symfonii* Czajkowskiego, bo czy można słuchać czegoś tak tragicznego jak to adagio?... Nieubłagane śmigło czasu kręciło się ciągle do przodu – dzień, noc, dzień, noc i znowu dzień... Wszystko bez chwili snu... [...]

Chyba naprawdę ona wymyśliła mnie sobie jako przyjacielską niematerialność i... Sama nie rozumiała, nie wiedziała, nie chciała wiedzieć, dokąd zmierza to „duchowe” – tak to nazwijmy – pokrewieństwo, a przy tym ja też, i także po czterdziestu przeszło latach, też nie rozumiem siebie, tamtego uczucia... Czy to nie było tak, że ja kochałem Kogoś, ale jeszcze bardziej Coś, co było kochaniem nadziei, że znowu, powiadam „Znowu”, będziemy po tej samej stronie. A może kochałem... Nie komplikujmy dalej rzeczy i tak skomplikowanej. Powiadam „Znowu”, bo mam takie wrażenie, przeświadczenie, że byliśmy z tej samej strony (ale nie umiem nazwać „Czego”), po tej samej

stronie, kiedy zaczynaliśmy się do siebie zbliżać, kiedy zaczynała się nasza rozmowa, korespondencja, kiedy byliśmy jakby swobodniejsi dla siebie...

Kiedy Halina w ostatnich listach pisze „Jestem z Tobą”, to ja tego nie czułem. Ona naprawdę w kabinie 239 odpłynęła ode mnie i czułem to, i czuję jako prawdziwe się jej oddalanie. Zresztą, co tam ja, gdy popłynęła zdobyć Nowe Życie. I jeszcze inaczej. Ona wciąż była po tej samej, po swojej stronie, po stronie porywania Ireneusza coraz bardziej dla siebie. Oczywiście, już wiem. To Ireneusz porzucił rolę zabawnego, chłodnego interlokutora i zapragnął nowej wspólnoty po swojej, a jakże, stronie!

Kiedy w liście Haliny czytam, że niepotrzebna jej była moja cielesna obecność, próbuję zrozumieć, jak było ze mną. Miałem lat dwadzieścia i parę, wtedy jeszcze nie właziłem do ostatnich rzędów, więc w „cielesnej obecności” pójdę dalej. Wiem na pewno, że gdyby mi było dane przeżyć naszą „cielesną dwuobecność”, pewnie serce by pękło mi ze szczęścia, ale w kontinuum, w rozwoju naszej dwuhistorii jest na pewno takie miejsce, gdy zdobyłem pewność, że taka „dwuobecność” jest na zawsze niemożliwa, i było też takie nasze spotkanie już po Ameryce, które mnie w tym na zawsze upewniło. Dziś, po siedemdziesiątce pytam, czy tamto niespełnienie legło jakimś cieniem na moim późniejszym życiu? Nie wiem. Nie sądzę. [...]

Halina na tle obrazów męża, 1957

FRAGMENTY LISTÓW HALINY POŚWIATOWSKIEJ DO IRENEUSZA MORAWSKIEGO

[Kraków, III/IV 1957]

Nie warto wypisywać swoich idiotycznych obsesji, tym bardziej posyłać bliźnim, którzy uważają za swój obowiązek rozpowszechniać je w różny sposób. Po co uwodzisz nieletnie dziewczyny moim pisaniem i czego potem od nich chcesz? Zrozumieją, gdy będą miały męża i dwudziestu kochanków albo gdy je przytrzasną jak mnie. Taki wrzask – posłuchaj:

mam uśmiech kota
zachłanne paznokcie
i usta
które wiedzą wszystko
skąd mi ta wiedza
i przymrużona chytrość
w zwężonych żółtych źrenicach
podglądałam go
pręgowanego słońcem
gdy ostrożnie omijając jesień
łowił
w zęby trzepoczące pióra ptasie

Dalej nie będzie. Dalej może być inaczej:

biodra
rozkołysane senne
biodra
wstające wiecznie
i wiecznie zasypiające
w tym samym ruchu
brzuch
opowieść o brzuchu

A dalej nie będzie. Taka pornografia. Sam widzisz, że brednie. Nie jestem pewna, czy Cię kocham, w każdym razie nie twierdziłabym tego tak apodyktycznie, jak Twoja młoda znajoma. Podziwiam Cię, podziwiam Cię bardzo. Dla mnie jesteś genialny. Ja wiem, możesz nie pisać nic – i tak jesteś genialny. Jeśli oczywiście wolisz pisać

i następnie czytać na forum, to Twoja rzecz. Ja mogłabym Cię ocenić pięknie, ale nie chcesz. Szkoda, że nie chcesz [...].

Wyglądam przez okno na świat – raz biały i polukrowany, raz bury i rozdeptany. Kruki mają piękne, ostre dzioby, drzewa wrzeszczą gałęziami. Do czego one się tak, głupie, wyrywają? W dodatku nie sposób narzekać – jest mi lepiej niż chorej Marysi, niż temu kociakowi, co zdycha obok na białaczkę, a ma piętnaście lat, niż wszystkim babkom, które po kolei odstawiają pod windę, żeby następnie przewieźć do nieba. Piękny środek lokomocji – winda skowyczy, babcie się nie ruszają. Są takie wąskie i małe w tych prześcieradłach. A w nocy cienie nad łóżkiem chwieją się i nie można spać. I znowu trzeba sobie uparcie tłumaczyć, że nie tylko szpital, że mnie wypuszczą – po co? Że już może niedługo, że... że... że...

Chcesz, więc piszę, ale – co na to poradzisz? Pewnie, że chciałabym przyjść do Ciebie albo żebyś Ty przyszedł. Chcę nic nie mówić, chcę słuchać. Chcę choć na chwilę pozbyć się tego wielkiego niepokoju, który jest gorszy niż choroba, który jest chorobą. Nikt nie wie nawet, czemu mi źle. Nawet – czy będzie lepiej. Jeśli znów nie będziesz pisał przez miesiąc, pewnie umrę, bo nie można tak ciągle czekać. Ucz się grzecznie – nauczanie się to bardzo ładna rzecz.

H.

[Częstochowa] poniedziałek [VI 1957]

Chcę być piękna, a tymczasem to kot jest piękny, chociaż wcale się o to nie stara. Łazi po śmietnikach po nocy, po śniegu, po płocie. Ma zielone oczy i wąsy. Ja nie mam takich wąsów, a oczy mam takie same, tylko brzydsze. I jednak, i nie chcę pisać żadnych mądrych rzeczy, tylko głupie rzeczy, bez sensu, niepotrzebne, chcę się chwalić, chcę... Ty znowu powiesz – to wszystko jest bardzo zwyczajne... Wiem, że zwyczajne i dlatego właśnie piękne. Zwyczajne, jak przeciągnięcie się, jak ziewnięcie, jak zamknięcie oczu, powtarzające się bez przerwy, odnawiające się jednakowo – i zawsze inne. Jeszcze

dużo dni, szkoda, że nie można poczekać na koniec świata. To byłaby piękna emocja. Nie to, co koniec siebie. Koniec – ende – fine. Jesteś dobry, bo mi nie psujesz moich wisielczych wymarzeń, inni ludzie nie wiedzą, że mamy wzniosłą świadomość apokalipsy i czekają, i zawzięcie przeczą, pocieszają mnie. Nawet Ignaś [Bank], który ma, czekaj, po łacinie to nazywa się skleroza multipleks, a po polsku – wielkie gówno. Nie łazi, nie siedzi, leży i składa się z osobnych kawałków, i żyje, i pięknie klnie. Więc Ignaś mówi przez telefon: „Słuchaj, mam tu chirurga, on mówi, że ta operacja...", a ja mówię: „Gówno mnie to obchodzi, Ignaś". „A, skoro cię nie obchodzi...". „Obraziłeś się, Ignaś?". „Nie, tylko chciałem ci powiedzieć...". „Całuję cię, Ignaś." „Masz cienką skórę na policzkach" – mówi Ignaś. I żyje. A na schodach jednak popłakałam sobie, bo Lidka (jego żona), śliczna i mała, a on zupełnie, do końca chory. Potem wyjechałam z Krakowa i teraz jestem w domu. Napisz do mnie list, bo się na śmierć kocham w Twoich listach. Całuję Cię. Halina.

Z kotem w ogródku w Częstochowie, 1957

Rabka – wieczór [II 1958]

Wieczorami tęsknię za Tobą. Wtedy czytam sobie Twój ostatni list. Jest... o nie, jeśli Ty chwalisz moje listy, ja nie mam nic do powiedzenia na temat Twoich, które są moimi, bo piszesz dla mnie. Widzisz, jaka ładna logika?

I jeśli tak bardzo chcesz, mogę Ci napisać nie jeden, nie sto, ale co najmniej dwa lub dwieście takich listów – jeszcze gorszych. Chociaż coraz trudniej pisać, bo coraz bardziej chciałabym być z Tobą, choć chwilę – a może właśnie chwilę?

Pewnie, że byłam zła, jeszcze jak, zgrzytałam zupełnie nieprzyzwoicie zębami, ale pomogło słońce i moja własna filozofia, którą możesz nazwać „filozofią nieprzeładowanego żołądka”. Wlokę się tak luźno po bożym świecie, z czasem chciałabym być zupełnie wolna w sensie wiatru lub ziemi. Nie bój się, nie wierzę, po co miałabym wierzyć? Prawda jest przeważnie śmiertelnie poważna, w związku z tym – nieco ponura. I chyba każda prawda. Więc zapisuj, co chcesz. Zapisuj dla mnie. Ja będę czytała, tęskniła i nie wierzyła.

Nie wierzę, że nie piszesz. Ty ciągle piszesz, najwyżej nie zapisujesz i ja się bardzo brzydko cieszę z tego, że nie zapisujesz, bo jeśli potem czytasz to innym, nie mnie, to ich nienawidzę. Poza tym – robisz to trochę za dobrze. To też źle dla mnie, bo kiedy słucham Ciebie, ręce mi opadają, nie umiem nic...

Boję się w nocy. To bardzo śmieszne. Śpię sama w takim dużym pokoju i jak tylko zgaszę światło, zaczynam sobie wyobrażać przeraźliwe strachy – z pazurami i okropnymi oczyma. Serce mi się tłucze i zapalam światło. Rano jest słońce, dzieci wrzeszczą i mam prawo iść patrzeć, jak łódki płyną po rynsztoku. Łódki produkowane przeze mnie z papieru i kory. Ładnie płyną.

Mam nadzieję, że mi wspaniałomyślnie darujesz ten list, w którym jesteś egipskim bogiem. Czasem trzeba, żebyś był egipskim bogiem –

dla mnie.

Jutro będzie niedziela. Zabieram się stąd do diabła. Mam nagle dość ładnych krajobrazów, śnieżku i stojącego spokoju. Pod tym względem szpital ciekawszy: przelotowość w ludziach, jest na co popatrzeć i z czym porównać. Milczysz – bardzo ładnie, bardzo rozsądnie. Gdyby jasna cholera wytłukła wszystkie maszyny do pisania we Wrocławiu i okolicy, nie mógłbyś tego robić lepiej. Nieważne, jeśli Ci tak wygodniej... Właściwie nie powinnam pisać i nie robiłabym tego, gdybyś Ty pisał. Przekora, wiesz?

I upodobanie do monologu. Tym bardziej, że na drugim końcu jesteś Ty. A może na tym samym? Czy moja poetycka proza przekonała Cię do tak parszywego zajęcia jak pisanie? Powinna, bo nie zapominaj, że zamówiłam sobie u Ciebie epitafium.

I obstaję przy tym.

[Częstochowa] wtorek [1958]

O, Wielki Ra!

Wymyśliłam, że trzeba prędko napisać do Ciebie list, bo właśnie przyjechałam sobie do domu i jak na złość wcale się źle nie czuję. A tak byłoby pięknie, gdybym Cię mogła zawiadomić, że z powodu Twojego upartego milczenia, właśnie mam zamiar odbyć małą

ekspedycję na chmurkę – na śliczną, niedużą, fioletową chmurkę. Fioletową dlatego, że chmurki na ogół rzadko bywają w tym kolorze. Kropka.

Śliwiak – poeta i redaktor „Zebry” koniecznie chce mieć jakieś Twoje pisanie. [...] To jest zupełnie miłe pismo i nawet mnie chcą (ale ten mały fakt nie powinien Cię zniechęcać), i wydrukują taki śmieszny *Warkocz Bereniki* i jeszcze coś, i oczywiście zdjęcie. Podejrzewam nawet, że to zdjęcie wypadnie najlepiej i kto wie, czy to nie dlatego. Od Śliwiaka nic nie wyciągnę, bo chłopczyna nieśmiały i ma kłopoty z wychowaniem potomstwa, poza tym – permanentnie tworzy.

[Częstochowa] niedziela [V 1958]

Akacja ma najprawdziwsze, sterczące kolce. A ja jestem zupełnie bezradna. Moje korale też mają czarne, ostre kolce, a w ogóle to są czerwone, najintensywniejszym czerwonym kolorem jaki istnieje, kolorem wyciekającej krwi. Może dlatego je tak strasznie, tak zachłannie lubię, w nocy trzymam je pod poduszką – są bardzo czerwone. Czepiam się barw i zapachów, ciągle muszę potwierdzać swoje istnienie. Tylko muzyki nie słucham, nie umiem. Wszystko jest świeże, nowe, upragnione – w tym moim świecie nie ma odrobiny przesytu. Jest tylko głód – nie do ugłaskania, do zabicia, bo już chyba za duży.

Byłam w cyrku i parę razy w teatrze, ale cyrk lepszy. Trociny pięknie pachną i tyle ciał tygrysich, i lwich także, jeszcze foki – bardzo zdolne bestie, i słonie, i wielbłądy.

Jeden szofer w Warszawie mi się oświadczył – i jeszcze paru w Krakowie. Bardzo lubię, kiedy się do mnie zalecają szoferzy.

Lubię jechać taksówką, przyzwyczaiłam się tak, że mi właściwie głupio chodzić po ulicy. Lubię, kiedy ulica mija mnie płynnie i szybko – z wszystkimi potrzebnymi ludźmi. Masz rację – miła ta

Warszawa. I tym razem wzięli moje papiery w ambasadzie, kazali przyjechać za miesiąc.

Baryłka tak szczeka, że właściwie mógłbyś to być Ty. Ale pewnie się od sąsiadów znów kto upił, bo jak zwykle niedziela. Niedziela to bardzo śmieszny dzień, ludzie chodzą po ulicy z twarzami świątecznymi i mają świąteczne skojarzenia, aby nie rzec – myśli. I tak chodzą i chodzą – i po co? I deszcz pada – ciepły i piękny. Deszcz też kocham, nawet bardzo. Czy chcę coś powiedzieć? Chcę – siebie. Ale to normalne. Zawsze chce się powiedzieć siebie, tylko strasznie nie ma komu. Więc się mówi siebie sobie i się tworzy. Otóż to, pewnie dlatego trudno o nowości. Na obrazku Platon i Sokrates. Nawet – podobni do nas, nic się specjalnie nie zmieniło, pozostaje wierzyć w ewolucję. Zawsze to wiara. Jestem zmęczona, uczyłam się długo i zażarcie, i teraz głowa mi się przewraca na szyi, i pewnie usnę. Nie umiem napisać „szyja” – zupełnie nie umiem.

A za oknami jest noc i chciałabym ją jeszcze powąchać. Musi być chłodna i świeża. I chciałabym... no tak, ale Ty nigdy nie przyszedłeś, chociaż obiecałeś i zawsze jestem sama z tym niespokojnym sercem, z okrutnym czerwonym kolorem, ze sobą.

9 maja skończę 23 lata. Tak, mógłbyś przyjechać wtedy, ale nie wcześniej. Później – tak. 9 maja to już niedługo, potem są inne dni i niedziele. Zasypiam, wiesz. Jeszcze wyrzucę list za okno.

Halina

[Częstochowa, 21/22 V 1958]

Czasami całuję listy, ale coraz rzadziej, właściwie zupełnie rzadko. Pocałowałam Twój list, bardzo mocno pocałowałam i położyłam pod poduszkę, co jest czynnością zgoła głupią, zważywszy, że się temu przyglądam z boku, ale przecież mówiłam już, że kocham każdy Twój list, każdy osobno i chyba także osobno od Ciebie. Pewnie dlatego, że Twoje listy są jak wspaniałomyślne lustro, można się w nich przeglądać. W nocy jestem taka strasznie sama z wiatrem

i wiem, że na próżno mówię do Ciebie, bo przecież Ciebie nie ma. Chciałabym być skrzypieniem tej tarmoszonej furtki, jakimś umarłym drzewem, które sobie istnieje, gada, które jest dotykane, które przechytrzyło śmierć, które nie musi zasypiać ani budzić się, ani głupieć ani mądrzeć. Chciałabym uciec od siebie w wiatr albo w Twoje ręce. Musisz być – nie za daleko, nie tak strasznie daleko, że nigdzie. To [operacja serca] już chyba niedługo, myślę, że niedługo, bo nie przyglądałabym się w takim napięciu chwilom, nie pragnęłabym ich tak zachłannie. Jest tylko wiatr i wieczny ruch, i dławiący niepokój. Jest szybkie, bezbolesne więdnięcie kwiatów, umieranie kociąt, które jeszcze przedtem poskarżyły się w marcu. Nie lubię jutrzejszego dnia, okropnie go nie lubię. [...] Na obrazie Degas tancerki uśmiechają się końcami pantofli, czarownica pędzi niebem, wysoko unosi cienkie kolana, a Nikifor bardzo smutny umiera na gruźlicę w szpitalu. Na spłowiałe niebo, o świcie, wypełzają obłoczki, to tuż nad moją głową.

Całuję Cię. Halina.

[Jastarnia, VII 1958]

To jest jakaś ogromna rzeka, która rwie i rwie, a potem jest powódź i na nadmiar wody umierają wszystkie trawy. Dlaczego chcę żyć tak łapczywie, tak zachłannie? To czas teraźniejszy. Dlaczego nie mogę wolno, spokojnie, jak całkiem nieduży staw zarośnięty sitowiem z wodą czekającą, ciemną. Wcale nie mogę, a potem jest duszno i boli lewa ręka i trzeba leżeć, chociaż właśnie chcę chodzić, zawsze chodzić prędko i przedziwnie dużo, oglądać się za każdym skomplikowanym wzorem na spódnicy, za każdą przystrzyżoną czupryną, podglądać ludzi, z którymi nudno, z którymi wesoło, którzy jakoś niewątpliwie są i razem ze mną, i na chwilę, i tak się panoszą jakby na zawsze. Wiesz, jak wygląda Warszawa z okna hotelu na dziewiątym piętrze? Jak zwariowane niebo, które właśnie popełniło samobójstwo – takie roziskrzone, zmrożone, rozbite, a niżej pełzną auta i tramwaje – żuczki chrabąszczyki z zielonymi skrzydłami. [...]

Wiesz, na czym piszę? Na słońcu. Bo to jest słońce – okrągłe, z ostrymi, jadowitymi promieniami, które robią to, że pysk brązowieje, że ramiona i łopatki, i nogi, i inne szczegóły, jak mawiał pan C. (a tak!), o ile uda się je przemycić na wierzch. No widzisz, grzeję się na tym słońcu, a jeszcze w międzyczasie usiłuję sobie przypomnieć to, co zapomniałam – nieco naumianego języka angielskiego. I nie umrzyj ze śmiechu – czytam logikę, a jeśli ja nie czytam, to wiatr czyta i piasek czyta. Więc jest wielkie prawdopodobieństwo, że już przy następnym spotkaniu będziemy mogli razem, nader fachowo, w grupie, ustalić piękne, nowe prawa, z prawem obywatelstwa pola istoty na czele. Następny raz to będzie za mnóstwo miesięcy, ale na wszelki wypadek moglibyśmy już teraz uwierzyć w niebo albo w kawałek piekła – jakoś się tam zaaklimatyzować na resztę istnienia w materii. [...]

Chciałabym zabłądzić z Tobą w wielkim, groźnym lesie, gdzie mieszkają mrówki, kosmate motyle, ogromne zwisające paprocie i słońce. Jesteśmy zgubieni, pogubiliśmy się tak rozsądnie z czworokątnym rozkładem jazdy w ręce, z biletem. Resztę zrobiły pociągi, jechały przez całą monotonnie zieloną Polskę. Jak się ostrożnie stąpa po kamieniach na rynku w Krakowie, żeby nie nadepnąć gołębia? Jak się żegna dom? Inaczej niż ludzi? Tak samo jak ludzi? Tylko całować nie można kamieni, a Ciebie można – bardzo mocno można. A dzwonek – umarł właśnie i nie zadzwoni. I Ty mnie będziesz pilnował i będą mi się śniły rzeczy piękne, piękniejsze niż życie, niż...

Całuję Cię. Halina.

[Jastarnia] środa [VII 1958]

Wiesz, Kochanie, trzeba by jakoś ładnie, zwięźle zaprotestować takiemu zasranemu nabieraniu na życie i wszelkie jego funkcyjki, jako to: żarcie, kochanie, spanie i inne jeszcze – równie atrakcyjne.

Znowu czuję głęboki niesmak, mam to wszystko w... No powiedz, o czym ja tyle wierszy naknociłam? Zdaje się, że o miłości. Piękna sprawa! Kiedy mi katzenjammer minie, znowu będą wiersze o miłości, nawet może miłość będzie, jak mi to w wielu pięknych listach tłumaczyłeś.

Na razie lubię patrzeć na ludzi i na zwierzęta – jak się rozłażą goli po piasku, jak się kołyszą w biodrach, przebierają tymi prostymi nogami przedziwnie, wedle jednej formy. Popatruję sobie – okolica taka dziwnie doludniona, tak niewielu przychodzi do łba myśl genialna, żeby wliźć trochę dalej, nie wypłynąć – mnie też nie. I tęsknię sobie za samotnością, za taką wielką, że także od siebie i nawet od Ciebie. Nie ma Cię, a to poważny błąd. Przedtem nie było nawet listu, wszystko dobrze pamiętasz, bo ja pamiętam właśnie tak samo. Poprosiłam, żebyś mnie pogłaskał i żebyś mnie pocałował. Poprosiłam jak o kromkę chleba. Dałeś mi ją – dziękuję. Nie

przewiduj mojej smutnej przyszłości, jakakolwiek by nie była. Ja tylko mam do niej prawo, a także prawo jej nie lubić. O, jak chciałabym napisać to o Mariannie z kolczykami w uszach i o Tobie – na ciemnym, wysokim dachu ponad świecącym miastem – jak strasznie... Ale nie umiem. Skarżę się, bo naprawdę nie umiem, nie umiem... Ty napisz do mnie [...].

Przyjdź do mnie. Zbuntowana jestem ogromnie, nastroszona jestem i kłuję jak pokrzywa. Czy umiesz oswajać pokrzywy?

Najpierw nie trzeba się bać, a potem – już tylko pachną.

Halina

[Yonkers] 28 VIII [1958]

Pomiędzy dwoma brzegami jest rozhuśtana, okrutna, żywa woda, góry lodowe płyną z powrotem do Europy – są bardzo białe, srebrzystobiałe. Nad nimi półkolisty ruch skrzydeł mewy. Fruwały, wiesz? A jak obijały się o boki okrętu... Na próżno...

Najpierw przepłynęłam, potem przyfrunęłam, a teraz każą mi czekać zgoła idiotycznie i głupio. Więc czekam bardzo pokornie. [...]

A jednak jest w tym coś z bezwolności manekinów, takiego pajaca, który nakręcony dzielnie przemierza stół i w pewnym momencie spada na dół, bo stół się dziwnie skończył. Mam wiele sentymentu dla pokrzywdzonych pajaców, boleśnie uśmiechniętych, dla podstarzałych kolombin, cieniutkich w pasie, z podkrążonymi oczyma... Czekam... czekam...

To tak, jakbym chodziła w kółko po bardzo pustej, zamkniętej przestrzeni. Wszystko mnie mija, przechodzi jakoś obok i na próżno staram się schwytać cokolwiek. Nie umieraj jeszcze! Umieranie wcale nie jest takie dowcipne. A przynajmniej większość ludzi posiadająca normalne, niewyrachowane poczucie humoru uważa, że jest to rzecz ciążąca ku smętkowi. Krzywią pysk na nasze dowcipy i chwalą sobie życie – miękkie, wygodne, przypominające wspaniały, wyścielany fotel z podnóżkiem. [...]

Pisz dużo, pisz do mnie, chcę mieć to Twoje pisanie. Nienawidzę wszystkich listów, które nie są Twoimi.

Na ucho mogę Ci powiedzieć, że jestem sama, zupełnie sama i że się boję jak mysz.

Całuję Cię. Halina.

[Yonkers] środa [IX 1958]

Masz rację, kochać nie umiem, a jeśli – to życie. Życie, które chce mi się gdzieś zawieruszyć. Za to umiem ładnie czekać, doczekiwać, albo i nie doczekiwać. Na razie muszę doczekać do jutra. Jutro zabiorą mnie do szpitala i może zaczną ze mną działać coś rozsądnie amerykańskiego. Zasranie długo to wszystko trwa, a ja nie mam najmocniejszych nerwów. Noce są długie, gdy się w nie nie śpi, a usiłuje robić właśnie to. Wszystko, co miałam polskiego już przeczytałam, dzieci u doktora Derenia garnę jak złoto, plany na różaną przyszłość już porobiłam, właściwie jeszcze te listy – do mamy to raz, do Ciebie to dwa. Na miłość boską! – bądźcie wyrozumiali! Mierzi mnie każdy kawałek papieru, atrament takoż – tylko się nim łóżko smaruje i garderobę – na czarno, na smoliście. Do dupy są te wiersze, wiesz o tym tak samo, jak ja! Pisanie nie jest na pewno moją najmocniejszą stroną. Na ogół wszyscy twierdzą, że najładniejsze mam usta, a potem dopiero nogi. Poza tym, szanują mnie za zgryźliwy charakter i bardzo ich dziwi moje szatańskie poczucie humoru. Wczoraj trzymałam się za brzuch przez dwie godziny na temat kapelusza: w konstrukcji przypominał wronie gniazdo z niedużym wybiegiem dla młodych, a zresztą cały z piór – istne cudo! A nosi to na sobie w celu ozdoby matka doktora – dzielna, młoda, sześćdziesięcioletnia niewiasta.

Angielskiego coraz bardziej nie umiem, ale po polsku zapominam, więc jest nadzieja. Poza tym pół życia spędzam w łazienkach, bo są zupełnie śliczne (jak poemat Miłosza) i z takim czyszcząco-orzeźwiającym prysznicem. Poemat zwie się *Traktat o poezji* i miejscami zachwyca.

Nie każ mi pisać długich listów, przynajmniej teraz, dokąd... Rozumiesz?... Mam wielką nadzieję, że rozumiesz. I dlatego czasem w ogóle nie piszę. Wybacz mi to. Naucz się już teraz ładnie rozgrzeszać, bo potem pewnie będziesz musiał pewnie inne rzeczy wybaczać – jeśli będzie jakieś potem... Jak to przyjemnie się zastrzegać...

Całuję Cię. Halina.

W sanatorium Deborah, Brown Mills, październik 1958

[Filadelfia, 1958]

„Noce są po to żeby spać

a czasami po to żeby się bać”

Masz rację, jeśli Ci się ten wykwit mojej – emigracyjnej bądź co bądź – poezji nie podoba. Bardzo się boję. Gdyby to nie o mnie chodziło, to już bym dawno wyskoczyła przez okno. Owinęłabym się ze łbem w długie, białe prześcieradło i wąsko – i podłużnie z szesnastego piętra w Filadelfię – buh! (Jak się „buh” pisze? –

pewnie przez „ch” – niech Ci się więc wydaje, że napisałam właśnie tak!). Noce są po to. Do czego jeszcze może być noc?

Czekaj – do tego, żeby się całować, ale to psuje rytm, a wiersz dobry powinien być rytmiczny i z tym, no... rymem!

Stella jutro idzie na operację. Dziewczyna, co się całowała z chłopcem w końcu korytarza jutro idzie na operację. Idą, idą... na operację... [...] Stella idzie, a mnie każą zasranie czekać. Ty wiesz, jak bardzo nie mogę i znowu, znowu Cię nie ma... I deszcz padał na oceanie. Przyniosłam sobie z dziecinnego pokoju łapę niedźwiedzia – dużą, burą, która pachniała spokojem i nie wiem czym... Przyniosłam do łóżka. Ten okręt po śmierci pójdzie do nieba. Murzynka, co leży obok mnie na fałszywym łóżku zgorszona doszczętnie, bo nie wierzę w niebo i powiedziałam to miłemu księdzu na głos i po angielsku. Prowadzimy przy pomocy słownika piękne, filozoficzne rozmowy. Ona mówi „Sycylia” i wszystkie żyły nabrzmiewają na jej czole. Ona mówi „Sycylia” – w jej oczach mieszka noc. Ma tylko oczy – wielkie, czarne. „Sycylia” – mówi. Też idzie na operację. On, ona, ono idą na... Przecież to i tak jakiś okropny bezsens w założeniu – ratują strzępki ludzi, niszczą całych, dobrych ludzi... Logika nie jest najmocniejszą stroną naszego gatunku, logika co mieszka na dnie mojej torby.

Teraz Cię muszę ładnie o coś poprosić: czy mógłbyś napisać, że będziesz mnie kochał nawet, gdy odetną mi głowę? To w założeniu, bo pewnie tego nie zrobią, ale muszę to wiedzieć.

Tak dawno nikt mnie nie pogłaskał – miesiąc, może dłużej... Nie potrafię się wziąć w karby – z tego listu możesz odczytać mnie – wszystko skacze i chwieje się i nikt nic nie wie. A to z Szekspira: jest taki potwór, co się nazywa mną i muszę go poskramiać...

Stella, Stella... Smutno się całować w szpitalu. To nie ja, ale ta dziewczyna. Aha, to Gombrowicz tak powtarza. Czasem głupio uświadomić sobie taki „podplagiacik”. Powtarza w *Dzienniku*, bo jemu przecież płynęło się po Paranie. Parana to smutna rzeka, ale ocean śpiewa, ocean jest żywy, jakże go kocham. Przechylałam się poprzez burtę, kołysałam na jednej nodze, ocierałam się o krople – nie przyszedł, a ja nie poszłam. A teraz jestem w pułapce.

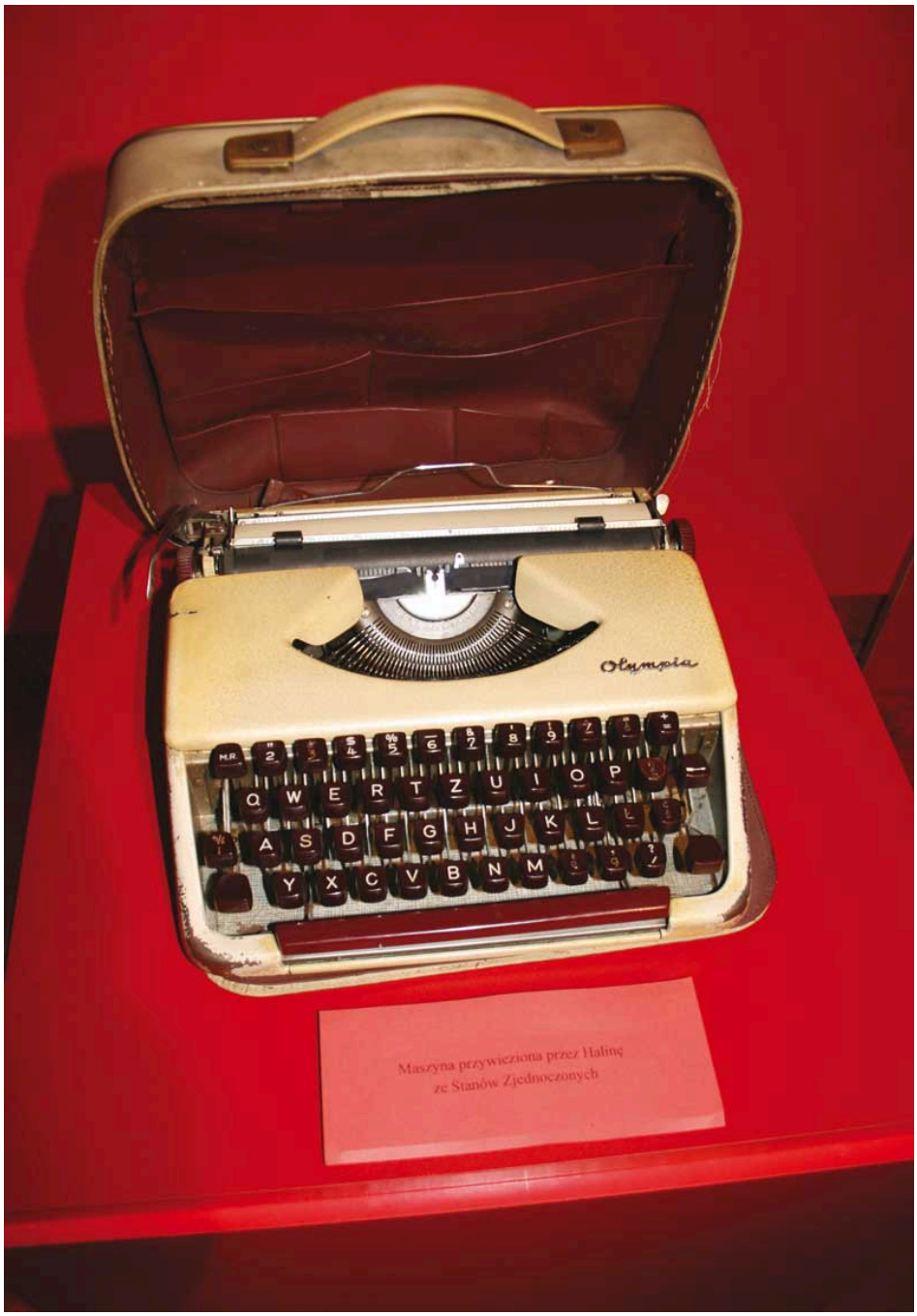

[19 VI 1959]

Wspinałam się na płot i wyglądałam za odjeżdżającym pociągiem. A teraz mam tę swoją przeklętą tęsknotę – przypełzła poprzez

wieczór kolorowy taki. Nie jestem nigdzie, w żadnym Nowym Yorku, tylko na tamtym płocie. Nie mów im, nie trzeba, żeby się śmiali. Ty wiesz – to nie ojczyzna, to moje serce dygoczące i kawałek mięsnego płotu, słońca kawałek, trawy trochę, much. Tak strasznie chcę je zobaczyć, tak strasznie. A poszłam sobie, sama poszłam i tkwię wśród książek zimnych takich, wśród ludzi obojętnych takich, wśród dni obojętnych także, kwitnących osobno w kręgu swoich własnych zapachów, własnych kolorów, własnych wspaniałości. A ja staram się mozolnie odnaleźć tamte. O drzewo pytam – jakie imię ma drzewo? I mówią: „linden tree” [lipa] i nie pachnie. Jest wielkie jak góra, jest szumiące – nie pachnie, nawet jak te zakurzone na głównej i świętej ulicy. Ucałuj je ode mnie za to, że pachną. Pozdrów jaśmin, co go tak nazwali – nie chciał pachnieć. Za to w lesie odnalazłam dzwonki drobne, podłużne, białe i te pachniały mocno, słodko, zapachem wabiły wszystkie drapieżne komary. Tam też dopylałam się za jedną skoszoną łąkę i zanim ciemno przyszło byłyśmy razem na wznak. Mija jak nagły ból brzucha. Wrócę do książek, do tych nauk ciemnych i różnych, do stukotu maszyny. A jutro wsiądę w bardzo podły autobus, potem w kolejkę i pojadę sobie do Nowego Yorku. Będę się włóczyć pośród tych niezmiernych chałup mała taka. Może spotkam kota pod muzeum – pogłaszczę, powiem, że tak samo zagubiona jestem, dzika, i że żyć mi kazali, więc właśnie żyję. Pomiauczy i nie spiesząc się, wolniutko wpełznie pod płot.

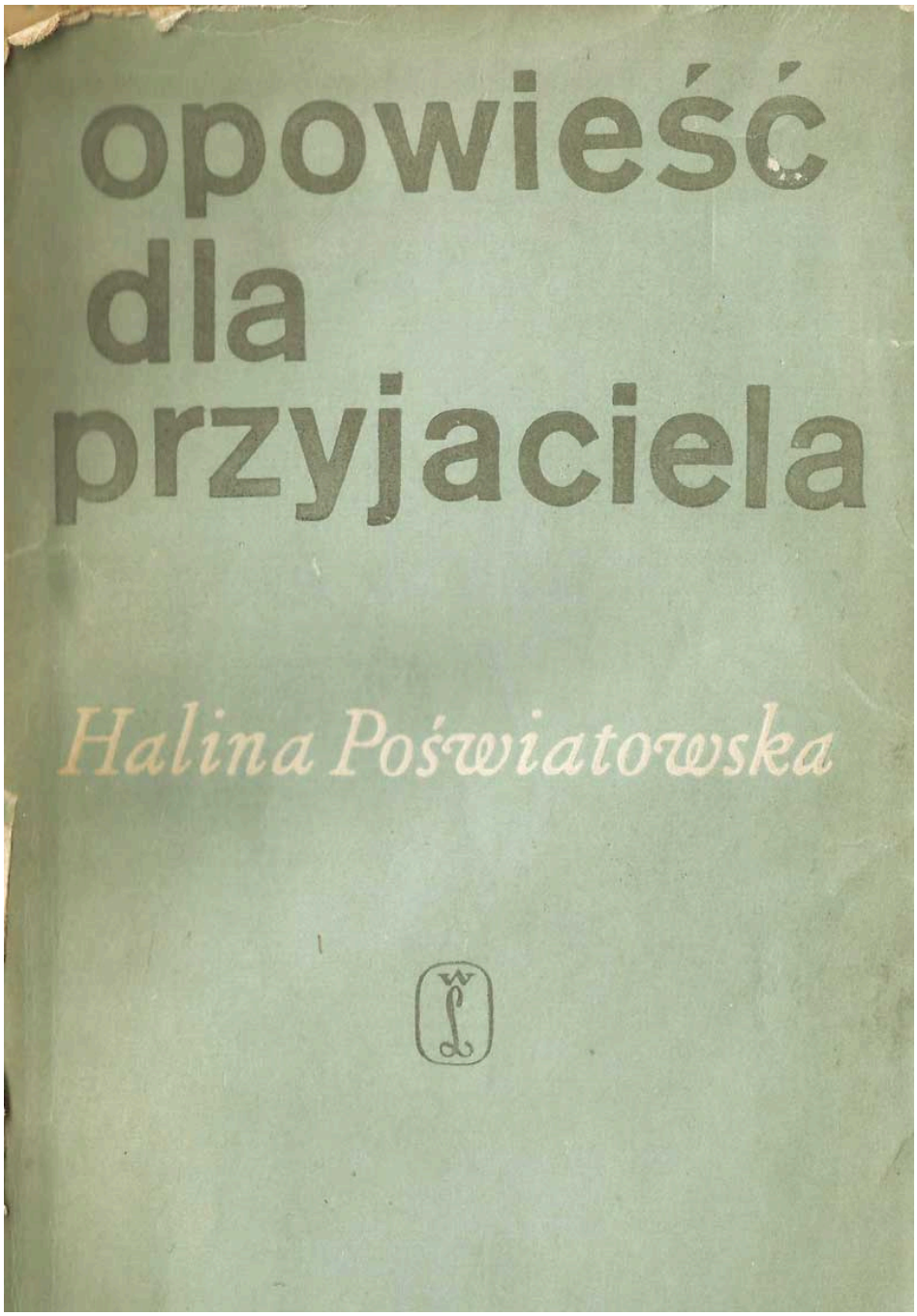

[23 VIII 1959]

Ireneusz,

poprzez wszystkie bure morza – gdzie jesteś? Znowu pewnie kłamię, jak zawsze. Matka mi to napisała, że moje listy to był stek kłamstw. Ona ma często rację, lecz jeśli kłamałam, to najpierw sobie. Ciągle to robię, nie chcę patrzeć, jak mi wszystko kurwieje w oczach – i ja sobie też, aby obraz był pełny, nie pozbawiony kolorów. Ty mądry, wiedziałeś to wszystko i jeszcze poradziłeś mi przeżyć. Dla jakiej satysfakcji? No, po co? Czemu nie kazałeś skoczyć głową w dół? Sama chciałam to zrobić, lecz moje racje były przeciwne i mętne. Życie wydawało mi się takie śliczne. Nie trzepoczę więcej, nie umiem, jestem jak kawałek betonu, z którego się robi chodniki do chodzenia po nich. A Ty mnie nie kochasz, prawda? Bo to byłoby zbyt głupio. Nie kryj mi się za słowami, chcę wiedzieć o Tobie – to taka ciekawość dziecka, które chce dotknąć tygrysa. Zawsze lubiłam gładzić takie niebezpieczne futra. Tak mi się trudno dorasta, ciągle nie potrafię wydostać się z kobiety. Obawiam się, że nigdy. Człowiek, to takie samo pojęcie, jak dusza, nieistniejące, nieuchwytne. Znowu jest parno i gorąco. Wyjrzałam oknem, mieszkam teraz w Nowym Yorku, naprzeciw uniwersytetu. Tam, w dole jest rzeka – fioletowa. Trochę czerwone słońce zaszło. Studenci naprzeciwko pracują, a Nowy York świeci. Lubię to miasto, myślę że Ty lubiłbyś także – takie ogromne, hałaśliwe, świecące, z takim blichtrem, z taką tkaniną żywego mięsa, unerwione, z mnóstwem ciemnych żył, wypełnionych krwią, żywe, okrutne. Myśleć, że jak człowiek czy drzewo mogłoby nagle umrzeć. Nagle te wszystkie domy, puste ulice, okna bez szyb, bez uśmiechów... Takie fantazje, wariacje na temat Nowego Yorku. Jeszcze jedna fantazja: moglibyśmy się mocno wziąć za ręce, ale pomiędzy nami jest ocean, więc się nie weźmiemy...

Pisz do mnie, bo inaczej udławię się swoją samotnością.

Trawa, którą można głaskać... Woda, co przypełza do nóg...

Całuję. Halina.

ANNA SMOLIŃSKA

STRYJECZNA SIOSTRA HALINY POŚWIATOWSKIEJ

Halina zmieniała się zewnętrznie. Była ciemną blondynką o trudnym do określenia odcieniu włosów. Włosy miała naturalnie kręcone, raz długie, raz krótkie. Jej oczy miały dla mnie kolor szmaragdowy. Była naprawdę bardzo ładna, podobna do Audrey Hepburn.

Po śmierci Adasia Halina zabrała Zbyszka i mnie do swego niewidomego przyjaciela Ireneusza Morawskiego. Pamiętam jego mieszkanie na Rakowie: duży pokój, duży stół, na nim popielniczka. Ireneusz chodził, rozmawiał z Haśką, palił papierosa i strzepywał popiół prosto do popielniczki! Miałam wówczas trzynaście lat i kontakt z osobą niewidomą był dla mnie dużym przeżyciem.

Według mnie Poświatowska-poetka to zasługa dwóch osób: cioci Stasi (ciocia po prostu od początku wiedziała, że Haśka ma ogromny talent) i właśnie Ireneusza. Morawski – zdolny, dobrze zapowiadający się literat, w pewnym momencie zrezygnował z pisania. Dlaczego?

W lipcu 1961 roku cała nasza rodzina spędzała wakacje w Jastarni. Halina wracała z Ameryki i wszyscy

chcieliśmy ją powitać! Czekaliśmy na Dworcu Morskim w Gdyni. Byliśmy szczęśliwi, że wróciła, że znowu jest z nami. Oczywiście pierwsza witała Haśkę ciocia Stasia, potem Małgosia i Zbyszek. Ostatnim z najbliższej rodziny był wujek, który pocałował Halinę w rękę. Potem byłam ja... i też pocałowałam ją w rękę. Pamiętam, że złapała mnie za głowę, przytuliła i powiedziała: „Moja kochana”.

Ten obraz mam do dziś przed oczami...

Z Ameryki Haśka przywiozła mi prezent – kosmetyki Heleny Rubinstein. Tak pięknej szminki nie widziałam nigdy: z jednej strony miała inny kolor, z drugiej inny. Wszystko w zielonej, zamszowej kosmetyczce. Było mi niezwykle miło, że o mnie pamiętała.

W Jastarni wynajmowaliśmy mieszkanie u państwa Kolerskich. Willa stała blisko stacji i skweru, w centrum miejscowości, przy ulicy Portowej 1. Naprzeciwko była kawiarnia Maleńka, do której chodziłyśmy na... maleńkie bułeczki maślane. Chodziłyśmy też do Domu Zdrojowego przy plaży – na tańce.

Pamiętam spacery plażą do Juraty. Na plażę szło się przez las, a do lasu przez wydmy. Kiedyś szłam z Małgosią przodem, a za nami moja mama [Irena Myga] z ciocią Stasią i Haśką. Usłyszałam, jak Halina powiedziała, że jestem ładną dziewczyną, ale muszę nosić buty na wysokich obcasach. I noszę!

Halina była tajemnicza. Była też bardzo ciepła, skromna i niezwykle ambitna. Jej pęd do wiedzy był zaskakujący. Uczyła się właściwie cały czas. Nawet wówczas, gdy czuła się bardzo źle. Dla mnie i brata [Jerzego Mygi] stanowiła wzór do naśladowania.

Zapamiętałam ją z książką w ręce. I z kotem, bo uwielbiała koty.

Gdy przyjeżdżała do domu, potrzebowała spokoju i ciocia robiła wszystko, żeby jej ten spokój zapewnić. Cały dom był podporządkowany Haśce i jej zdrowiu.

Kiedy Halina pojechała do Warszawy na operację, przychodziłam na Jasnogórską codziennie i pytałam o stan jej zdrowia. Ciocia z Małgosią były w Warszawie przy Haśce, w domu został wujek ze Zbyszkiem. Na Jasnogórskiej nie było telefonu, wiadomości ze szpitala przynosił im kuzyn Jurek Roman.

Wiadomość o śmierci Haliny tak wstrząsnęła wujkiem Felkiem, że szok, którego doświadczył, spowodował chwilowy zanik mowy i słuchu. Dla mnie jej śmierć była wielkim przeżyciem, ktoś jednak musiał zająć się pogrzebem... Razem z mężem załatwialiśmy formalności związane z ceremonią pogrzebową, wujek wprawdzie chodził z nami, ale tylko po to, aby regulować sprawy finansowe. Był wtedy cieniem człowieka, a żal po stracie ukochanej córki towarzyszył mu do końca życia.

LIDIA BANK-WYROBIEC

AKTORKA, INSTRUKTORKA TEATRALNA

Poznanie Haliny Poświatowskiej i przyjaźń z nią wynikały ze specyficznych krakowskich związków środowiskowych, w których realizowało się banalne powiedzenie, że przyjaciele naszych przyjaciół... itd. Najpierw więc była relacja pana Jana Niwińskiego o jego zawodowo-przyjacielskich kontaktach z utalentowaną, piękną, ciężko chorą dziewczyną, której jako terapię zalecił pisanie wierszy. Upoważniały go do tego otrzymywane od niej z kliniki listy. Czytaliśmy je. Zrobiły na nas duże wrażenie, były redagowane w sposób niezwykły. Halina z pewnością była poetką, zanim się o tym dowiedziała.

W tym samym szpitalu pod opieką profesora Aleksandrowicza leżał mój mąż Ignaś. Łącznikiem między chorymi Haliną i Ignasiem byli nasi przyjaciele, wspólni znajomi, a przede wszystkim sam profesor.

Znajomość przerodziła się w przyjaźń, wzajemną potrzebę wspierania się i obcowania ze sobą. W czasie wielokrotnych powrotów do Krakowa Halina w miarę swych sił odwiedzała nasz dom – otwarty, niezamożny, cygański. Przychodziła tu brać artystyczna wszelkiej

maści, znajomi przyprowadzali nieznajomych, którzy stawali się znajomymi. Nasz dom to była również katastrofa, los spełniający się bezlitośnie i bez prawa nadziei. Mój mąż Ignaś (dla niektórych Igor albo po prostu Bank) po dziesięciu latach odsiadywania sowieckich łagrów zachorował na gruźlicę. Później ujawniło się stwardnienie rozsiane i następnym etapem jego życia było dziesięcioletnie leżenie. Ta kwarantanna cierpienia przy ogromnym ładunku żywotności i niewiarygodnej w tej sytuacji fascynacji życiem stała się przyczyną przyjaźni z Haliną. Oboje młodzi, piękni, skorzy do żartów i śmiechu znaleźli sobie tylko wiadome porozumienie. Wówczas nie zastanawiałam się nad tym, ale teraz myślę, że Halina, widząc nieuchronność losu Banka, szukała w sobie pokory, a przy tym bodźców do walki o zdrowie – miała przecież pewne szanse, stała na dwóch nogach...

...po raz pierwszy w życiu zaczynam się posądzać o coś takiego jak przyszłość

SERCE POETKI

Halina Poświatowska

O Halinie Poświatowskiej pisaliśmy w „Przekroju" przed kilku miesiącami. Pisaliśmy, że jest to młoda kobieta, która jest chora i pisze wiersze. Przez te kilka miesięcy jej stan zdrowia stale się pogarszał. Miała ciężką wadę serca, dawano jej rok życia. Niedawno poetka pojechała do Stanów Zjednoczonych. Będąc w Ameryce, dała się zbadać, lekarze orzekli konieczność operacji serca. Operacja przebiegła pomyślnie, Halina Poświatowska jest obecnie rekonwalescentką. Poniżej drukujemy listy, pisane przez Halinę Poświatowską krótko po operacji — do matki, oraz do lekarza, który leczył ją w Krakowie. Przedstawiają one walkę młodej dziewczyny ze śmiertelną chorobą, decyzję na ryzykowny zabieg, praktykowany dopiero od niedawna, dramatyczne dni po zabiegu. Ostatni list przyszedł w momencie, gdy oddawaliśmy ten numer do druku. Drukujemy również dwa wiersze Poświatowskiej, pisane jeszcze przed operacją.

List do matki

7-my dzień po operacji.

to zamiast prawdziwego listu — bo co się wybiorę, to przystanę po dwóch zdaniach — mokra jak mysz. Jutro będzie tydzień — trudno, o jak trudno. Głupio ludzi zaopatrywać w ciała, które ulegają zgnieceniu — upadkom — krojeniu. I bolą... Pocięta jestem tak, że sobie lepiej wyobrazić nie można — ale to nawet zabawne, zawzięcie wypyskowuję się o zastrzyki morfiny. Oni mnie mają za zdrową i każą samej jeść i myć się, i nabijają się ze mnie, że krzywo trzymam ścierkę z wodą. No a ja nie mam kawałeczka siebie, bo wszystko rozparcelowane pod kłócie, cięcie i ból. O jak boli — moje złotko — jak boli.

Nie wpadaj w histerię, bo zanim list zajdzie, to już to będzie bardzo mało aktualne. No i zresztą gdyby mi nie było lepiej, to bym jeszcze nie pisała. Ale Leszek mi kazał. A ja go lubię słuchać. Byłam chołernie dzielna przed tym — nic się nie bałam — zaczęłam się bać panicznie po operacji. W czwartek było bardzo źle, w piątek też, dopiero w sobotę się uładziło. Jurka Bigosińskiego przy najbliższej okazji spiorę po pysku, niefrasobliwa świnia — on sobie do Ciebie wysyła telegram, kiedy jeszcze nic nie było wiadome. Telegram miał wysłać Leszek, i to na adres cioci Heli, gdy już będzie wszystko dobrze. Na szczęście wyżyłam Ci. To było trudne, i jeszcze trudne — boli — wiesz. Kobieta operowana w moim pokoju zmarła na trzeci dzień. To było najgorsze. W ogóle nie mówiłam ci, a tu po tych operacjach mrą jak muchy. Dlaczego ja nie? Podejrzewam w tym ciemne machinacje losu. Oni mówią, że zdrowieję bardzo ładnie.

List drugi do matki

Jakoś mi dziwnie lżej się oddycha, tętno mam nieregularne — ale nic się we mnie nie skacze — piersi spokojniutkie, nie uwierzyłabyś. Leszek wczoraj przylazł i opowiedział mi trochę o tej operacji. Wesołe rzeczy. Podobno miałam zupełnie zniesioną zastawkę, rozszerzenie jakiegoś tam czwartego stopnia i że oni jeszcze tego nie operują. Przemyciłam się na operację dzięki temu, że badanie było niedokładne. A dopiero gdy mnie ładnie rozkroili — przyszedł Nichols (najlepszy chirurg, który mnie operował). Zgodził się (bo go Leszek prosił żeby zdecydować czy operacja się odbędzie) — włożył mi palec do serca i stwierdził, że jest bardzo źle i że strasznie niebezpiecznie jest w tych warunkach operować, i kazał zobaczyć Leszkowi — więc Leszek też włożył paluch do serca i zgodził się, żeby robić. Nichols poszedł sobie palić papierosa, a oni mnie rozcinali dalej, i zakładali ten aparat do przetaczania krwi. Ten aparat przetaczał mi krew, zabierał sprzed serca i wtłaczał w pachwinę, gdzie mam takie szerokie cięcie, bo tu była arteria.

Obudziłam się, gdy mnie przenoszono do łóżka. Leszek coś do mnie gadał, ale nie wiem co, pomyślałam, że to już chyba po — a potem miałam potworne dreszcze. Takie dreszcze. Dostałam jakiejś zawrotnej gorączki, telepało mną dosłownie. A oni położyli mnie na lód i obłożyli workami z lodem — i przykryli jednym prześcieradłem. A ponieważ mi noga wystawała spod tegoż, więc krzyczałam, aby mi ją przykryli bo mi jest zimno. Na drugą noc znowu ta potworna gorączka, i znowu położono mnie na lodzie i postwierano wszystkie okna i kazali mi pić dużo wody z lodem — ale ja się trzęsłam potwornie. I nie przeziębiłam się, nie dostałam zapalenia płuc, chociaż przyrzekałam tym czarnym że to zrobię. Zbadali mnie i coś im się nie podoba, bo mi się migotanie przedsionka utrzymuje, ale to nic nie jest. Leszek mówi, że z tą zastawką żyłabym najwyżej rok, lub półtora, a potem udusiłabym się. Genialny Nichols przyszył ją czterema ściegami na amen nylonem, już teraz tylko serce musi przywyknąć do pracy i będzie dobrze.

List do lekarza

Kochany Panie Profesorze!

Pisane będzie krzywo, bo pochylić się porządnie to jeszcze problem — ale na ogół daję sobie cudownie radę. 11 dni po operacji — a ja już maszeruję dziarsko, jutro wyrzucają mnie ze szpitala i jadę do Deborah-Sanatorium. Tam jest tyle drzew i miło i spokojnie i nareszcie bez zmory w piersi będzie się można uczyć i uczyć i uczyć. Tak nie chcę wracać do tej niedawnej przeszłości, ale któż Panu o tym napisze jak nie ja — więc chociaż bardzo po laicku postaram się opowiedzieć. Że było paskudnie, to Pan wie najpierwszy i tu nie ma co powtarzać, ale podobno gdy rozkroili — było całkiem źle — rozszerzenie 4-tego stopnia czyli tego ostatniego. Podobno nieomal wszystka krew, bo więcej niż 80%, ganiała mi z powrotem z drugiej komory do pierwszej (Boże odpuść, to pewnie jakieś medyczne herezje!) i do organizmu szło te mizerne 20. I byłam okrutnie niedotleniona.

Oni powiedzieli, że mogłabym żyć jeszcze rok—dwa — to wszystko. Ale oni nie wiedzą o istnieniu Pana i o moim — to jest o naszym wściekłym uporze. Chcieliśmy żyć, prawda? Chociaż tuż przed operacją wszystko wydawało nam się jedno — i nie martwiłam się nic, i tak ładnie chciałam umrzeć, i tak bardzo miałam dość. Poszłam jak malowanie, pouśmiechaliśmy się do siebie z dr Nicholsem — on bardzo miły — potem Leszek Dereń powiedział „dobranoc Halinka" — a ja „to ślicznie Leszku, bo jestem śpiąca — wiesz, nie wyspałam się w nocy"... a potem — ciemnawo było gdy obudziłam się, i bolało z miejsca, i trzęsło, bo gorączka. A oni mnie na lodzie dokolutka — i w ogóle jakieś mnóstwo rur. Bolało tydzień — teraz to już nie jest ból, tylko takiego coś oswojonego i jak się łagodnie obchodzić — to znaczy poruszać — można z tym współżyć. Spuchnięte jeszcze — a już lżej oddychać i gadać mogę przedziwnie szeroko i nic nie dusi. Podobno ładnie zaszyte nylonem — podobno skurczyło się już na stole — podobno Nichols się wahał czy robić operację — bo nie miał nadziei, więc się Dereń dodatkowo zgadał — i tak mnie wspólnie spreparowali. A teraz — po raz pierwszy w życiu zaczynam się podejrzewać o coś takiego jak przyszłość. To przyszło samo — razem z oddechem, i — nie wiem czy nie sprawię Panu przykrości, nie chciałabym, naprawdę, nikt o tym jeszcze nie wie, to plan moich ostatnich 2 dni — tych dni już bez bólu: ja chcę ich prosić o stypendium. Poszłabym na uniwersytet i studiowałabym język angielski i literaturę oczywiście. Potem mogłabym przekładać, miałabym taki cudowny fach. Po powrocie do Polski mogłabym pomagać rodzicom, a nie jak do teraz, że oni ciągle i zawsze mnie. Przecież oni są biedni — i naprawdę nie mogą. Co Pan o tym myśli — zanim zacznę mówić, muszę wiedzieć. Proszę napisać do mnie. Dziękuję i pozdrawiam i — tak trudno mówić.

Halina

New York, 12. IX. 1958 r.

*

niewyczerpane są kopalnie
metafor
na urągowisko
otwartą głębią straszą
mrok
a ja chcę życia — płasko
a ja chcę życia — nisko
ja nie chcę w głąb
ja nie chcę wszerz
ani wzdłuż

Chcę żeby się owinęło
o występ muru
konsystencją dzikiego wina
chcę żeby czepiało się okien
drzwi —
żeby zapachem
biegło poprzez dom
żeby dokoła z ziemią krążyło
z moim sercem co wewnątrz tkwi

ja chcę być zmokłą trawą
w twoich ustach
w twoich dłoniach
chcę być tylko zmokłą trawą
do utraty tchu
chcę być bardzo głupią trawą
u twych nóg
przydrożnie rość

*

Halina Poświatowska to jest podobno człowiek
i podobno ma umrzeć jak wielu przed nią ludzi
Halina Poświatowska właśnie teraz się trudzi
nad własnym umieraniem

ona jeszcze nie wierzy ale już podejrzewa
i kiedy w sen zagłębia lewą rękę to w prawej
zaciska mocno gwiazdę — strzępek żywego nieba
i światłem poprzez ciemność krwawi

potem gaśnie za sobą wlekąc warkocz różowy
ciemniejący na wietrze nocy groźnej i chłodnej
Halina Poświatowska — te trochę garderoby
i te ręce — i usta co nie są już głodne

Filadelfia, XI, 1958 r.

„LECĄ, ŚWIETLIKI LECĄ, LECĄ..."

BIRMINGHAM (Anglia). Jedna z tutejszych agencji reklamowych podejmuje się wypisywać wyznania miłosne na niebie — przy pomocy dymu, kreślonego przez samolot.

*

PARYŻ. Ministerstwo Rolnictwa otrzymało list następującej treści od chłopki z departamentu Eure: „Ponieważ brak u nas siły roboczej, musiałam wyjść za mąż, ale to nie wystarcza i dlatego proszę o pożyczkę na kupno traktora".

*

NOWY JORK. Dwunastoletnia śpiewaczka Brenda Lee, która ma kontrakty na pół miliona dolarów, dostaje wszystkiego dwa dolary tygodniowo kieszonkowego. Reszta idzie do banku.

*

PARYŻ. W merostwie „wolnej gminy Montmartre'u" znajduje się wywieszka: „Uprasza się nie politykować".

Przypomina mi się incydent wiele mówiący o jej heroizmie i uporze. Pewnego razu zatelefonowała, że jest w Krakowie i zamierza nas odwiedzić. Chwilę przed zapowiedzianą wizytą mąż zaproponował, żebym zeszła do bramy i tam czekała na chwiejącą się jak

trzcina na wietrze Halinę. I wtedy zobaczyłam ją, jak trzymając się oburącz poręczy, wciągała się po dwa schody na to nasze niebotyczne pierwsze piętro. Taka właśnie była. Dysząc i sapiąc, zwinięta jak kot, sadowiła się w kącie na brzegu tapczanu, który był właściwym terenem życia Ignasia. Słuchali muzyki z bogatej płytoteki Banka, rozmawiali. Halina słuchała, Bank opowiadał... Długie chwile milczeli – zapewne na ten sam temat. Czasami zaś zaśmiewali się tym niebezpiecznym śmiechem na pograniczu zakrztuszenia się. Łączyło ich niezwykłe poczucie humoru i racjonalna kpina, dystans do własnego cierpienia.

Pamiętam, że kiedyś weszłam do pokoju z propozycją podania czegoś do jedzenia lub picia, na co Halina powiedziała: „Nic, Lidko, nic nie trzeba, my tu sobie będziemy z Bankiem umierać na waleta”.

Nie wiem, czy takie odpryski wspomnień, małe zdarzenia mają jakąś wagę, czy określają osobowość dziewczyny, którą przecież najpełniej, najgodniej określała jej własna poezja.

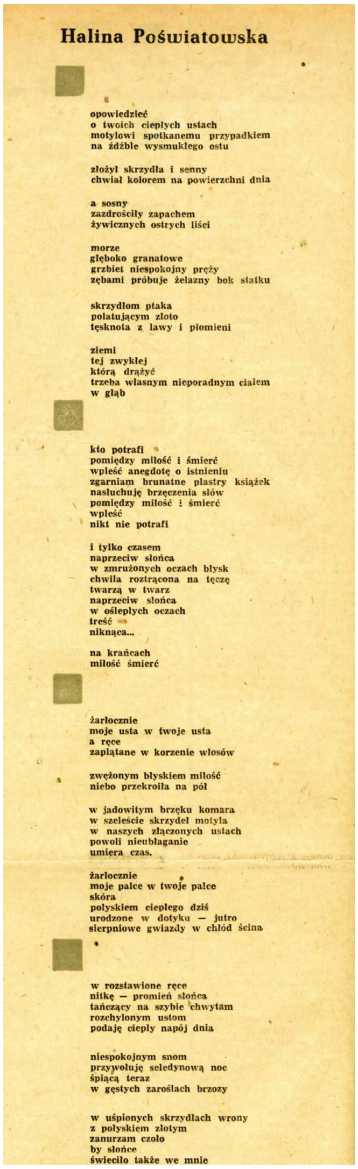

Halina Poświatowska

opowiedzieć
o twoich ciepłych ustach
motylowi spotkanemu przypadkiem
na źdźble wysmukłego ostu

złożył skrzydła i senny
chwiał kolorem na powierzchni dnia

a sosny
zazdrościły zapachem
żywicznych ostrych liści

morze
głęboko granatowe
grzbiet niespokojny pręży
zębami próbuje żelazny bok statku

skrzydłom płaka
polatującym złoto
tęsknota z ławy i płomieni

ziemi
tej zwykłej
która drażyć
trzeba własnym nieporadnym ciałem
w głąb

kto potrafi
pomiędzy miłość i śmierć
wpleść anegdotę o istnieniu
zgarniam brunatne płatry książek
nasłuchuję brzęczenia słów
pomiędzy miłość i śmierć
wpleść
nikt nie potrafi

i tylko czasem
naprzeciw słońca
w zmrużonych oczach błysk
chwila roztracona na tęczę
twarzą w twarz
naprzeciw słońca
w oślepłych oczach
treść
niknąca...

na krańcach
miłość śmierć

żarłocznie
moje usta w twoje usta
a ręce
zaplątane w korzenie włosów

zwężonym błyskiem miłość
niebo przekroiła na pół

w jadowitym brzęku komara
w szelescie skrzydeł motyla
w naszych złączonych ustach
powoli nieubłaganie
umiera czas.

żarłocznie
moje palce w twoje palce
skóra
połyskiem ciepłego dziś
urodzone w dotyku — jutro
sierpniowe gwiazdy w chłód ścina

w rozstawione ręce
nitkę — promień słońca
tańczący na szybie chwytam
rozchylonym ustom
podaję ciepły napój dnia

niespokojnym snom
przywołuję seledynową noc
śpiącą teraz
w gęstych zaroślach brzozy

w uśpionych skrzydłach wrony
z połyskiem złotym
zanurzam czoło
by słońce
świeciło także we mnie

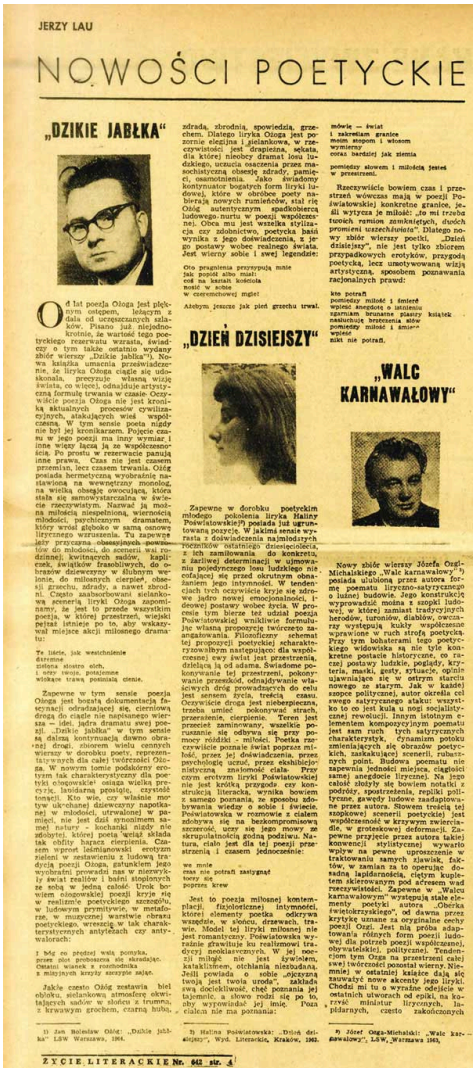

JERZY LAU

NOWOŚCI POETYCKIE

„DZIKIE JABŁKA"

Od lat poezja Ologa jest pięknym osiągnięciem, lekarzym z dala od uczęszczanych szlaków. Pisano już niejednokrotnie, że wartość tego poetyckiego rezerwatu warania, świadczy o tym także ostatnio wydany zbiór wierszy „Dzikie jabłka"[1]. Nowa książka umacnia przeświadczenie, że liryka Ologa ciągle się udoskonala, precyzuje własną wizję świata, co więcej, odnajduje artystyczną formułę trwania w czasie. Oczywiście poezja Ologa nie jest kronikarską aktualnych procesów cywilizacyjnych, atakujących wieś współczesną. W tym sensie poeta nigdy nie był jej kronikarzem. Pojęcie czasu w jego poezji ma inny wymiar. I inne więzy łączą ją ze współczesnością. Po prostu w rezerwacie panują inne prawa. Czas nie jest czasem przemian, lecz czasem trwania. Ologa posiada hermetyczną wyobraźnię nastawioną na wewnętrzny monolog, na wielką obsesję owocującą, która stała się samowystarczalna w świecie rzeczywistym. Nazwać ją można miłością niespełnioną, wiernością młodości, parchleźnym dramatem, który wrósł głęboko w samą osnowę lirycznego wyznania. Tu zapewne leży przyczyna obsesyjnych powtórzeń do młodości, do zerwań, wił, rozdrożnej, kwitnących sadów, kapliczek, świątków franciszkowych, do obrazów dziewczyny w ślubnym welonie, do milionych cierpień, chciwości grzechu, zdrady, a nawet zbrodni. Często zaabsorbowani sielankową scenerią liryki Ologa zapomniamy, że jest to przede wszystkim poezja, w której przestrzeń, wiejski pejzaż istnieje po to, aby wkazywał miejsce akcji miłosnego dramatu:

Te liście, jak westchnienie
dziewcze
cudzoa siostro olch,
i nerv twoje, potajemne
wiązkam trawą pośniała ciemie.

Zapewne w tym sensie poezja Ologa jest bogatą dokumentacją fascynacji odrzucającej się, cierniowej drogą do ciągle nie napisanego wiersza — idei, jądra dramatu swej poezji. „Dzikie jabłka" w tym sensie są dalszą kontynuacją dawno obranej drogi, zbiorem wielu cennych wierszy w dorobku poety, reprezentatywnych dla całej twórczości Ologa. W nowym tomie podobieny erotyzm tak charakterystyczny dla poetyki ologowskiej osiąga wielką precyzję, lawidarną prostotę, czystość tonacji. Kto wie, czy właśnie motyw ukochanej dziewczyny napotkanej w młodości, utrwalonej w pamięci, nie jest dziś symbolem tej natury — kochanki nigdy nie zdobytej, której poeta wciąż składa tak obfity hołd cierpienia. Czasem wprost lśniącowski erotyzm zleci w zestawieniu z ludową tradycją poezji Ologa, gatunkiem jego wyobraźni prowadzi nas w niezrozumiały świat realiów i baśni stopionych ze sobą w jedną całość. Urok bowiem elegijnej poezji kryje się w realizmie poetyckiego szczegółu, w ludowym przymiocie, w metaforze, w muzycznej warstwie obrazu poetyckiego, wreszcie w tak charakterystycznych antytezach czy antywaloracji:

I bóg co przędzi wątk pomyka,
przez płot przebiegła ale skrzydlaty.
Ostatni wianek z rozchodnika
z minionych wrzyty szczęście zejść.

Jakże często Ologa zestawia biel obłoku, sielankową atmosferę obwiązanych sadów w słońcu z trumną, z krwawym grochem, czarną hubą, zdradą, zbrodnią, spowiedzią, grzechem. Dlatego liryka Ologa jest poznie elegijna i sielankowa, w rzeczywistości jest dramatyczna, sękata, dla której niebocy dramat losu ludzkiego, uczucia osaczenia przez machinistyczną obsesję zdrady, pamięci, osamotnienia. Jako świadomy kontynuator bogatych form liryki ludowej, które w obróbce poety nabierają nowych rumieńców, stał się Ologa autentycznym spadkobiercą ludowego mitu w poezji współczesnej. Oboa mu jest wszelka stylizacja czy zdobnictwo, poetycka baśń wynika z jego doświadczenia, z jego postawy wobec realnego świata. Jest wierny sobie i swej legendzie:

Oto pragnienia przyrzuty mnie
jak pojeść albo miast
coś na kształt kościoła
rosnąć w ochre
w czerwonowej mgle!

Abyśmy jeszcze jak pień grzechu trwał.

„DZIEŃ DZISIEJSZY"

Zapewne w dorobku poetyckim młodego pokolenia liryka Haliny Poświatowskiej[2] posiada już ugruntowaną pozycję. W jakimś sensie wyrasta z doświadczenia najmłodszych początków ostatniego dziesięciolecia, z ich zamilowania do konkretu, z żarliwej determinacji w ujmowaniu pojedynczego losu ludzkiego nie cofając się przed okrutnym obnażaniem jego intymności. W tendencjach tych oczywiście kryje się zdrowe jądro nowej emocjonalności, i-dowej postawy wobec życia. W prozie tym bierze też udział poezja Poświatowskiej wnikliwie formułując własną propozycję twórczego zagospodarowania. Filozoficzny schemat tej propozycji poetyckiej scharakteryzowałbym następująco: dla współczesnej ewy świat jest przestrzenią dzielącą ją od adama. Świadome pokonywanie tej przestrzeni, pokonywanie przeszkód, odnajdywanie właściwych dróg prowadzących do celu jest sensem życia, treścią czasu. Oczywiście droga jest niebezpieczna, trzeba umieć pokonywać strach, przestanie, cierpienie. Teren jest przecież zaminowany, wszelkie pokusanie się odbywa się przy pomocy różdżki - miłości. Poetka rzeczywiście poznaje świat poprzez miłość, przez jej doświadczenia, przez psychologię uczuć, przez eksbibicjonistyczną znajomość ciała. Przy tym erotyzm liryki Poświatowskiej nie jest krótką przygodą czy konfesją literacką, wynika bowiem z samego poznania, ze sposobu zdobywania wiedzy o sobie i świecie. Poświatowska w rozmowie z ciałem odbywa się na bezkompromisowo szczerość, uczy się jego mowy ze skrupulatnością godną podziwu. Natura, ciało jest dla tej poezji przestrzenią i czasem jednocześnie:

we mnie
czas się potrafi zastygnąć
toczy się
poprzez krew

Jest to poezja miłosnej kontemplacji, fizjologiczne intymności, których elementy poetka odkrywa wszędzie, w słońcu, drzewach, trawie. Model tej liryki miłosnej nie jest romantyczny. Poświatowska wyraźnie sprawiuje ku realizmowi tradycyj zeoklasycznych. W jej poezji miłość nie jest żywiołem, kataklizmem, otchłanią niezbadaną. Jeśli powiada o sobie „pijaczną twoją jest twoja uroda", zakłada ową dociekliwość, chęć poznania jej tajemnic, a słowo rodzi się po to, aby wypowiedzieć jej imię. Poza ciałem nie ma poznania:

mówię — świat
i zakreślam granice
moim stopom i włosom
wymiary
ciepłe bardziej jak ziemia

powiedzy słowem i miłością jesteś
w przestrzeni.

Rzeczywiście bowiem czas i przestrzeń wówczas mają w poezji Poświatowskiej konkretne granice, jeśli wytycza je miłość: „to mi trzeba twoich ramion zamkniętych, dwóch promieni szarchałucia". Dlatego nowy zbiór wierszy poetki, „Dzień dzisiejszy", nie jest tylko zbiorem przypadkowych erotyków, przygodą poetycką, lecz umotywowaną wizją artystyczną, sposobem poznawania racjonalnych prawd:

kto potrafi
pomiędzy miłość i śmierć
wpleść anegdotę o istnieniu
zgarniam brunatne płatry książek
nasłuchuję brzęczenia słów
pomiędzy miłość i śmierć
wpleść
nikt nie potrafi.

„WALC KARNAWAŁOWY"

Nowy zbiór wierszy Józefa Ozgi-Michalskiego „Walc karnawałowy"[3] posiada ułatwioną przez autora formę poematu liryczno-satyrycznego o lutce) budowie. Jego konstrukcję wyprowadzić można z szopki ludowej, w której zamiast tradycyjnych herodów, turoniów, diabłów, owczarzy występują kukły współczesne wprawione w ruch strofą poetycką. Przy tym bohaterami tego poetyckiego widowiska są nie tyle konkretne postacie historyczne, co raczej postawy ludzkie, pogląd, kryteria, maski, gesty, sytuacje, opinie ujawniające się w ostrym starciu nowego ze starym. Jak w każdej szopce politycznej, autor określa cel swego satyrycznego atoku: wszystko to co jest kula u nogi socjalistycznej rewolucji. Innym istotnym elementem kompozycyjnym poematu jest sam ruch tych satyrycznych charakterystyk, dynamizm potoku zmieniających się obrazów poetyckich, zaskakującej scenerii, rubasznych point. Budowa poematu nie zapewnia jedności miejsca, ciągłości samej anegdocie lirycznej. Na jego całość złożyły się bowiem notatki z podróży, spostrzeżenia, repliki polityczne, gawędy ludowe zasadaptowane przez autora. Słowem treścią tej szopkowej scenerii poetyckiej jest współczesność w krzywym zwierciadle, w groteskowej deformacji. Zapewne przyjęcie przez autora takiej konwencji stylistycznej wywarło wpływ na pewne uproszczenie w traktowaniu samych zjawisk, faktów, w zamian za to operując dosadną lapidarnością, ciętym kupletem skierowanym pod adresem wad rzeczywistości. Zapewne w „Walcu karnawałowym" występują stałe elementy poetyki autora „Obrzeka świętokrzyskiego", od dawna przez krytykę uznane za oryginalne cechy poezji Ozgi. Jest nią próba adaptowania różnych form poezji ludowej dla potrzeb poezji współczesnej, obywatelskiej, politycznej. Tendencjom tym Ozga na przestrzeni całej swej twórczości pozostał wierny. Niemniej w ostatniej książce dają się zauważyć nowe akcenty jego liryki. Chodzi mi tu o wyraźne odejście w ostatnich utworach od epiki, na korzyść miniatur lirycznych. Impidarnych, często zakończonych

[1] Jan Bolesław Ożóg: „Dzikie jabłka". LdW Warszawa, 1964.

[2] Halina Poświatowska: „Dzień dzisiejszy", Wyd. Literackie, Kraków, 1965.

[3] Józef Ozga-Michalski: „Walc karnawałowy", LdW, Warszawa 1965.

Przed wyjazdem do Ameryki przyszła do nas, pokazała notesik ze słówkami angielskimi: „Nic, absolutnie nic nie umiem!", oznajmiła. Była podekscytowana, że to już niedługo, my również, może dlatego chichotaliśmy, żartując sobie z wielkiej niewiadomej, z tej szalonej odwagi i decyzji, z tej niesłychanej szansy... Halina przyjęła wyzwanie losu.

Z napięciem śledziliśmy realizację tych planów. Dochodziły nas wieści z pierwszej ręki o problemach związanych z przyjęciem Haśki na pokład i targi z lekarzem okrętowym, drukowane w „Przekroju” relacje, wreszcie pierwszy list. Pisała bardzo dużo listów. Myślę, że to korespondencyjne obcowanie z ludźmi zastępowało jej bliskich, była przecież straszliwie samotna w swoich kliniczno-sanatoryjnych odosobnieniach. Halina lubiła i rozumiała ludzi, umiała się przyjaźnić. Zarzucano jej egocentryzm, ale to chyba niesprawiedliwe.

Po udanej operacji, cudem wrócona życiu, powzięła decyzję pozostania w Stanach, zachowując nieprzejednaną postawę wobec licznych komplikacji. Jej decyzja wprawiła nas w osłupienie. Zobaczyliśmy inną Halinę, do tego stopnia inną, że poezja stała się tylko jej uzupełnieniem...

Dzięki pobytowi Haśki w USA nawiązałam bardzo dla mnie cenny kontakt z Józefem Wittlinem. Ten wspaniały człowiek miał wątpliwości co do decyzji Haliny. Osłabiona ciężką operacją, ze znikomą znajomością języka, przy beztroskim stosunku do podstawowych zagadnień (co będzie jeść, gdzie będzie mieszkać, z czego będzie żyć...), kierująca się tak niesprawdzonymi w Ameryce normami polskiej gościnności, hojności, uczynności wymusiła dla siebie szacunek i zyskała dowód, że ofiarna Polonia nie na

darmo była ofiarna. Potwierdzały to konsekwentne dopiski Józefa Wittlina w listach do mnie: „Proszę pozdrowić panią Poświatowską cudem tutaj wydartą śmierci”.

Po powrocie do kraju nowy etap jej życia, w którym stała się kimś zupełnie innym, zmienił charakter naszych kontaktów.

Na kilka miesięcy przed śmiercią Halina odwiedziła nasz dom. Byłam tylko z córeczką. Tapczan Ignasia stał pusty. Mąż – pogrążony w zupełnym znieruchomieniu – ostatnie trzy lata życia spędził w Warszawie.

Halina posiedziała chwilę w swoim kątku na brzegu łóżka...

Być może wracała z redakcji lub wydawnictwa, bo przez zapomnienie zostawiła teczkę z maszynopisem swoich wierszy.

To było nasze ostatnie spotkanie. Kilka miesięcy potem zmarła.

Kilka lat później zmarł Ignaś.

LISTY HALINY POŚWIATOWSKIEJ DO LIDII I IGNACEGO BANKÓW

[Jastarnia] piątek [VII 1958]

Kochana, śliczna Lidko!

Może już wróciłaś z objazdu, a może jeszcze nie – to sobie list na Ciebie poczeka. Wyjeżdżam – wiesz – już bardzo niedługo wyjeżdżam – bo 9 sierpnia i skóra mi pięknie cierpnie wzdłuż grzbietu. Bo się boję – bardzo się boję i tej długiej drogi i potem następnej drogi – już samolotem z Montrealu do Filadelfii – i tego, co będą ze mną robić w szpitalu. W dodatku nie umiem nic po angielsku – bo to, czego się nauczyłam w chałupie – akurat sobie zapomniałam – czyli, że jest szansa na to, że w ogóle zginę. Czuję się raczej podle – od opalania dostaję idiotycznych trzepotów – w tym sercu – więc się

już nie opalam – siedzę przeważnie w kącie łóżka albo pod krzywą sosną i rozpamiętuję – tę swoją najbliższą przyszłość.

Rodzina ma ze mną trzy światy – i myślę, że sobie zdrowo odziapną, kiedy sobie już popłynę. Zaprosiłam tu Agatę [Ludmiłę Waluszewską] – ale nie wiem czy starsza Pani [Milica Horbacka, matka Ludmiły Waluszewskiej] będzie tak wspaniałomyślna i pozwoli jej przyjechać – bardzo bym chciała, żeby tak – bo jakoś smutno, że już nikogo z was nie będzie i że sobie nie zobaczę.

Czekam na nią – bardzo czekam – ale ona trudna do przyjazdów – no i już koniec lipca, więc nie wiem czy jej się opłaci przyjechać. Czy Ignaś jeszcze w sanatorium – jak się czuje – a Ty – a co robi Marta [córka Lidii i Ignacego Banków]? Jeśli zdążysz kochanie – to napisz do mnie. Będę tu do samego końca – to znaczy jeszcze do 8-mego łącznie.

Nie wiem, co się dzieje ze Śliwiakiem – jeśli siedzi w Krakowie i żyje – to straszna świnia – napisałam do niego 3 listy i nie odpowiada. Posłałam mu opowiadanie Morawskiego bardzo zabawne – i chciałabym strasznie, żeby wydrukował – poza tym nieco własnych wierszów – ale bez żadnych życzeń. W ostatniej „Nowej Kulturze" ładna recenzja o Harasymowiczu – i pysk Harasymowicza taki miły, pomięty trochę, z tymi śmiesznymi oczkami. Naprawdę go lubię – no bo jak go nie lubić – lubię nawet bardziej od tych jego wierszów – które są na pewno dobre i w jakiś sposób nowe – ale zbyt skomplikowane dla mnie. Dlatego nie zostaję – chyba najwcześniejsze – jeszcze „koty" – jeszcze „zające" – „Kraków" – chodziłam sobie dokoła rynku – ale Ciebie już nie było – pojechałam pożegnać się z profesorem – [...] potem spałam ze świątkami – a pan Horbacki [ojciec Ludmiły Waluszewskiej] nareszcie mnie zauważył i nawet opowiedział o Krisznie. Czy ty czujesz, jak mi żal – tak żal, że piszę drętwo – bo straciłam cały przyrodzony dowcip. Tak nie chcę – tak nie chcę – i tak mi trudno.

Ucałuj Martę – ucałuj Ignasia – i nie martw się Kochanie – i nie miej smutnych oczu – tylko takie trochę uśmiechnięte. Całuje Cię mocno, najmocniej

Halina

[Yonkers] 29 I [1958]

Ignaś Kochanie z Rodziną!

Widzisz, spreparowali mnie pięknie – i najpierw zupełnie im nie wierzyłam i łaziłam z pyskiem smutnym i podłużnym – a właściwie leżałam grzecznie – a teraz to zaczynam zdobywać różne schody – i nasłuchuję, i nie dusi.

Nawet lubię te wszystkie szramy – bądź co bądź nie wszyscy mogą sobie pozwolić na to, żeby ich przekroili w kółko jak pomarańczę, a jeszcze po brzegach. Szramy na przegubach wyglądają tak, jakbym chciała popełnić samobójstwo – mówię to różnym z poważną miną –

i wierzą, i patrzą nieomal z szacunkiem. Kłopotów mnóstwo, bo widzisz pracować jeszcze ciągle nie mogę – a naród tutaj bardzo nieprzyzwyczajony do takich. I tak trochę wszyscy mają dosyć. I na gwałt chcieliby mnie przewiązać sznurkiem i poprzez ten ocean do domu – a ja – z prostej przekory wypełniam papierki i piszę, piszę – może przecież od praktycznego narodu da się wydębić nieco monety. Chociaż – odpisują tak grzecznie, że – nie mogę. A ja zaczynam dziko (nic zresztą nigdy nie robiłam spokojnie) lubić New York. To miasto jest jak las – i zupełnie urzeka. Strasznie duże domy – i najładniejsze, gdy staniesz tuż pod i podniesiesz łeb do góry – albo z wysoka – a potem jest noc i ulice są głębokie i świecą. Napisy gonią w tę i z powrotem – w teatrach jakieś mnóstwo cudownych filmów i sztuk. Tak z daleka – a w ogóle to kosztuje dolary. A ja ich nie mam. Ale ukradnę i kupię Ci taką jedną śliczną płytę – nazywa się *My fair lady*. To operetka zrobiona z *Pigmaliona* – ale melodia i słowa są tak urocze, że – że chcę, żebyś posłuchał. W ten sposób zatroszczę się i o siebie, bo będę mogła przyłazić do Ciebie – jak już mnie stąd przepędzą – i będziemy se słuchać.

Przysłali trochę zielonych książeczek [Pierwszy tomik wierszy Poświatowskiej *Hymn bałwochwalczy*], ale w ramach wdzięczności trzeba było porozdawać – teraz się pewnie będą nade mną w gazetach znęcać.

Lidko najmilsza bardzo Ci dziękuję za list – i jeśli jeszcze masz choć trochę serca dla mnie niewdzięcznej – to napisz. Całuję Cię mocno i Martusię i Ignasia

Halina

Na tle obrazów namalowanych przez Adolfa, Częstochowa 1957

FRAGMENTY LISTU
HALINY POŚWIATOWSKIEJ DO JANA NIWIŃSKIEGO

Panie Janku!

Jak Pan może pisać, że nie rozumiem – rozumiem aż za bardzo, wiem i nie potrafię się z tym rozprawić. Co mam zrobić, kiedy każde nieregularne uderzenie serca przyprawia mnie o rozpacz? – muszę gryźć palce – żeby nie krzyczeć. Jestem sama! Okropnie sama – buntuję się – i jeśli Pan razem z Freudem ma rację – to buntuję się słusznie – są przecież jakieś gruczoły dokrewne – jest cała natura – a ja chociaż dobrze wiem, że to tylko tyle, nie mogę się obronić przed upartą melancholią, albo wybuchami płaczu, które są niespodzianką nawet dla mnie. Na miłość boską, czy to moja wina, że jestem kobietą – najchętniej kazałabym się wykastrować – gdyby nie to, że nawet taka operacja w obecnej chwili byłaby niebezpieczna – i zresztą myli się Pan – to właśnie przez tę upartą gorycz, przez rozpacz, która mnie żre po kawałku – mogę pisać. Kiedy jestem względnie zadowolona jak tam w czerwcu, w Krakowie (ten okres wspominam sobie jako jeden z najszczęśliwszych), nie mogę złożyć dwóch zdań do kupy. A teraz zdaje się nareszcie wyszłam z impasu – przekonałam się, że mogę pisać – odpowiedziałam na ankietę „Po Prostu” – wczoraj – tylko się ciężko zastanawiam czy ją posłać? Naobrażałam ich wszystkich – ale mi dokuczyli – bo nie powinni zamieszczać obrazów Adasia [Poświatowskiego] bez mojego pozwolenia – i nie w takiej oskubanej formie. Ten obraz jest taki śliczny (był, dokąd go nie ukradli), a oni zrobili siny placek – napisałam: do tego przydaje się ludzkie życie, żeby „Po Prostu” mogło wydrukować dwa sine placki. [...]

„Twórczość” przeczytałam – gazety jeszcze nie wszystkie – bo pożyczono mi na krótki okres dwie grube książki – *Ciała i dusze* – Maxence van der Meersch – kapitalna książka – o szpitalach i doktorach, wydanie „Paxu” – spłakałam się nad tym jak bóbr – ilekroć przypominam sobie swoją nędzną dolę albo i te kipiące staruszki i nie staruszki. Pisze obiektywnie, nieemocjonalnie – jakby kroił nożem – a wywołuje taką emocję [...] – teraz czuję jak Pan

wyciąga wniosek – zły stan nerwów – możliwe – przedtem nie płakałam nad książkami. [...]

Strasznie nędzny świat – Panie Janku – ci, którzy znaleźli jakieś miejsce – i są zadowoleni – wyglądają jakoś żałośnie i to ich zadowolenie też jest żałosne – inni szukają i ciągle im się zdaje, że już mają tę prawdę, dla której warto żyć – potem szukają innej – a tacy, jak ja, szamoczą się bezsilnie – biją głową o mur – i nie mają nadziei, nie dopuszczają żadnej nadziei – a wszystko z powodu – złego stanu krążenia i paru jajników. To jednak chyba Marks ma rację – najpierw byt, potem świadomość.

Zauważyłam to u siebie – ilekroć udaje mi się lepiej czuć – automatycznie moje zniechęcenie przechodzi, nigdy odwrotnie – nigdy nie mogłam zmusić się do dobrego humoru, żeby następnie wywołać jakieś spokojniejsze tętno. Wiem, na przykład, że mówienie wierszy daje mi głęboką satysfakcję – strasznie lubię mówić – ale serce przy tym szaleje – i nie można mówić. Mama zabroniła mi absolutnie – w ogóle prowadzimy takie dialogi.

Ja: Bez szpitala nie przejdzie.

Mama: Musi przejść, w szpitalu dostałabyś gorszej nerwicy.

Ja: Ale leżałabym i dawaliby mi lekarstwa.

Mama: Dlaczego nie chcesz mi wierzyć, wystarczy miesiąc racjonalnego życia.

Ja: Jak sobie to wyobrażasz?

Mama: Nie będziesz chodzić...

Ja: Przecież i tak leżę.

Mama: Będę ci sama dawała lekarstwa.

Ja: Łykam.

Mama: Postarasz się nie myśleć o złych rzeczach.

Ja: Ba!!...

I o to prawdopodobnie rozbija się wszystko – o ten ostatni punkcik – próbowałam łykać brom – serce nie lubi bromu – więc w jaki sposób skutecznie wyłączyć korę mózgową – a ja się boję śmierci – ba! Jeszcze lepiej od babci – ona na głos twierdzi, że nie doczeka do

marca (a zdrowa jak byk!!) – ja jeszcze do tego nie doszłam – ale się boję.

Teraz o sztukach [Poświatowska marzyła, by napisać dobrą sztukę; w całości zachowała się tylko wczesna jednoaktówka *Sąd nad Sokratesem*] – to jednak jest bardzo trudna sztuka napisać coś dobrego – Ci, którzy przeczytali to [nieukończony dramat *Dwie pary*] tu, w Częstochowie twierdzą, że:

nie mam wyczucia dramatycznego

chropowatości stylu

dłużyzny

schematyczne

Mam około 20 zeszytów – zapisanych scenami poprawek – przeróbkami – ale kiedy mam ochotę uporządkować to wszystko – ręce mi opadają. Nie potrafię nic zmienić gruntownie – a obracać zdania – to chyba nie ma sensu – gdybyż tak można przyjść do Pana – i zobaczyć, jak się to robi – a nowych pomysłów nie mam też.

Natomiast od czasu do czasu piszę jakiś wierszyk – posłałam kilka temu studentowi z Krakowa – który pisał do mnie o sztuki i on zaniósł je do redakcji takiego magazynu – „Czarno na Białym” i podobno chcą tam wydrukować. Zgodziłam się i ucieszyłam nawet – niech Pan kupi następny numer, może tam co będzie.

Przed obrazem namalowanym przez Irenę Mścichowską-Niwińską, 1957

W każdym razie jedno jest niewątpliwe – mądrzeję – czytam *Historię filozofii* Tatarkiewicza na zmianę z *Mózgiem i duszą* [Alberta Dryjskiego] – wcale mi niełatwo przedzierać się przez te terminy – ale filozofia interesuje mnie bardzo – gdybym mogła iść na

uniwersytet, poszłabym chyba na to – jeśli Pan ma coś z nowoczesnej filozofii – proszę mi przysłać. [...]

Nie wierzę w medycynę, Panie Janku – psychologia też u mnie splajtowała – może jestem wyjątkowo upartym typem – może to przez dwie wojny – które mi w nerwach siedzą – roztrzęsionych aż do kalectwa (mamcia się rodziła w pierwszą), ale wierzę w chirurgię – która jest też gałęzią medycyny. Ta przynajmniej nie bawi się w rozumowanie – kroi i dobrze – albo się żyje, albo się nie żyje – co w zasadzie nie stanowi wielkiej różnicy. Najgorszy jest stan pośredni. Taki, jak u mnie. W dodatku nie mam żadnych obowiązków i kłopotów z tych „realnych" – wszyscy się nade mną trzęsą – ojciec na mnie zarabia – nawet dzieci [siostra Małgosia – Teresa Małgorzata – młodsza od Haliny o dwanaście lat i brat Zbyszek młodszy o szesnaście lat] łażą koło mnie jak koło monstrancji. Takie życie na zewnątrz może być godne zazdrości – czemu więc mnie to tak gnębi – jak się odczepić.

Z recytacji w tych warunkach – nie, nikt mi nie zamknie gęby i w łóżku przynajmniej pół dnia – powtarzam jakiś urzekający wierszyk, ale trudno, żeby szanowne jury przychodziło do mnie i czaiło się za drzwiami – na zasadzie ducha w szafie – bo gdybym już wiedziała, że są – straciłabym oddech i nic by mi nie wyszło. A poza tym gusty mam trochę wypaczone – wie Pan, co gadam – Gajcego (wszystkie pogrzeby z powstania – jaki to był zdolny chłopak – mój Boże), Leśmiana – też pogrzeby i Gałczyńskiego, ale to, co smutne – na przykład *Na śmierć Esteriny* – śliczny wiersz – a poza tym sama dopisuję sobie do cyklu – o żółtej trumience – o bratkach i innych kwiatkach, o, mniej więcej, tak!

Wystarczy...

Jak łatwo
przytulić policzek do sosny
i już nie płakać
u góry fiołki
kiwają smutno główkami

w fioletowych grzywkach
tak tak tak tak

Drzewo uspakaja
jak palce matki
tu i w lesie
konwalie świegocą
tak tak tak

przytul policzek do chropowatego pnia
zamknij oczy
bratki nie pachną
szepczą – jak niegrzeczne dzieci
tak tak tak

Wystarczy przytulić policzek
do pnia
ogładzonej sosny
pomalowanej żółto
tak tak tak...

To bardzo słabiutki wierszyk i ja o tym wiem – ci w „Czarno na Białym” mają trochę lepsze – dwa poślę Panu – ale napisałam go po to, żeby Pan wiedział. Gdybym zresztą pisała jak anioł – to takie wiersze są do niczego – nieprzydatne – niepotrzebne ludziom – o smutkach – trzeba pisać wesoło, prawda – choćby to była ta wesołość wisielca – jak Gałczyński – i żeby wszystko było w cudzysłowie – wiem, o tym, wiem, ale, jak to zrealizować? [...]

Jestem Panu bardzo wdzięczna – serdeczne pozdrowienia dla Państwa przesyła

Halina

LIST MAGDALENY SAMOZWANIEC
DO ZOFII JACHIMECKIEJ

2/[19]57

Mme

Za fotografię z Wojteczkiem [Wojciechem Kossakiem, ojcem Magdaleny Samozwaniec] ślę podziękowania. Piszesz, żeś odkryła Poświatowską. Skąd u ciebie moja droga pani tyle zachwytu? Starość cię dopadła i skoraś do uniesień. Zofka [Zofia Starowieyska-Morstinowa] przedstawiła mi to dziewczę. Młoda gęś. Okrzyknięto ją następczynią mojej Lilki [Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, siostry Magdaleny Samozwaniec]! Czytałam ciekawe te wierszyki – dała mi je [Halina] Wittlinowa, żona Józia [Wittlina]. Nie mogę powiedzieć, dobre to i warte zapamiętania, ale czy Lilkowe – nie inne, ale prawda – o miłości. Dziewczę widziałam. Ładna, włosy jak u Lilczura [Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej] – profil, nie mogę powiedzieć, godny najlepszej rasy, a i główkę wysoko nosi, jak Tarnowska, Tyszkiewiczowa.

Z tego co mówiła Sternowa, nie lubią jej tutaj. Zawiść, piekiełko – Krakówek typowy. Z sercem u niej nie bardzo, podobno choruje bardzo i do Ameryki na operację słać mają, aby ratować. Ja bym nie ratowała. Wybrani odchodzą młodzi, bez zmarszczki na gębie. Nogi ma ładne, bucik dobrany, choć to nie Bata – ma do ubioru zmysł. A wierszyki, jak pisałam, ładne – lepsze niż Iłły [Kazimiery Iłłakowiczówny], tylko jej tego nie mów, bo się na mnie obrazi, one wszystkie poetki bardzo na punkcie swoim drażliwe, i kto mnie będzie podejmował, gdy z wieczorami do Poznania zjadę [Iłłakowiczówna mieszkała w Poznaniu].

Magdalena

JERZY PAWŁOWSKI

SZERMIERZ

Przypadek sprawił, że popłynąłem wtedy [w sierpniu 1958 r.] „Batorym”. Miałem lecieć samolotem, ponieważ choruję na wszystkich pływających łajbach (nie mogę nawet siedzieć w samochodzie z tyłu za kierowcą, bo też się źle czuję). Namówiono mnie, żebym popłynął, i dzięki temu się spotkaliśmy.

Poznaliśmy się na wieczorku kapitańskim. Halina była adorowana przez wszystkich oficerów i wszystkich majtków. Emanowała kobiecością, była szalenie sexy. Muszę przyznać, że zdjęcia nie oddają jej uroku osobistego, nie oddają blasku. Halinka była bardzo radosna; jak to się potocznie mówi – śmiała się pełną gębą. Miała dosyć dużą buzię, szeroki uśmiech, toteż nie dziwię się, że szalał i łaził za nią cały sztab oficerski. Gdyby nie moja choroba morska, miałbym u niej większe szanse.

Bardzo ciężko chorowałem. Halinka przynosiła mi do kajuty gorący grog od oficerów i robiła zimne okłady na czoło. Ratowała mi życie swoją obecnością.

Miewałem też „przebłyski” i wtedy wesoło spędzaliśmy czas. Trochę tańczyliśmy, bo Halina lubiła

tańczyć, chociaż nie mogła. Powiedziała mi, że pisze wiersze, ale, szczerze mówiąc, nie braliśmy tego poważnie. W czasie jedenastu dni podróży poezja była na drugim planie.

Przeżywaliśmy sztorm. Leżałem chudy, blady, potwornie zmęczony (w ciągu dziesięciu dni straciłem jedenaście kilogramów). Dwukrotnie groziło nam wywrócenie się statku. Przechył „Batorego” wynosił 41,5° (krytyczny bywa przy 45° czy 46°). Ja o tym wiedziałem, Halina nie. Przechył statku w pewnej chwili był tak duży, że spadłem z górnej koi do własnej walizki i zrobiłem w niej dziurę.

Halina znosiła sztorm dość dobrze. Przez trzy sztormowe dni nie widzieliśmy się. Oficerowie przeżywali chwile grozy. A kiedy zrobiło się spokojniej, siedzieliśmy na mostku kapitańskim i popijaliśmy razem z nimi. W ten sposób spędziliśmy ostatnią część podróży.

Kiedy ocean trochę się uspokoił (byliśmy w połowie szerokości Atlantyku), Halina przyniosła mi wiadomość, że tuż obok będzie wodował samolot KLM. Okazało się, że to właśnie nim miałem lecieć. Wkrótce słuch po nim zaginął. Dowiedzieliśmy się później, że wszyscy zginęli, między innymi grupa egipskich szermierzy i węgierski trener Tilly. Kiedy Halina przyszła do mnie z wiadomością o planowanym wodowaniu samolotu, natychmiast pobiegliśmy na mostek kapitański. Byliśmy

wówczas świadkami rozmów kapitana z pilotem, który ostatecznie zdecydował się na powrót do Europy. Wkrótce wszyscy poszli na dno...

W Ameryce spotkaliśmy się trzy razy. Wiedziałem, że wraca do Polski – napisała mi. Gdybym teraz miał powiedzieć, dlaczego nie spotkaliśmy się tu, w kraju, nie potrafiłbym. Chyba nie miałem wtedy czasu, bardzo dużo jeździłem.

Nie mogę o niej powiedzieć nic złego, mam same ciepłe wspomnienia. Halinka była trochę zwariowana, czasami miała głowę w chmurach, ale to wynikało z poetyczności duszy, nie z głupoty.

Nie mówiła o tym, że jest chora, choć był taki moment, kiedy posmutniała. Spytałem wtedy, co się stało. Powiedziała o planowanej operacji. Ale nikt nie przypuszczał, że jest tak ciężko chora.

Do dziś zachowałem w pamięci parę obrazów z tamtego rejsu: kajutę i strój Halinki. Pamiętam niebieską sukienkę w białe grochy z białym kołnierzykiem. Chyba ją lubiła, bo często w niej chodziła.

Sposób bycia Halinki robił duże wrażenie. Ale to chyba zawsze jest tak, że ludzie, którzy stoją na krawędzi życia i śmierci, mają w sobie coś, czego nie potrafi pokazać zdrowy człowiek. Otarcie się o tę niezbadaną tajemnicę jest wyzwalające...

JERZY BIGOSIŃSKI

STRYJECZNY BRAT HALINY POŚWIATOWSKIEJ

Halina była ciemną blondynką o ładnym profilu, zielonych oczach i wysokich policzkach. Kości policzkowe miała wysunięte jak moja matka, dlatego to zapamiętałem.

Była inteligentna, oczytana, pewna siebie. Czasem ironiczna, często uparta. Miała o sobie wysokie mniemanie. Nieraz traktowała innych z góry, a mimo to prawie zawsze była autorytetem.

Z ciotką Hanką w jej domu w Yonkers, wrzesień 1958

Największy kontakt z Haliną miałem na przełomie 1958 i 1959 roku, kiedy starała się o przyjęcie do któregoś z amerykańskich college’ów. Po udanej operacji chciała skorzystać z okazji i studiować filozofię w Stanach. Pomogłem jej napisać podania do siedmiu najlepszych amerykańskich uczelni, tzw. siedmiu sióstr. Pisaliśmy razem, bo jej angielski nie był jeszcze zbyt dobry. W tym właśnie czasie przysłano Halinie z Polski dziesięć egzemplarzy jej pierwszego tomiku *Hymn bałwochwalczy*. Pomyślałem, że dobrze będzie, jeśli do każdego podania dołączymy egzemplarz książeczki. To będzie wyróżniało ją spośród pozostałych osób

ubiegających się o przyjęcie na studia. Ku naszemu zaskoczeniu i radości pozytywne odpowiedzi przyszły aż z trzech uniwersytetów. Przyjęcie było uwarunkowane wcześniejszą rozmową z kandydatem. Woziłem ją wszędzie. Smith zaproponowało Halinie najwyższe stypendium (2200 dolarów na rok), co było bardzo istotne, bo stanowiło jej utrzymanie w Ameryce. Fundacja Kościuszkowska dała tylko jednorazowe stypendium w wysokości 500 dolarów. Poza tym Smith miało Wydział Literatury Słowiańskiej. Profesor, który przeglądał wiersze Haliny, stwierdził, że to talent. Prawdopodobnie dlatego przyznano jej tak wysokie stypendium.

Wuj Henry Fiedorowicz

Czas między wysłaniem podań a nadejściem odpowiedzi (połowa lutego – początek kwietnia) był dla Haliny niezwykle trudny i stresujący. Bardzo zależało jej na studiach w Ameryce. Było to dla niej pewnym wyzwaniem. Mogła udowodnić, że sama potrafi sobie poradzić w obcym kraju, pomimo choroby i trudności językowych. Stanęła wreszcie na własnych nogach. Myślę, że było to jej potrzebne.

Nasz kontakt urwał się we wrześniu 1959 roku, gdy rozpoczęła naukę w Smith oddalonym od naszego domu w New Jersey o trzysta kilkadziesiąt kilometrów. Latem spędziła parę weekendów ze mną i moją żoną Anitą; czasem jeździliśmy na plażę, czasem w góry. Wcześniej odwiedzałem ją w sanatorium Deborah, niedaleko Filadelfii.

Ostatni raz widziałem Halinę latem 1960 roku, kiedy przyjechała na letnie kursy do Nowego Jorku. Mieszkała w hotelu blisko Uniwersytetu Columbia. Tylko na weekendy zabieraliśmy ją do siebie.

Jej ojciec i moja matka to rodzeństwo. Byłem stryjecznym bratem Haliny, kuzynem w pierwszej linii. Hanka Fiedorowicz, u której mieszkała na początku pobytu w Stanach, była dalszą ciotką. Halina darzyła szczególną sympatią jej męża, wuja Henry’ego. Uważała go za swego „zastępczego ojca”. Kiedy mieszkała u nich w Yonkers, miało miejsce pewne zdarzenie, które sprawiło, że Halina musiała wyprowadzić się stamtąd. Opowiadała mi o tym Hanka Fiedorowicz, więc historia jest wiarygodna.

W mieszkaniu było rozwieszone pranie, suszyły się m.in. koszule wuja. Kiedy Halina weszła do tego pomieszczenia, zamiast do ciotki podeszła do... koszuli wuja Henry’ego, objęła ją i powiedziała: „Mój kochany wujku”.

Już wcześniej były między nią a ciotką pewne nieporozumienia, ale to zdarzenie stało się przysłowiową kroplą, która przelała kielich goryczy Hanki Fiedorowicz.

Z Haliną i Józefem Wittlinami, sanatorium Deborah, październik 1958

HALINA WITTLIN

ŻONA PISARZA JÓZEFA WITTLINA

W roku 1957 mój mąż Józef Wittlin na prośbę naszej serdecznej przyjaciółki, śp. Zofii Starowieyskiej-Morstinowej, pisarki, współpracowniczki „Tygodnika Powszechnego” w Krakowie, podjął się próby, jak się wydawało w owych czasach, niezmiernie trudnej, sprowadzenia Haliny Poświatowskiej na operację serca. W tym celu nawiązał kontakt z Polskim Komitetem Emigracyjnym. Przedstawiciel tego komitetu pan Władysław (Walter) Zachariasiewicz oraz jego żona pani Adela umiejętnie mu w tym dopomagali. Wciągnięto w tę akcję poczytny dziennik polonijny „Nowy Świat” oraz tutejsze polonijne radio, tzw. stację Dwóch Edwardów. Przede wszystkim trzeba było zebrać pieniądze na bilet. Józef Wittlin ogłosił w „Nowym Świecie” apel *Ratujmy młode życie*. Dwaj Edwardzi pomagali audycjami. Sypnęły się datki i tak uzbierano fundusz na bilet. Komitet Emigracyjny poprzez tutejsze władze również wpłynął na decyzję ambasady w Warszawie udzielenia Halinie wizy.

Z Adelą Zachariasiewiczową, Yonkers, sierpień 1958

Doktor Bolton na prośbę profesora Aleksandrowicza przyrzekł operować pacjentkę gratis. To obejmowało również koszty pobytu w szpitalu. Trzeba było jeszcze znaleźć dla pacjentki locum, na razie w Nowym Jorku. I tu nagle i niespodziewanie okazało się, że w pobliskim mieście Yonkers mieszkają jej krewni, państwo Fiedorowiczowie, o których istnieniu nic nie wiedzieliśmy aż do chwili, kiedy ukazały się wiadomości o przyjeździe pacjentki. Możliwe, iż obawiali się, że protektorzy Haliny zwrócą się do nich o zaproszenie – [...] zapraszający muszą podpisać w konsulacie zobowiązanie, że pokryją koszty

utrzymania i leczenia osoby sprowadzanej. W tym wypadku koszt leczenia mógłby znacznie przewyższać możliwości finansowe państwa Fiedorowiczów. Trudno im się dziwić, że przyłączyli się do akcji ratowniczej, kiedy już wszystko było załatwione. Po przyjeździe do Nowego Jorku Halina zamieszkała w ich domku w Yonkers. [...]

Drugi etap – Filadelfia. Tu znalazła się pomocna ręka w osobie państwa Dereniów, którzy zaprosili Halinę do siebie. Ich syn, dr med. [Leszek] Dereń, człowiek równie szlachetny jak jego rodzice, ulokował Halinę w sanatorium Deborah pod Filadelfią. Tam przygotowali ją do operacji, której szczęśliwie dokonał doktor Bolton [doktor Nichols] w Hahnemann Hospital.

Po operacji Halina wróciła do Yonkers [...].

Halina podpisała tę fotografię: „pytają się jakiego jestem wyznania”, Nowy Jork 1958

Odwiedzaliśmy Halinę w każdym ze wspomnianych miejsc. Niestety po dziewięciu latach sprawa przyjęła finał tragiczny, którego, kto wie, może udałoby się uniknąć... Po takiej operacji pacjent nie jest zupełnie zdrowy i nie powinien od razu wracać do czynnego życia. Rekonwalescencja jest długa. Naszym zdaniem Halina powinna była po pobycie w Yonkers wrócić do domu rodziców w Częstochowie i dopiero po dłuższym wypoczynku zabrać się do studiów. Halina była innego zdania. Zaryzykowała swoje życie [...]. My nie mieliśmy prawa zachęcać jej do tego.

Z Józefem Wittlinem (z prawej), 1958

LISTY HALINY POŚWIATOWSKIEJ DO HALINY I JÓZEFA WITTLINÓW

poniedziałek [7 IX 1958]

Kochani Państwo!

Wczoraj mieliśmy piękną uroczystość, bo chrzcili tego mniejszego Derenia – Marka. Było takie mnóstwo ludzi – i wszyscy ładnie gadający po polsku. Zdaje się, że niedługo będę miała więcej znajomych Polaków w Ameryce niż w ojczyźnie. Rodzice doktora Derenia mają program radiowy w Filadelfii i zabrali mnie tam na chwilę, żeby zrobić ze mną wywiad. To była ciężka robota – ale

opłacała się bardzo, bo już mamy 110 dolarów – więc jest nadzieja, że za te bilety pieniądze zostaną zwrócone.

Oni – to znaczy doktor Dereń i jego żona [Jadwiga] – strasznie dobrzy i rozpuszczają mnie okrutnie, nieomal jak jeszcze nikt. Zabrali mnie w sobotę do sklepu – gwałtem – i na te chrzciny kupili mi całkiem nową śliczną sukienkę. Paradowałam jak gwiazda filmowa – i szlafrok mam różowy i piżamę. I nie pozwolą nic robić – ale najważniejsze to to – że kiedy tak sobie z doktorem fachowo obgadujemy tą całą operację, wszystko mi się wydaje nieskomplikowane, łatwe, proste. 3 tysiące operacji – to jest jednak coś – nawet mi się śmiać chce, że mnie trochę zamrożą przed tym – jak tego indyka na chrzciny.

Czytam sobie co nieco – gadam sobie co nieco – i czekam bardzo cierpliwie. A teraz całuję Państwo mocno i Elżunię też

Halina

11 IX [1958]

Kochani Państwo!

Specjalizuję się w czekaniu – i to wszelakim. Czekanie niedługo stanie się moim powołaniem życiowym, dziejowym czy jak to się nazywa. Po proszkach śpię pięknie – w dzień sobie czytam, bo chłodno i właściwie ślicznie mi się żyje w tej Ameryce. Niemniej to jeszcze cały tydzień zanim mnie tam wezmą. Najchętniej właściwie przyszłabym do Państwa i znowu od początku pooglądałabym książki. I pogadałabym trochę – wierszy – na cały głos. Całuję mocno i czekam

– Halina

środa [18 IX 1958]

Kochani Państwo!

Deszcz jest na dworze – i wiatr – i to właściwie może być wszędzie nie tylko w Ameryce. Dostałam list i książkę i bardzo ogromnie dziękuję. Bo właśnie nie było co czytać, to znaczy jest od początku do końca Puchatek.

Jadę już jutro i stamtąd od razu przyślę adres Państwu, bo chcę jeszcze list i jeszcze. Aż dotąd i potem też. Taki zamęt w moim biednym łbie. Całuję mocno

– Halina

Przed operacją, Filadelfia, listopad 1958

[Deborah] 24 IX [1958]

Kochani Państwo!

Nie bardzo jestem mocna po tych lekach, którymi mnie karmią. Leżę sobie przeważnie i nauczam się tej ich dziwnej bełkotliwej mowy. Jak trudno. Boję się już, że w ogóle nigdy tego nie pojmę do końca. I nawet nie wiem, co będą ze mną działać w dalszym ciągu – bo nie umiem się zapytać. Natomiast ładnie rozumiemy się z jedną Rosjanką i z jedną Czeszką.

Pozdrowienia śliczne – przesyła Halina

[Deborah] środa [9 X 1958]

Bardzo kochani Państwo!

Jaśniej mi się zrobiło jak mnie Państwo odwiedzili i od czterech dni uczę się bardzo pilnie. Wynik taki, że z cichej i pokornej robię się pyskata i głośna aż poniektórzy się dziwią. Zaczynam mieć wymagania także po angielsku. Zawiadomili mnie bardzo oficjalnie, że jutro rano idę do Hahnemann – to pewnie pójdę. Chociaż z nimi różnie bywa. Jeśli mnie nie zastraszą na amen – to napiszę stamtąd – całuję mocno

Halina

[Filadelfia] 21 X [1958]

Kochana Pani!

Nie chcę już więcej labiedzić, a właściwie to jedyna rzecz, na którą mam ochotę. Położyć łeb na kolanach mamie i wyskarżyć się dokładnie. Oni się ciągle czają i wcale nic nie wiem, co w efekcie jest lepsze od jakiejkolwiek określonej wiedzy. W każdym razie znowu nie dziś. Bardzo paskudnie. Cieszę się, że Pani zostaje – chociaż pewnie wolałaby Pani być razem z mężem. Może potem wujek

będzie mógł mi przywieźć Panią – chociaż na niewiele godzin. Całuję mocno

– Halina

[Deborah] 30 X [1958]

Kochani Państwo

No i czy to nie ładniej zostać w domu zamiast się włóczyć po świecie – tym bardziej, że różnym osobom, które się lubią cieszyć z cudzych nieszczęść – raźniej się zrobiło. Dziękuję za czarownicę – zęby sobie łamię na tej angielszczyźnie – ale przecież czytam – i domyślam się tak zgrabnie jakbym rozumiała. Co za żonglerka – zawsze strasznie lubię cyrk i okazuje się, że mam rację – bo nie sztuka nosić cylinder na głowie – ale sztuka mieć ich kilka i podrzucać tak zgrabnie – żeby ludzie zapomnieli, że to w ogóle cylindry. Poza tym dzień jest piękny i coś wyje we mnie niezmiernie – jak Baryłka [pies, który mieszkał z rodziną Mygów na Jasnogórskiej w Częstochowie] ku księżycowi i chcę iść i chcę gonić. Nie można. Kropka. Ile jeszcze tych dni – och, zagryzłabym te dni – takie niesympatyczne jakieś z perspektywy przyszłości. Jesień się robi na fest i wszystko tak drży. We mnie też. Boję się tej jesieni – i chciałabym się schować w mysią dziurę albo co najmniej na Pani kolana. Kolana mojej mamy są nieosiągalne, bo aż w Polsce – no i ona pewnie też nie ma czasu. To normalne w tym ładnym świecie. A ja jestem stara dziewucha i całuję mocno

– H.

PS Dookoła cicho i jakby o mnie zapomnieli. To nie jest złe.

Halina

Smith College w Northampton

[Northampton] 2 X [1959]

Kochani Państwo,

Szkoła [Smith College] jest śliczna i to nietrudno wiedzieć. Mam trochę kłopotu z moimi językami, bo uparłam się w przyszłości gadać także po francusku, a mój francuski przez tą pospieszną naukę angielskiego nieomal przestał egzystować. Angielski też nie jest jeszcze na poziomie, więc siedzę i siedzę w bibliotece albo prościej na łóżku w tym ślicznym pokoju, który mi podarowali i czytam. Czasem mi głowa sztywnieje, wtedy sobie śpiewam fałszywie i po polsku nieprzyzwoite ludowe piosenki. To pomaga.

Oni wszyscy dla mnie strasznie dobrzy; i dziewczęta i profesorowie, pomagają i wyjaśniają, gdy się pieklę, że pewnie nie zdam egzaminów, mówią, że jeśli nie pierwsze, to te drugie już na pewno. W każdym razie po pierwszym semestrze nie wyrzucają.

Bardzo by mi było przykro, gdyby taka ewentualność mogła zaistnieć. Ja mam oczywiście ambicje przeleźć przez ten pierwszy też, lecz dzień nie chce mieć więcej godzin niż ma i podobno trzeba spać.

Lekarka już mnie badała i całkiem zadowolona, gimnastyki mi nie pozwoliła robić, lecz to zapobiegawczo, abym się nie przeziębiła. Prosiłam o trochę miltonu i mi kupili, w ogóle bardzo się ze mnie cieszą, bo to podobno jakieś urozmaicenie w ich życiu. Przeciętnie one bardzo zdrowe i lekarz nie ma co robić. Oczywiście mnie to nie wzrusza i ze swej strony będę się starała ich nie zatrudniać.

Profesor Aleksandrowicz pisał i jak gdyby ma żal do mnie. Żal, że nie wracam, żal, że się nie zajmuję sprawą Anny [Orłowskiej], sprawą jego opowiadań. Pamiętam jak zapowiadał w Krakowie, że będę ambasadorem trzeciej kliniki i że mam mu pomagać. Jako ambasador rzeczywiście nie wypadam szczególnie. Lecz, mój Boże, cóż ja mogę zrobić? Pewnie, że mi się serce ściska, kiedy mi piszą, że Anna chora, lecz Deborah na mój list nie odpowiada, Anna nie ma pieniędzy na podróż i jestem bezradna. Jeśli chodzi o opowiadania, to przecież dałam je Panu i nie mam wpływu na dalsze ich losy. Profesor liczył się z tym, że one zostaną wydrukowane, że będzie miał pieniądze na podróż. Mam wrażenie, że jego sądy o Ameryce zostały zmylone moim przypadkiem. To w dużej mierze i jego osiągnięcie, więc jest zawiedziony, że ja nie potrafię kontynuować. A raczej potrafię, ale dla siebie w ramach mojego własnego egoizmu. Tak to wygląda i jest mi jakoś ciężko i źle.

To kiedy myślę o nich, normalnie nie ma czasu na żadne myślenie. Są książki, całe mnóstwo szczególnie w bibliotece, jest spora kolekcja słowników i tłumaczymy pracowicie, z francuskiego na angielski, z angielskiego na angielski i potem jeszcze jedno spojrzenie do polskiego słownika i już wiem o co chodzi. Droga raczej długa, lecz ile się po drodze można dowiedzieć... Jeśli wymyślę odrobinę wolnego czasu zaraz zacznę się uczyć hiszpańskiego, tylko dla tego powodu, że śliczny; ale to nie będzie prędzej niż za dwa miesiące.

No bardzo mi dobrze, to akurat dosyć pracy, aby zaspokoić moją niespożytą energię, aby mnie zająć. Na wykłady chodzę jak do teatru, czy do kina, każdy jest dla mnie sensacją, chociaż ciągle jeszcze te trudności z rozumieniem. Nauczam się tak po kolei: angielskiej literatury, historii filozofii, historii sztuki, amerykański rząd, ten kurs jest najtrudniejszy, bo nie mam pojęcia także o przedmiocie, i francuskiego. To dosyć, prawda, jak na taki cudzoziemski start. Bardzo chciałabym uczyć się dobrze, ze względu na to stypendium, wydaje mi się, że to zobowiązuje, lecz jak mówiłam, nie można więcej niż się da. Elżusia przysłała śliczny i kochany list po polsku, pisze prawie jak ja po angielsku, tak się cieszę, że jej się Nikifor podoba.

A teraz całuję mocno, bardzo mocno, i dziękuję za szkołę też.

Halina

W Stanach Zjednoczonych, ok. 1960

[Northampton] 12 XI [1959]

Kochani Państwo!

Nieczęsto się miewa rocznice – prawda? Raz do roku. I ja właśnie mam taką rocznicę [operacji] niespanej nocy. Wszystko pamiętam tak dokładnie – wszystko przyszło i nie potrafię spać. Już trzecia i znowu nie będę rozumieć wykładów, lecz...

Tak niedawno, że prawie można dotknąć tych dni.

Tydzień temu pisałam moje pierwsze egzaminy – to wcale nie było łatwe – i musiałam się uczyć tak bardzo. Ku mojemu zdumieniu napisałam coś tam i teraz czekam na wyniki. Bardzo się boję, że będę miała całkiem podłe stopnie, pewnie gorsze od mojego brata – co już całkiem samodzielnie pisze do mnie takie śliczne listy. Z takimi ślicznymi błędami.

Profesorzy są dla mnie zawsze dobrzy i bardzo wyrozumiali, pomagają jak mogą – ale najlepsze wyniki daje bardzo samotne siedzenie nad książką. Więc mi się siedzi w kącie łóżka (taki stary zwyczaj) albo w kącie biblioteki i uczy. I tyle cudnych rzeczy można się dowiedzieć i przy okazji także, że właściwie to się bardzo niewiele wie i prawie nic i że ciągle trzeba z czegoś rezygnować.

Nie powiedziałam „dziękuję” – za list, a tak się bardzo nim ucieszyłam. Zadzwonię, kiedy ściągnę do New Yorku. Całuję mocno – czy Państwo zdrowi, czy wszyscy

– Halina

PS Elżusię całuję – nie mam czasu napisać do niej a bardzo chciałabym

– H.

W Yonkers, 1959

ELŻBIETA WITTLIN-LIPTON

CÓRKA HALINY I JÓZEFA WITTLINÓW

Bardzo ją podziwiałam i lubiłam, chociaż widziałyśmy się tylko trzy razy. Miała ogromne poczucie humoru. Mówiła szczerze o sobie: „Jestem jak mały wąż, którego traktują troskliwie, ale który potem rośnie i robi się niebezpieczny”.

Halszka miała tu, w Ameryce, jakąś porządną, ale raczej prymitywną rodzinę, a do mojej mamy i do mnie przychodziła chyba po zrozumienie. Dobrze się z nami czuła. Lubiła u nas spędzać czas. Byłam jeszcze dziecinna i naiwna, chociaż byłam żoną i matką. Trochę bałam się niektórych jej wypowiedzi, ale byłyśmy sobie bliskie.

Była piękna, trochę jak Audrey Hepburn... i jednocześnie biedna jak mysz. Podarowała mi trzy tomy Gałczyńskiego i dwa obrazy Nikifora, którego znała osobiście.

Pamiętam, że byłam zaskoczona wolnością Halszki, wtedy dla mnie trochę skandaliczną.

Elżbieta Wittlin-Lipton. Obok Halina w tej samej sukience

JULIUSZ KYDRYŃSKI

PISARZ, TŁUMACZ

Widywaliśmy ją z Dygatem, ale to nie my bywaliśmy u niej, tylko ona przychodziła do nas z częstymi wizytami. Mieszkaliśmy wtedy na Manhattanie, w Polish Institute of Arts and Sciences, przy ulicy bodajże 59E, o ile pamiętam.

Halinę znałem zresztą z Krakowa – poznał mnie z nią profesor Aleksandrowicz jeszcze przed jej wyjazdem do Stanów.

Z tego, co opowiadała, wiem tylko, że pracowała gdzieś jako baby-sitter czy pomoc domowa, że starała się uczyć, że lubiła chodzić po muzeach itp., ale właściwie nic konkretnego. Proszę pamiętać, że nigdy się nią specjalnie nie interesowałem, nie znałem też jeszcze [...] jej wierszy, więc nie interesowała mnie także jako poetka. Wiedziałem tylko o jej chorobie i operacji.

[...] Zdaję sobie sprawę, że to, co napisałem, może sugerować, że nie darzyłem Halinki zbytnią sympatią. Otóż nie, lubiłem ją, nawet bardzo, ale wydawała mi się zawsze nieco egzaltowana i to mnie trochę raziło.

LISTY HALINY POŚWIATOWSKIEJ DO TADEUSZA ŚLIWIAKA

3 października [1958]

Śliwiaku miły!

Podobno czas byłoby się odezwać z tej Ameryki, zanim mnie ze szczętem zapomnicie, nie sprawiwszy nawet, jak się należy, pożegnalnego wieczoru. Poświęconego wyłącznie mnie. Te reminiscencje to z powodu jedynego zebrania, na którym dane mi było zaistnieć. Ładne zebranie. Wspominam je z łezką, a i Kraków wspominam przy pomocy Specjalnych Wspomnień na Jesienny Zmierzch. Lektura Gombrowicza i *Kubusia Puchatka* mści się – i niestety, muszę Czasami wsadzać duże Litery. O Ameryce pewnie wszystko wiesz – więc nie będę opisywać dokładnie, jak to tu wygląda. W każdym razie, o wiele więcej reklam i samochodów niż mówią – jeszcze więcej – w ogóle chyba najwięcej. Zareklamione wszystko, że niech ręka boska, a i zmotoryzowane tak samo. Drogi śliczne – auta śliczne – sklepy śliczne – dziewczyny w różnych kolorach bardzo ślicznie pomalowane. Murzyni z daleka niesympatyczni – ale to straszydełko, co mi ściele łóżko – ma tak piękne zęby – tak ładnie chichocze – tak jasno śpiewa – że pewnie napiszę o niej Specjalny Wiersz. Wbrew legendzie, nikt się tak szalenie nie spieszy, a lekarze zupełnie się nie spieszą i to jest ten powód, dla którego jeszcze żyję, a może będę żyła całkiem długo. Wolno – wolniutko czas sobie ucieka – deszczyk dopaduje.

Tadeusz Śliwiak

Zanim mnie przytracili w tym szpitalu – miesiąc sobie jeździłam po New Yorku i okolicy, potem po Filadelfii z przyległościami. Imponujące miasta – wysokie – jak mówił Anatol France w anegdotce o ogródku (pamiętasz anegdotkę?). Czasami chmura wchodzi do pokoju i to musi być zupełnie śmieszne. Mieszkać z chmurą... Na Broadwayu dużo tresowanych świateł i cyrkowo jakoś – a poza tym, poza tym – Wyję – tym bardziej, że już kupę czasu nie byłam u Wittlinów. To oaza w tej Ameryce, przynajmniej dla mnie – można sobie soczyście ugwarzyć o różnych gryzmolących, i to nie jest monolog. Bo na ogół jest. Ci ludzie są ładnie urządzeni w życiu – zabudowani w życiu – mają zawód, dzieci, dom, auto, telewizję. Koniec. Wszystko inne zlekceważą – która to forma reakcji jest mordercza, bo przekreśla wszelkie dyskusje. I to ciąży, i chcąc nie chcąc, czujesz się jakoś pusto – samotnie – nieprzydatnie – niepotrzebnie. I nawet nie bardzo możesz pogardzać, bo oni są mądrzejsi. Praktycznie mądrzejsi – rozumiesz. My, ze swoimi zasranymi kompleksami – z niepokojem, bądź co bądź twórczym – możemy się wlec na piechotę z wywieszonym ozorem po tych

gładkich szosach. A jeśli zechcemy sprawić sobie samochód – musimy robić to – na co jest zamówienie – a więc powieści kryminalne, scenariusze, ewentualnie zmywać naczynia – rentowne zajęcie: dolar za godzinę – już się przepytałam. Tak na wszelki wypadek – bo – ale to na ucho – urzekło mnie trochę morze i włóczęga, i miałabym ochotę obleźć tę Amerykę w kółko. Ładny plan – prawda – i nieziszczalny pewnie, zważywszy, że całkiem nie wiem, co będą tu ze mną działać dalej. Nie wiem także dlatego, że moja znajomość języków różnych – niezwykle prymitywna i zasadza się głównie na czytaniu. Mam tępą nienawiść do telewizji (naprawdę nasza dużo lepsza – także dlatego, że jej nie ma), do tych uprzejmych – więc siedzę z Milne'em na kolanach, z Eliotem na kolanach (to modnie wspominać Eliota), z Faulknerem na kolanach. Pracowicie wertuję słownik i czytam. A potem trudno mi zrozumieć najprostsze pytania – po prostu dlatego, że oni nie chcą tak jak w książce. Tylko całkiem inaczej.

Mam nieco polskich książek wydanych w Londynie i Paryżu. Nie wiem, czy znasz *Traktat poetycki* Miłosza i *Dziennik* Gombrowicza. To dwie pozycje, których należałoby się naumieć. Poza tym wielce zajmująca *Antologia współczesnej poezji brytyjskiej i amerykańskiej*. Drukowana w New Yorku. Teksty w dwóch językach – świetne. Zresztą, nie muszę zachwalać – żeby się tu jakoś przewiercić, trzeba być więcej niż dobrym. Łza się w oku kręci, gdy się pomyśli, jakby ta Ameryka rozpirzyła nasze wszelkie grupki. Bardzo dobrze zapowiadający się młodzieńcy poszliby do roboty – za ciężkie dolary – a przewiewne niewiasty u boku owych zajęłyby się hodowlą dzieci i obsługiwaniem różnych ciekawych, ku domowemu pożytkowi zbudowanych, maszyn. No tak – na szczęście Polska-ojczyzna istnieje – zalatuje intelektualnym odorkiem aż tu za ocean – tak miło – tak miło. I dlatego właśnie (plus zielone wieże) tęsknię sobie wielce patriotycznie – i wrócę – wrócę – wrócę.

Całuję Cię (plus zielone wieże)

Halina

PS: Rodaków do cholery i trochę, właściwie wcale nie trzeba się uczyć po angielsku. Oni wszyscy też tęsknią, ale z różnych powodów nie wrócą. Przyślij „Zebry”, bo obiecałeś – i napisz, czy chcesz mnie drukować. I co napisałeś latem – i co grupa pisze. Zadbajcie o mnie bo jestem jak u dzikich.

Pozdrowienia. H.

30 X [1958]

Złoty Śliwiaku!

Peszysz mnie tą głośną lekturą listów, które bądź co bądź przeznaczone są dla Ciebie. Dobrze, że Ci nie wpadło do uszkodzonej

(zewnętrznie) głowy [Tadeusz Śliwiak był wówczas aktorem Teatru Starego – mowa tu o ranie, jaką odniósł, grając na scenie] odczytać tego w domu, żonie i dziecięciu. Żony zawsze mocno tkwią w rzeczywistości i nie lubią, gdy im się zaczepia mężów.

A ja znowu muszę napisać, że jesteś no – nieomal śliczny i że Cię – strasznie lubię i nie tak może za treść pisaną, jak za rysunki. Ucieszyły mnie te drobne elementy – nawet bardzo, i żałuję, że w podobny sposób nie potrafię Ci przekazać wrażeń z tej zakazanej Ameryki. Co oni ze mną wyrabiają – i jak długo tak mogą – nie wiem. Przy okazji kształcę sobie charakter, bo muszę być wytrwale cierpliwa. Secundo – język ojczysty mi się traci i niedługo zacznę się posługiwać tym ich bełkotem. Och – nie lubię, ale muszę, Śliwiaku. Gdy oczy przetrę, już staje nade mną jedna taka i coś zawile po ichniemu tłumaczy, że temperatura, że ciśnienie, że że że. Znowu najbardziej będę oblatana w medycynie – umiem już ładnie nazywać różne choroby, dolegliwości itd... Jeszcze mogę o jedzeniu i o pogodzie. Poza tym zwiedzam szpitale. Jeśli chodzi o te – to cóż – bywają duże szpitale i małe szpitale – domyśl się z czego to ściągnęłam, no – już wiesz. Te duże – w dużych miastach, a małe – w osiedlu, albo z boku w imitacji lasu. Bo to chyba nie jest prawdziwy las. Co za las – z betonowanymi szosami i ławkami o giętych poręczach. Obawiam się, że tu w ogóle trudno o kawałek prawdziwego lasu. Duży szpital to był Hahnemann w Filadelfii – ach wysoki – ach szeroki – z wszystkich okien można popełniać efektowne samobójstwa i nawet chciałam spróbować jak to jest – ale mnie przytrzymał za nogę jeden Hiszpan, który następnie wyśpiewał uroki moje rozliczne mussetowskim rymem po angielsku [...] – green eyes – [...] sad sighs... [zielone oczy – smutne westchnienia] tak jakoś to szło – ale długie, więc nie przytaczam w całości – no i muszę mieć wzgląd na wrodzoną skromność.

Więc leżeliśmy sobie drzwiczki w drzwiczki (nie – nic z tych rzeczy) i wymienialiśmy przeróżne sądy o literaturze, muzyce, filozofii – i o szpitalnym wikcie. Nie umiem Ci powiedzieć, w jakim języku – bo tam było wszystko, łącznie z moją znajomością 100 francuskich słów. Potem wzięli mnie za łeb – i przywieźli tutaj, czyli

do małego szpitala – gdzie w dniu pierwszym nadszedł Twój list. Miło – mówię Ci, że to strasznie miło. I choć twierdzę, że trochę świnia jesteś też – bo nie dbasz o moją co się zowie sławę wierszowytwórcy – w kraju ojczystym, to i tak Cię lubię i jeśli już tak bardzo nie chcesz, możesz nie dbać w dalszym ciągu. Tylko mi znowu co narysuj. Aha, i jeśli chodzi o mnie, to mam absolutnie odmienną opinię od tej, którą ustaliliście z Voglerem [Henryk Vogler był redaktorem naczelnym Wydawnictwa Literackiego] – i na drugi raz nie zgadzaj się tak łatwo na podobne sugestie. Cóż jeszcze – delikatnie się zabierają do mnie – po troszeczku się dobierają do mnie, tu ukłują igiełką – tam podkroją żyletką, ale obiecali, że już niedługo i może w ciągu najbliższego tygodnia potną mnie w ten włoski makaron i znowu złożą do kupy. Łamigłówka. Drzewa za oknem jak upiory – czerwone, a wiatr je jeszcze szarpie. Wiatr takoż nie ma litości. Boję się tej jesieni i z lekka przygnębia mnie ta jesień – nieomylny znak, że zaczynamy wkraczać w wiek dojrzały. Ameryka sparszywiała mi ze szczętem [...].

8 XII [19] 58 r.

Śliwiaku Miły!

Ten lukier na kartce – to żebyś się nie gniewał, że dużo nie napiszę – ale tylko tyle. Wypuszczają mnie ze szpitala – wiesz – i już jutro. Jeszcze nie jestem bardzo dzielna, ale mam tę nadzieję że będę. Ho, ho!! (okrzyk polsko-indiański).

Strasznie Ci dziękuję za list i za te niemieckie machinacje. Oni nawet przysłali list do mnie – a ja odpisałam w ciemno na Niemcy, bo nie było kraju w adresie zwrotnym. Podziękowałam i pochwaliłam twoją osobę. To nie żadne kłamstwo, bo naprawdę strrrasznie Cię lubię. Czy to nie ładnie z mojej strony, że sobie żyję – no pomyśl – bo wiesz, oni wszyscy myśleli że nie, i dawali mi jakieś całkiem mizerne procenty. Teraz za to będą mieli ładny kłopot ze mną, przynajmniej przez kilka miesięcy. Mam wielką nadzieję, że czujesz się krzepko

i że sobie nic nie połamiesz w tym roku. Pozdrów ode mnie Kraków – i cały naród co znam – i życzenia Ci ślę najlepsze i całuję Cię – Halina.

26 I [1959]

Śliwiaku Kochany!

Nie gniewaj się o niepisanie, bo mi będzie jeszcze smutniej, a jest, i nawet różne miłe wiadomości z kraju, i nawet to, że mocnieję sobie – nie jest w stanie odpędzić tej przebrzydłej chandry. Najpierw podobno przybył sobie „Przekrój", przez który różni mieli o czym podumać – potem książeczki takie śmieszne i całkiem zielone [*Hymn bałwochwalczy* – pierwszy tomik poezji Haliny Poświatowskiej].

Abstrahując od różnych obiektywizmów – one mi się podobają, chociaż najchętniej schowałabym głęboko i nie pokazałabym nikomu. Jakie to śmieszne, że teraz będą się nad tym pastwić, jak nad całkiem rzetelną poezją – a to przecież tylko wierszyki. Chwilki – mogą być nawet zielone – czemu nie. Podobno brzydko u Was – i biednie – ale to nieprawda – prawda – i ja tam muszę przyjechać, bo na przekór temu zdrowieniu – zdechnę tutaj z całkiem fantastyczno-psychicznych przyczyn.

I kłopot byłby dla wszystkich odpowiedzialnych, bo ubezpieczona nie jestem – a za ostatnie posługi płaci się tu także w dolarach. Dolar potrafi pięknie urozmaicić życie. Nawet mnie, chociaż nie mam. Gdybyś wiedział, jak dokładnie wyliczono co, za co, ile – i jak by to było ewentualnie na przyszłość. W tę przyszłość zaglądają mi wszyscy – oglądają mnie w kółko – patrzą czy się przypadkiem nie zadyszę i stwierdzają „no tak, ale pracować nie będziesz jeszcze mogła przez parę miesięcy".

Mówię: „rzeczywiście" i nawet nie dodaję, że mi się nie bardzo chce ani teraz, ani potem. Niemniej, postępy są – bo jadło smażę i zmywam, jakbym te właśnie rzeczy robiła całe długie życie. A jeśli chodzi o pisanie – to ostatnio tylko podania i ankiety – jeszcze rzewnie do Ciebie – tak wszystko.

New York – ładny – lubię te głębokie ulice i to, że tyle okien naraz się świeci i że tam pewnie ludzie, i taki natłok problemów, gdyby psychiki wytwarzały jakąś atmosferę, to tu byłaby najgęściejsza. To jest las – z ludzi i z okien, i z ganiających w tę i z powrotem napisów. W Village jest jak w Krakowie, albo trochę gorzej, bo w Krakowie

nie ma ich tylu i tak obdartych – no a Piotrusia Skrzyneckiego to mamy w ogóle tylko jednego, a tu więcej. Całkiem dużo – jeden rozczochrany narysował mnie – a potem mi to dał całkiem za darmo. Aha, i uwierzył, że ślady na przegubach mam, bo chciałam popełnić samobójstwo. Śliczna interpretacja.

Hudson też jest – płynie – a uniwersytety przysyłają odpowiedzi uprzejme, lecz odmowne.

Czekaj, co jeszcze. Ireneusz [Morawski] pisze, żebym wracała teraz, bo za parę lat będzie gorzej. Pono ma rację. Co ładnego grasz – przyślij mi parę wierszy, bo chcę sobie przeczytać – i poplotkuj ze mną o całym Krakowie.

Śliczne, całkiem wyjątkowe pozdrowienia, a właściwie to mi tak smutno, że Cię chyba mogę pocałować – Halina.

Stanisław Grochowiak

CIAŁO

Poeta nie powinien pisać o poecie — wiem o tym doskonale. Dlatego też nie traktujcie tych rozmyślań jako recenzji z ciekawego tomiku Haliny Poświatowskiej Nie o to chodzi. Nie o ocenę, ani o analityczny sąd. Zostawiam obie rzeczy krytykom poezji, którzy à propos nigdy poza nie nie wychodzą, prawdziwej treści poety nie odczytując lub lekceważąc ją zgoła.

Zostawiam więc krytykom kwestię poetyki, wpływów i usterek w twórczości autorki „Hymnu bałwochwalczego", sam zapuszczając się w owe regiony, które przynajmniej dla mnie — przy odczytywaniu poety — są najistotniejsze: w regiony osobnej filozofii, jaka zawsze stoi poza strukturą autentycznego poetyckiego świata.

I znowu: wyprawiam się tam nie na zasadzie pełnego pychy odkrywcy z profesji, ale dla przeżycia intelektualnej przygody, dla uroku jeszcze jednej poetyckiej awantury.

*

Poetycki świat uroczej poetki z Krakowa — wychodząc poza prosty schemat cenzurek — ma dla mnie posmak nadzwyczajny. Straciłem już nadzieję na podobny fenomen w polskiej kobiecej poezji. Na fenomen autentycznego erotyzmu.

Wszystkie polskie pisarki erotyków (tu bluźnierstwo, bo nie wyłączam z tej plejady nawet Jasnorzewskiej) nosiły na sobie mundurki z pensji imienia Emilii Plater. Ich erotyzm był przeżarty albo rakiem wstydu, albo zwyrodnieniem formy. Albo rozmieniony na różne tęcze, słowiki i zachody słońca (Konopnicka), albo ograniczony do ram kokieterii, flirtu, zabawy towarzyskiej (Jasnorzewska). W jednym i drugim wypadku był to erotyzm dalekich sublimacji — wstyd potrzebował ich dla zakłamywania, forma zaś dla zwiększenia pod-

23 III [1959]

I long to talk to you, to look at you,
to touch you, just to be with you.

[Pragnę rozmawiać z tobą, patrzeć na ciebie,
być blisko ciebie, po prostu z tobą być.]

Tak Kochanie – podczas gdy Wy tam zażarcie pracujecie w kulturze – a choćby tak jak Ty malując nieludzko miłą gębę – ja się nauczam angielskiego. Na randki jeżdżę tylko ze słownikiem. Wszystko gadające po polsku jest mi wstrętne, bo nieużyteczne. Muszę się tego angielskiego szybko nauczyć, żeby plunąć tej Ameryce w świecące ślepia i wrócić. Na nasze ko-ko-ko-chane podwóreczko. Do śmietnika trosk wszelakich – takich własnych, miłych, pachnących, jak pieluszki niemowlaka. Nie potrafię zarobić dolarów – jeszcze nie teraz. Do wszelkich transakcji małżeńskich mam również wstręt nieprzezwyciężony. Kostkowi dałam po pysku, George'a, czyli profesora – rozpirzyłam, Twardokensowi, co mi bardziej wierny niż własnej żonie – i na Alaskę mnie ostatnio zaprosił – odpisałam, że idiota i że robi błędy ortograficzne.

Przyjacielu, ratuj, bo zdrowie krzepnie – a rozsądku brakuje. W dodatku przysłali mi ten uroczy artykuł Grochowiaka – co się wabi *Ciało* [„Współczesność" 1959, nr 5] – i mało wiele, a by mi uderzyło do głowy. On Jasnorzewską podeptał – on – na szczęście Ciotka powiedziała, że znowu garnek źle wyszorowałam – w związku z czym samoupojenie minęło – wzięłam ten przeklęty garnczek z powrotem i szorowałam z taką furią, że złamałam paznokieć. Teraz siedzę w łóżku (zupełnie nie potrafię pisać przy stole – zabawne przyzwyczajenie) i mam 1000 listów do odpisania – w tym 999 do mamy. Ha – za dwa dni mam pono zdać egzamin, co już wiem, że obleję – bo cudów nie ma i nawet po 6 miesiącach leżenia w tych amerykańskich szpitalach trudno rozwiązywać po angielsku równania kwadratowe. Nie dam rady – szkoda gadać – więc oni mi forsy także nie dadzą – przeklęcie logiczny kraj.

Śliwiaku złoty, mam jakieś wiersze, ale matki nie ma – i nie ma kto tego przepisać na maszynie, ani mnie wziąć za kark i zmusić. Strasznie zaniedbuję swoją własną popularność – choćby i teraz –

Eile [Marian Eile – redaktor „Przekroju”] sobie zamówił u mnie reportaż – a ja do Ciebie list piszę – bo mi milej i wygodniej, i poręczniej (?). Zdjęcie sobie oparłam o róg kołdry – i dobrze mi się patrzy w Twoją gębę. Taki jesteś śliczny i tak bardzo w Krakowie. A ja właśnie pierwszy raz pojechałam do New Yorku kolejką i maszerowałam cały dzień pośród tych niezmiernych chałup na w dodatku najcieńszych obcasach w świecie. Teraz, po raz chyba pierwszy w życiu, moje nogi są zdechłe, a nie ja. Widzisz – to ciągle dziwi – ja rzeczywiście nie mogę uwierzyć.

A ponieważ jestem przesądna, więc się asekuruję tą niewiarą. No popatrz – tak łatwo wsiąść w kołyszący okręt – i do Was prędko, najprędzej. Czemu ta Ameryka taka kolorowa, taka rozległa, taka podniecająca – jak wesoło i niepewnie. Nie, pić jeszcze nie mogę – przynajmniej nie co dzień. Melancholia mnie żre – lubię Cię i całuję.

Halina

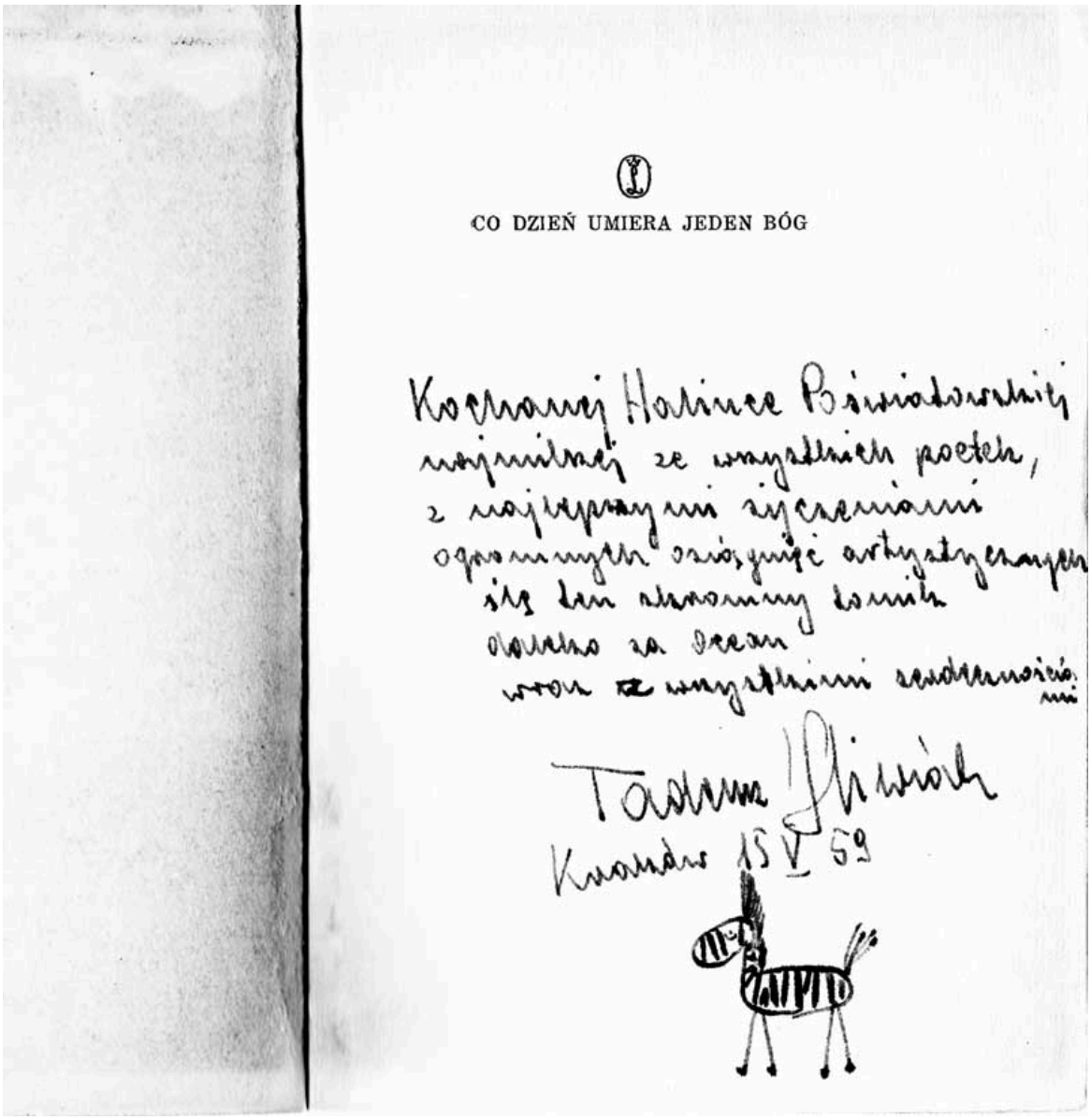
CO DZIEŃ UMIERA JEDEN BÓG

Kochanej Halinie Poświatowskiej
najmilszej ze wszystkich poetek,
z najlepszymi życzeniami
[illegible]
Tadeusz Śliwiak
Kraków 15 V 59

19 VI [19]59

Kochany,

Dziękuję za list – to było takie ważne, żeby przecież dostać od Ciebie list (od Ciebie i od Krakowa), dziękuję za książkę [T. Śliwiak, *Co dzień umiera jeden bóg*, 1959], co zielona i cygańska jak Kraków – za Węgra [György Gömöri – węgierski pisarz i tłumacz literatury

polskiej] wreszcie, do którego zaraz napiszę piękny list po angielsku w ramach moich dziennych wypracowań... Ale Ty mu nie mów, że w ramach – trzeba, żeby się ucieszył – jak ja.

Złoty, ta książka naprawdę śliczna i wcale nie mogłaby być lepsza – to w niej nareszcie można się doszukać Twojej rozwichrzonej czupryny potem obciętej – z krakowskiego rynku. Tam są takie religijne subtelności – o bogu, co umiera – o pełnej garści siebie – o środzie, co umarła także – że się to czyta mnóstwo razy i się w wielkim zdumieniu myśli – Jezu, jak on się tego dogrzebał. – Odwiedziny w szpitalu są, Kochanie, bardzo, bardzo i dziwnie dobre – Popatrz, tyle ich ślicznych, że nawet trudno powymieniać po imieniu – bo mają imiona. – Jednak spróbuję. Narcyz, co we wtorek – i ta ucieczka od pięknej, co ją znałam, a jakoś mi się inaczej objawiła w książeczce, i godzina słoneczna – a nie homo sapiens, co mi się rymuje nadspodziewanie i gładko o zegarmistrzu i o Judaszu, i wszystko co ładne o Francji, i się Myślenicami kończy. A Myślenice to symbol – czego? Za rynkiem zaraz zaczynają się pola – i miasto jest takie natychmiastowe, pospieszne – tak na jedną chwilę, prowizorycznie, jak życie. Ten o Barabaszu jest także „great” [wielki], jakby rzekli Amerykanie, gdyby, Śliwiaku, umieli po polsku i lubili czytać wiersze. Nie wymagajmy od nich za dużo – to dobry, pracowity naród, bardzo materialistyczny naród – i bardzo socjalistyczny. Do przedziwnych dochodzę sobie konkluzji – kiedy tak spozieram na nich dokoła. Śladu po kapitalizmie – a jeśli, to gdzieś bardzo wysoko – może na najwyższym piętrze tej chałupy, co wiem, jak się wabi, ale ciągle nie wiem, jak się pisze – Dokoła więc są milutkie domki, gdzie ludzie mieszkają i troszczą się, żeby im się mieszkało jak najwygodniej – dookoła są ogródki i gładkie szosy takie wygodne i samochodów jak much. Mają je nieomal wszyscy, a ja nie mam – nie mam, lecz z lenistwa nie mam – bo pracować właśnie nie lubię – na pieniądze – milej o wiele czytać i czytać. Nie chcę, żebyś źle zrozumiał – prawdopodobnie gdyby mnie można nawet użyć do jakiejś pracy, co z moim angielskim jest nieco trudne – nie zarobiłabym dosyć na mienie samochodu – lecz te możliwości

absolutnie istnieją dla kogoś, kto ma określony zawód i lubi zadbać o najbardziej uchwytne z dóbr doczesnych.

Nad Atlantykiem, Nowy Jork 1959

Drogi, stypendium dostałam i zaraz Ci napiszę imię tej szkoły, żebyś był całkiem dokładnie poinformowany: Smith College, Northampton, Massachusetts. To nie koniec, bo dwa inne college'e także dały mi stypendium i także całkowite – ale ja sobie wybrałam to Smith, bo ma niezmiernie dobrą opinię pośród tubylców i klimat Nowej Anglii Polskę przypomina, więc nie potrzebuję się dusić w lato... Uch, brzydkie słowo – nieomal zapomniane – dusić – kiedy to było – Ty pewnie pamiętasz lepiej jak ja – Nie masz pojęcia, jak szybko można się przyzwyczaić do zdrowia. Wstajesz po prostu rano – pracujesz po prostu i na myśl ci nie przyjdzie, że mogłoby być inaczej...

Zazdroszczę Ci tej nowej i nowej książki – moje pisanie piekielnie leży odłogiem – ten angielski zabiera mi taki solidny kawał czasu.

Czasem z rozpaczą, a czasem z rozbawieniem obserwuję siebie, jak mój polski broni się pazurami we mnie... On uznaje tylko monarchię absolutną i na przykład ciągle jeszcze nie mogę przejść na myślenie w tym innym języku, co jest przecież konieczne, jeżeli chcę nie zamęczać amerykańskich bliźnich skomplikowanymi tłumaczeniami. Po ichniemu dużo rzeczy można powiedzieć krócej i prościej. Ten język nie jest urodziwy na zewnątrz – ale ma niesłychane zalety w piśmie – i w czytaniu – jest bardzo dobitny i precyzyjny. Myślę, że w efekcie tych utarczek i mojego uporu – polubimy się w przyszłym roku, co będzie szkolny przecież...

A że tęsknię – to i po co powtarzać – Ty pewnie nie wiesz, Śliwiak, przyjacielu, jak się tęskni za Krakowem – za krótko byłeś w tej swojej Francji – a zresztą Awinion z Twoich wierszy wcale nie wygląda inaczej jak Floriańska – powiedzmy – dookoła było jeszcze ciągle biednie i po europejsku i nikt nie brał Ci pewnie za złe, że wyglądasz nieco, powiedzmy sobie, zaniedbanie. Najpierw mi dali kiecki, potem mi dali szminki – a ja kiecki posłałam mamie – szminki rozdałam moim amerykańskim przyjaciółkom, zyskując ich dozgonną przychylność – i w gaciach łażę takich granatowych, ze łbem, co bywa rozczochrany – Ale wierz mi, Najmilszy, to trzeba mieć we krwi – myślę, że żebym nie wiem jak się starała, i tak nie dorównam manekinom – to tylko one potrafią – te z New Yorku takie całkiem, skończenie smukło-śliczne...

O czym jeszcze – o lecie, co czasem przychodzi i jest – i jesteś w środku zamkniętego rondla i się smażysz – a potem budzisz się w pewne rano i wielki wiatr wieje przez okno, co bywa otwarte – i zmarznięty jesteś na kość, i zaraz przy pierwszym brzydkim słowie stwierdzasz, że masz chrypkę... Potem się pije bardzo czarną kawę i jeśli akurat są lody w lodówce, to się je lody, a jeśli lodów nie ma, to puszkę ananasów czy czego innego, byleby tylko nie pitrasić, bo to nudne i najnudniejsze z ziemskich poczynań, a także wymaga nieco czasu...

Dobrze mi się do Ciebie pisze – słucha mi się takiej ładnej muzyki, oni ciągle eksponują Czajkowskiego i Beethovena,

pisz – i pisz – a czasem do mnie.

całuję – Halina

Zejście nad Hudson

15 IX [19]59

Śliwiaku Najmilszy,

Znowu Ci trzeba przypominać, że istnieję. Wiem, że masz żonę i dziecię, że pracujesz i że piszesz permanentnie poezje, co Cię czyni zajętym na czas życia, lecz że jesteś mi przyjacielem, więc się upominam o moją część Ciebie. Śliczny mam pomysł, posłuchaj, wygrzeb jakie stypendium i przyjedź tutaj, to sobie pogadamy. Tak mi się tęskni za Wami, a może raczej za sobą pośród Was. Tutaj bo, chociaż strasznie lubię być tutaj, staję się sobie obca i daleka i tak trudno cokolwiek sprawdzić.

Śmieszne strofki, regularne lub nie, to jest poezja. Pisze się ją w dużo językach, drukuje. A zamiast wiersza można po prostu iść

ulicą, patrzeć na Hudson, myśleć. Nie zapisywać. Taki zwyczaj, jak drapanie się w swędzące miejsce, taki odruch. Drapanie się, a jeszcze z precyzją. Oni tam o mnie napisali, że nie umiem wcale pisać wierszy i zdaje się, że mają rację. Nie umiem, a ciągle jeszcze piszę. Posłać Ci? Pewnie nie chcesz. Gömöri przysłał list i śliczny – dziękuję Ci za tego Węgra, Sito [Jerzy S. Sito – poeta, dramaturg, kierownik literacki warszawskich teatrów] mi o nim opowiadał, mówił, że tak zabawnie zakochany w Polakach i w Polsce, że ciągle za nimi łazi w tym Londynie i że się interesuje całą naszą literaturą. Co jeszcze, nie wiem, czy Ci pisałam o tym chłopcu, właśnie o Sicie. To się chyba tak powinno odmieniać. Wygląda trochę zabawnie, z powodu, że ma czuprynkę trochę za długą i wzrok błędny, a raczej odległy; potem jednak zapomina się o tym, gdy Sito zaczyna gadać. To bardzo zdolny chłopak, bardzo uparty i pracowity. Pewnie znasz jego pierwszy tomik, ten drugi [...] jest lepszy, oszczędniejszy w słowa, surowszy. Nie potrafię napisać jaki, musisz sobie to przeczytać. Może przecież wydrukują. On uważa, że powinniśmy się uczyć rzemiosła od średniowiecza, od renesansu angielskiej poezji i polskiej, to także. Twierdzi, że najwięcej szkody przyniósł polskiej poezji romantyzm i Gałczyński. Mówi jeszcze, że trzeba zbudować w Polsce średniowiecze. To nie moje opinie, to jego, a przepisuję, bo może dla Ciebie interesujące. Bądź co bądź, to całkiem odwrotnie niż, powiedzmy, założenia Harasymowicza, jeśli ma jakiekolwiek oprócz swojej rozbuchanej fantazji. Czy on wydał co znowu, jeśli tak, to przyślij mi, Kochanie, bo bardzo jestem ciekawa. W „Przekroju” była jakaś heca o kotach, która mnie absolutnie nie przekonała.

Czytam sobie po angielsku tych różnych, ale ciągle jeszcze mam milion trudności, więc nie staram się budować opinii. Natomiast Baudelaire i Apollinaire po francusku są na pewno lepsi niż w przekładach. Męczymy się nad nimi z jednym miłym Szwajcarem, bardzo to śmieszne, jak wszystkie wątpliwości rozstrzygamy po angielsku z dzikimi i absolutnie różnymi akcentami.

New York, Ty wiesz, co to jest New York?! To najbardziej nabrzmiałe miejsce świata. Tyle kamieni, tyle spiętrzonych prostopadle kamieni. To wciąga i na przekór szpetocie zaczynasz

lubić. Mieszkam na Manhattanie miesiąc, a zdaje mi się, że mnóstwo lat, i wcale nie chcę jechać nigdzie. Za dziesięć dni jednak trzeba się będzie wybrać do szkoły i trzeba się będzie zabrać do uczciwej pracy. Współczuj, Śliwiaku, bo mówię Ci, że to będzie krzywda dla takiego okropnego leniucha jak ja. Napisz, co piszesz, przyślij.

Całuję, bo czemu nie,

już mi przecież wolno

Halina

24 sept. 1959

Kochany Śliwiaku,

To był pierwszy list, jaki dostałam w szkole, strasznie Ci dziękuję. Zdjęcia śliczne i nie wiem co ładniejsze, Ty czy wieże Krakowa. W trosce o poziom polskiej sceny powinnam pisać do Ciebie codziennie, ale nie mogę tego robić w trosce o poziom mojego angielskiego. Kupę mają ze mną uciechy, a ja ciągle i uparcie nie mogę przebrnąć poza gramatyczne problemy. Bardzo się boję, Śliwiaku, że mnie na mordę wyrzucą. Wtedy się obrażę i przyjadę do Krakowa, i zapiszę się na nasz ukochany i poważny, bo jeszcze przed Ameryką wykryty Uniwersytet Jagielloński. Tak.

Strasznie tu ślicznie – okolica jak na Podhalu, górki i górki – miasteczko niewielkie, ale sklepy wielkie i tyle ślicznych rzeczy. Łażę i nabywam, a nie powinnam, bo finanse jak zwykle, jak u nas, Polaków, z fantazją – nie dostają.

Szkoła śliczna – mój złoty, co za szkoła – zielono, a każdy budynek jak kaplica. Ja mieszkam w chyba najładniejszym domu i pokój mam duży i jasny, i cały mój. Naznosili mi kwiatów – a ja sobie kupiłam (jakżeby nie) firanki i teraz jest tak ślicznie, że z przyjemnością zaprosiłabym Cię na podwieczorek, gdyby nie to, że nie wolno zapraszać żadnych mężczyzn na górę. Im wolno tylko rozwalać się na kanapach na parterze.

Uczyć się będziemy rzeczy dziwnych i skomplikowanych – prawie wszystkiego, co można. Zaczynamy od 10 dzisiaj, czyli za 15 minut. Mam tremę, bo jakżeby nie, bądź co bądź to nieomal pierwszy raz.

Wiesz, przymknęłam sobie palec drzwiami samochodu, dziwisz się, że dopiero teraz, a nie rok temu. Ja też byłam zdziwiona, a potem wystraszona, jak zobaczyłam, co takie drzwi mogą z całkiem ładnego palca zrobić – to wygląda strasznie i oni chcą zerwać paznokieć, ale postanowiłam twardo nie zgodzić się. Śliwiaku złoty – wieję do szkoły, całuję mocno – Halina.

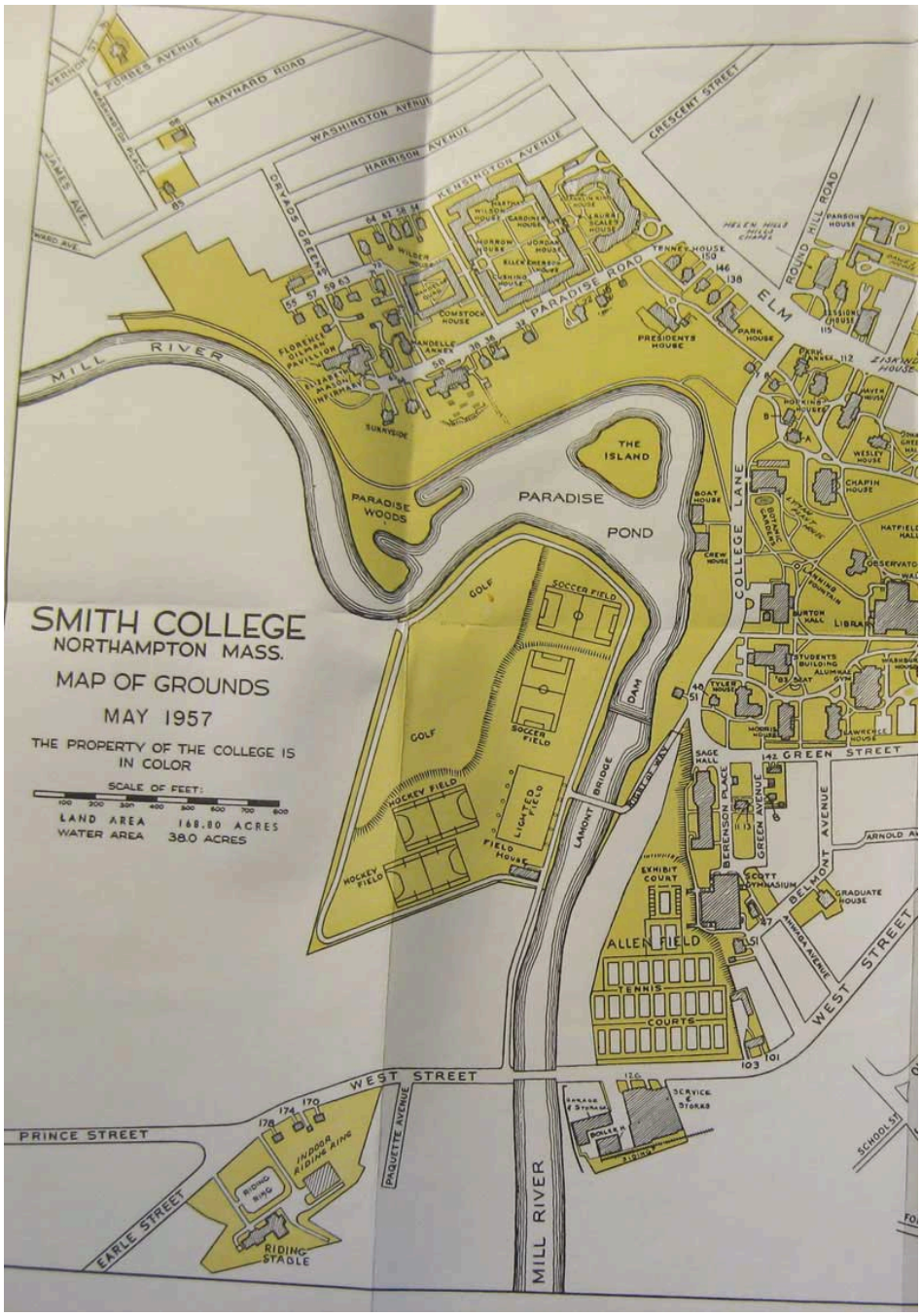

1 II 1960

Śliwiak Kochany!

Zaniedbuję Cię, jak język rodzinny, i potem mam wyrzuty sumienia, kiedy długo, długo nie ma malowanego listu. Zaczynam gwałtownie myśleć czemu, i odkrywam, że to właśnie moja parszywa wina.

Wlazłam po uszy w te różne nauki i w te dziwne języki, i tak trudno sobie ukraść chociaż małą chwilę na przyjacielskie ugwarzenie. U mnie jest pośrodku nocy, więc u Ciebie będzie 6 godzin różnicy, w którąś stronę, dokładnie nie wiem. W każdym razie powinieneś być jeszcze na nogach, uśmiechnięty i w poetyckim nastroju. Wiesz co – aha, nie wiesz, odkryłam takie śliczności w tej amerykańskiej poezji – i tłumaczę sobie to po polsku. Bardzo niedawno próbuję tłumaczyć i zupełnie nie jestem pewna, czy te moje przekłady mają jakąkolwiek wartość, ba, nawet nie wiem, czy już ktoś na to nie wpadł przede mną. Na następnej kartce przepiszę oryginał i moje tłumaczenie – sprawdzisz mnie, dobrze?

Potem jest Garcia Lorca, całkiem po hiszpańsku, więc w dodatku do moich francusko-angielskich wykładów nauczam się cichcem hiszpańskiego. Taki śliczny język, i po tych angielskich łamańcach ludzki jakiś i łatwy, Garcia Lorca broni się zębami przed każdym tłumaczeniem.

Na ogół nauczają mnie filozofii, ekonomii, logiki i takich różnych użytecznych mądrości; mili są, nie zwracają uwagi na moje ortograficzne przestępstwa i stawiają mi te piątki, obawiam się, z dużą dozą dobrej woli. Niech ta! Muszę mieć najmarniej połowę piątek, jeśli chcę dostać stypendium na rok następny, a bardzo chcę. Pracy mam mnóstwo, lecz to się właściwie opłaci potem w wierszach. Można czytać w każdym śmiesznym języku. Dwa dni temu robiłam którąś tam korektę książeczki. Wyrzuciłam literalnie wszystko, zostało jakieś 60 wierszy, o które wypadałoby zadbać. Nie mam zdrowia do tych wydawnictw ani do matki. Nie ma mnie tam i wiesz jak to idzie. W każdym razie poślę jej to za tydzień, po jeszcze jednym przepatrzeniu, i wyślę z misją do Krakowa. Jeśli mi się nie zgodzą wydrukować – to mnie szlag trafi i przestanę wiersze pisać. Trudno będzie, ale się jakoś postaram – widzisz, czupurna się zrobiłam jeżdżąc po świecie, lecz to zwykła kolej rzeczy.

Śliwiak Kochanie – taki college to najidiotyczniejsza rzecz na świecie – nie możesz sobie wyobrazić 2500 dziewcząt w internatach, w warunkach prawie klasztornych, na przedmieściu Ameryki. W świat się jeździ przez Springfield, a w Springfield pociągi chodzą jak w Radomiu – spóźniają się ładnie na minuty, na 120 minut, albo na więcej.

Właśnie mi się przyjechało z New Yorku, bo miałam takie trzydniowe „vacation” i pociąg w Springfield spóźnił się tylko 150 minut – radosne, prawda, wzruszające, oni się pieklili, a ja sobie czekałam z zimną krwią, bo już byłam przyzwyczajona. Staram się przypomnieć sobie coś interesującego – i nie mogę – mierzi mnie ta Ameryka. Nic nie wierz, jeśli piszą, że egzotycznie i ciekawie – to tylko Ci co ledwie przyjeżdżają i już ich nie ma. Pewnie, że Greenwich Village kolorowa i rozpustna – pewnie, że domy wysokie i Times Square zwariowanie świecący – ale to jest ciągle takie samo i się nie zmienia. Kilka ładnych filmów widziałam sobie, czasem można wpaść na taki – teatry są nieosiągalne, przynajmniej dla mnie – bo kosztują drogo. To tylko raz na dwa miesiące łażę przymusowo na *Operę za trzy grosze* – Brechta. Czy wiesz, że Sito przyjechał, i zdaje się, że siedzi gdzieś w Warszawie? Czy wydrukuje, czy słychać o nim, co sądzisz o jego wierszach? Pisz Śliwiaku – w zaułku świata czy Ameryki tak bardzo się czeka na listy.

Całuję.

Halina

2 II [19]60

Śliwiak Najmilszy,

Nie bądź świnia, tęskni mi się za twoim pyskiem i za malowanym zewsząd listem. Ja wiem, że nie masz czasu, że trudno kulturę szerzyć i na dwu poletkach od razu, że żonę masz, to też dano mi do zrozumienia (w dalekiej, ach, przeszłości), że dziecię podrasta – w związku z czym pewnie toniesz w pedagogicznych problemach...

Tak mi łatwo przywłaszczać ludzi – a potem ze zdziwieniem znajduję, że nie są moi, że tylko trochę... Więc bądź trochę mój – co ci to szkodzi – i zadbaj czasem na wielką odległość.

Przyjęli mnie do college'ów – do dwóch – stypendium także dali, więc przyszłość zapowiada się nam pracowicie. Tak bardzo muszę się uczyć – żeby przecież dać radę – a jeszcze chciałabym trzy lata zrobić w dwa – i z moim angielskim to będzie zupełnie trudno. Wybrałam sobie ten college w Massachusetts, bo tam byli zupełnie cudni dla mnie. Że zdrowa jestem – to już pewnie wiesz, bo nawet wróble wiedzą i dlatego rano wrzeszczą tak strasznie, że powinnam wstać i pracować.

[1960]

Śliwiak Kochany,

nie mógłbyś się zjawić z ładnym pakunkiem wierszy pod pachą – powiedzieć: mam coś ładnego i chciałbym ci przeczytać – właśnie nie mógłbyś zabrać mnie do pobielonego pokoju redakcji albo do kawiarni, albo na Planty – nie mógłbyś?...

Znowu nie masz czasu, a New York pod deszczem ponury – i żadne wystawy nie są w stanie pozłocić go nieco.

Kobiety – Śliwiaku – z chęcią posłałabym ci jedną w paczce – bez względu na kolor – kobiety prawie tak ładne, jak manekiny w oknach – zaciera się różnica pomiędzy wystawami i ulicą...

Kobiety New Yorku – z oczami wymalowanymi do ostatka – na takich cienkich obcasach.

Mówiłam ci już – byłam nad jeziorem Erie i w Niagara Falls – te wiersze skrobałam w samochodzie – poczytaj sobie – a jeśli zechcesz, ponieś gdzie płacą – nie mnie – matce.

Mam odrobić mnóstwo lekcji, a tymczasem deszcz pada – i to, już wiesz – tęsknię. Popatrz, za chwilę będę jak Wittlin czy inny Wierzyński, chyba żeby mnie uratował wrodzony optymizm i ta

pewność, że Kraków jest i że wrócę opływająca w nauki wszelakie, może inna.

Zrobiłam nową książkę – jeśli chcesz, dam instrukcję mamie i prześlę ci egzemplarz. Wabi się to – *O uśmiechniętym tygrysie* i bardzo czasem bywa ładne. Jutro mam śliczny wykład pod tytułem *Najmłodsza poezja polska* i pofolguję sobie – będzie Harasymowicz z papugą miesiąca, będzie to trochę ciebie, co sobie przywiozłam – Grochowiak – przyjaciele z Wrocławia, pesymiści z Łodzi i aby z nudów nie sczeźli – dosyć. Nie lubią wierszy – Mickiewicza szanują z legendy –

Czekam grzecznie – a ty napisz, pamiętaj.

List się telepie przez ocean – z moim własnym wujkiem – dlatego znaczek dziwnie polski – całuję Śliwiaku

Halina

Nad Niagarą, od prawej: Halina, ciotka Hanka Fiedorowicz i ciotka Zofia Merda, kwiecień 1959

1 II 1961

Śliwiak Kochanie!

Straszna zgaga ze mnie, nie powinnam Ci dokuczać ubogo pisaną satyrą, bo ty jesteś naprawdę złoty chłopak. Ale widzisz, nie chcę, żebyś się błąkał po przedmieściach sentymentu i napisałam wierszyk właśnie, żeby Ci to wytknąć. W świecie naszych bardzo względnych wartości trzeba bardzo ostrożnie uprawiać emocje, trzeba je pod światło, albo pod elektronowy mikroskop. Zafascynowanie kolorem lub uczuciem – to jeszcze nie to... A co? Nie pytaj mnie, bo nie wiem, i nawet nie wiem, czy jakiekolwiek szukanie ma sens, i nie wiem, czy jest odpowiedź inna niż właśnie zafascynowanie. Studiuję metodologię i logikę, jak wiesz: symbole są bardzo suche i mają ładne kształty – nie znaczą nic. Potem czytam Szekspira, który jest w oryginale bardzo piękny, i czytam Garcię Lorcę, który ma w sobie cały ból życia, i czytam Apollinaire'a i Eluarda, i dziwię się subtelnościom francuskiej natury, a potem milczę – po polsku. Nie piszę, nie umiem; nie wydaje mi się, że to aż takie ważne, żeby pisać. Zafascynowanie słowami, własną płynnością, jak łapaniem oczek na drutach, nizanie słów na wiersze i biedne książeczki... tyle ich – biednych... Nie potrafię czuć inaczej, a jednak czasem wyszarpuje się ze mnie coś jak wiersz czy proza – i ponieważ już dawno jesteśmy daleko – ja i język polski – więc to coś ubogie i pewnie nawet nie polskie. I muszę pisać, i przyglądam się słowom, i bardzo starannie je sadzę. Nie podobają mi się; nie to, żeby w nich nie było dosyć bólu – to jest; poezji za mało.

A jeśli chodzi o robienie pieniędzy poezją, to dlaczego nie – to można. Każdy rodzaj zajęcia jest jednak szlachetny, bardzo wierzę, i my, ludzie, tak uczyniliśmy świat, że musimy sobie świadczyć pieniężne usługi. I jeśli jeszcze do tego lubimy nasze zarobkowe zajęcie, to bardzo szczęśliwy zbieg okoliczności.

I tego chyba należy pogratulować. Tylko komu?

Zapomniałeś mi zarysować kartkę, a ja strasznie lubię Twoje rysunki, zapomniałeś powiedzieć, co się gra w teatrze i czy Kraków, czy Kraków jest piękny. Tęsknię za Krakowem, ale uwiodły mnie także logiczne symbole i nie wiem, czy potrafię wrócić z ptakami tej wiosny. Ptaki, jak wiesz, mądrzejsze, one już wiedzą, że nie ma żadnego znaczenia w dźwięku. Poza tym, Śliwiaku, zima ciężka i śnieżna – napisz, proszę napisz pomiędzy próbą i wierszem – co robicie wszyscy, wszyscy po kolei, co piszecie, o co się martwicie i czym – cieszycie?

Aż tyle. Bądź zdrowy. Halina

PS: Śliwiaku, ja przetłumaczyłam *The Zoo Story* – Edwarda Albee'go. Czy przesłać – czy chcielibyście to grać?! Jeśli tak, to szybko zrobię korektę i poślę. Czy słyszałeś – to młody pisarz i ta sztuka (jednoaktówka) dość znana w New Yorku.

Halina

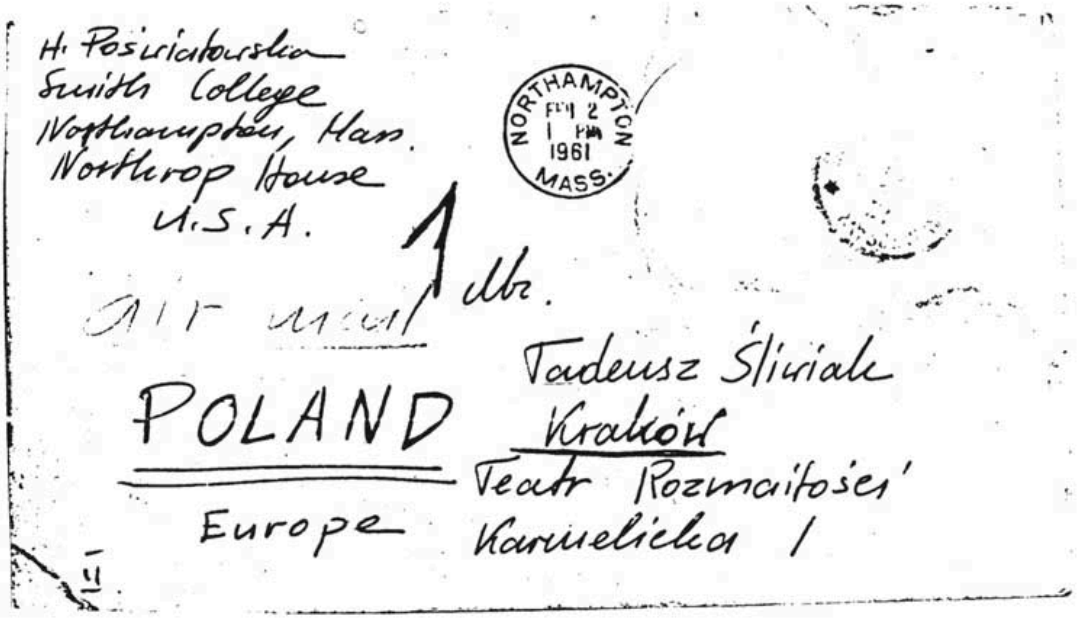

4 sierpnia 1961

Śliwiaku Kochany!

Pewnie i tak nie uwierzyłbyś, gdybym napisała, że wróciłam, ponieważ mnie ładnie zaprosiłeś, więc tego oto nie napiszę.

Wróciłam [Poświatowska wróciła do Polski 20 lipca 1961 r.], bo miałam dość mądrości w językach obcych i chce mi się nieco pomleć własnym a ojczystym i także na papierze.

Ocean był zmokły i bury i kołysał, ojczyzna nie kołysze, a także zmokła. Wcale i wcale nie chce słońce świecić. Śliwiaku, czy to już tak od dawna – czy to tak na długo. Nie powinieneś się wywijać od odpowiedzi, mówiąc, że nie znasz przyszłości – jako znany astrolog, Śliwiaku – powinieneś znać. Bo widzisz, jeśli tak będzie padająco i buro, to w takim razie po co ja mam siedzieć nad morzem, kiedy można od razu do Krakowa. Zaplanowałam ten przyjazd za około 2 tygodnie i jeśli nie masz nic przeciwko, wpadnę sobie do teatru, żeby Cię obejrzeć w jakiejś nowej a ładnej roli. Czy zauważyłeś, że mi się humor pomimo niskiej pozycji barometru poprawił i że nie ponurzę.

A teraz dziękuję Ci ślicznie za wiersze pisane do Stanów i za obrazki, i za porady.

Pozdrowienia znad polskiego morza haha

przesyła

Halina

NOTATNIK AMERYKAŃSKI

Halina Poświatowska

Położone między łagodnymi wzgórzami Nowej Anglii na granicy małego miasteczka Northampton, Smith College na pierwszy rzut oka przypomina sanatorium. Masywne budynki z ciemnoczerwonej cegły porosłe dzikim winem przeświecają poprzez zieleń. Drzewa są najpiękniejszą częścią Smith; ogromne, rozrosłe, we wszystkich odcieniach zieleni. Dobrze utrzymane tereny szkolne przechodzą w półdziki zagajnik po drugiej stronie bagnistej rzeczki, która oddziela Smith od szpitala dla nerwowo chorych. Ta naturalna bariera bywa często łamana w rzeczywistości i w przenośni. Już w marcu liczne canoes i kajaki Smith wyruszają na popiębiony sztucznie staw i gęsto kręcą się wokół szpitalnego wzgórza, gdzie można wypatrzyć ludzi innych i ciekawszych. Łamaniem granicy w przenośni nazwałabym częste choroby nerwowe, na które zapadają dziewczęta w miejscu tak odludnym jak Smith.

Zdefiniować charakter Smith nie jest łatwo. To amerykańskie college znajduje się równocześnie i na peryferiach i w centrum cywilizacji. Pokaźna biblioteka w swoich licznych odnogach skupia setki tysięcy tomów reprezentujących najnowsze zdobycze intelektu. Równe szeregi książek stoją na półkach łatwo dostępne dla zainteresowanych. Tu warto chyba wspomnieć o wygodnym systemie obowiązującym w amerykańskich collegach likwidującym wiele uciążliwej biurokracji. Student zapisując się na uniwersytet przyrzeka, że będzie przestrzegał regulaminu i w zamian za to otrzymuje maximum wolności. Student sam wypożycza sobie książki z biblioteki, sam pilnuje godzin egzaminów i wszelkich innych terminów studenckiej działalności. Niewątpliwie godny pochwały amerykański „honor system" ma także swoje minusy: choćby pewna atmosfera podejrzliwości panująca wśród studentek i małe poczucie koleżeństwa. To ostatnie może być przejawem stosunków panujących w bogatych mieszczańskich środowiskach, z których rekrutują się studentki Smith. Dziewczęta wynoszą z domu inklinację do konkurencji, są ambitne i bardzo pracowite, ale ich pracowitość jest mechaniczna i ospała. Bardzo niewiele tu spontanicznej intelektualnej inicjatywy; studia ograniczone są ściśle do wybranych przedmiotów i nikt nie pozwala sobie na takie ekstrawagancje, jak amatorskie zespoły, kluby dyskusyjne itp...

Oczywiście moje uogólnienia nie odnoszą się do wszystkich studentek, lecz do tej większości, która sprawia, że Smith tkwi intelektualnie w martwym punkcie. Dziewczęta słuchają wykładów biernie, z obowiązku czytają, grają i malują, z obowiązku piszą poezje. A jakże, Smith posiada profesorów uczących pisania poezji, kompozycji muzycznych, a także malarstwa. Pamiętam moją małą sąsiadkę, która w ciągu nocy zamalowała olejno sześćdziesiąt płócien, żeby zaliczyć egzamin. W ciągu jednej nocy odrobiła pięciomiesięczne zaległości z wynikiem, który nie odbiegał od wyników, jej bardziej obowiązkowych koleżanek. Wszystkie obrazy były jednakowo złe.

W piątkowe popołudnia można zaobserwować w Smith nagły przypływ żywotności. Przygotowują się poważne i skupione przez opustoszałe sale biblioteczne, studiują... ale wesołe śmiechy spoza okien dochodzą do nich i tanią.

Pamiętam moją ostatnią dyskusję z opiekunem grupy zagranicznych studentów – profesorem angielskiej literatury. Strzygł trawnik przed domem kiedy przyszłam mu podziękować za opiekę i powiedzieć do widzenia; wyjeżdżałam ze Smith. Popatrzył na mnie z troską. Nie rozumiem, powiedział, ptakrew, nie rozumiem. Zwiekacie się tu nie wiadomo z jakich kątów świata i chcecie mnie przekonać, że Smith jest złą szkołą. A może to wy nie potraficie się zaadaptować do warunków, w których doskonale czują się amerykańskie dziewczęta. Zdumiewa mnie wasz upór i pracowitość, ale nie wiem skąd się bierze przygnębienie. Mamy najlepsze pomoce naukowe, najlepszych profesorów, warunki mieszkalne...

Przerywam mu niecierpliwym aby w poniedziałek z podkrążonymi oczyma rozpocząć normalny tryb zajęć. Farmerki, tenisówki, wykłady...

Grupka studentów zagranicznych licząca około 30 osób czuje się obco i prawie niepotrzebnie na terenie Smith. Zwabione wysokimi stypendiami naukowymi i przychylnością dyrekcji, przyjeżdżają dziewczęta zza oceanów nie wiedząc, że przyjdzie im płacić pracą ponad siły i gorszą od pracy samotnością. Troska dyrekcji i serdeczność profesorów, którzy niejednokrotnie sami czują się obco w atmosferze Smith nie jest w stanie rozproszyć przygnębienia, któremu wcześniej czy później ulega każdy egzotyczny przybysz. Japońskie kimona, delikatne barwne sari, krzykliwe afrykańskie kretony nie odzwierciadlają pochmurnych myśli ich właścicielek. Najpilniejsze, najbardziej zaangażowane naukową pracą są jak gdyby poza zasięgiem studenckiego życia, poza jego właściwym towarzyskim nurtem. Emocje week-endów omijają je kompletnie. W piątki nie kręcą włosów (niektóre z nich mają włosy i tak zbyt mocno skręcone), nie nakładają szpilek,

Nie dziękuj, a jeśli chcesz napisać, to napisz za dwa lata. Do tego czasu, przypuszczam, zmienisz zdanie o Smith.

Być może; uprzejmością chcę rozladować nieprzyjemne napięcie naszej ostatniej rozmowy. Nie udaje mi się, pochmurnym uśmiechem odprowadza mnie do drzwi.

Wychodzę... Szalona zieleń pnie się wokół mnie, ponure bloki szkolne toną w zieleni – wymarłe, puste. W dole na stawie kumkają żaby. Zaciągam się świeżym powietrzem. Jutro wyjeżdżam do Montrealu i dalej. Opuszczam wykwintne mury amerykańskiego college na zawsze i bez żalu.

Moja ostatnia wizyta w New Yorku była niezwykle krótka. Wpadłam na jeden dzień, żeby pożegnać się z Caroline i popatrzeć na miasto.

Jak zwykle ze stacji podjechałam taksówką pod Metropolitan Museum, gdzie pracowała Caroline. Była godzina trzecia po południu, Coroline kończyła pracę o piątej. Specjalnie przyjechałam wcześniej, żeby jeszcze raz w samotności okrążyć Muzeum. Wjechałam windą do górnych galerii; przywitał mnie złoty i delikatny Fra Angelico, czerwonobłękitny Pierro della Francesca, skośnookie madonny ze Sieny popatrzyły na mnie badawczo. Przebiegam szybko kilka sal w poszukiwaniu słoneczników Van Gogha, kątem oka chwytam żółtawe światło Rembrandtów; Saskia jako Flora, jeden z ostatnich autoportretów, Chrystus... Pośród rzędów uśmiechniętych etruskich rzeźb schodzę w dół szerokimi schodami. Po lewej stronie w skrzydle egipskim – mumie faraonów; skupione twarze siedzących posągów. W gablotkach rozpostarte naszyjniki, bransolety i ubiory na głowę. Bastet, bogini miłości w kształcie kota, małą główkę ma ozdobioną kolczykami. Około roku tysiącznego p. n. e. poświęcono jej miasto Bubastis, w którym koty były święte.

Caroline wyszła wreszcie i pod czterema mostami Centralnego Parku przedostajemy się na zatko pulsującą częścią miasta od którego odchodzę. Jeszcze jeden drapacz, podnoszę głowę wysoko i prawie zderzamy się z Noami.

Wracamy do auta i decydujemy, że należy odwiedzić Greenwich Village; Naomi zna miejsce gdzie kawa ma smak naprawdę włoski. Zaczyna padać deszcz. Wykwitają kolorowe parasolki. Auta suną równo zatrzymując się od czasu do czasu przed czerwonymi światłami. Jedziemy przez Park Avenue w 46l, jeszcze moment i jesteśmy w plątaninie wąskich uliczek Greenwich Village. Washington–Square pusty, nikt nie siedzi wokół martwej fontanny, woda pluszcze po betonie. Wjeżdżamy w Mac Dougal Street. Tu mieszczą się najpopularniejsze kawiarnie, jak zwykle pełne przybyszów z górnej części miasta. Parkujemy i po mokrych płytach chodnika wbiegamy do jednej z kawiarni. Pijemy kawę; poprzez mokre szyby zaglądają dziwnie zdeformowane twarze. Czasem tylko ciemny błysk skóry, jasny błysk włosów, rozhuśtany kołczyk. Naomi gwarzy z Caroline.

Robi się późno, deszcz przestał padać i ulice są zapełnione kawiarnianym tłumem. Toalety 5-tej Avenue przeplatane strojami tubylczej cyganerii. Dziewczęta o rozpuszczonych długich włosach, włosach ściętych krótko noszą obcisłe spodnie i sweterki. Chłopcy troskliwie kudłaci starają się wyglądać jak najbiedniej. Żaden inny strój nie przyciąga tylu spojrzeń co połatane na siedzeniu spodnie i artystycznie porwany sweter. Przybysze z góry miasta podziwiają sfabrykowane ubóstwo i kultywowany pieczołowicie brud. Niegdyś pełne artystycznych ambicji Greenwich Village skomercjalizowało się; dziś wypełnia tylko zamówienia bogatego odbiorcy, który szuka tu rozrywki i innośći. Sztucznie ubogie Greenwich Village ma niewiele wspólnego ze sztuką. Ostatnimi placówkami tejże są chyba teatry o maleńkich salkach, w których można zobaczyć ciekawe i ambitne sztuki współczesnych pisarzy. Przywabieni urokiem patrokaciny, widzieniem kolorowych kawiarni z ogródkami co noc przyjeżdżają tutaj tysiące ludzi pragnących chociaż na chwilę włączyć się w podniecający nurt życia cygańskiej dzielnicy.

Znajdujemy auto. Caroline pyta: Do domu? Czyżby zapomniała? Prosilam ją przy kolacji, żebyśmy jeszcze raz pojechały w górę Broadwayu. Chciałam zobaczyć Columbię. Uczyłam się tam trzy miesiące podczas lata 1960 roku. Znam każdy budynek i każde przejście. Caroline mówi: Naomi, musimy uczestniczyć jeszcze w jednym misterium, Halina jedzie do Columbii. Teraz, w środku nocy, protestuje Naomi. Potwierdzam skinieniem głowy.

Przez miasto? pyta Caroline. Nie, nie przez miasto. Skręcamy w bok na Hudson Parkway i mkniemy szosą w górę. Hudson jest tuż, słychać plusk wody, ze względu na późną porę droga jest pusta. Na prawo świeci New York, światła spiętrzają się pionowo; na lewo po drugiej stronie rzeki mniej liczne, rozlane poziomo światła New Jersey. Przy 95-tej ulicy Caroline wyprowadza auto krętym ślimakiem na Riverside Drive i potem na Broadway. Wokół uniwersytetu spokój. Gmachy

GYÖRGY GÖMÖRI

POETA, ESEISTA, TŁUMACZ LITERATURY POLSKIEJ

O Halinie Poświatowskiej usłyszałem po raz pierwszy od poety krakowskiego Tadeusza Śliwiaka, którego poznałem jeszcze w czasie mojego pobytu w Polsce jesienią 1953 roku. Po moim wyjeździe z Węgier (po stłumieniu rewolucji 1956 roku przez wojska radzieckie) znalazłem się w Anglii, dostałem stypendium w Oksfordzie i stamtąd nawiązałem ponownie kontakt listowny ze Śliwiakiem. Kipiało wtedy w Polsce, pojawiały się coraz nowsze grupy artystyczne, powstało pismo „Zebra”. Śliwiak posłał mi egzemplarz i później wydrukował nawet jakiś mój list i krótki wiersz we własnym tłumaczeniu w tejże „Zebrze”. Był chyba dość dobrym redaktorem, a dla mnie stałym kontaktem w Krakowie; w swoich listach często wspominał o nowych książkach czy autorach, wiedząc, że prawie wszystko, co wychodzi w Polsce (a szczególnie poezja), żywo mnie interesuje. W liście datowanym 15 stycznia 1959 Śliwiak pisze między innymi tak.

„Ostatnio ukazał się u nas bardzo interesujący tomik wierszy (debiut) młodej poetki Haliny Poświatowskiej.

To bardzo zdolna dziewczyna. Przebywa obecnie w USA, gdzie wyjechała latem na bardzo poważną operację serca. Operacja szczęśliwie udała się. Równocześnie z jej tomikiem ukazała się książeczka poezji zmarłego w 1957 r. poety Andrzeja Bursy. Na pewno słyszałeś o nim. Wiersze b. dobre. Zresztą oba te tomiki posyłam Ci”.

W ten sposób pierwszy tomik Poświatowskiej dotarł do Oksfordu. Niektóre wiersze podobały mi się do tego stopnia, że napisałem do autorki list, który posłałem na adres Śliwiaka, myśląc (już nie wiem dlaczego), że Poświatowska wróciła do Polski. Śliwiak, trochę

zdumiony, odpisał do mnie z obietnicą, że prześle mój list do adresatki, która nie tylko wciąż jest w Stanach, ale „stara się o stypendium na studia”. Po czym dorzucił jeszcze słowa zachęcające: „Napisz do niej, będzie na pewno bardzo zadowolona” oraz podał adres nowojorski: 46 Boone Street, Yonkers.

Więc to Śliwiak był pośrednikiem między mną a Haliną Poświatowską. Byliśmy z poetką prawie w tym samym wieku, oboje pisaliśmy wiersze i – będąc „na wygnaniu” – oboje uczyliśmy się angielskiego. (Pod tym względem jednak byłem w lepszej sytuacji, mając kilka lat nauki angielskiego za sobą). I już pod koniec czerwca 1959 roku dostałem od Poświatowskiej długi list maszynopisowy, ładny list, pełen barw i „atmosfery”, z prośbą o odpowiedź z tej „fioletowej” Anglii. W tym pierwszym liście informuje ona, że właśnie dostała ofertę od różnych amerykańskich college’ów i że wybrała Smith College w Massachusetts. Jako dodatek do listu Poświatowska przysłała swe wiersze (w sumie osiem w maszynopisie) [...]. Drugi list jest już ze Smith College, gdzie dziewczyna, która rok przedtem jeszcze władała angielskim bardzo słabiutko, teraz chodzi na wykłady, seminaria i – mozolnie pracuje. Ten list jest jesienny (14 listopada), więc trochę nostalgiczny; nawet spotkanie w lecie z moim znajomym z Londynu, Jerzym Sito, brzmi teraz jak duże przeżycie, ponieważ – pisze

Poświatowska – „to bardzo dziwne spotkać taki pokrewny chodzący rodzaj wyobraźni”. Druga ciekawa dla mnie informacja w tym liście to zaprzyjaźnienie się w Smith College z węgiersko-amerykańską dziewczyną, Margaret Pacsu, która, chociaż młodsza, „tak ślicznie się mną opiekuje”. Pod koniec listu Halina prosi o moje wiersze, które Margaret będzie dla niej tłumaczyć.

W trzecim liście ton jest już bardzo ciepły – Halina lepiej się czuje w Smith, gdzie dziewczęta ją polubiły (niektóre nawet cytują jej wiersze po włosku), poza tym na podstawie dosłownego tłumaczenia niektórych moich wierszy poetka uznaje mnie za kolegę po piórze. Ona też pisze w ciekawy sposób o spotkaniu z Sito, o tym, w jakim nastroju wrócił do Polski. Ale najważniejsza (dla mnie) była jej radość, kiedy dowiedziała się, że w lecie mam przyjechać do Nowego Jorku. [...]

Na Manhattanie załatwił mi mieszkanie na kilka dni mój przyjaciel z Oksfordu, Amerykanin Bob Lenzner. Poświatowska wtedy już mieszkała (w czasie ferii) w International House na Riverside Drive, więc spotkaliśmy się po raz pierwszy właśnie przed tym akademikiem w Nowym Jorku i poszliśmy na spacer wzdłuż rzeki... Po czym jeszcze ze dwa razy udało nam się spotkać: raz chyba Halina przyszła do nas z Węgierką Martą (do nas, to znaczy na drink party na tarasie drapacza chmur, gdzie i Lenzner, i ja mieszkaliśmy), raz Lenzner zaprosił nas do Greenwich

Village na kolację czy na whisky: właśnie tyle pamiętam, żeśmy łazili po ulubionym skwerze ówczesnych hippisów [...]. O czym była mowa na tych spotkaniach, to już trudno powiedzieć. Na pewno dużo gadaliśmy o poezji. Byliśmy młodzi, wchłanialiśmy życie, no i podobaliśmy się sobie. Ostatniego wieczoru Halina westchnęła: „Jaka szkoda, że już odjedziesz...”.

International House na Riverside Drive w Nowym Jorku

Po tym spotkaniu nastała przerwa w korespondencji. Po roku spędzonym w Indonezji wróciłem do Anglii, ożeniłem się, skończyłem dysertację oksfordzką i dopiero w lecie 1963, akurat wtedy, kiedy przyjaciółka z Ameryki, Margit Pacsu, przyjechała do Krakowa, ja też zjawiłem się na Krupniczej. Znów tylko na kilka dni, ale wystarczyło na zwiedzanie Krakowa w towarzystwie Haliny i Margitki. Pamiętam, jak ta ostatnia była rozentuzjazmowana Wawelem: „Takiego cuda nie masz we Francji!”, powtarzała. Poświatowska była dumna, że Kraków (przynajmniej w oczach Węgierko-Amerykanki) wytrzymuje porównanie nawet z Wersalem!

Ostatnie spotkanie z Haliną przypadło na moją drugą w latach sześćdziesiątych wizytę w Polsce. Ona już wtedy leżała w krakowskim szpitalu przy ulicy Kopernika. Tadeusz Nowak, mój stary przyjaciel, zapytał mnie, czy nie chcę odwiedzić Haliny, która czeka na poważną operację w Warszawie. Poszliśmy do szpitala i spędziliśmy przy łóżku Haliny chyba pół godziny. Ona bardzo lubiła Nowaka, ale z przyjemnością rozmawiała też ze mną, może pamiętając (nostalgicznie) nasze spotkania amerykańskie. O ile pamiętam, miała księgę pod ręką; pokazała nam: „Ostatnio czytam Biblię”.

Chyba przeczuwała już wtedy śmierć, która nastąpiła po operacji, kilka miesięcy później.

FRAGMENTY LISTÓW
HALINY POŚWIATOWSKIEJ DO GYÖRGYA GÖMÖRIEGO

24 Yune 1959

Śliczny list i dziękuję. Ciągle w Ameryce, i uczyć się trzeba pracowicie po angielsku – więc jeśli Panu wygodniej, proszę pisać w tym języku. Angielski ma niesłychane zalety w precyzyjności określeń i w bezpośredniości wyobrażeń – lecz nie chce mi ładnie brzmieć w poezji. Ja nie znam hiszpańskiego, a hiszpańskich wierszy mogę słuchać jak muzyki. Angielski nie absorbuje ucha, więc musi absorbować umysł – to pewnie jedna z pomniejszych racji, dlaczego ta poezja drapie się chłodną wysokopienną ścieżką w dziedziny filozofii. A ja jeszcze inaczej – u mnie wszystko bujnie, zielono i po prostu. Sugestie do dyskusji – nie musi Pan tego brać serio.

Jaka jest Anglia? – widziałam z okrętu – i była błękitnofioletowa we mgle. Kolory są dość ważne, a dla mnie najważniejsze – jeszcze zapachy. Liście klonu w późnym słońcu popołudnia – wyglądają jak właśnie palce nad lampą – tyle że zielone. Lipy przekwitają – i świetliki przekwitają, lato się robi całą gębą – Atlantyk słono podpływa do brudnego brzegu Long Island. Zabrali mnie tam w niedzielę – i sobie patrzyłam w stronę Polski – potem odkryłam, że to wcale nie była strona Polski – ale to rzeczywiście nie takie ważne. Czasem ludzie się upierają być w określonym czasie i w określonym kierunku – jakby nie wszystko jedno.

Nic mi Tadek [Śliwiak] nie opowie – jako że urzęduje w charakterze nadwornego poety ostatniej księżniczki Krakowa – Wandy – a czasem jest także hrabią, a czasem pomocnikiem sędziego. To była taka sztuka – tęga sztuka – strasznie kocham teatr, a na tym Broadwayu wszystko potwornie drogie – i nie mogę łazić do teatru tak często, jak bym chciała. W Krakowie było prościej – bo tam nikt

nie miał pieniędzy. Kiedy napomykałam z cicha Śliwiakowi, że może by za wiersz zapłacili – nawymyślał mi od materialistów – sobie zresztą nie płacili też. A zebra – prążkowana zebra – to był jednak kawał pomysłu i kawał pracy. Cześć pamięci Śliwiaka jako redaktora. Czy Pan również ma kłopot z moją polszczyzną, bo rodacy tutaj mają – i tak ustawicznie każą sobie wszystko, co powiem, tłumaczyć z polskiego na polski, że im w końcu tłumaczę na angielski – what beautiful things is a metaphor? Christopher Fry. Z czarownicy co jej szkoda było spalić. Aha – miałam o sobie... Wszystko ślicznie – stypendium mi dali w paru collegiach, więc wybrałam sobie takie Smith College – jako że i opinię ma miłą, i klimat możliwy, bo w Massachusetts. Pójdę tam od października i pewnie będę strasznie zaorana, bo wszystko po angielsku oprócz francuskiego, co będzie po francusku – a ja obydwoma językami usiłuję władać od ośmiu miesięcy. Trochę niedużo. Książkę przygotowałam nową i właśnie posłałam mamie, co jest moim dzielnym pomocnikiem i lubi przepisywać w przepisowych trzech kopiach – i teraz pomiędzy nią i mną trwają pertraktacje o dedykację, którą sobie umieściłam na wstępie. Ona uważa, że to nie jest fair, iż w dedykacji pominęłam wszystkie great persons co mi safed life – a umieściłam skromne nazwisko kolegi, co jest całkiem ślepy od urodzenia i pisze tak pięknie, jak anioł albo Bruno Schulz.

Strasznie mi przykro, że nie umiem po węgiersku – ale to podobno żadną miarą nie da się osiągnąć. Mój profesor, który był deportowany w czasie wojny w Budapeszcie 4 lata, tłumaczył mi tak: Halina, gdyby mnie rok trzymali w Anglii, we Francji, jestem pewny, że znałbym te języki świetnie – zresztą chociaż nie był, znał – ale z Węgrami nigdy nie wyszedłem dalej poza te kilka podstawowych słów. W tym języku trzeba się urodzić. Czy to prawda – pewnie tak, chociaż do połowy jak Pan. Przepisałam dla Pana parę wierszy z tej nowej książki na tej maszynie, co mi życie truje – może się Panu przydadzą. Dziękuję strasznie za to, że ma Pan ochotę tłumaczyć – przepraszam jeszcze za wszelkie niejasności tego listu, lecz mam akurat taką pięknie podłużną chandrę za Krakowem – i za poezją...

Stąd moja niewymierna gadatliwość – niech Pan pisze z fioletowej Anglii – będę czekać.

Halina Poświatowska

W Nowym Jorku, wrzesień 1959

14 XI 1959

Jerzy Drogi!

Za takie długie niepisanie masz prawo się obrazić na śmierć, lecz lepiej nie. Najpierw było bardzo podniecające lato – spędziłam je zupełnie sama w New Yorku i oczywiście omal się nie udusiłam przy tej ślicznej amerykańskiej pogodzie. Potem dwa miesiące temu przyjechałam do szkoły i z miejsca do niezmiernej pracy, bo kursy wybrałam trudne i oczywiście oni nic nie chcą uczyć po polsku. Tylko po angielsku i po francusku, a ja obydwa te języki zaczęłam

znać zaledwie od roku. Masz rację, że ten angielski jest podły i może tylko węgierski jeszcze trochę trudniejszy.

Siedzę więc dniami i nocami w miłym podarowanym mi przez college pokoju – w ślicznym domu – w małym i pół-zdechłym miasteczku. Nauczam się. Ty nie wiesz, jaka ja jestem ignorantka – zresztą gdybym nie była, to nie mogłabym napisać ani jednego z moich wierszy. Teraz nie mam czasu pisać, lecz gdybym nawet miała, to prawdopodobnie nie potrafiłabym.

Czasem nie potrafię nic robić i tak wściekle tęsknię – nie wiem za czym, czasem za New Yorkiem po prostu. Obco mi tu i zimno i uciec można tylko w książki. Dlatego lubię mieć mnóstwo pracy i uczyć się, choćby angielskiej ortografii.

Sito widziałam – złaziliśmy razem niższe rejony New Yorku – dwa muzea, teatr i knajpę. Gadało mi się z nim jak z samą sobą – to bardzo dziwne spotkać taki pokrewny chodzący rodzaj wyobraźni. Potem sobie pojechał do Anglii czy do Polski, nie pamiętam.

W szkole miła węgierska dziewczyna powiedziała, że zna Cię ze słyszenia i że wysłała Ci książkę z wierszami, którą pożyczyła przedtem od swego wujka. Margaret Pacsu – przemiłe kocię, tak ślicznie się mną opiekuje, chociaż całkiem młodsza. I wszyscy mili i uprzejmi i chyba powinno mi być dobrze, gdyby nie „craving” – jak się Sito wyraził w jednym liście.

Międzynarodowy poeto – nawet nie wiesz, ile mam dla Ciebie szacunku, odkąd wiem, jak bardzo trudno nauczyć się czegokolwiek.

Obiecałeś przysłać wiersze – więc proszę dotrzymaj obietnicy i przyślij także po węgiersku i swoje, Margaret przetłumaczy je dla mnie.

Pozdrowienia – całe mnóstwo

przesyła Halina

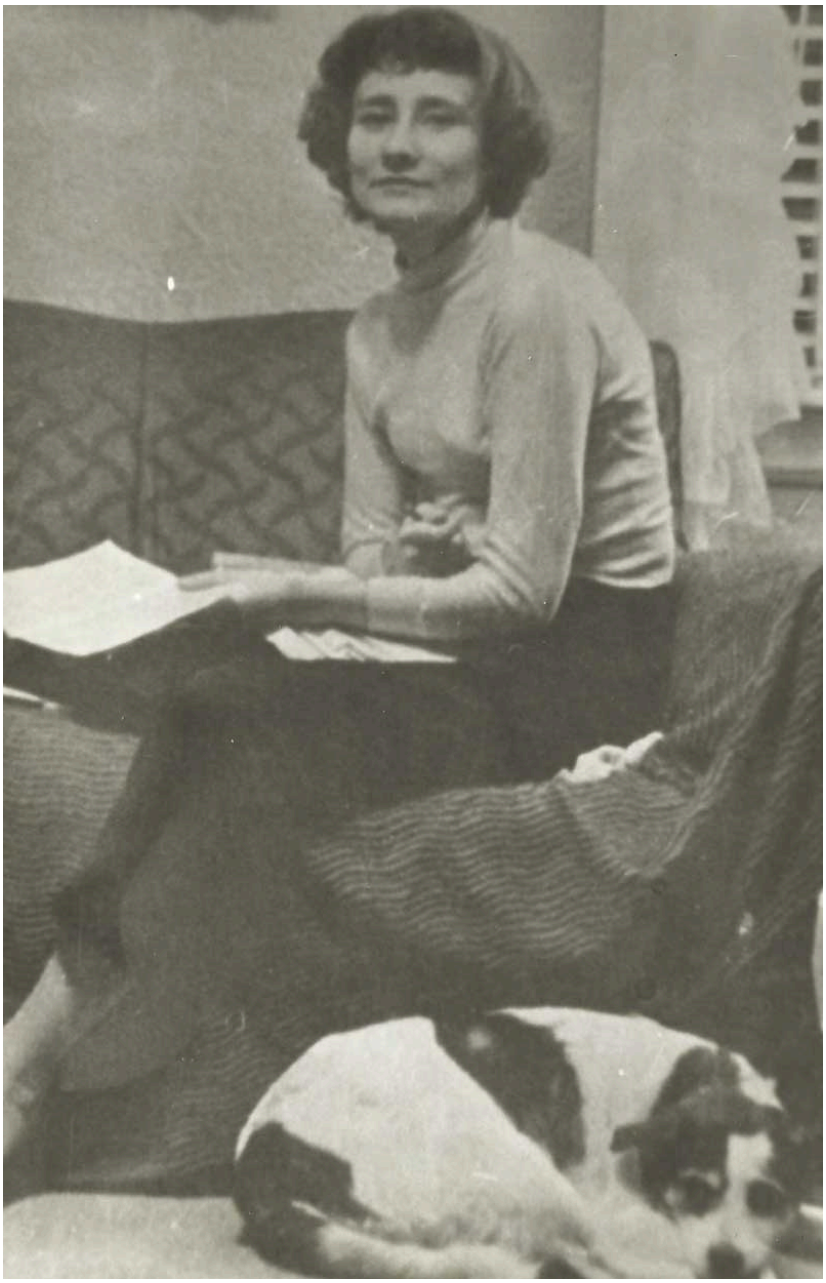

U wujostwa Fiedorowiczów w Yonkers, sierpień 1959

22 I 1960

Kedves [drogi] Jerzy!

Ja też mam ambicje – niezmierne – i właśnie za to płacę, dni mordując nad francuskim czy angielskim. Dla odprężenia potem czytam sobie Garcię Lorcę po hiszpańsku albo tłumaczenia moich własnych wierszy na włoski. Te ostatnie bardzo popularne w szkole i właśnie przed chwilą miałyśmy ładną rozmowę w łazience. Dziewuszka powtarzała strofkę i kiedy ją zapytano, czy to Dante, powiedziała: Nie, to Halina. Bardzo śliczne, prawda?

Nie śmiej się, bo nie dość, że nic nie umiem, to jeszcze jestem zarozumiała. A może właśnie dlatego – święta ignorancja jest tak potrzebna, jak niezbędna to maintain a good opinion about ourselves [wydana dobra opinia o nas]. Albo może to tylko mnie dotyczy – nie wiem, Węgrze, nie wiem...

Po co ci indonezyjski, nie mogę zrozumieć – po co gdzieś na wyspy – także nie mogę zrozumieć, ale że przez New York, to nagle bez pytań i się cieszę. To było tak dawno, kiedy ostatni raz upiliśmy się z poetą. Ocaliliśmy gąsienicę od śmierci przez rozdeptanie; właśnie przechodziła w Central Parku z jednej strony trawnika na drugi. Ktoś mógłby powiedzieć, że przeszkodziliśmy gąsienicy – tyle rzeczy zależy od interpretacji. Potem Sito sobie pojechał do Polski spotkać szatana (tak mówił), a ja zostałam...

Więc przyjedź, Margi chce Cię poznać także i przyrzekłam że Cię jej pokażę. Pokażę tylko. Twoje wiersze – Margi czytała głośno, nie potrafi z sensem tłumaczyć, bo jej węgierski niespecjalnie dobry, lecz i tak mi się bardzo podobają. Dziękuję Ci, że się męczysz nad „finałem” [*wieczny finał*] – pewnie nie wart.

Gombrowicza lubię, za przekorę, za ironię, za masochizm prawie średniowieczny. Wiem, że to przesada, lecz my musimy przesadzać, bo jesteśmy pogardliwi; Gombrowicz trochę jak Rousseau zarabia sławę na samoobmowie, Iwaszkiewicz jest mi albo klasycznie zimny albo nieprzyzwoity – raczej nie lubię, lecz może uprzedzenie.

Czemu zadajesz śmieszne pytania; Samotność nie jest zależna od liczby boyfriendów, samotność po prostu jest i właśnie dlatego trzeba się skarżyć wierszom – tomikowi muszę robić korektę, to może wydrukują [*dzień dzisiejszy*], lecz nie mam czasu, więc mi to odłogiem zalega.

Aha, adresu wcale nie zgubiłam, schowałam tak ładnie, że mi się znalazł dopiero tydzień temu. Więc może dobry omen dla przyjaźni. Pisz mi, pozdrawiam – Halina

PS W następnym liście będą wiersze – jutro jeszcze mam jakiś egzamin i odmaszerowuję się uczyć. Pa.

Nad rzeką Hudson (w tle most Waszyngtona), Nowy Jork, wrzesień 1959

YASUKO NOGAMI-SUZUKI

PRZYJACIÓŁKA HALINY POŚWIATOWSKIEJ
ZE STUDIÓW W SMITH COLLEGE

Halinę Poświatowską spotkałam na przyjęciu dla studentek zagranicznych wydanym w Smith College. To musiała być jesień 1960 roku. Gdy tylko ją zobaczyłam, uderzyło mnie jej niezwykłe piękno. Wyglądała nieśmiało, ale promiennie. Wydawała się zainteresowana wszystkimi zgromadzonymi, ale sprawiała przy tym wrażenie, że nie wie, co ze sobą zrobić, więc podeszłam do niej i przedstawiłam się. Och, miała miękki, uroczy głos, przepełniony uczuciem, i myślę, że zakochałam się w niej od razu. Dookoła było dużo ludzi i nie udało nam się za wiele porozmawiać, więc zaprosiłam ją do mojego akademika na kolację.

Halina doceniała moją przyjaźń; często spotykałyśmy się i rozmawiałyśmy. Wydawało się, że bardzo potrzebuje kogoś, z kim mogłaby porozmawiać. Tak samo jak ja – też byłam studentką zagraniczną. Miała koleżanki w swoim akademiku, wolała jednak rozmawiać ze mną. Odwiedzała mnie codziennie.

Z Yasuko, Northampton 1961

Dyskutowałyśmy o poezji, ale – jako że nie znam polskiego – nie mogłam czytać jej wierszy, co mnie ogromnie smuciło. Studiowała filozofię i była tym bardzo zainteresowana. Jednak w filozofii nie mogła znaleźć odpowiedzi na problemy świata, a zwłaszcza na problemy, w których pogrążona była Polska. Filozofia miała staranne wytłumaczenia na wszystko, Halinie wydawały się one jednak zbyt uproszczone, niepozwalające na rozwikłanie trudności życia. Jej nauczyciel filozofii powiedział mi kiedyś, że Halina ma niezwykły filozoficzny wgląd. Rzeczywiście, miała niezwykły, wspaniały wgląd w wiele spraw. Często

zastanawiałam się, czy ta wnikliwość i intuicja to wynik jej poetyckich zdolności.

Jedną z najczęstszych spraw, o których rozmawiałyśmy, było życie w Stanach Zjednoczonych. Ameryka przekroczyła granicę dobrobytu, ludzie byli najedzeni i grubi. Halina była zasmucona i zniesmaczona bogatą Ameryką, zwłaszcza gdy myślała o biednej Polsce. Och, jak bardzo tęskniła za Polską! Zawsze była sercem przy rodzinie, rodakach i kraju.

Wydaje mi się, że o swojej niechęci do Ameryki mówiła tylko ze mną – nie chciała obrażać tych, którzy byli tak dobrzy i hojni, że sprowadzili ją na operację serca i zapewnili naukę w Smith, wolną od wszelkich, zwykle wymaganych, opłat.

Halina nie mówiła wiele o swojej chorobie. Któregoś razu pokazała mi pooperacyjną bliznę na piersiach. W Smith wyglądała dość dobrze, tylko czasem, przy fizycznym wysiłku, brakowało jej tchu. Byłam więc w ogromnym szoku, kiedy [kilka lat później] otrzymałam od jej siostry list zawiadamiający o śmierci Haliny.

Smith College

Halina lubiła Smith i wszystkich ludzi, którzy byli tam dla niej dobrzy. A ludzie lubili Halinę – ktokolwiek ją poznał, musiał się w niej zakochać. Wszyscy dostrzegali jej urok, blask, błyskotliwość i wrażliwość. Pamiętam, jak pan William van Voris, szef komitetu do spraw studentów zagranicznych, powiedział: „Halina jest prawdziwą romantyczną heroiną”. Ale, koniec końców, opinia Haliny o Smith była taka sama, jak jej opinia o USA. Smith krytykowała jednak o wiele rzadziej.

Pamiętam dzień, w którym Halinę odwiedził starszy siwy mężczyzna [prawdopodobnie Henry Fiedorowicz,

wuj Haliny]. Zabrał nas na przejażdżkę samochodem po okolicy. Zatrzymaliśmy się przy rzece i zeszliśmy nad strumień. Weszłam do wody, a Halina przyglądała mi się podekscytowana. Sprawiało jej przyjemność obserwowanie, jak bawię się w wodzie. To był radosny moment, Halina śmiała się i wyglądała na zachwyconą. Starszy pan powiedział mi: „Przywieźli ją do Ameryki na operację serca”.

Nie wiem nic o jej życiu uczuciowym w tym okresie. Jeśli miała jakiś romans, nie mógł dla niej wiele znaczyć, bo nic o tym nie słyszałam. Na pewno powiedziałaby mi, gdyby była zaangażowana w coś poważnego. Jeśli chodzi o jej męża, niewiele mi o nim mówiła, tyle tylko, że umarł.

Utrzymywałyśmy kontakt aż do jej śmierci. Kiedyś wysłałam jej do Polski bon na 5 dolarów – zganiła mnie za to, bo wiedziała, że nie mam pieniędzy. Często mówiła mi i pisała, że powinnam wrócić do Japonii, ale miałam swoje powody, żeby zostać w Stanach i zrobić dyplom. Nigdy nie odwiedziłam jej w Polsce, nie było mnie na to stać.

MARIAN KWAŚNY

HISTORYK LITERATURY, FILOLOG POLSKI

Florencja, jesień 1959 roku. Carlo Verdiani, filolog, slawista i polonista, profesor Universita degli Studi di Firenze, trudzi się od pewnego czasu przekładaniem współczesnych poetów polskich na język włoski do przygotowywanej przez siebie antologii. Podczas wizyty złożonej mu 25 października prosi o pomoc w rozjaśnieniu trudniejszych miejsc w tłumaczonych utworach; uczestniczyli w tym również i inni przybysze z Polski. „Dwa pierwsze egzemplarze antologii pojadą do Krakowa”, zapewnia Verdiani (pierwszy – do mego poprzednika i przyjaciela, który bawił we Florencji w marcu i kwietniu).

Pracowaliśmy przeważnie wieczorami i przeciągało się to nierzadko do późnej nocy. Spotkań takich między 26 października 1959 a 15 stycznia 1960 było dwadzieścia jeden. Pewnego razu, jeszcze w październiku, Verdiani nagle zapytał: „Kogo by pan jeszcze zaproponował do tłumaczenia?”.

Będąc pod silnym wrażeniem *Hymnu bałwochwalczego*, odpowiedziałem: „Poświatowską”. „To proszę do niej napisać”, usłyszałem w odpowiedzi.

List mój nie zastał Haliny Poświatowskiej w Polsce. Dotarł na razie do mieszkającej w Częstochowie matki poetki, pani Stanisławy Mygowej, która w dniu 8 listopada wysłała na mój adres florencki wspomniany tomik oraz kilka utworów „nowych, z ostatnich miesięcy” wraz z dwiema fotografiami (wszystko to doszło do moich rąk 13 listopada), powiadamiając mnie równocześnie o przesłaniu mego listu córce do Stanów.

W dniu 18 listopada nadszedł z Northampton do Florencji pierwszy list od Haliny Poświatowskiej.

Verdianiemu podobały się nadesłane wiersze, bez chwili wahania zdecydował się na ich tłumaczenie. W dzienniku podróży zanotowałem: „21 listopada, sobota... Po południu u prof. Verdianiego: kilka utworów Haliny Poświatowskiej”. Tłumacz przesłał niebawem przełożone utwory autorce.

Dziewiętnastego grudnia nadszedł do Florencji drugi list poetki. Już w Rzymie otrzymałem jeszcze jeden list od pani Stanisławy Mygowej, z datą 15 stycznia 1960, mówiący o tym, jak sprawa twórczości poetyckiej Haliny Poświatowskiej przedstawia się z perspektywy rodzinnego domu.

„...muszę koniecznie – pisała – serdecznie Panu podziękować za te wiersze. Właśnie Haśka przysłała mi je w języku włoskim, specjalnie dla mnie przebiła na maszynie.

Co najważniejsze, po raz pierwszy chyba w życiu nie kpi sobie z nich i ze mnie. Owszem, podobają jej się bardzo i cieszy się z tego. Pan wie, ona zawsze złośliwie twierdziła, że mnie się podoba wszystko, co moje dziecko napisze, w ogóle ma jakiś potworny kompleks i stosunek do tego, co pisze, a pisze, bo pisać musi, inaczej nie potrafi. Gdyby nie ja i grono jej przyjaciół, biedne wiersze nie oglądałyby światła dziennego.

Przygotowuję właśnie, przy jej pomocy oczywiście, tomik, nowy tomik. Są to wiersze przeważnie pisane w Stanach, na okręcie i w szpitalu oraz w Nowym Jorku, już po wyzdrowieniu. [...] Tylko brak mi przedmowy czy słowa wstępnego, które uważam za nieodzowne w tym wypadku. [...] A Haśka nie chce mi w tym pomagać, uważa to jak zwykle za stratę czasu, woli się uczyć i pisać rzeczy nowe, którymi się po napisaniu nie przejmuje, ot, przysyła mi całe stosy rękopisów i na tym koniec.

W obiektywie Jerzego Kosińskiego, Nowy Jork, Central Park, lato 1959

Piszę to wszystko, by Pan mógł się zorientować, jak bardzo ważną rzeczą jest dla niej ten przekład i jak

bardzo jestem zadowolona, że to właśnie teraz, dzięki Panu może uwierzy w sens tego, co pisze, i może to zmieni jej sceptyczną naturę”.

Trzeci list Haliny Poświatowskiej zastał mnie już w Rzymie. Opuszczając Włochy, 20 czerwca 1960 złożyłem we Florencji Verdianiemu wizytę pożegnalną. Kiedy rozmowa zeszła na temat antologii współczesnych poetów polskich, Carlo Verdiani z niejakim zakłopotaniem zakomunikował mi: „Profesor Wyka powiedział, że Poświatowskiej nie warto tłumaczyć na język włoski”.

Nie miałem odwagi zapytać, czy ten złowieszczy wyrok zostanie wykonany...

W którymś z jesiennych dni roku 1961 minąłem Halinę Poświatowską w Krakowie na ulicy Siennej: ja szedłem w kierunku poczty, ona – po przeciwnej stronie ulicy szła chyba na rynek.

Do Krakowa nie przyjechał ani jeden z dwóch zapowiedzianych przez Verdianiego egzemplarzy wydanej w roku 1961 antologii *Poeti polacchi contemporanei*.

Pośród 55 przetłumaczonych autorów – z których kilku znalazło się tam najniepotrzebniej – nie ma Poświatowskiej!

LISTY HALINY POŚWIATOWSKIEJ DO MARIANA KWAŚNEGO

[Northampton] 13. 11. [1959]

Drogi Panie Marianie!

List musiał mnie znaleźć aż w Smith College, które jest po drugiej stronie oceanu, dlatego się spóźniam z odpowiedzią. Matka, która mi Pana list przesłała, pisze, że zaopatrzyła Pana w żądaną książeczkę; przepraszam, że to ona pierwsza przeczytała Pana list, lecz odkąd wyjechałam, to jest taka między nią i mną umowa. Następne listy będą należeć już tylko do mnie, jeśli oczywiście zechce Pan napisać.

Dziękuję ślicznie za polecenie, ucieszyłam się tak bardzo, a przede wszystkim, że mała książeczka Panu się podoba. Moja własna opinia o niej jest raczej smutna, chociaż także nie mogę się zgodzić z ostatnią krytyką Sterna, który mnie potępił za erotyki, a pochwalił za całkiem marginesowe wiersze...

Jeśli chodzi o wybór wierszy do tłumaczenia, to myślę, że należy się liczyć z charakterem obcego języka. Nie znam włoskiego i nie wiem, co powinno brzmieć dobrze – czy wiersze, czy raczej te krótkie prozy, które osobiście wolę; gdyby Pan był tak dobry i pomógł mi, byłabym bardzo wdzięczna. I czy naprawdę Pan myśli, że to ja jestem warta tłumaczenia, a nie Bursa, Grochowiak czy Sito? Jeśli profesor Verdiani chce zamieścić tylko 3 utwory młodych poetów, może powinniśmy zostawić miejsce dla najlepszych? I zawsze, nawet Pan nie wie, jak bardzo jestem Panu wdzięczna i jak bardzo Pana list zachęcił mnie do pracy.

Odkąd przyjechałam do College, nie miałam czasu napisać dwóch linijek po polsku, moja znajomość języków obcych zawsze była raczej uboga, a oni mają wykłady tylko po angielsku i po francusku. Nikt zupełnie nie chce mówić po polsku i pewnie zresztą nie umie. Szkoła śliczna i hojna, a miasteczko nieduże i pół-zdechłe. Od czasu do czasu, w przerwach między szaloną pracą, tęsknię za Krakowem

i New Yorkiem. To dwa miasta, które bardzo kocham, i proszę pomyśleć, jak daleko jedno od drugiego.

Przesyłam najserdeczniejsze pozdrowienia

i jeszcze raz bardzo dziękuję

Halina

[Northampton] Grudzień 12 [1959]

Drogi Panie Marianie,

Proszę wybaczyć, że list stukam na maszynie, ale w ten sposób można napisać więcej i prędzej. Właśnie dostałam przekłady prof. Verdianiego; są śliczne, przetłumaczyłam je pracowicie sobie sama i po raz chyba pierwszy podobają mi się moje własne wiersze.

E il ciliegio guardava [I czeremcha patrzyła] – no prawda, że to ładne; no prawda, że trzeba znowu pisać, chociaż niełatwo i chociaż tak nieczęsto uda się coś ładnego. Nawet Pan nie wie, jak bardzo jestem Panu wdzięczna, i jeśli pośród tej gorączki egzaminów znajduję czas na czytanie Kochanowskiego i pisanie wierszy, to dzięki Panu. Wiele można zrobić, jeśli się wie, że to komukolwiek i na cokolwiek potrzebne. Po wakacjach poślę Panu kilka nowych wierszy, nie, nie do tłumaczenia, po prostu, żeby Pan przeczytał.

Zdaje się, że jestem zmęczona, bo w nocy pisałam jakąś niezmierną krytykę krytyki Eisenhowera; rozbestwieni Amerykanie taki śliczny kraj mają i taki bogaty i wcale sobie tego nie cenią, przynajmniej na piśmie. Albo niewdzięczność, albo hipokryzja – napisałam to właśnie bardzo dokładnie i po angielsku, i właśnie się zastanawiam, jak mi profesor zareaguje. Bardzo się boję, że przekorą nie zdobywa się dobrych stopni, a mnie właśnie potrzebne, żebym dostała przedłużenie stypendium.

Za kilka dni wakacje i znowu pojadę do New Yorku, zginę w dużym mieście. Obce i zimne, a przecież gościnne, weźmie mnie na kilka dni czy kilkanaście, potem można będzie wrócić. Do książek, do pisania. Nie powinno być świąt, bo wtedy bardziej tęsknię i chciałabym być w domu. To przecież nieprawda, że kiedykolwiek jesteśmy dorośli i że nas stać na samotność.

Niech mi Pan napisze o Florencji, o swojej pracy, o profesorze Verdianim, który tak ślicznie odmienił moje wiersze; niech święta

będą Panu wesołe i Nowy Rok tak miły, jak tylko Pan zechce. Życzenia mają w sobie coś z wróżby, więc powinny się sprawdzić.

Pozdrowienia bardzo serdeczne

Halina

[Northampton] 25 I [1960]

Drogi Panie Marianie!

Piszę dopiero teraz, bo właśnie były egzaminy i takie mnóstwo pracy. Pewnie ma Pan rację utrzymując, że jestem dużo młodsza, bo się ładnie umiem podniecać takimi rzeczami, jak historia filozofii czy sztuki. Dziś mi się pisało o amerykańskim rządzie, a że po angielsku, więc w pocie czoła. Ciągle trudno – grzęznę na co dziesiątym słowie, bo nagle mam ortograficzne wątpliwości, więc już skończyłam i miejmy nadzieję, że mi te stopnie wystarczą na następne stypendium, bo właśnie chcę dostać.

Moje wiersze po włosku ciągle lubię, a nie mogę powiedzieć o tych po polsku; te mi brzydną. Matka mi przysłała stos przepisanych, odgrzebanych i podobno mam robić korektę. Ułożyłam to na podłodze – i patrzę sobie. Wolałabym jeszcze jeden egzamin – choćby po chińsku, ale ta praca podobno do mnie należy i się nie można wywinąć. Więc bardzo pracowicie przez następne noce będzie mi się stukało w maszynę. Potem pojadę się zgubić do New Yorku. Mam 24 i pół roku, rok temu ocalono mi cudownie życie, dostałam to stypendium i ludzie są dla mnie dobrzy. Czemu więc in the face of these facts [w obliczu tych faktów] (jestem zmęczona i tak mi się różnojęzycznie myśli), czemu cytuję Schopenhauera nie znając go nawet – nie wiem. Zimno jest i biało w Northampton i nieważnie.

Dziękuję za Florencję i za list i pozdrawiam

Halina

LEOPOLD ZGODA

PRZYJACIEL HALINY POŚWIATOWSKIEJ, FILOZOF

Poznałem ją, gdy wróciła ze Stanów. Pamiętam, jakby to było wczoraj – na którymś z wykładów profesora Ingardena siedziała za moimi plecami i śmiała się trochę histerycznie. Raziło mnie to. Jej sposób bycia też wydał mi się obcy. Cóż, byłem z prowincji, przyjechałem z Opolszczyzny, z Kędzierzyna. Wprawdzie ona też pochodziła z prowincji, ale z innego domu, o innych tradycjach. Wtedy nie wiedziałem o Halinie nic.

Zwróciła na mnie uwagę na zajęciach z ekonomii. Przygotowałem referat doceniający rolę wolnego rynku. Faktem jest, że staliśmy się sobie bliżsi – nie chcę powiedzieć, że w równym stopniu.

Przychodziłem do Haliny codziennie. Byłem w tle, na moich oczach działy się różne rzeczy, czasem zabawne. To, co dzisiaj najbardziej mnie zastanawia, to fakt, że naprawdę nie widziałem, aby ona pracowała. Zawsze była dla ludzi. Oczywiście byli również tacy, którzy nie mogli u niej bywać, bo po prostu ich nie znosiła. Jeśli nawet się ktoś wprosił, to potem już nie miał ochoty przyjść po raz drugi.

Na Krupniczej pojawiały się różne osoby. Poznałem tam pana Jana Adamskiego. Ciągle się o nim mówiło: „Ach, Jaś...”. Był tym, na którym można polegać. I taki pozostał.

Zrozumiałem, jak musiała intensywnie pracować, dopiero kilka lat temu, kiedy pożyczyłem od Czesława [Porębskiego – męża Małgosi, siostry Haliny Poświatowskiej] egzemplarz (chyba drugi tom) *Sporu o istnienie świata* Ingardena. To była książka Haliny. Zdziwiło mnie, ile zobaczyłem uwag i notatek na marginesach. Myślałem, że jest tylko zdolna; wiedziałem wprawdzie, iż musi być również pracowita, gdyż ma pewien dorobek, ale nie sądziłem, że aż do tego stopnia. Kiedy ona to robiła?

Halina była pierwszą osobą (jeśli nie liczyć mojej matki), która nauczyła mnie, że można być poważnie chorym, na granicy życia i śmierci, a jednocześnie radosnym.

W 1963 roku skończyliśmy studia. Obronę pracy magisterskiej mieliśmy tego samego dnia [28 czerwca 1963 r.] – Halina u profesora Ingardena, ja u profesor Dąmbskiej. Komisja była jedna. Pierwsza zdawała Halina. Czekała na mnie. Wyszliśmy razem – tacy lekko nieprzytomni.

To był jeden z najpiękniejszych dni w moim życiu.

Przy kościele Mariackim kwiaciarka sprzedawała czerwone maki. Halina chwyciła je: „Jakie śliczne te maki!”. Chciałem je kupić, ale nie pamiętam, czy nie miałem pieniędzy, czy też nie mogłem ich znaleźć. Kwiaty jednak dostała. Do dzisiaj ilekroć widzę maki, kojarzę je z Haliną.

Wieczorem odbyło się u niej bardzo radosne spotkanie. Halina siedziała na parapecie, a my modliliśmy się do niej, by nie spadła na Krupniczą, tylko – jeżeli już – to na podłogę.

Okazało się, że jest wniosek, byśmy (Halina i ja) zostali na uczelni jako stażyści. Wystąpił z tą propozycją profesor Ingarden, ale etaty załatwił dla siebie, tzn. dla filozofii przyrody, docent Augustynek. Stanęło na tym, iż skłonny jest wziąć jedną osobę. Halina w Stanach miała fizykę, więc był pewien sens, aby się tym dokładniej zajęła.

Latem 1967 roku spotkaliśmy się przed uniwersytetem. Powiedziała mi, że idzie do szpitala. Cóż w tym dziwnego – pomyślałem – skoro częściej była w szpitalu niż w domu. To był ten pobyt, który zakończył się śmiercią...

Oczywiście nie powiedziała mi, że jest z nią źle. Była bardzo delikatna, chciała mi nawet pomóc, bo miałem kłopoty. Nie skorzystałem z oferowanej pomocy, ale zachowałem tę propozycję w pamięci.

Przyjaźniliśmy się, lecz przebywając z tak szczególną dziewczyną, czasem odczuwałem zazdrość. Bezinteresownie zazdrosny byłem np. o Lesliego Collinsa, Anglika, który przebywał w Krakowie na rocznym stypendium, pisząc pracę doktorską o Tatarach krymskich.

Niezwykła to postać, niezwykle zdolny chłopak. Mieszkaliśmy razem w Żaczku. Leslie był bardzo zaprzyjaźniony z Haliną, z całym jej domem. Przyjaźniłem się z nim także, a mimo wszystko czasami myślałem sobie, ile bym dał, żeby mieć jego naturalny wdzięk...

UNIWERSYTET JAGIELLOŃSKI W KRAKOWIE

DYPLOM

UKOŃCZENIA STUDIÓW WYŻSZYCH

Halina Poświatowska

urodzon**a** dnia 9 lipca 1935 r.

w Częstochowie

odbył**a** studia na Wydziale Fil.-Historycznym

w latach 1961/2-1962/3

przedstawił**a** pracę magisterską na temat: "Przyczynowość w systemie logiki J. St. Milla"

oceniona jako bardzo dobrą

i po złożeniu egzaminu magisterskiego

z wynikiem bardzo dobrym

uzyskała w dniu 28 czerwca 1963 niniejszy dyplom

i stopień magistra filozofii

Rektor Kazimierz Wyka

Pieczęć urzędowa

Dziekan Mikulski

Nr 1178 Kraków, dnia 12 listopada 1963 r.

Symbol SW-175 CWD 3506 Bx SZPT Swiecie 849 6 59 7300 karton

Dostałem kiedyś od Haliny bardzo osobisty list. Wyjeżdżałem pod Skarżysko, gdzie miałem prowadzić kolonię letnią. Chciałem ją o tym zawiadomić. Pociąg odjeżdżał rano. Nie pamiętam, która to była godzina, w każdym razie wczesna. Z Żaczka na Krupniczą było

bliziutko. Zawołałem ją, wyjrzała przez okno, taka rozczochrana, bezradna. Powiedziałem, że wyjeżdżam i napiszę. Skinęła głową. Napisałem i otrzymałem list, w którym tłumaczyła mi, że nie należy budzić ludzi o tak wczesnej porze, a w ogóle to mężczyzna nie powinien pisać listów, a jeśli już to „do pani Z. i za ciężkie pieniądze”. Bardzo mi się to spodobało, chociaż byłem wściekły.

Potem spotkaliśmy się po wakacjach. Halina właśnie skończyła *Opowieść dla przyjaciela*. Powiedziała mi, że gdyby nie praca magisterska, toby tego nigdy nie napisała, nie zmusiłaby się do tak dużego wysiłku.

Opowieść dla przyjaciela to szczególna książka. Od czasu do czasu wspominała tego przyjaciela [Ireneusza Morawskiego]. Nikomu o nim nie mówiła, ale nie ukrywam, że ze mną rozmawiała o sprawach osobistych i trudnych. Właściwie nie mówiła jedynie o swoim małżeństwie. Odniosłem wrażenie, jakby go w ogóle nie było. Postanowiła żyć w szczególny sposób. Niewątpliwie uzyskała piękną rzecz, nie umniejszając innych. Piękniejszego nazwiska nie mogłaby sobie wymarzyć...

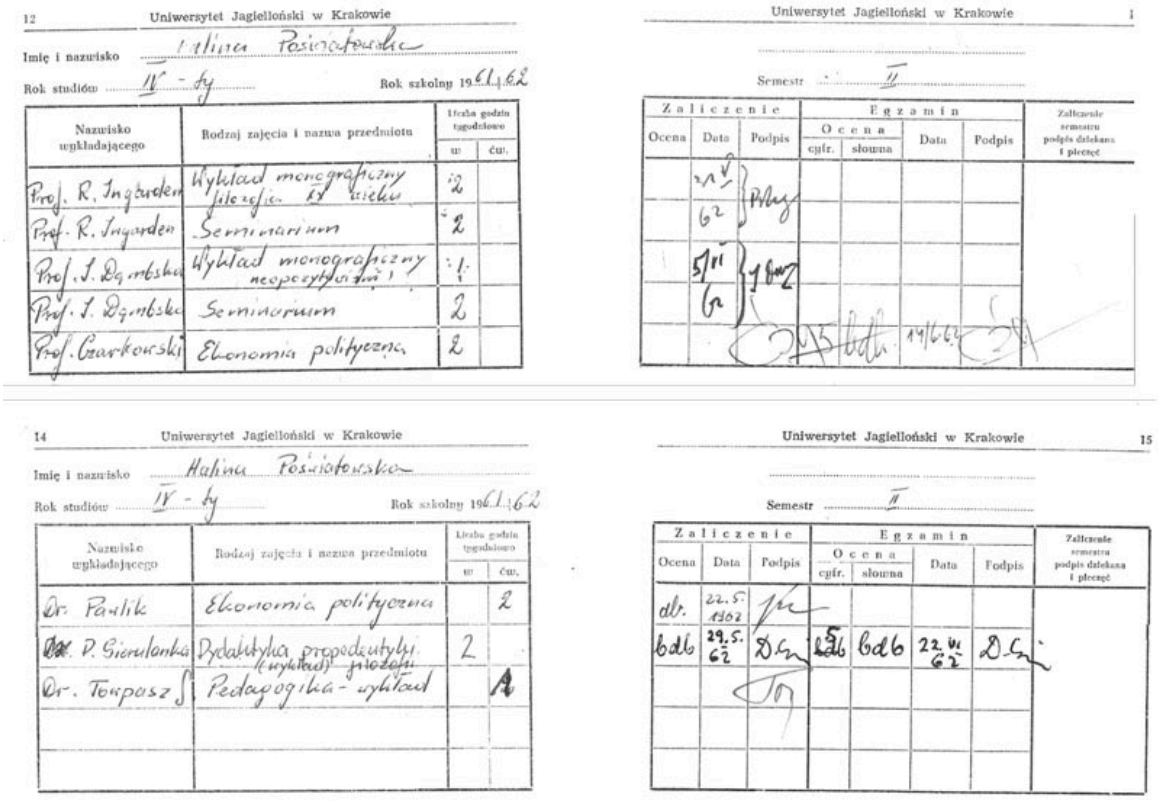

12 Uniwersytet Jagielloński w Krakowie

Imię i nazwisko Halina Pośniakowska

Rok studiów IV - ty Rok szkolny 1961/62

Nazwisko wykładającego	Rodzaj zajęcia i nazwa przedmiotu	Liczba godzin tygodniowo w	ćw.
Prof. R. Ingarden	Wykład monograficzny fenomenologia Husserla	2	
Prof. R. Ingarden	Seminarium	2	
Prof. J. Dąmbska	Wykład monograficzny neopozytywizm	1	
Prof. J. Dąmbska	Seminarium	2	
Prof. Gaerkowski	Ekonomia polityczna	2	

Uniwersytet Jagielloński w Krakowie 1

Semestr II

Zaliczenie Ocena	Data	Podpis	Egzamin Ocena cyfr.	Ocena słowna	Data	Podpis	Zaliczenie semestru podpis dziekana i pieczęć
	21/V						
	6/2						
	5/VI						
	6/2						

14 Uniwersytet Jagielloński w Krakowie

Imię i nazwisko Halina Pośniakowska

Rok studiów IV - ty Rok szkolny 1961/62

Nazwisko wykładającego	Rodzaj zajęcia i nazwa przedmiotu	Liczba godzin tygodniowo w	ćw.
Dr. Pavlik	Ekonomia polityczna		2
~~Dr.~~ P. Sienkiewicz	Dydaktyka propedeutyki (wykład)	2	
Dr. Tempisz	Pedagogika - wykład		A

Uniwersytet Jagielloński w Krakowie 15

Semestr II

Zaliczenie Ocena	Data	Podpis	Egzamin Ocena cyfr.	Ocena słowna	Data	Podpis	Zaliczenie semestru podpis dziekana i pieczęć
dst.	22.5.1962						
bdb	29.5.62		5	bdb	22.VI.62		

Specjalnie naszej przyjaźni nie manifestowałem – kto chciał wiedzieć, to wiedział. Na Krupniczej bywał Tadeusz Nowak, Jerzy Harasymowicz, bywała Anna Orłowska – bardzo sympatyczna, dodawała Halinie wiele odwagi samym swoim istnieniem.

Czerpałem z naszej przyjaźni ogromnie dużo. Budowałem minimum pewności siebie. Ale mam do siebie żal, że Halina zbyt wiele musiała mi wybaczać, musiała się wczuwać w mój sposób reagowania, aby mnie zrozumieć. Musiała być wyrozumiała. I była.

Myślę, że mnie potrzebowała, dlatego to było takie piękne, bo nikt nie czuł się rozczarowany. Wprowadzała

mnie w świat poezji. Przy niej uczyłem się czytać i słuchać.

Nie dziwię się, że Halina budzi duże zainteresowanie. Jej pisanie było autentyczne. Pisała sobą. W jej wierszach nie ma udawania, wymyślania.

Pamiętam, jak przyjeżdżała do niej Margosia [Poświatowska tak nazywała swoją siostrę Teresę Małgorzatę]. Była zachwycona swą siostrzyczką, zresztą o braciszku też ładnie mówiła, że taki zdolny, zwłaszcza do języków. Żyła rodziną. Bardzo ją kochała.

Czasem wydawało mi się, że jest rozrzutna. Mogła np. kupić lampę za to niewielkie stypendium, które otrzymywała...

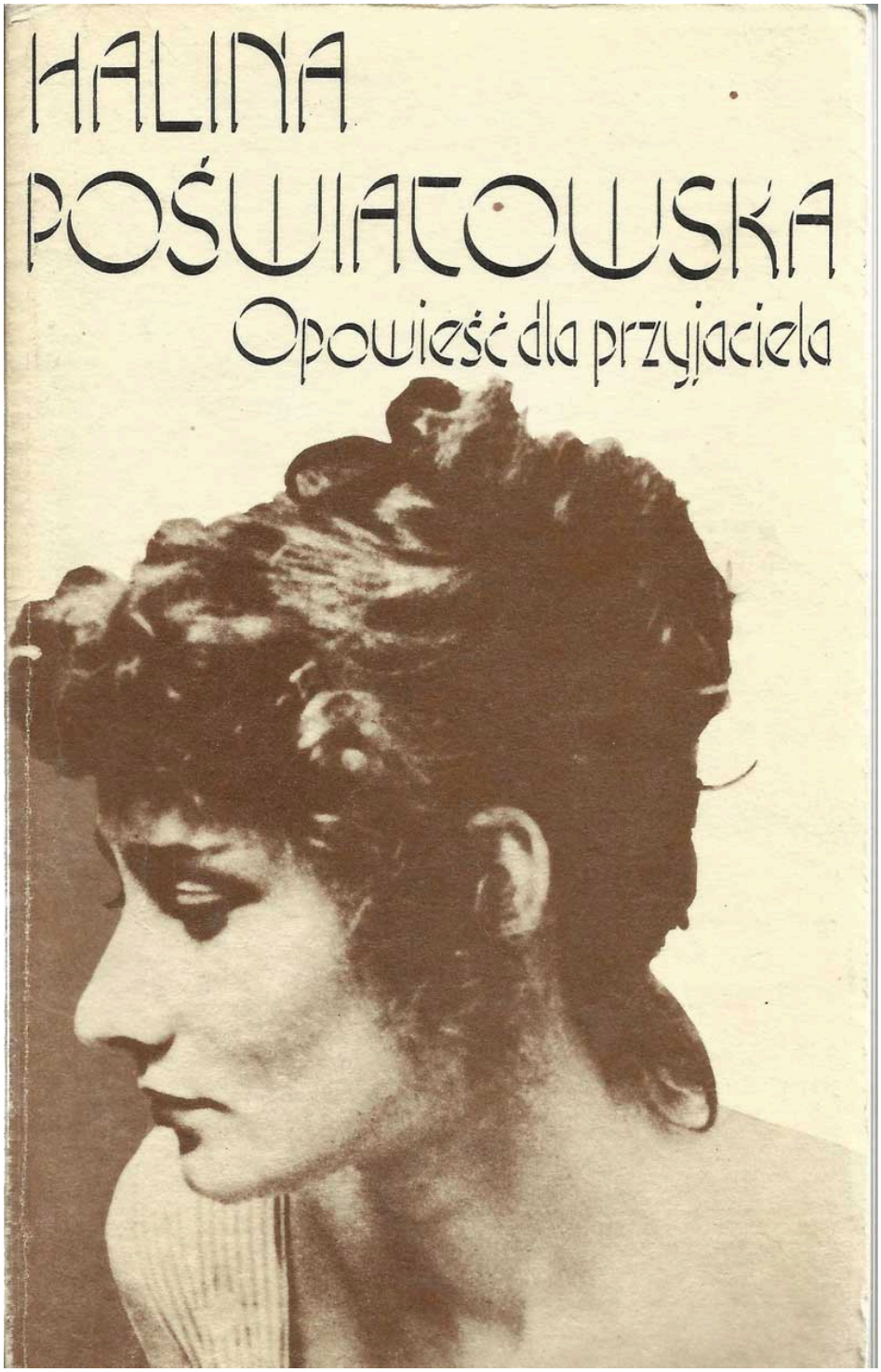

Ludzie nie potrafili znieść tego, że Halina była uczciwa w swoich odczuciach i reakcjach. Początkowo też mnie to drażniło, zawsze wychodził ze mnie

człowiek wychowany w tym systemie. Pamiętam, byliśmy na filmie *Grek Zorba*. Jakże spontanicznie Halina się cieszyła! Taka reakcja była wtedy u nas nie do pomyślenia.

Nie wiem, na ile jest to niedyskrecja, ale przypominam sobie pewne spotkanie. Przychodzę do Haliny, a tu pan profesor Ingarden. „A ten pan co tu robi?”, pyta. Wiedział, kim jestem, ale co ja robię u Haliny?...

Później razem pomagamy się ubrać panu profesorowi, odprowadzamy. Wychodzi. Po chwili dzwonek czy pukanie. Halina biegnie otworzyć – a tu pan profesor. Okazuje się, że nie ma szalika, więc wszyscy szukamy.

– Panie profesorze, na pewno jest w rękawie.

– Nie ma mowy.

– Na pewno jest w rękawie.

Rozbieramy pana profesora; szalik jest w rękawie; ubieramy pana profesora. Halina mówi:

– A gdyby się okazało, że pan profesor zostawił jeszcze coś, to sama przyniosę.

Niejeden by się obraził, a pan profesor uśmiechnął się tak jakoś ciepło. Halina umiała zjednywać sobie ludzi. Trzeba było być dla niej wyrozumiałym, a wówczas okazywało się, że jest absolutnie wyjątkowa. To było śliczne – nieważne, że profesor był postacią o światowej

sławie, musiał być poza tym Kimś dla niej. Podobnie było z profesorem Aleksandrowiczem. Opowiadała o Aleksandrowiczu ciągle – bez niego już dawno by nie istniała.

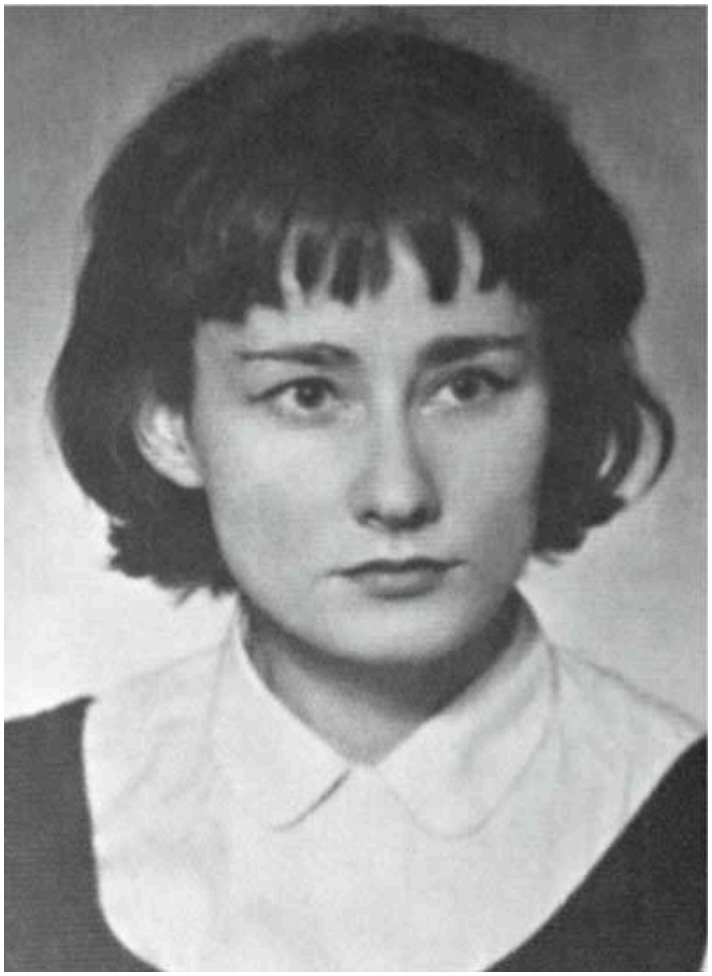

Powiedziała mi, że na ogół ludzie nie rozumieją, co ich ze sobą łączy, a łączy ich przyjaźń. Bardziej ceniła sobie przyjaźń niż miłość, choć bez tej ostatniej nie umiała żyć.

Przestaliśmy się widywać. Nadal byliśmy sobie bliscy i życzliwi, lecz jeżeli się spotykaliśmy, to przypadkowo.

I tak było do końca. Już jej nigdy nie odwiedziłem, przy czym wcale nie jestem z tego dumny, ale cóż, tak się ułożyło po prostu. Są w życiu momenty, w których, aby ludzie siebie nawzajem nie niszczyli i zachowali to, co najcenniejsze, powinni się rozstać. Tak się stało z nami, tak się stawało z wieloma osobami.

Wróciłem kiedyś z Paryża – pamiętam to doskonale – a Halina leżała w szpitalu. To była taka szczególna historia [próba samobójcza]...

Poszedłem do niej. Powitała mnie słowami: „Zobacz, jakie piękne mam ciało”, bo akurat się wykąpała. Rzeczywiście, wyjątkowe. Pytam, jak to się stało, że... a ona: „No tak, ludziom się wydaje, że nie chciało mi się żyć, a mnie się chciało i chce. Bardzo. Tylko powiedz jak?”.

Zapamiętałem to „jak?”. W pewnej chwili mówi: „Wiesz co, Poldku, wykradnij mnie z tego szpitala”. „Daj spokój, co powiedzą?”. „Potem, to już nieważne, ale teraz zróbmy tak, żebyś mnie wykradł”.

Rzeczywiście „wykradłem” ją. Poszliśmy na Rynek Główny. Halina usiadła na łańcuchach przy kościele Mariackim. Macha nogami, patrzy wokół i pyta: „Poldku, czy może być piękniejsze miasto niż Kraków?”. „Nie”, odpowiadam.

Ona tak radośnie, a ja tak poważnie. Wciąż pamiętam ten zachwyt.

Do dziś patrzę jej oczyma na Kraków.

połóż mi rękę na policzku
niech będzie chłodna i słona
jak ocean

nie przychodź do mnie pogodą
moje gałęzie nie przechwycą
zielonego płomienia liści
jestem sucha jak maszt

osaczony złą wodą
statek mojego serca
skręca na morze północne

Poldkowi bardzo dobremu, który zawsze ze słuchaniem przegania melancholię z mojego zielonego pokoju i z wiersza przyjaźnię się Halina Poświatowska

66

Kraków, dn. 21. X. 1963.

JANINA SZAREK

BIBLIOTEKARKA

Halinę Poświatowską zobaczyłam pierwszy raz po jej powrocie z Ameryki, kiedy podjęła studia filozoficzne na Uniwersytecie Jagiellońskim. Któregoś dnia wśród studentów oczekujących na wykład zauważyłam nieznaną mi do tej pory dziewczynę. Była ładna i roześmiana. To była właśnie ona. Nie od razu poznałam ją osobiście. Do biblioteki, w której pracowałam, początkowo nie zachodziła, zapewne pochłonięta wchodzeniem w nowe środowisko. Jak się później dowiedziałam, posiadała sporo własnych książek przywiezionych z Ameryki. Była więc pod tym względem przez jakiś czas niezależna.

Później stała się częstym gościem biblioteki; wypożyczała i czytała dużo. Ale i wtedy nasze kontakty były raczej oficjalne. Zaprzyjaźniłyśmy się dopiero wówczas, kiedy po ukończeniu studiów i po obronie pracy magisterskiej u profesora Ingardena otrzymała etat najpierw stażystki, a potem asystentki w Zakładzie Filozofii Przyrody kierowanym przez docenta Augustynka. Odtąd miała stałe dyżury, oprócz tego do katedry zachodziła często po drodze na zajęcia, które

prowadziła na innych kierunkach [geografii, socjologii, filologii polskiej]. Katedra Filozofii mieściła się wówczas przy ulicy Manifestu Lipcowego 13 (obecnie Piłsudskiego), warunki lokalowe były raczej skromne. Ten sam duży pokój służył za wypożyczalnię biblioteczną, był czymś w rodzaju sekretariatu, tutaj też odbywali swoje dyżury asystenci.

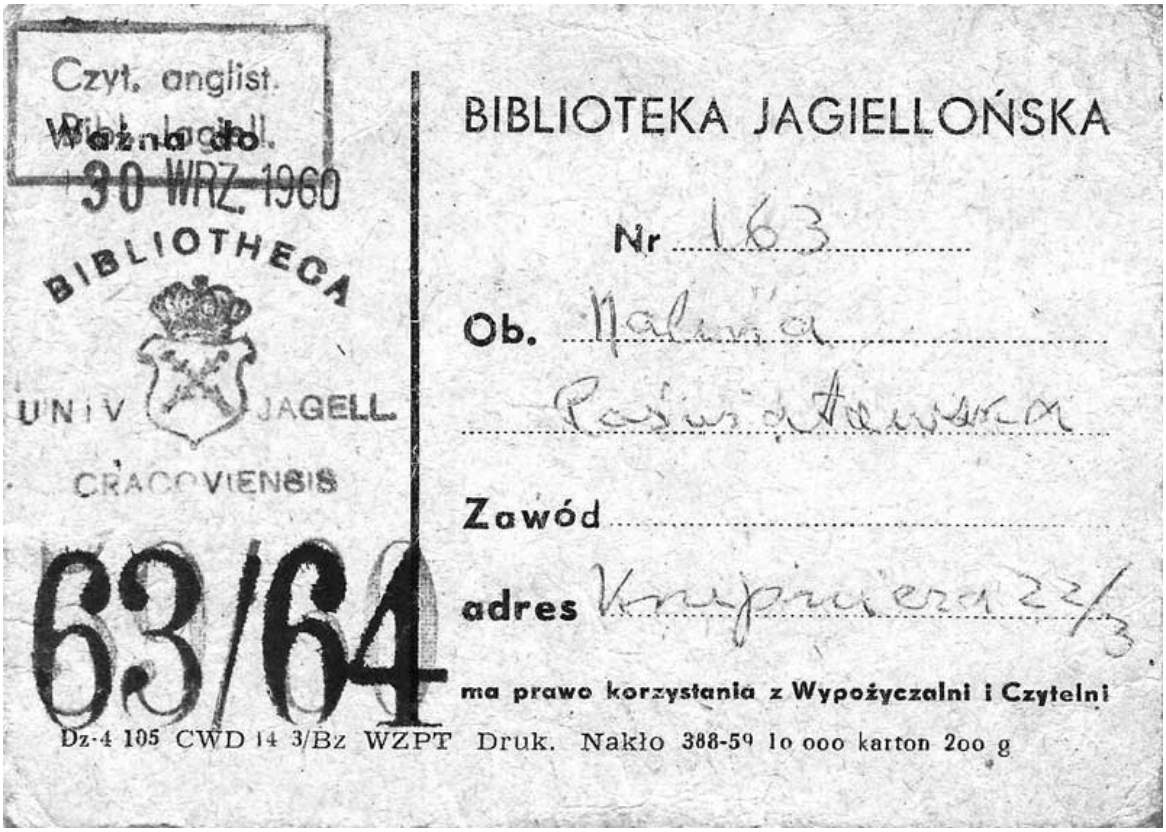

Tym skromnym warunkom zawdzięczam, że mogłam często rozmawiać z Haliną. Opowiadała ciekawie, nieraz z odrobiną ironii. Dużo o Ameryce, o swoich tam studiach, także o planach naukowych. Zrozumiałe, że mówiła również o swojej chorobie, nigdy jednak ten temat nie dominował w naszych rozmowach. Może

dopiero pod koniec, kiedy wyraźnie czuła się źle. Zapamiętałam ją z tego okresu jako pełną życia dziewczynę. Tak, taką ją pamiętam.

Z dużą czułością mówiła o swojej rodzinie w Częstochowie i o domu z małym ogródkiem. Cieszyła się, kiedy jej siostra Małgosia wybierała się na studia do Krakowa. Próbowała przynajmniej na jakiś czas wygospodarować dla niej kącik w swoim małym pokoju przy ulicy Krupniczej.

Jak już wspomniałam, Halina dużo opowiadała o Ameryce, która ją ciekawiła, ale nie wszystko jej się tam podobało. Fascynowała ją osoba Martina Luthera Kinga, jego walka z niesprawiedliwością rasową i ekonomiczną, jego filozofia walki. Znając dobrze

ówczesne bardzo skomplikowane warunki, w jakich działał, przeczuwała, że może się to dla niego skończyć źle. Powiedziała coś takiego: „Jeśli się nie uspokoi, to go wykończą”. I stało się to, co przepowiedziała. Później dowiedziałam się od jej siostry, że pracę doktorską zamierzała napisać właśnie o Martinie Lutherze Kingu, o jego filozofii stosowania oporu bez gwałtu i nienawiści [temat pracy doktorskiej: *Etyczne zasady Martina Luthera Kinga w jego pismach i działalności antyrasistowskiej*]. Interesowała się również filozofią hinduską, a zwłaszcza Gandhim. Jeździła w związku z tym na konsultacje do profesor Ossowskiej do Warszawy. Teraz wiem, że zainteresowania te miały związek z jej pracą doktorską o Kingu.

Dwukrotnie odwiedziłam Halinę w szpitalu przy ulicy Kopernika w Krakowie, w którym ostatecznie musiała się znaleźć. Mimo widocznego zdenerwowania (być może było to przeczucie), trzymała nadal fason i jak zwykle żartowała. Pamiętam, że ktoś przede mną przyniósł jej kwiaty, róże. Ona tym różom pourywała łebki i ułożyła na kocu mozaikę.

Gdy wychodziłam z kliniki, Halina odprowadziła mnie na werandę. Kiedy do niej podeszłam, by się pożegnać, zobaczyłam w jej oczach łzy. Pomachała mi jeszcze ręką. Wtedy widziałam ją ostatni raz.

Halina była bardzo ładna. Miała twarz o ciekawym profilu, czego była świadoma. Nigdy nie widziałam jej mocno umalowanej. Była też zgrabna. Poruszała się lekko, tak jakby jej nic nie dolegało. Nosiła ze sobą torebkę, często książkę, ale nigdy torby z zakupami.

Wiem, że miała duże grono znajomych i przyjaciół. Mnie z nią nie łączyła jakaś szczególna przyjaźń, nie bywałyśmy u siebie, nie było też wielkich zwierzeń, ale przecież w czasie tych „posiedzeń” w katedrze zadzierzgnęła się między nami pewna nić przyjaźni. Cieszę się z otrzymanych od niej książek z pięknymi dedykacjami. Dedykację z *Ody do rąk* pozwolę sobie zacytować: „Bardzo kochanej i jakże potrzebnej Jasi Szarek z przyjaźnią – Halina Poświatowska”.

I cieszę się, że mogłam ją znać – tę niezwykłą dziewczynę i poetkę.

HALINA POŚWIATOWSKA

ODA DO RĄK

Bardzo kochanej i jakże
potrzebnej Jasi Szarek
z przyjaźnią —
Halina Poświatowska

20. 1966 Katowice.

CZYTELNIK

BEATA SZYMAŃSKA-ALEKSANDROWICZ

FILOZOF, TŁUMACZKA, POETKA

Między nami nie było takiej ciepłej babskiej przyjaźni. Zbyt sobie wchodziłyśmy w drogę. Miałyśmy dużo wspólnego: poezja, filozofia, intensywne życie towarzyskie. Poza tym miałyśmy trudny układ, bo profesor Aleksandrowicz był moim teściem.

W jakimś liście Halina pisała, że przyjechała do Krakowa z uprzedzeniem do mnie jako ewentualnej duchowej rywalki – jako drugiej poetki.

Na pewno mnie frapowała – nie wiem, jak było w jej wypadku, ale od czasu do czasu spotykałyśmy się i wtedy rozmawiałyśmy na różne tematy. Miałyśmy ich dużo. To była taka przyjaźń „z obwąchiwaniem”, z wzajemnym zaciekawieniem – tylko czy to naprawdę przyjaźń? Nie, nie nazwałabym tego tak. Było w tym naszym układzie dużo emocji, dużo rywalizacji. Byłyśmy trochę podobne do siebie, dlatego też mój kontakt z Haliną zawsze był interesujący, ale trudny.

Czy rywalizowałyśmy? Trudno powiedzieć. Halina była poetką nastawioną wyłącznie na poezję i nawet nie stawałabym z nią w zawody. Praca na uczelni to był dodatek. Byłyśmy jednak na „tej samej łączce”.

W jakimś sensie uważano, że jest też pewne podobieństwo między nami – nawet fizyczne. Coś było w ogólnym wyrazie, jakaś zachłanność na życie, ciekawość. Za dużo rzeczy było podobnych, żebyśmy mogły pozostać w pełnym porozumieniu.

Halina od razu przyjęła propozycję pracy na uczelni. Jeśli dobrze pamiętam, miała zajęcia ze studentami albo pedagogiki, albo psychologii [geografii, socjologii i filologii polskiej]. Na pewno z tymi, którzy byli w tym samym budynku co my – przy Manifestu Lipcowego.

Na dziedzińcu Collegium Maius w Krakowie, październik 1962

Miała dobre kontakty ze studentami i pracownikami instytutu, ale chociaż była filozofem, przede wszystkim pozostała poetką. Profesor Ingarden powiedział kiedyś

do mnie: „Poezja to wielka pani, filozofia też. Nie można dobrze służyć i jednej, i drugiej”.

Halina wybrała jednak poezję.

Z Ameryki wróciła taka „zagraniczna”. Wtedy jeszcze wyjazd za granicę był rzadkością. Halina długi czas to przeżywała. Wyróżniały ją choćby takie drobiazgi jak ten, że była znakomicie ubrana, bo przywiozła sobie fajne ciuchy.

To była atrakcyjna dziewczyna. Inna niż pozostałe. Wyróżniała się. Poza tym zawsze była wytrącona z normalnej rzeczywistości przez chorobę, przez specyficzność kontaktów. A wyjazd jeszcze spotęgował tę inność czy też odrębność.

Fascynowała mnie. Nasze spotkania miały miejsce wtedy, gdy leżała w łóżku – wówczas ją odwiedzałam i rozmawiałyśmy długo o wszystkim.

Kiedy przebywała w klinice, przed wyjazdem na operację do Warszawy, odwiedzałam ją często.

Z Haliną to było tak: albo się jej nie znosiło, albo uwielbiało. Trudno było pozostać obojętnym. Miała wąskie grono przyjaciół i te kontakty, które łączyły ją z przyjaciółmi, były znakomite, ciepłe i głębokie. Halina nie miała chyba łatwości nawiązywania układów neutralnych, nie umiała utrzymywać znajomości na poziomie byle jakim. Fakt – była bardzo nastawiona na przyjaźnie z mężczyznami. Należała do tych kobiet,

które czują się lepiej w towarzystwie mężczyzny niż drugiej kobiety.

Jaka byłaby Halina, gdyby nie choroba? Trudno powiedzieć. Z pewnością choroba wyzwoliła w niej możliwość pisania i – co tu kryć – ułatwienia publikowania. Startowała z innego punktu niż my. Można by przyjąć, że gdyby nie zachorowała, siedziałaby w Częstochowie i nie weszła w to środowisko, w którym się znalazła. Owszem, pisałaby wiersze, ale były to lata, kiedy ogromnie trudno było wydać tomik, zadebiutować. W tym wypadku choroba jej pomogła.

Była trudna, czasem okrutna, często złośliwa. Błyszczała cały czas. Taki barwny ptak. Gdyby miała zszarzeć, nachylić się do normalnego życia, to byłoby po prostu bez sensu. Zresztą nie wyobrażam sobie takiej Haliny. Pozostała kolorowa.

STANISŁAW STANUCH

HISTORYK LITERATURY, KRYTYK LITERACKI

Z Haliną Poświatowską zetknąłem się po raz pierwszy – pośrednio – w 1954 i 1955 roku. Może raczej należałoby powiedzieć: „po raz pierwszy usłyszałem jej nazwisko”. Przyjaźniłem się wówczas z Adamem Włodkiem, poetą, wieloletnim opiekunem Koła Młodych (do którego należałem). To właśnie Adam wielokrotnie wspominał mi w rozmowach o młodej, bardzo zdolnej poetce Halinie Poświatowskiej. Dziwiłem się, dlaczego nie pojawia się ona na naszych zebraniach lub na cotygodniowych spotkaniach w mieszkaniu Adama, gdzie przychodził cały Kraków, to znaczy wszyscy młodzi próbujący pisać.

Mówiła mi o niej również Wisława Szymborska, z którą mieszkałem przez ścianę w oficynie Domu Literatów przy ulicy Krupniczej. Wisława, podobnie jak Adam Włodek, opiekowała się młodą poetką w sensie nie tylko literackim, ale i życiowym.

LEGITYMACJA CZŁONKOWSKA
CARTE D'ADHÉRENT
Nr 1004

Podpis
Signature Halina Poświatowska

ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH
UNION DES GENS DE LETTRES POLONAIS

Okaziciel niniejszego
Le porteur de la présente

Ob. M. Halina Poświatowska

ur. né 9 lipca 1935 r.

w à Częstochowie

jest członkiem Związku Literatów Polskich

est membre de l'Union des Gens de Lettres Polonais

Prezes
Le Président

Sekretarz
Le Secrétaire

Warszawa 25. VI. 62 r.
Varsovie

Pewnego dnia Adam pokazał mi z daleka ładną, wiotką dziewczynę siedzącą na ławce za ogrodzeniem szpitalnym. „To Poświatowska”, powiedział. Wyjaśniła się wówczas jej nieobecność na spotkaniach literackich.

Osobiście poznałem Halinę Poświatowską w 1956 lub 1957 roku podczas wieczoru poetyckiego grupy Muszyna w krakowskim klubie EMPiK. Ale też na wzajemnej prezentacji nasza znajomość się zatrzymała, bo – jak to bywa w młodości – nie było okazji. Było to – chyba – po publikacji debiutanckich wierszy Haliny w „Zebrze” oraz w prasie krakowskiej, a może nawet w „Życiu Literackim”, gdzie Wisława Szymborska przez wiele lat kierowała działem poetyckim.

W każdym razie wówczas miałem już podstawę do dobrego mniemania o autorce, bo znałem jej wiersze. Były one dobre, to znaczy zwracały na siebie uwagę na tle tego, co wówczas publikowano w prasie i w tomach poetyckich. A nie było to takie łatwe. Dzisiaj zgodnie z polską (a może słowiańską) skłonnością do przesady uważa się tamten okres za kompletną czarną dziurę, tymczasem publikowali wówczas w prasie i byli bardzo aktywni literacko – i to znacznie dobitniej i częściej niż dzisiaj – wybitni poeci zaliczani już do klasyków: Konstanty Ildefons Gałczyński, Julian Przyboś, Mieczysław Jastrun, Jarosław Iwaszkiewicz, Jerzy Zagórski, a i wśród młodych znane już były takie nazwiska, jak Wisława Szymborska, Tadeusz Nowak, Jerzy Harasymowicz, Stanisław Grochowiak, Miron Białoszewski, Zbigniew Herbert. A więc na afisze pchało się wówczas to, co najlepsze. Zwrócić na siebie uwagę w tym gronie to już był sukces.

Dla mnie wiersze Haliny Poświatowskiej były rewelacją, gdyż w ówczesnym okresie odkłamywania różnych dziedzin naszego życia zrywały z drażniącą, obłudną manierą pojękliwą, jaką dotąd często kultywowały poetki. Pod tym względem można by powiedzieć, że wiersze Haliny Poświatowskiej nie były „kobiece”, chociaż tak są nasycone namiętnościami i tym, co można nazwać pyłem miłosnym. Po prostu

wyzbyte były czułostkowości. Po Poświatowskiej nie wypadało już tak dalej pisać.

W pewnym okresie Halina Poświatowska zamieszkiwała w Domu Literatów przy ulicy Krupniczej 22, u pani Hanny Mortkowicz-Olczakowej. W tym obszernym i gościnnym mieszkaniu odrębne pokoje zajmowali jeszcze pani Anna Brzozowska i poeta Jerzy Hordyński. Wówczas widywałem ją prawie codziennie, co było naturalne, ponieważ mieszkaliśmy w tym samym domu. W Domu Literatów przy ulicy Krupniczej w sali na parterze organizowano imprezy literackie, a na co dzień działała stołówka.

Dom Literatów przy ulicy Krupniczej 22 w Krakowie

W porze obiadowej (między 12 a 16) spotkać można było prawie wszystkich ludzi piszących z Krakowa, przychodzili także aktorzy, plastycy, bibliotekarze, naukowcy. Przychodziła tam również Halina Poświatowska ze swoją siostrą Małgosią (chyba jeszcze gimnazjalistką). Często ktoś się do nich przysiadał, ale

stanowiły razem tak doskonały duet, pełen szeptów, chichotów i wybuchów śmiechu, że wszystko, co z zewnątrz, mogło wydawać się dysonansem. W każdym razie ilekroć myślę: „Halina Poświatowska” natychmiast dołącza się w pamięci jako dopełnienie: „Małgosia”. W tej ich przyjaźni i miłości nie było nic dwuznacznego, jak to się czasem zdarza – przeciwnie, było to tak naturalnie sympatyczne i samo przez się zrozumiałe, że nawet gdybym wówczas miał ochotę usiąść przy ich stoliku, nie uczyniłbym tego, aby nie burzyć tej harmonii.

W miarę jak coraz bardziej wciągały mnie sprawy rodzinne, a również usamodzielniałem się literacko, moje kontakty ze wspólnotą przy ulicy Krupniczej były coraz bardziej okazjonalne. Stało się to na początku lat sześćdziesiątych, a w 1965 roku zlikwidowałem ostatecznie mój pokój w oficynie Domu Literatów. Przestałem też tak często widywać Halinę Poświatowską i jej siostrę.

Wiadomość o jej śmierci jesienią 1967 roku zastała mnie już więc w roli jedynie czytelnika jej wierszy i wytrwałego poszukiwacza w księgarniach jej nowych tomów poetyckich.

JOANNA RAWIK

PIOSENKARKA, PUBLICYSTKA

Była uderzająco piękna, urodą kruchą i delikatną. To wrażenie pozostaje we mnie po latach niezmienne. Oglądam różne zdjęcia Haliny w rozmaitych publikacjach, ale żadna fotografia nie oddaje owej nierealnej piękności. Nie widać na nich jej duszy, wyobraźni i tego wszystkiego, co mają poeci – w odróżnieniu od zwyczajnych zjadaczy chleba.

Rok 1961. Poznałyśmy się na schodach Domu Literatów przy ulicy Krupniczej numer 22 w Krakowie. W legendarnej kamienicy mieszkały same sławy, nie pamiętam, kto nazwał tę rezydencję Domem 44 Wieszczów. Użyłam określenia „rezydencja” trochę żartem, ale nie tak całkiem, ponieważ ascetyczna skromność owej siedziby nie ujmowała jej w niczym dostojeństwa, jakie nadawali mieszkańcy. Atmosfera panowała tam niespotykana, bo – przy całym dostojeństwie – była niezwykle rodzinna i poufała. Próbuję w kilku słowach określić klimat Domu Literatów, ponieważ kilka lat temu dom ten przestał istnieć. Pozostaje już tylko pamięć o nim, póki jeszcze żyją świadkowie tamtych wspaniałych lat. Bywaliśmy

tam często z moim mężem, aktorem Teatru Starego Staszkiem Gronkowskim, który po studiach w Akademii Sztuk Pięknych (w owym czasie Szkoła Wyższa Sztuk Pięknych) i paru sezonach w Teatrze Rapsodycznym Mieczysława Kotlarczyka był silnie wrośnięty w świat krakowskiej bohemy. Na Krupniczej bywaliśmy na obiadach, balach oraz innych konwentyklach z udziałem wielkich sław, takich jak Tadeusz Kantor, Kazimierz Mikulski, Stefan Kisielewski, Andrzej Stopka z żoną Wiculą, Lidia i Jerzy Skarżyńscy...

Tamtego wieczoru odwiedziłam poetkę Annę Świrszczyńską, żonę aktora Jasia Adamskiego. Odprowadzał mnie, gdy piętro niżej otworzyły się drzwi i wyjrzała Halina. Zaprosiła nas do siebie. Wizyta nie była długa, dowiedziałam się, że niedawno wróciła ze Stanów, gdzie przebyła operację serca, którą załatwił jej profesor Julian Aleksandrowicz.

W tamtych czasach prawie wszyscy palili papierosy, Halina poczęstowała mnie i nalała trunek, nie pomnę jaki.

– Halinko, powinnaś na siebie uważać – delikatnie upomniał ją niepalący Jaś.

– Daj spokój, moja sytuacja jest taka, że podobne sprawy i tak nie mają znaczenia. Żyję na kredyt.

Halina wybierała się właśnie do rodziny w Częstochowie, koniecznie chciała utrzymać ze mną kontakt. Myślała o napisaniu tekstu, choć byłam na

razie sławą lokalną. Dopiero później dowiedziałam się o jej przyjaźni z poetą Tadziem Śliwiakiem, który był w tym czasie moim literackim opiekunem, a wkrótce autorem bardzo ważnych tekstów, z *Nie chodź tą ulicą* na czele.

Napisała obszerny list, który niestety zaginął w moich życiowych zawieruchach po wyjeździe z Krakowa. Nie wiem, czy jej odpisałam. Zajęta karierą, dużo podróżowałam w tym czasie i nie miałam już z Haliną kontaktu, choć mieszkałyśmy tak niedaleko siebie. Winię siebie za głupotę i bezmyślność, bo jakże inaczej wytłumaczyć moje zachowanie wobec dziewczyny tak wspaniałej i promiennej, która podała mi dłoń?

Halino, wybacz.

Halina w karykaturze Andrzeja Stopki

TADEUSZ NOWAK

POETA, PROZAIK

Halinę poznałem po jej powrocie z Ameryki. Była to wysoka, szczupła, bardzo piękna kobieta. Zjawisko na poły wiosenne, na poły jesienne. Chyba dlatego skojarzyło mi się to z tymi dwiema porami roku, że Halina, pamiętając o swoim chorym sercu, chodziła bardzo ostrożnie, jakby miała pod stopami cieniutki lód albo niesamowitą ilość liści tylko co spadłych z drzew, liści, które szeleszczą, które sprawiają, że zapomina się o swoim głosie, o swoim wnętrzu, o swojej duszy.

Miała wtedy już za sobą sporo wierszy, a wszystkie były w zasadzie bez tytułu. Zaczynały się te wiersze jak *Psalmy Dawida* albo jak napisane do kogoś miłosne listy. A przecież była to autentyczna, niezwykła i piękna poezja. Poezja bardzo kobieca, ale w inny sposób niż u Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, niż u Szymborskiej. Poezja Poświatowskiej była podminowana, podbita czymś bardzo erotycznym, cielesnym, a jednocześnie niesamowicie ulotnym. Była to poezja bardzo świetlista, jasna, która sama w sobie przeżywała ten najpiękniejszy akt, jaki się może zdarzyć dwojgu ludziom odmiennej płci. Wszyscy byliśmy zaszokowani tymi wierszami.

Nie mogliśmy zrozumieć, że jest ktoś, kto w ciągu paru miesięcy, może roku, spróbował przeżyć fizycznie – w słowie, w metaforze, w pięknym obrazie – całe swoje życie.

W Montrealu przed powrotem do Polski, 11 lipca 1961

Halinę widziałem dosłownie parę [kilkanaście] dni przed śmiercią. Poszliśmy z moim przyjacielem Gemerym [György Gömöri] – węgierskim poetą – odwiedzić ją w szpitalu w Krakowie. Była z siostrą w maleńkim pokoiku. Tlen był pod ręką. Pamiętam, że sekretarka profesora przyszła z radosną właściwie wiadomością, że operacja odbędzie się za kilka dni. I wtedy pierwszy raz zobaczyłem, że Halina się przeraziła. Przeraziła się tego bliskiego terminu

operacji. Zobaczyłem też na jej twarzy przelotny cień śmierci... To się widzi w oczach, w załamaniu światła, to się słyszy w załamaniu głosu. Ukłuło to nas obu – porównaliśmy swoje doznania po wyjściu ze szpitala. Obaj byliśmy przerażeni. Podejrzewam, że Halina też musiała być przerażona, bo wypadła jej książka z rąk... Była to Biblia. Halina akurat w tym dniu czytała *Pieśń nad pieśniami*. Tak więc jeszcze na parę dni przed operacją, a w konsekwencji także przed śmiercią, była związana z tym tak bardzo dziewczęcym obszarem, z tym, co rzeczywiście nazywa się wielką miłością, wielkim życiem.

I chyba aż do śmierci ta wspaniała myśl, której poświęciła właściwie wszystkie wiersze, nie opuściła jej.

JAN PIESZCZACHOWICZ

KRYTYK LITERACKI, HISTORYK LITERATURY

Z poezją Haliny Poświatowskiej zetknąłem się w czasie studiów polonistycznych na Uniwersytecie Jagiellońskim, które rozpocząłem w 1958 roku. Szukaliśmy wtedy nowych nazwisk i nowych inspiracji na fali literatury popaździernikowej. Pośród krakowskich poetów pociągali mnie przedwcześnie zmarły Andrzej Bursa ze swoimi buntowniczymi, bardzo gorzkimi wierszami – i właśnie Poświatowska, którą tu i ówdzie próbowano po jej śmierci przypisać do grona „poetów przeklętych”, takich jak Tadeusz Borowski czy właśnie autor poematu *Luiza* i utrzymanej w tonie czarnej makabreski powieści *Zabicie ciotki*. Już wówczas wydawało mi się to nieporozumieniem: poetka miała swój niepowtarzalny, niepozbawiony akcentów dramatycznych czy tragicznych ton, ale gdzież jej tam było do zajadłej kontestacji Bursy! Kochała przecież świat spontanicznie, choć los nie słał jej kwiatów pod nogi.

Chodziłem na różne spotkania i imprezy do klubu literatów w legendarnym domu przy Krupniczej 22, gdzie przemieszkiwało wielu znanych pisarzy. Ktoś

pokazał mi Poświatowską siedzącą przy stoliku z kilkoma kolegami po piórze, m.in. znanym mi Tadeuszem Nowakiem. Wydawała się wesołą, wręcz beztroską dziewczyną – taką, z którą można przysłowiowe konie kraść. Mówiła żywo, gestykulowała wyraziście, śmiała się beztrosko. Uderzyła mnie jej uroda – niebanalna, jakaś niespokojna, krucha.

HALINA POŚWIATOWSKA

NIEBIESKI PTAK

OPOWIADANIE

Miał przenikliwe ciemne oczy, gęste brwi, nos z lekka zgięty, usta — nie pamiętam — już raczej dotyk warg miękkich, ciepłych, umiejętnych. Całował mnie w policzek koło ucha, jego usta przesuwały się wolno po muszli usznej na szyję. Miałam oczy zamknięte i czułam jak ciepło tych pocałunków promieniowało wewnątrz mnie, czułam je w zwiniętych dłoniach, w palcach, w kolanach. Czekałam aż pocałuje mnie w usta, przyczajona w sobie wyprzedzałam ten moment, jego usta na moich ustach i nagle:

— Podoba ci się? — spytał. Otworzyłam oczy. Pochylał się nade mną, w kącikach ust czaił mu się kpiący uśmiech.

— Podobało ci się? — powtórzył. — Przed chwilą wyglądałaś jak somnambuliczka, czy często ci się zdarza zasypiać w dzień?

— Nie, nie często.

Do mojej świadomości dotarły zakurzone źdźbła traw, każde pojedyncze, żółtawo-szare, prześwietlone słońcem. Poprzez trawy przebijało granitowe podłoże wyspy. Płowa skała tryumfalnie zrzucała z siebie wątły zielony ubiór, którym usiłowano ją przyodziać.

— Nie przejmuj się, i tak wyglądałaś ślicznie.

Siedział obok zaplótłszy ręce na podciągniętych szczupłych kolanach. Poza nim przezroczyste tło krzewów, słońce przeciekało poprzez drobne liście. Ściany wysokich budynków pochylały się nad nami, otaczały nas ze wszystkich stron. Rozżarzone słońce wypalało resztki trawy. Wydawało mi się, że leżę na dnie krateru.

— Gorąco — szepnęłam. — Chodźmy stąd.

Stał naprzeciw mnie uśmiechając się zmrużonymi oczyma.

— Masz liść we włosach, o, już, odprowadzić cię?

— Jak chcesz...

— Właściwie mam coś załatwić, ale to może poczekać, kobiety lubią czekać, prawda? Nie marszcz czoła, to psuje twarz i nie usiłuj ukrywać myśli, masz twarz przezroczystą jak, no właśnie jak, ojczysty język irytuje mnie niekiedy, a ciebie, prawda, zapomniałem, twój gorący patriotyzm! A jednak jestem pewien, tak, że zostaniesz tu i w gruncie rzeczy twój patriotyzm nie odbiegnie daleko od mojego. Kochasz przecież Polskę i wszystko co święte?

— Kocham.

— No widzisz, ja także, co mówię, uwielbiam, adoruję, w końcu nigdy się tak dobrze nie bawiłem, jak w tym śmiesznym małym kraju. Tutaj inteligencja jest wyważona pie-

Siódme piętro hotelu Pod Kotwicą, Sto Czternasta ulica pomiędzy Broadwayem i aleją Amsterdam. Po przeciwnej stronie hotel akademicki — męski; podłużne okna bez firanek, świecą do późnej nocy. Chodzą po pokoju w samych kąpielówkach, leżą na wąskich łóżkach przerzucając skrypty. Studenci? Ich stała obecność krępuje mnie, nie mogę podejść do okna, żeby nie wywołać reakcji po drugiej stronie ulicy. Gwizdy, kpiarskie ewolucje z prześcieradłem. Zasuwam ciężką czerwoną portierę, siedzę w stłumionym świetle dusząc się, jest bardzo gorąco. Trzecia. Obiecał przyjść o wpół do czwartej. Z aparatem fotograficznym. Będzie robił zdjęcia. Wolałby jutro w południe, ale dzisiaj musimy wybrać miejsce. Poza tym chce mnie przestudiować. Medium, studium, ukradkiem odchylam portierę. Nie, jeszcze im się nie znudziło. Wpatrują się w moje okno, jeden z nich uzbroił się nawet w lornetkę, skórzany pasek zawieszony na nagim torsie. Wracam na łóżko, zamykam oczy i czekam. Chwila, dwie. Co będzie potem? Kiedy potem? No, jak już przyjdzie? Nie wiem, nie chcę o tym myśleć. Nie myśleć, nie myśleć, czekać bezmyślnie, automatycznie, oddychać. Oddychać resztą rozżarzonego powietrza, głęboko, tak, wdech, wydech, wdech, wydech... Może by znowu spojrzeć na zegarek? Za dziesięć, już za dziesięć minut. Może by podejść do okna? Niewykluczone przecież, że przyjdzie wcześniej. Na jego miejscu przyszłabym wcześniej. Ach, co mnie obchodzą te szczurze piski! Muszę przegiąć się poprzez parapet, muszę wychylić się drobny, ciemny punkt skupiający na sobie słońce. Wąskie plecy zaokrąglone, kolana długich nóg sięgające niemal podbródka, ciemna plama włosów. Chciałabym je dotknąć tak, jak dotyka je w tej chwili słońce, chciałabym je dotknąć, chciałabym wpić w nie obydwie ręce, palce rąk, całować. Przeciągnęłam językiem po spieczonych wargach. Wstał, podniósł się lekko, zwinnie i znowu był szczupły i wysoki — czarny wykrzyknik na białym tle — słońce obrysowywało go ostrym konturem. Umieścił aparat troskliwie na postumencie, przymocował i dopiero po skończonej operacji, znowu pochylony nad posumentem — spojrzał na mnie.

— Poruszałaś się — w jego głosie brzmiała nutka zniecierpliwienia. — Prosiłem cię przecież, żebyś się nie ruszała. Głowę trochę bardziej na lewo, za bardzo, teraz na prawo, wolno, wolniej, tak, dobrze. Gałąź bliżej do twarzy, za blisko, za daleko, tak.

— Zmiatajcie! — szeroki gest w stronę chłopców. Zrozumieli, cofnęli się skwapliwie, nie opuścili jednak posterunku. Dwóch z nich przysiadło na schodach w odległości kilkunastu metrów, trzeci, stojąc, śledził nas ponad głowami towarzyszy.

— Teraz.

Zdziwiłam się, że to było tak bezbolesne. Nie wiedziałam kiedy, i mogłam się znowu poruszać. Nie zanadto jednak. Teraz miało być zdjęcie *en face*. Ja schodząca po stopniach, ja siedząca na stopniach, ja uśmiechnięta, ja spoglądająca przez ramię, ja w towarzystwie murzyńskich chłopców. Przysunęli się

Oparty łokciem o kontuar, palcami drugiej ręki wystukiwał na blacie niedosłyszalną melodię. Palce uderzały o lakierowane drzewo bezgłośnie, szybko. Kobieta w białym fartuchu podeszła do niego. Tłumaczył jej coś pomagając sobie ożywionymi gestami rąk. Odchodząc odwrócił się jeszcze, zrozumiała, tak, skinęła głową, odszedł.

— Nigdy nie można się z nimi dogadać, trzeba ich uczyć przyrządzania jajecznicy, ja chcę tak, ona tak, ja tak... a ty co, ach prawda, ser, ser na sałacie. No dobrze, wprawdzie nigdy nie uderzyło mnie, żebyś była za tłusta, już raczej...

— Po prostu lubię ser.

— Ja osobiście radziłbym ci trochę utyć, wyglądasz nieco za chudo jak na mój gust. Popatrz na tę blondynkę przy sąsiednim stole, nie wiem dlaczego, ale zawsze mnie ciągnęło do takich kobiet. Jest w nich koncentrat kobiecości, wszystkiego w nadmiarze i ciała, i seksu i...

— Sam mówisz, że za dużo.

— Za dużo jest akurat w sam raz, w tobie jest za mało, za mało jak na mój gust, no i gdzie ta jajecznica, długo mamy czekać?

— Przecież mówiłeś, że masz dziś wolny dzień, czy nie dlatego zadzwoniłeś do mnie, mamy mnóstwo czasu.

— Tak, oczywiście, dzisiaj mam czas, ale można by go przyjemniej spędzić niż na siedzeniu w tym emaliowanym lokalu. Wolałbym już siedzieć w wannie, a ty?

— Jest gorąco, z chęcią weszłabym do wody.

— No tak, ale ja na razie nie mam samochodu i nie mogę cię powieźć do ekskluzywnej wypoczynkowej miejscowości, abyś mogła zażyć kąpieli. Posiadam natomiast wannę, wannę z kafelkami, chcesz, pójdziemy do mnie i będziemy się kąpać.

— Nie chcę.

— No to nie, to chodźmy do kina. Czekaj, co tam grają, gdzieś powinienem mieć gazetę, o jest. Strzały, strzały na pustyni, widziałem to już, ale tak okropnie nie ma co robić, że mogę zobaczyć jeszcze raz. Jest tam taka pikantna scena. Co, pójdziesz ze mną? Uwaga, blondynka wychodzi. Spójrz, jak ona kręci zadkiem, ależ to musi być... ach, nareszcie moja jajecznica, szalenie jestem pani zobowiązany, oczywiście za lekka, no trudno, nie, nie, proszę zostawić, zjem taką, jaka jest, już i tak dość długo czekałem.

— Dlaczego ty właściwie nic nie mówisz?

Opowiedziałem kiedyś Tadeuszowi o moich wrażeniach. Spoważniał i odrzekł: „To bardzo utalentowana, ale bardzo nieszczęśliwa kobieta”. Zdziwiłem się. Wtedy poinformował mnie o jej długotrwałej, nieuleczalnej chorobie serca. „Ona stara się wyrwać z życia każdy kęs, każdy dzień – dodał. – Ta jej radość – to walka ze śmiercią...”.

Pomyślałem sobie, że jeśli kiedyś napiszę o jej poezji, tak właśnie zatytułuję mój artykuł: *Walka ze śmiercią*. Kiedy po latach zabrałem się do pracy nad obszernym esejem o jej twórczości, który ukazał się w formie książkowej, dałem mu tytuł: *Walka z niebytem* [Jan Pieszczachowicz, *Walka z niebytem. O poezji Haliny Poświatowskiej*, Prowincjonalna Oficyna Wydawnicza „Exartim”, Bochnia 1992].

Wtedy jednak, w początku lat sześćdziesiątych, jakoś nie chciało mi się wierzyć, że ta pełna uroku i życia młoda kobieta mogłaby tak po prostu umrzeć. Operacja na sercu, dokonana w USA, przedłużyła jej życie o parę lat. W tym czasie pracowała gorączkowo – oczywiście wtedy, kiedy pozwalał na to stan zdrowia – lekceważąc często jego wymogi. Pisała wiersze, prowadziła zajęcia ze studentami jako asystent filozofii, przyjmowała w swoim niedużym mieszkaniu przyjaciół.

ARCHIWUM KRZYSZTOFA KASPRZAKA

Historia

Bezcenne znalezisko

•• Młoda kobieta pochyla się nad książką, notuje coś... To jedyny film pokazujący Halinę Poświatowską. Potwierdza to brat poetki. Nie przetrwały bowiem ani amatorskie zdjęcia kręcone podczas pobytu Haśki w USA, ani programy telewizyjne z jej udziałem. Mamy wyłącznie migawkę z biblioteki w Częstochowie, prawdopodobnie zrobioną przypadkowo. I odkrytą przez przypadek: siostrzenica, porządkując dom zmarłego filmowca z Bielska-Białej, znalazła w piwnicy sporo taśm. Więcej – S. 2

Halina w bibliotece w Częstochowie

Kiedyś Tadeusz Nowak przedstawił mnie poetce (o co go poprosiłem). Muszę przyznać, że czułem się trochę onieśmielony, choć znałem już wówczas kilku „markowych” poetów. Rezerwa rychło jednak minęła, gdyż Poświatowska sprawiała wrażenie osoby bezpośredniej i sympatycznej, choć może nieco nerwowej, co było zrozumiałe ze względu na jej chorobę.

Nie zdradzała chęci mówienia o swojej poezji. Moje krytyczno-literackie zaczepki zbyła pobłażliwie: „Porozmawiajmy lepiej o życiu. Tylko ono warte jest fatygi”. Czytając jej poezję, można odnaleźć taki punkt widzenia. „Wyznaje pani zatem zasadę: najpierw żyć, potem filozofować”, stwierdziłem. „Filozofia jest diabła warta, jeśli nie wynika z życia – odparła. – Nie da się go ująć w rygory teoretyczne. I to jest jego siła”. „Dlaczego więc zajmuje się pani profesjonalnie filozofią?”. „Między innymi po to, by uwierzyć w życie, jakiekolwiek by było”. Uśmiechnęła się smutnawo.

Owa łapczywość życia była u niej czymś pięknym, ale zarazem rozpaczliwym. Przypominała chwilami kogoś, kto chce dogonić uciekający pociąg – a jednak żyła w sposób możliwie pełny, zakorzeniona w bycie tak autentycznie – na miarę swych możliwości fizycznych – że mogło jej pozazdrościć wielu zdrowych. Przygnieciona koniecznością, rozbudowała w sobie poczucie duchowej wolności. Codziennie rzucała wyzwanie determinizmowi życia, choć każdy kolejny dzień życia można było uznać za darowany przez los. Śmierć krążyła wokół niej bez ustanku, choć przez jakiś czas po pierwszej operacji wydawało się, że cień Thanatosa zbladł, oddalił się. W gruncie rzeczy życie i powolne umieranie splotły się w jej egzystencji w nierozerwalny węzeł, który zaciskał się powoli, nieustannie.

Oczywiście miała chwile załamań, ale kiedy rozmawiało się z nią, uderzała dzielność tej delikatnej, kruchej kobiety. Stworzona do piękna, miłości, radości – musiała ciągle walczyć o fizyczne przetrwanie, próbując pogodzić konieczność różnego rodzaju wyrzeczeń z pragnieniem normalnego, a nawet intensywnego uczestniczenia w codziennym bytowaniu. Ciekawa życia innych, w gruncie rzeczy zmuszona była koncentrować się na sobie, co objawiało się niekiedy tonem zaczepno-ironicznym, kpiarskim.

Podatna na nastroje, uczuciowa, subtelna, po prostu kobieca – umiała przecież myśleć odważnie i samodzielnie, po męsku. Było w niej sporo przekory, chęci postawienia na swoim, jakby pragnęła sobie i innym udowodnić, że potrafi być sternikiem własnego życia. Do takich decyzji należało małżeństwo z Adolfem Poświatowskim (zawarte wbrew opiniom lekarzy i otoczenia) – też ciężko chorym na serce, który zmarł po niespełna dwóch latach od ślubu. Zaskoczyła też podjęciem niełatwych studiów w USA tuż po operacji, którym dzięki uporowi i usilnej pracy podołała.

Nie należałem do grona jej bliskich znajomych, ale odczułem jej odejście silnie. Pozostała w mej pamięci jako zjawisko niezwykłe. Zakreśliła na niebie polskiej poezji linię niby meteor. I okazała się ta spadająca

gwiazda trwalsza niż wiele innych. Jeszcze dziś czytam niektóre jej wiersze z gardłem ściśniętym wzruszeniem.

W Częstochowie, 1966

MICHAŁ HEMPOLIŃSKI

FILOZOF

„W życiu liczy się tylko miłość” – to zdanie wypowiedziała do mnie Halina, gdy odwiedziłem ją w szpitalu na kilkanaście dni przed jej operacją i śmiercią. Odwiedziłem ją mianowicie w klinice profesora Aleksandrowicza tuż przed jej przeniesieniem do Warszawy na operację. Czuła się wtedy bardzo źle, ale chętnie ze mną rozmawiała, jakby przeczuwając, że jest to nasze ostatnie spotkanie. W trakcie tej rozmowy wymieniliśmy kilka ogólnofilozoficznych uwag o życiu i cierpieniu, o sensie ludzkiego istnienia. I w trakcie tej rozmowy powiedziała mi z naciskiem to właśnie zdanie, którego nie mogłem nie zapamiętać: „W życiu liczy się tylko miłość”. O ile dobrze ją rozumiałem, a wydaje się, że potwierdza to cała jej twórczość poetycka, miała na myśli coś takiego: miłość jest (lub powinna być) źródłem życia, sposobem przeżywania życia, a pewna jej forma cielesno-duchowa winna stanowić ukoronowanie całego życia.

Moja znajomość Haliny Poświatowskiej brała się stąd, że przez krótki czas pracowaliśmy razem w Katedrze Filozofii. Ja byłem po doktoracie

u profesora Romana Ingardena, a ona do doktoratu się przygotowywała. Była ode mnie o pięć lat młodsza. Nieraz spacerowaliśmy po rynku krakowskim i niejedną wypiliśmy kawę. Ale nie należałem do jej najbliższych przyjaciół, chociaż lubiliśmy ze sobą przebywać, wymieniać poglądy i konfrontować różne opcje filozoficzne. Pamiętam nasze dyskusje o św. Augustynie. W pewnym okresie była nim wyraźnie zafascynowana. Znała słynne Augustyńskie zdanie: „Kochaj i rób co chcesz!”. Interpretacja tego zawołania nie wydawała się jednak łatwa. W każdym razie w czasach, gdy umysłowość filozoficzna otoczenia zdominowana była przez nastawienia realistyczne, fenomenologiczne albo materialistyczne i racjonalistyczne (antyirracjonalistyczne), Halina w skupieniu rozwijała własną wizję świata i życia ludzkiego. Nie znam niestety jej nieopublikowanych maszynopisów naukowych, musiała wszak pozostawić jakieś notatki, materiały do pracy doktorskiej. Wszyscy jednak znamy jej wspaniałą twórczość literacką. Pamiętam, że ofiarowała mi egzemplarz swojej prozy *Opowieść dla przyjaciela* i na tym egzemplarzu coś mi napisała, ale nie mogę sobie przypomnieć treści tej dedykacji. Sam egzemplarz natomiast gdzieś się zapodział. Może ktoś go ode mnie pożyczył? Mam nadzieję, że się odnajdzie.

Na pogrzeb Haliny w Częstochowie udała się duża grupa pracowników UJ, nie tylko z Katedry Filozofii. Halina była wszak lubiana i podziwiana, a jej śmierć spadła na nas jak grom z jasnego nieba. Zastanawiam się nad pytaniem: czy ona sama uznała swoje życie za spełnione zgodnie z przyjętymi przez nią wartościami i kryteriami?

W Yonkers, 1959

RYSZARD KŁYŚ

PISARZ

Była eteryczna, delikatna, szczuplutka. Szalenie lubiła ludzi i lubiła spotykać się z nimi. Nie bankietowaliśmy jednak. Były to rozmowy o literaturze, o sztuce, o muzyce. Halina miała bogatą płytotekę i dobrą aparaturę. Pasjonowała się muzyką, zwłaszcza hiszpańską. Mam na to dowód, bo dostałem od niej płytę: *Anthology of cante flamenco. Cantos sin guitara.* Jest potwornie zdarta, zniszczona, ale ma swoją historię. To osobliwa płyta. Budziła w Halinie ogromne emocje i strach jednocześnie. W końcu powiedziała do mnie: „Ryszard, ja nie mogę słuchać tej płyty, weź ją do domu”.

Od tamtej pory jest u mnie.

Cuatro saetas to utwór, który budził w Halinie lęk i niepokój, jakby odpychał ją od tej płyty i równocześnie przyciągał. Potem była to ulubiona płyta Jerzego Andrzejewskiego. Zawsze, ilekroć odwiedzał mnie, zaczynaliśmy od słuchania tej budzącej lęk w Poświatowskiej muzyki, którą Jerzy z kolei uwielbiał. Przedziwna fascynacja. To prawdziwa muzyka flamenco, a utwór, o którym mówię, to tzw. saetas –

pieśni wielkopostne (muzyka związana z obrzędowością katolicką, z Męką Pańską, z procesjami wielkopiątkowymi).

Nie słucham teraz tej płyty – traktuję ją jak relikwię. Określa lęki, niepokoje i cierpienia Haliny. Kiedy była nowa, robiła niesamowite wrażenie. Przecież mówi o śmierci...

Halina fascynowała się kulturą hiszpańską. Uwielbiała Lorcę i poetów tworzących przed puczem faszystowskim. Gdy spotykaliśmy się u kogoś z nas na

Krupniczej, Jaś Zych najpierw czytał wiersze w oryginale, a potem wspólnie tłumaczyliśmy, urządzając wieczory hiszpańskie. Bawiliśmy się, przekładając te wiersze na polski. Dziś już młodzi ludzie nie spędzają czasu w ten sposób... A szkoda.

Szalenie lubiła towarzystwo ludzi. Łaknęła ich miłości i przyjaźni. To było aż niepokojące, z jaką zachłannością rzucała się na najdrobniejsze przejawy uczucia. Leciała jak ćma do ognia. Spalała się w tych emocjach. Tak łapczywie chwytała chwile. I ta próba samobójstwa [w listopadzie 1962 r.], która odbiła się na jej zdrowiu.

Zakochała się. To był niepoważny żigolak – nie wiadomo, skąd się wziął. Kręcił się wokół Piwnicy, wokół środowisk artystycznych. Młodszy był od niej o parę lat. Wiedział doskonale, że jest chora. Po prostu ją wykorzystał. Imponowało mu, że może mieć przygodę ze znaną poetką. A potem zniknął. To była głupia miłość. W ogóle niektórym chodziło jedynie o przygodę, a Halina odbierała wszystko z jakąś dziecięcą wiarą. Bardzo potrzebowała miłości. Garnęła się do ludzi. Wszyscy mieszkaliśmy w jednym domu, co sprzyjało niemalże rodzinnym kontaktom. Znaliśmy się wzajemnie, wiedzieliśmy, jaka jest Halina.

Była to urokliwa istota. Nadwrażliwa, bardzo subtelna, pełna ciepła – taka nie z tej ziemi. Przez cierpienie, chorobę i te wszystkie lęki. Chciała

maksymalnie wykorzystać swoje życie. Wiedziała, że ma go niewiele. Była zachłanna na życie.

Fascynowała ludzi, ale ludzie ją też fascynowali. Chętnie rozmawiała o poezji i muzyce, o filozofii nie mówiła prawie wcale. Czasami zdarzało się, że słabła, wyłączała się z rozmowy – była po prostu zmęczona. Siadała wówczas cichutko w kąciku i słuchała nas.

Nie była klasyczną pięknością, ale miała interesującą urodę. Coś było w jej oczach... I ten sposób poruszania się...

Na pewno mogła się podobać mężczyznom, bo była kobietą ładną, o bardzo ciekawej osobowości. Oprócz tego wykształcona, inteligentna, dowcipna.

Sądzę, że w jeden rok przeżywała dziesięć lat. Stąd ta jej ogromna zachłanność. Gdzieś tam w podtekście – jak w tej hiszpańskiej muzyce – tkwiło wszystko: i lęki, i strach, i miłość. Taki melanż, z którym nie wszyscy umieją sobie poradzić. Ona sobie radziła. Oczywiście gdy była wśród ludzi. Nie wiem, jak było, kiedy zostawała sama.

Pamiętam ją doskonale. Blondynka o popielatym odcieniu włosów, ogromne zielone oczy, bardzo żywa, bezpośrednia, szalenie naturalna. Szybko się angażowała emocjonalnie, szybko mówiła. Czasem wystarczyło powiedzieć: „Dziecino, wolniej, spokojniej”. Pomagało. Śmiała się wtedy. Ogromnie

lubiła się śmiać. Głos miała raczej wątły, przechodzący w bardzo wysokie tony.

Zachowywała się heroicznie. Miała duże poczucie godności. Jakby kryła chorobę. Nikt z nas nie odczuwał, że jest chora, choć czasami było widać, jak łapała powietrze i dyszała ciężko.

Była dzielna, miała potwornie dużo do pokonania.

Pozostanie dla mnie delikatną ważką – szybką, z wiecznie trzepoczącymi skrzydełkami. I ta trzepotliwość w mówieniu, trzepotliwość w reakcjach...

Ważka.

JERZY LISIEWICZ

LEKARZ HEMATOLOG

Halinę Poświatowską poznałem po roku 1960, w ówczesnej III Klinice Chorób Wewnętrznych Akademii Medycznej w Krakowie, kierowanej przez człowieka niezwykłego formatu, jakim był mój nauczyciel i przewodnik w życiu zawodowym i naukowym – profesor Julian Aleksandrowicz. Byłem wówczas młodym asystentem tejże kliniki i zajmowałem się Haliną jako pacjentką okresowo, zależnie od jej powtarzających się pobytów szpitalnych. Przyjaźniła się bardzo z profesorem Aleksandrowiczem, który traktował ją jak kogoś z rodziny. Nieraz prowadziłem długie rozmowy z Haliną. Jej sposób widzenia świata, język, jakiego używała, szczególna optymistyczna postawa wobec życia (a przecież była nieuleczalnie chora), a także pogodny, kobiecy wdzięk i trudny do oddania w słowach czar osobowości, wywierał na nas wszystkich najgłębsze wrażenie dopełnione przez gorycz świadomości jej nieuchronnego losu.

Z siostrą Małgorzatą na plaży w Cetniewie

Niewiele pamiętam szczegółów rozmów z Haliną i ówczesnych wydarzeń z nią związanych. Były to lata 1962–1965. Zachowałem w pamięci tylko kilka obrazów.

Oto letnim popołudniem czerwcowym idę na daleki spacer nad Wisłę, wałami naprzeciw i znacznie powyżej klasztoru Norbertanek. W oddali widzę łódź motorową pędzącą z wielką szybkością w dół rzeki. Po chwili orientuję się, że prowadzi ją profesor Aleksandrowicz, trzymając w dłoniach ster, a obok niego stoi Halina – szczęśliwa, roześmiana, z rozwianymi włosami. Widzą mnie, pozdrawiamy się gestami. Patrzyłem długo za

nimi, myśląc, jak wielką ułudą jest taka jaśniejsza chwila w jej życiu.

Profesor Aleksandrowicz robił, co mógł, aby umilić jej życie.

Pewnego dnia Halina zaprosiła mnie do siebie na herbatę. Mieszkała wówczas w Domu Literatów przy Krupniczej w Krakowie. Długo siedzieliśmy razem na podłodze, pijąc herbatę i słuchając muzyki klasycznej, którą bardzo lubiła. Ale jakiś cień smutku padał na to nasze spotkanie i wyzierał z jej oczu mądrością tego, kto zna dobrze swój przyszły los.

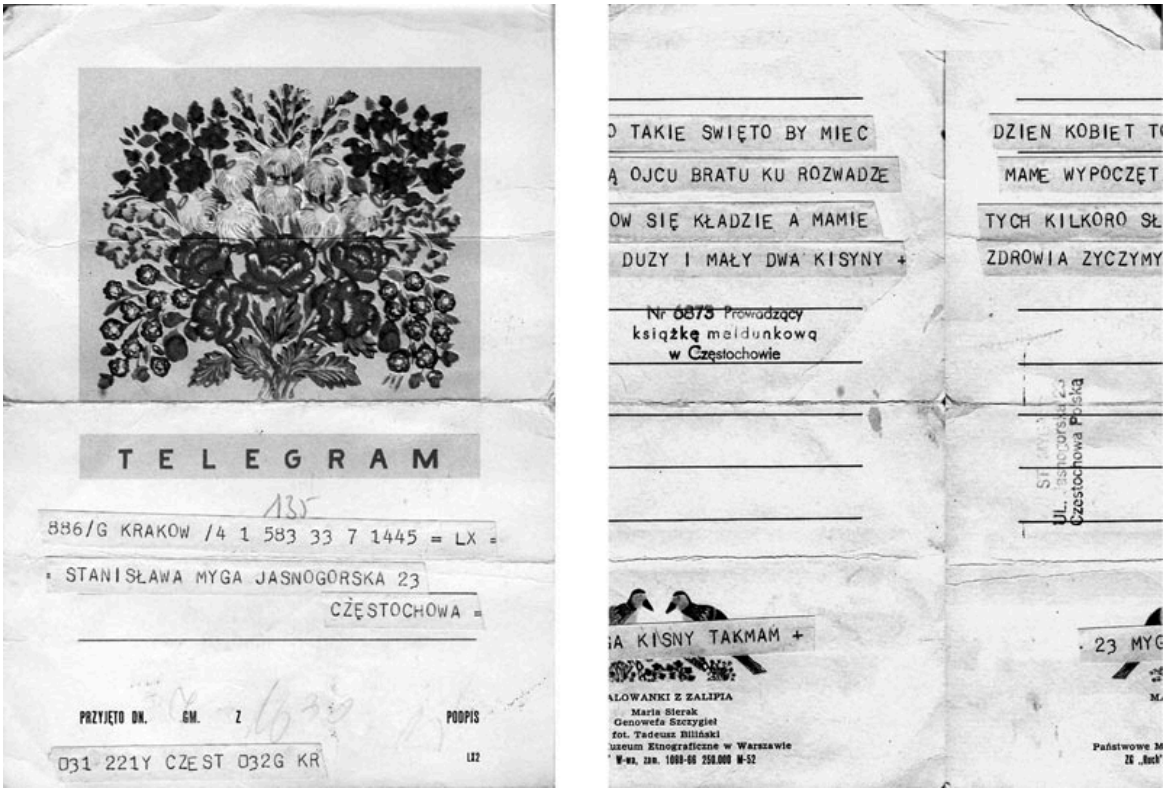
TELEGRAM

886/G KRAKOW /4 1 583 33 7 1445 = LX =

STANISŁAWA MYGA JASNOGÓRSKA 23

CZĘSTOCHOWA =

PRZYJĘTO DN. GM. Z PODPIS

031 221Y CZEST 032G KR

TAKIE SWIĘTO BY MIEC

Ą OJCU BRATU KU ROZWADZE

OW SIĘ KŁADZIE A MAMIE

DUZY I MAŁY DWA KISYNY +

Nr 6873 Prowadzący książkę meldunkową w Częstochowie

DZIEN KOBIET T

MAME WYPOCZĘT

TYCH KILKORO SŁ

ZDROWIA ZYCZYMY

A KISNY TAKMAM +

Częstochowa Polska

Telegram do matki

Chyba w roku 1964 lub 1965 wybrałem się z moim przyjacielem, dzisiaj profesorem Akademii Rolniczej w Krakowie, Andrzejem Żarneckim, na krótkie wakacje do Jastarni. Kogóż widzimy na plaży? Halinę, jej matkę oraz młodszą siostrzyczkę, którą nazywała Kisyn Misyn Mały. Przez kilka dni przyłączaliśmy się do nich na plaży.

Pewnego chmurnego dnia trzy panie zaprosiły nas do siebie na ciastka i kawę. Był już wieczór, lało przeraźliwie, ale nastrój był swobodny, rozmowa toczyła się wartko – aż tu nagle trzask-prask, łomot u okna, które samo się gwałtem rozwarło, i do wnętrza pokoju wtoczyła się wielka głowa czarnego konia. Na szczęście reszta konia pozostała na zewnątrz. Patrzył na nas długo, bardzo długo, jakby zdumiony widokiem ludzi siedzących przy stole, potem gdzieś sobie poszedł. Zastanawialiśmy się wszyscy, co też ów koń widział tego wieczoru i co mógł sobie myśleć, patrząc na nas, dość trwożnie oczekujących dalszego ciągu jego wizyty.

Halina była człowiekiem niezwykłym. Nie skarżyła się na swoje dolegliwości, z wdzięcznością przyjmowała każdą pomoc i każdy uśmiech ze strony personelu kliniki. Pisała swoje wiersze i rozmawiała z nami tak, jakby nie istniały choroby i wolno zbliżające się odejście. A zbliżało się ono latami, ponieważ choroba rozwijała się powoli, ograniczając coraz bardziej możliwości poruszania się i działania.

Patrzyliśmy na to bezsilni, gdyż schorzenie jej nie było odwracalne – pomimo operacji kardiochirurgicznej, którą zorganizował dla niej w Bostonie [w Filadelfii] profesor Aleksandrowicz. Po tej operacji czuła się przez kilka lat lepiej, ale następnej próby ratowania jej życia już nie przetrwała.

Halina była przykładem człowieka stojącego latami w obliczu śmierci, ale niezdolnego do poddania się chorobie, poświęconego tajemniczemu światu poezji, w której znajdowała – jak myślę – nie tylko ukojenie, lecz również wiarę w przetrwanie. I przetrwała. Przetrwała w swoich wierszach, w pamięci ludzi, którzy ją znali, w dziejach poezji polskiej – tak rzadko w naszym wieku natchnionej, uczuciowej i prawdziwej.

ZDZISŁAWA PIĄTEK

FILOZOF

Byłam początkującym pracownikiem naukowym i byłam jej koleżanką. Zajmuję się filozofią biologii, inni podobnie jak Augustynek zajmowali się filozofią fizyki. Łączył nas dystans w stosunku do rozważań sformalizowanych, nie rozumiałyśmy tego. Halina powiadała: „Cóż to za ptaszki namalowali na tablicy i co z tego wynika?”.

Początkowo miała zamiar robić doktorat u Augustynka na temat konfrontacji czasu fizycznego („t”) z pojęciem czasu psychologicznego, upływu czasu analizowanego w wymiarze psychicznym. Później jednakże zarzuciła ten pomysł i przystąpiła do pracy nad etyką Martina Luthera Kinga. Miała to być praca pisana pod kierunkiem profesor Iji Lazari-Pawłowskiej [pracę doktorską Halina pisała pod kierunkiem profesor Marii Ossowskiej]. [...]

Uwielbiała wiersze Grochowiaka i wiem, iż spacerowała z nim po Krakowie (nocą i być może w deszczu, opowiadała o tym z zachwytem).

Będąc na stypendium w Paryżu, spotkała profesora Romana Ingardena, z którym także wielokrotnie bywała

na herbacie. Profesor Ingarden dożywiał ją, gdyż jej stypendium z Ministerstwa Kultury i Sztuki było jakieś nędzne, a związane z tym ograniczenia (między innymi) nadwerężyły jej zdrowie.

STANISŁAW GROCHOWIAK

PRZYJACIEL HALINY POŚWIATOWSKIEJ, POETA

Chodziliśmy po ciemnych listopadowych Plantach. W powietrzu unosiły się wilgoć i ostry zapach butwiejącego listowia. W oknach domów zapaliły się kielichy różowych abażurów, Kraków wchodził w swój dostały jesienny wieczór. Przechodziliśmy koło gazowej latarni. Blade światło wskoczyło na twarz Haliny, objawiło mokry listek w jej pięknych kasztanowych włosach. Mówiła. Śmiała się swoim wysokim, trochę groźnym śmiechem, w którym było tyleż autoironii, ile głęboko ukrytej goryczy. Słuchając jej pospiesznego monologu o nieważności strachu, a równocześnie oglądając tę szczupłą naznaczoną wiecznym skupieniem twarz, pomyślałem, że oto stoję naprzeciw człowieka, któremu nikt i nigdy nie ma prawa wyrządzić krzywdy. W niespełna rok później największą krzywdę wyrządziła Halinie śmierć.

To zdumiewające, jak ta dziewczyna pisząca wiersze kochała i szanowała życie. Pierwszy tom poezji, który wydała, nazywał się *Hymn bałwochwalczy*. Zawarły się w tym tytule tęsknota, zachwyt i posępna samowiedza. Jej miłość do życia miała w sobie coś istotnie

religijnego, była to przecież religia niedozwolona, z góry skazana na niewdzięczność i brak łaski, religia bałwochwalcza. Oto kobieta, której każde żywsze poruszenie serca groziło śmiercią, wielbiła miłość nieposkromioną, zmysłową, cielesną. Oto człowiek, który zrządzeniem absurdalnego wyroku był całym sobą obrócony ku krainie cienia, pozostawił za sobą smugę światła: poezję kropel rosy rozsypanych na włosach, rozkruszonego zioła w wądole dłoni, ptaka i obłoku.

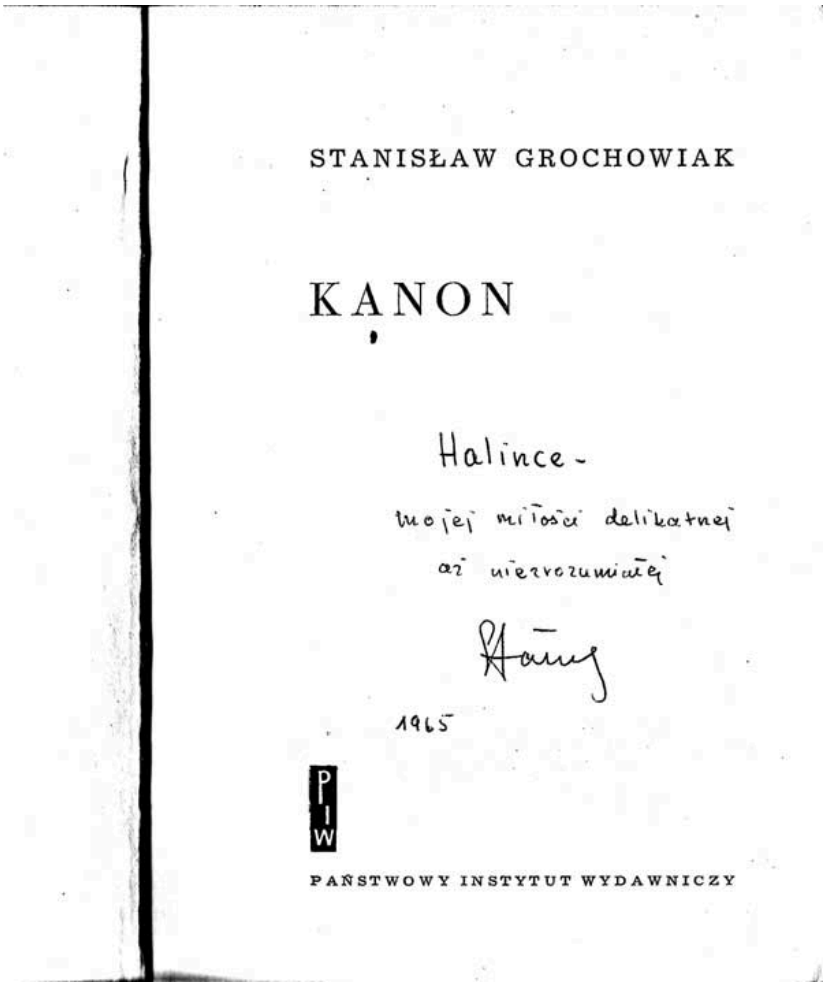
STANISŁAW GROCHOWIAK

KANON

Halince -
mojej miłości delikatnej
aż niezrozumiałej

1965

PIW

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

Targowała się ze śmiercią nie tylko w poezji. Tuż po dramatycznej operacji serca, którą przeżyła w Stanach

Zjednoczonych, znalazła w sobie tyle uporu i nadziei, aby rozpocząć studia filozoficzne na amerykańskim uniwersytecie. Po powrocie do kraju uzyskuje tytuł magistra filozofii na Uniwersytecie Jagiellońskim. Uczy się języków, przygotowuje pracę doktorską. Z moich przelotnych pobytów w jej krakowskim mieszkaniu pamiętam ją przede wszystkim jako dziewczynę z książką w ręku. Trochę mnie to niepokoiło, bałem się – jakże niesłusznie – że nadmiar gromadzonej wiedzy przeobrazi ją, urzekającą kobietę i poetkę, w typ zgorzkniałej sawantki.

A przecież była w tym wiara i rozpacz: wierzyła, że jeśli nic innego jej nie uratuje, to przynajmniej uczciwość losu. Jakże ma pójść na marne taki wkład pracy i dobrej woli? Kto ośmieli się potargać te nici, które rozprzędła między sobą i życiem?

Nie wiem, czy w głębi serca była przekonana o sukcesie; wiem, że przekonała innych – nas wszystkich: rodzinę, przyjaciół, kolegów. Otrzymałem wiadomość o jej śmierci późno, kilka dni po pogrzebie. Nie mogę za to nikogo winić. Jestem przekonany, że zwłoka w udzieleniu mi tej wiadomości wynikła z osłupienia, z owej niemocy, która nas ogarnia, kiedy stajemy wobec czegoś niewiarygodnego. I to jest chyba jej smutny sukces: nie mogąc pozostać wśród żywych, przynajmniej śmierć swą uczyniła niewiarygodną.

Pozostawiła po sobie wielki smutek – nie ten żałobny, który mija z opadnięciem ostatnich liści z cmentarnego wieńca, nie ten uroczysty, który przywdziewamy na twarze w warcie honorowej przy trumnie poety, ale ten, który nas postarza, który odsłania nam pochmurne dziedziny naszego wspólnego losu.

W liście, jaki otrzymałem od Margosi, ukochanej siostry Haliny, Margosia pisze: „Ogromnie chciałabym, żeby przez jeszcze trochę ludzie pamiętali o Niej”.

Przez jeszcze trochę...

KRZYWDA

Stanisław Grochowiak

Halina Poświatowska

JAN ZYCH

POETA, TŁUMACZ

W październiku 1967 roku byłem na wakacjach u rodziców na wsi. Kiedy wróciłem do Krakowa, dowiedziałem się, że Halina Poświatowska już nigdy się nie pojawi na ulicy Krupniczej; minęły trzy dni od pogrzebu w Częstochowie. Nie widziałem jej grobu. Nie położyłem na nim kwiatów. Ostatnią garść kwiatów, lekkich i pogodnych – były to chyba frezje – przyniosłem jej do sali szpitalnej przy ulicy Kopernika w Krakowie, kiedy pod opieką profesora Aleksandrowicza przechodziła badania tuż przed mającą się odbyć w Warszawie drugą operacją serca. Pamiętam, letnie słońce aż kłuło w oczy. Ostro rysowała się za oknem zieleń ogrodu. To moje ostatnie spotkanie z Haliną. Z Haliną żywą. Nie potrafiłbym zresztą wyobrazić jej sobie inaczej.

[...] *Obras completas* Lorki, kupione w 1960 roku – o czym pisze w liście do matki – stały się książką, z którą się nigdy na długo nie rozstawała. Kiedy ją odwiedziłem ostatni raz, latem 1967, wzięła ze stołu ten właśnie oprawny w skórę tom Lorki, usiadła w kucki na szpitalnym łóżku, tak jak zwykle lubiła siadać do

czytania, podała mi otwartą książkę i poprosiła, żebym czytał i tłumaczył. Zaglądała mi przez ramię w czytany tekst. Prosiła o następny wiersz. Po chwili zorientowałem się, chociaż nie powiedziała ani słowa, że szuka oczyma i wskazuje mi te wiersze, w których pojawia się *muerte*, *morir* [śmierć, umierać], jakby chciała poznać wszystko, co Lorca napisał na temat śmierci i umierania. Czytałem posłusznie, chociaż trochę ze ściśniętym gardłem; wiedziałem jednak, że gdybym przerwał, byłoby to przyznanie się do niewiary w jej wyzdrowienie. Towarzyszący jej przez siedem lat egzemplarz madryckiego wydania Lorki był ostatnią książką, jaką widziałem w jej rękach, kiedy ją pożegnałem w szpitalnej sali przy ulicy Kopernika w Krakowie.

W Stanach Zjednoczonych, 1959

Wróćmy jednak o kilka lat.

Dzięki uprzejmości Margosi, ukochanej siostry Haliny, miałem możność przeczytania sporego pliku listów z okresu studiów Haliny w Stanach Zjednoczonych, po pierwszej operacji serca. Bardzo osobiste spostrzeżenia, informacje i prośby, kierowane

przede wszystkim do matki, ukazują codzienne sprawy, radości i troski, którymi żyła, o wiele wyraźniej niż wspomnienia zacierające się z biegiem czasu. Są równocześnie sprawdzalnym dowodem autentyczności tej żarliwie ludzkiej poezji, składanej na przemian z uporu i wiary oraz załamań i cierpienia. Dlatego wydaje mi się bardziej celowe przepisanie fragmentów tej nieznanej korespondencji Haliny niż analizowanie wierszy. Czytelnicy sami doszukają się związków, zauważą jedność życia i poezji. A oto fragmenty listów:

Fragment listu do matki z 18 IX 1960 r.

Dlaczego nie potrafię czuć żadnej więzi z niczym, tak mi daleko wszędzie. Do Was – do Krakowa – do bucików – wierszy – Zastanawiam się, czy chciałabym, żebyś przestała się o mnie troszczyć? Nie, nie chcę. Potrzebna mi twoja troska – twoja troska chociaż odległa to jedyna rzecz, którą można położyć na szalę mojej niewiary. Pamiętasz zawsze nie wierzyłam – i na przekór chirurgom, którzy sklecili życie, niewiara rośnie, puchnie – rozwala. No to co? – to moje, a jak Ty w tym chcesz uczestniczyć? Jak Ty to chcesz zmienić? Można troską, ale troska z bliska czy na odległość jest ta sama, a nawet łagodniejsza na odległość. [...] Możliwości dialogów – mam pełno, i tylko jedną możliwość skargi. Gdybym przyjechała – byłabym dużo słabsza – boję się, że wskoczyłabym w starą skórę – a wiem, jak bezradna Ty jesteś. Nie bój się – żyję, widzisz – i jakoś nawet lepiej się czuję. [...] Aha, sprawdź, w jaki sposób umarł Jesienin, czy w hotelu niemieckim, czy przez powieszenie, i czy to było w lecie – napisałam taki wiersz i teraz się martwię, że się mija z prawdą.

Myśliciel Rodina przed budynkiem wydziału filozofii Uniwersytetu Columbia w Nowym Jorku

Fragment listu do matki z 2 X 1960 r.

Pamiętasz? tak mi trzeba twojej troski. Muszę Cię zmartwić – szeroko rozwijam inicjatywę i podobno mam niezłe możliwości dostania stypendium na dalsze, dalsze studia. Doktorat filozofii – to byłoby jeszcze 2, najwyżej 3 lata. [...] Jaka długa jest przyszłość – dziękuję Ci za książki – muszę je czytać, bo inaczej w tej powodzi języków zapomni mi się mój własny. Czy wiesz, pewnie nie, zaczęłam się uczyć niemieckiego. Muszę podobno umieć czytać także po niemiecku. Ostatnie tygodnie w New Yorku przyprawiły mnie o lekką nerwicę. Nie umiem spać i nie mogę pić kawy i nie umiem, nie umiem, nie umiem spać. Spanie nie ma sensu, nie mniej niż niespanie. Nie ma miłości. Tyle mam już lat – tyle wydarzeń – tyle zużytej energii, czasu opuchłego czekaniem. Tak nie można, tak

trzeba... I po co? Taka jestem głupia, że szybko, od razu nie wróciłam [...] – do Twojej troski i ulic Krakowa. Któż to się skazuje na banicję tak dobrowolnie, tak lekko, z takim uporem! Z taką niekonsekwencją [...].

Federico Garcia Lorca – *Obras completas* – stoi sobie na półce – inni obok. Czytam Szekspira w oryginale – płaczę nad Julią – dlaczego nie? To bardzo piękne – tylko trudno mi będzie zdać z tego egzamin, bo mój angielski w piśmie podlejszy niż polski.

Fragment listu do matki z 1961 r.

Mam wściekły kryzys i potrzeba mi tyle listów od Ciebie, ile możesz wyprodukować. Próbuj filozofii – Ty umiesz bardzo ładnie filozofię. Boże, jak mi trzeba Ciebie. [...] Życie nie ma sensu – żyć można tylko dotąd, dokąd się nie jest dokładnie człowiekiem, dokąd grają w tobie te puszyste instynkty – głód, hodowanie pokoleń... wiesz. Nie miałabym odwagi mieć dzieci – udusiłabym.

Albo mi nie dostaje jakiegoś zmysłu – nie wiem, nie wiem, dlaczego chodzę z tym piekłem w środku i obojętnieję niezmiernie na wszystko. Nawet na język Szekspira. Niecierpliwi mnie poezja, niecierpliwi filozofia i to samo odnośnie poetów i filozofów. Piękno fizyczne przyciąga mnie jeszcze, ale na dystans – nic nie chcę mieć na własność. To nonsens – to taka głupia mała gra, a tak męczy, jakby naprawdę. Nawet powiedzieć nie umiem, co jestem, co jest we mnie, dlaczego nie umiem. Nie umiem. Potem myślę o Tobie, o Tobie biegnącej poprzez pokoje do sieni, potem o naszych nocach, o strachu, o twoim i moim strachu, i wiem, że trzeba pracowicie przedrzeć się poprzez następny bolesny dzień. I nie wiem, czemu Ci to potrzebne, nie rozumiem, jak może mieć to dla Ciebie jakiekolwiek znaczenie, jakieś absolutne znaczenie, którego przecież, Kochanie, nie ma. Widzisz, nic nie ma znaczenia, i dopiero wtedy, kiedy sobie uświadomisz to właśnie, twoja miłość i twoja troska będą jakieś cudowne, bo właśnie tak samo nieważące jak moje udręki. Nie mogę

czytać książek, nie mogę czytać filozofii – jeszcze odrobinę ciekawości rezerwuję dla logicznych symboli – żeby poznać tę patykową konstrukcję culture and civilization. [...]

O Kochanie, jeśli poetów mierzy się wielkością ich niepokoju, to ja przeszłam własną genialność. Moje udręki są bardzo typowo ludzkie. Chcę dorównać dziewczętom i nie mogę – nie mogę, bo mnie nie stać na ich pierwotną pasję. Ja myślę we dwie strony, one tylko naprzód – a ja sobie w tył, w tył...

Fragment listu do matki z 1 IV 1961 r.

Wczoraj przyjechałam do domu poprzez Georgię i Caroliny, i Virginię i Maryland i Pensylwanię i New Jersey, New York, Connecticut, Massachusetts – noc spałyśmy w Waszyngtonie, gdzie właśnie kwitły czereśnie – strasznie śliczny Waszyngton w kwitnących czereśniach. Jutro mam egzamin, a ciągle jeszcze nie

potrafię się uczyć. Tam było tyle słońca na tej Florydzie, że mi się jakoś odtajało – uczyć się nie umiem, ale się uśmiecham... [...] Co mi trzeba, papier do pisania i trochę książek i całkiem ogromnie dużo słońca. Inaczej nie potrafię żyć i Tobie zatruwam życie... [...] Ja wiem, że to strasznie głupie, ale chciałabym mieć ślub – w Krakowie – przed Witem Stwoszem – no powiedz, czy to nie byłoby ładne – no powiedz, jak studiować logikę, kiedy mi się po łbie takie rzeczy snują.

Zobaczyć Ciebie i potem wydać się za mąż i zapisać na uniwersytet i... jakie ładne są sny. Gdyby jeszcze zechcieli książkę wydrukować – Ja chyba wrócę i prędko – gdybym wiedziała na pewno, że wy oboje, Ojciec i Ty, myślicie tak jak ja. Że nie pieniądze są ważne i nie podróże i nie Ameryka [...].

Fragment listu do matki z 14 IV 1961 r.

Kochanie

zamiast nauki – list do Ciebie. Gdybym mogła wsiąść na okręt – już teraz – Ale jeszcze przedtem dużo nauki, ładnej; dużo Ameryki – niełądnej. Jutro jadę do New Yorku załatwić okręt.

Zaprosiłam Yasuko do Polski. Na dwa miesiące. Właśnie napisałam do ambasady, żeby dali jej wizę i zwolnili z opłat i wymiany dolarów. Napisałam, że będzie na moim utrzymaniu. Pod koniec lata odesłałoby się ją do Osaka. Yasuko strasznie tu nieszczęśliwa. Nie widziała Japonii pięć lat – a jeszcze ma rok do skończenia Smith. Powiedziałam jej, żeby zrezygnowała z kończenia, i jechała ze mną – najpierw do Polski – potem do domu. Uniwersytet może kończyć w Osaka, a przynajmniej nie będzie się chciała wieszać każdej nocy. Nie wiesz, jak źle być z daleka od domu. Yasuko mówi po angielsku, francusku, grecku i japońsku... po polsku – nie mówi, ale pewnie się nauczy... [...] Chyba Yasuko będzie szczęśliwa – skośne oczki jej się świeciły, kiedy ją zapraszałam i od

razu chce przyjechać. No widzisz – to będziesz miała dwie – chociaż Ci pewnie aż tyle nie potrzeba.

Fragment listu do matki z 13 V 1961 r.

Tak mi wstyd, że tak strasznie długo zawracałam Ci głowę – ale, widzisz, nie mogłam od razu – i powoli musiałam zdrowieć. Tak mi wstyd, że było mi tak strasznie dobrze tam – u Cioci Zosi [Merdy] – tak cudnie – że tyle pięknych rzeczy widziałam po drodze [...] że się nasłuchałam najpiękniejszej muzyki, bo hiszpańskiej – że widziałam tę Niagarę...

Fragment listu do siostry z 1961 r.

Margoś Kochanie!

Czy bardzo urosłaś? Hm – nie rośnij szybko, nie warto. Potem Cię z domu wyrzucą do Krakowa, albo do Ameryki i będziesz się musiała uczyć, uczyć, aż Ci świat pobrzydnie. Albo się wydasz za mąż i będziesz miała dzieci, co Ci zabiorą rękawiczki albo pantofelki, albo jedno i drugie. I nic nie powiesz, bo jak? Tak piszę, żebyś wiedziała, jak źle być dorosłym na świecie. Czy już umiesz na pamięć małe miasto? Tam są takie ładne ulice, powinnaś pamiętać, bo Cię tam prowadzałam za rękę, dawno temu. Matka popełniła błąd: najpierw przysłała korale, a potem list, że od Ciebie. A ja jestem taka wiedźma, że nie lubię ładnych rzeczy trzymać dla siebie, zaraz muszę komuś podarować. Korale były śliczne i przyszła Wan-Kyun (tak się trudno nazywa, bo z południowej Korei) i powiesiłam je na Wan-Kyun i wyglądały na niej tak ładnie, że jej dałam te korale. I teraz musisz zrobić jeszcze jedne – takie same, tylko krótsze. A ja już przyrzeknę nie dać ich nikomu. No dobrze? – Nie gniewaj się, pyszczku. Przyślę Ci coś ładnego na urodziny. Całuję H.

Dopiero dokładne zdanie sobie sprawy z nieustannego zagrożenia, z walki o każdy przeżyty dzień, pozwoli nam inaczej spojrzeć na wiersze, które o sercu napisała – a jest ich sporo – i zrozumieć te z poczucia własnej kruchości wynikłe opisy i westchnienia:

w Metropolitan Museum
w dziale egipskiej rzeźby
widziałam odłamek posągu
nozdrza i wydatnie zarysowane wargi
posąg był wykuty w kamieniu twardym
jak czas

*** (w *Metropolitan Museum*...)

Boże mój zmiłuj się nade mną
czemu stworzyłeś mnie na niepodobieństwo
twardych kamieni

*** (*Boże mój zmiłuj się nade mną*...)

Z uporem przedzierając się przez dni, pragnęła pełnego życia, choćby ono miało ją zniszczyć. Marzyła o życiu normalnym, o ślubie po przyjeździe do Krakowa, a zostały tylko wiersze

[...] o włosach dziecka
które nigdy nie wplączą się
w moje ręce kobiety
[...]
o miłości –
doskonałej w swoim chmurnym niespełnieniu

*** (*o moim domu*...)

Potrzebowała ludzkiej przyjaźni i umiała sobie tę przyjaźń zaskarbić, mimo że czasem była pełna goryczy, ironii czy autoironii. W czasie pobytu w Northampton szczególnie serdecznie zaprzyjaźniła się z obcokrajowcami, którym tak samo źle było z daleka od domu, z przybyszami z Azji, Afryki i Ameryki Południowej. Starała się poznać ich sposób myślenia, czasem pocieszyć, ofiarować choćby korale.

Metropolitan Museum w Nowym Jorku

Po pracowitym pobycie w Stanach Zjednoczonych Halina Poświatowska wróciła w 1961 roku do Krakowa, gdzie w dalszym ciągu studiowała, a później zaczęła

pracować w Katedrze Filozofii Uniwersytetu Jagiellońskiego. „Połykam filozofię”, powie sama w jednym z wierszy. Pamiętam ją siedzącą w małym pokoiku na Krupniczej nad tomem Bertranda Russella, kiedy zajmowała się pojęciem czasu w jego filozofii. Można znaleźć utwory, w których wymienia filozofów – Heraklita, Zenona z Elei, Platona, Kanta – ale Poświatowska była przede wszystkim wrażliwą poetką umiejącą także i filozoficzne problemy wypowiadać własną metaforą lub przekornym poetyckim żartem. Do takich pięknych żartów należy wiersz *** (*miałam kłopoty z angielską terminologią filozoficzną*...).

Równie wrażliwa była na malarstwo, które stawało się bezpośrednim pobudzeniem dla wielu wierszy, np. *** (*w półokrągłych ramkach*...), *** (*przed narodzeniem*...), *** (*naprzeciw obrazu*...), *** (*śpiący jednorożec*...), *Saskia*, *Metropolitan Museum of Art*; zawsze jednak są to wiersze tak bardzo osobiste, dalekie od naiwnych opisów, i tak przefiltrowane przez wyobraźnię, że mogą być najlepszym przykładem prywatnego odbioru sztuki.

Z siostrą Małgosią na wakacjach w Spychowie, 1965

Pasja poznawcza towarzyszyła jej przez całe życie. Nawet na kartkach, które ze swego pobytu w Paryżu, na rok przed śmiercią, przesyłała Margosi, znalazła miejsce, aby informować ją o takich na przykład sprawach:

„Jutro wyprawię się do innego muzeum; odkryłam jeden autobus, co mnie wozi bardzo fajnie i nie trzeba łazić po schodach w metrze”. (14 X 1966)

„Kupiłam sobie 6 książek i idę leżeć.” (8 XI 1966)

„W antykwariacie kupiłam sobie, będziesz się śmiała, Kierkegaarda – i teraz będę go czytać – po francusku, a tak”. (XI 1966)

Zainteresowania naukowe nie zniszczyły poetyckiej wrażliwości Poświatowskiej. Poezja jej, w pierwszych dwóch tomikach jeszcze nieco sentymentalna, nabiera zwięzłości i precyzji już od *Ody do rąk*, chyba nie bez związku z kierunkiem jej naukowych studiów.

Badanie filozoficznych pojęć czasu, o którym jakże dużo wierszy napisała, nie było przeszkodą, a być może nawet pomagało jej w poszukiwaniu własnej, poetyckiej definicji czasu mierzonego opornym rytmem serca, bo

[...] czas –
jest przezroczystą perłą
wypełnioną oddechem
*** (*żyje się tylko chwilę...*)

i jako wiersz pozostaje nadal perłą wypełnioną oddechem. Jako możliwość oddechu dla czytających jej wiersze.

RYSZARD MATUSZEWSKI

KRYTYK LITERACKI, ESEISTA, TŁUMACZ

Spotkałem ją raz, w 1965 roku. Poetka swój trzeci i – jak się miało okazać – ostatni wydany za życia tom wierszy, *Odę do rąk* [1966], postanowiła opublikować w Czytelniku. Legenda, w jaką po jej śmierci obrósł tragizm jej życia, a także jej twórczość, jeszcze wtedy jej nie otaczała. Jej liryka – nasycona pragnieniem życia, cielesnością, czułą reakcją na urodę świata – budziła zainteresowanie, ale krytycy, czytający jeszcze wtedy te wiersze bez bardzo w tym wypadku istotnego klucza biograficznego, oceniali je na razie dość powściągliwie. Materiału do legendy dostarczyła tym, co nie mieli przedtem okazji zetknąć się z poetką lub dowiedzieć o jej dramatycznej walce z chorobą, dopiero wydana na krótko przed jej śmiercią autobiograficzna *Opowieść dla przyjaciela*.

HALINA POŚWIATOWSKA

ODA DO RĄK

CZYTELNIK

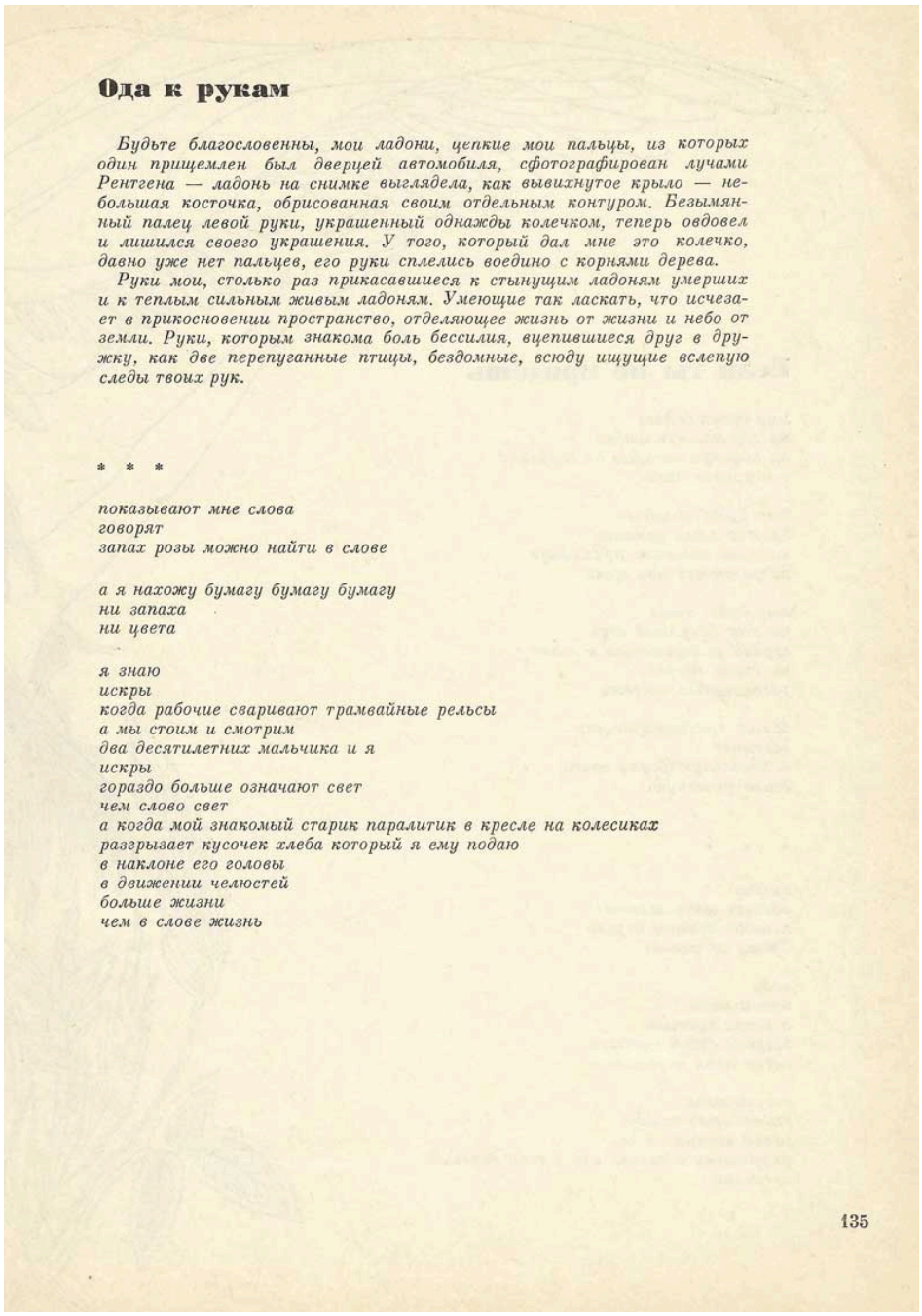

Ода к рукам

Будьте благословенны, мои ладони, цепкие мои пальцы, из которых один прищемлен был дверцей автомобиля, сфотографирован лучами Рентгена — ладонь на снимке выглядела, как вывихнутое крыло — небольшая косточка, обрисованная своим отдельным контуром. Безымянный палец левой руки, украшенный однажды колечком, теперь овдовел и лишился своего украшения. У того, который дал мне это колечко, давно уже нет пальцев, его руки сплелись воедино с корнями дерева.

Руки мои, столько раз прикасавшиеся к стынущим ладоням умерших и к теплым сильным живым ладоням. Умеющие так ласкать, что исчезает в прикосновении пространство, отделяющее жизнь от жизни и небо от земли. Руки, которым знакома боль бессилия, вцепившиеся друг в дружку, как две перепуганные птицы, бездомные, всюду ищущие вслепую следы твоих рук.

* * *

показывают мне слова
говорят
запах розы можно найти в слове

а я нахожу бумагу бумагу бумагу
ни запаха
ни цвета

я знаю
искры
когда рабочие сваривают трамвайные рельсы
а мы стоим и смотрим
два десятилетних мальчика и я
искры
гораздо больше означают свет
чем слово свет
а когда мой знакомый старик паралитик в кресле на колесиках
разгрызает кусочек хлеба который я ему подаю
в наклоне его головы
в движении челюстей
больше жизни
чем в слове жизнь

135

Moje spotkanie z Poświatowską było dla mnie dużym przeżyciem, stanowiło bowiem jak gdyby antycypację lektury tej książki. Poetka po prostu opowiedziała mi w dużym skrócie to, co miało książkę wypełnić: historię swego wyjazdu do Stanów Zjednoczonych na operację

serca, której wykonanie w Polsce nie było wówczas możliwe. [...]

Jednak kulminacyjnym punktem relacji poetki podczas naszej rozmowy, podobnie zresztą jak w przeczytanej później *Opowieści dla przyjaciela*, był nie sam wyjazd do USA i nie operacja, ale następny etap jej amerykańskiej przygody: uparta walka Poświatowskiej, by – skoro już znalazła się w Ameryce, gdzie ją dosłownie – dzięki udanej operacji – przywrócono życiu – pozostać tam dłużej i odbyć studia. Sprawa była trudna i delikatna z paru powodów: po pierwsze – wizę i zgodę na pobyt w Stanach uzyskała tylko w celu poddania się operacji, po drugie – humanitarna pomoc Polonii i fundacji Deborah Heart ograniczała się do pokrycia jej kosztów. Przedłużenie pobytu wraz z całkowitą zmianą jego motywacji zakładało konieczność uzyskania dalszej finansowej pomocy dla nielegalnie przedłużającej pobyt imigrantki, nasuwając zarazem obawy związane z ryzykiem zdrowotnym, jakie podejmowała rekonwalescentka. Krótko mówiąc, upór Poświatowskiej nie spotkał się w tym wypadku z powszechnym zrozumieniem, niektórym wydawał się wręcz gorszący. A jednak ten jej upór zwyciężył: poetka rozesłała podania do wielu amerykańskich uczelni i od kilku otrzymała odpowiedź pozytywną: wybrała dwuletnie stypendium w Smith College w Northampton. [...] Dopiero w roku 1961

powróciła do Polski, by kontynuować studia filozoficzne na Uniwersytecie Jagiellońskim, uzyskać magisterium u profesora Ingardena i nawet podjąć pracę nad rozprawą doktorską, której jednak już nie zdążyła napisać. Po poetyckim debiucie książkowym (tom *Hymn bałwochwalczy*, 1958) opublikowała po powrocie drugi tom wierszy *dzień dzisiejszy* (1963).

Kiedy rozmawiała ze mną i składała na moje ręce maszynopis trzeciego zbioru, stan jej zdrowia znów był krytyczny, czego w rozmowie ze mną nie taiła. Umówiliśmy się w kawiarni, wejście na piętro było już problemem. Jej skrótowa opowieść o własnym życiu, jak również cała zarysowująca się w moich oczach osobowość tej wrażliwej, kruchej, a przy tym uparcie walczącej nie tylko o samo życie, ale i o jego duchowy wymiar dziewczyny była czymś niezwykle przejmującym. Niebawem przysłała mi swoją *Opowieść dla przyjaciela* z miłą i przyjazną dedykacją. Widnieje na niej data 20 lutego 1967. W niespełna osiem miesięcy później już nie żyła. [...]

Jedno mogę stwierdzić z całą pewnością: ta jedyna rozmowa, którą z nią odbyłem, pozostawiła mi wrażenie kontaktu z osobą, której los nie mógł ułożyć się inaczej, gdyż zależał całkowicie od jej upartej woli. Myślę, że życie krótkie, lecz intensywne to był po trosze jej los, a po trosze jej własny wybór.

JAN ADAMSKI

OSTATNIA MIŁOŚĆ HALINY POŚWIATOWSKIEJ, AKTOR, LITERAT

Wszyscy się do niej garnęli. Było coś niezwykłego w jej usposobieniu. Nawet w chorobie, w bólu nie traciła pogody i optymizmu. Jej łagodność i dobroć serca udzielały się wszystkim ludziom. Często pomagała innym, także w szpitalu.

To była istota niezwykle cierpliwa, o bardzo łagodnym charakterze. Mimo że przeszła w Ameryce tak poważną operację serca... Mimo że miała za sobą tyle pobytów w szpitalach. Każdym gestem przekonywała, że najważniejszym, zaraz po słowie „kochać”, jest słowo „pomagać”.

Była piękna, powabna... Niestety, żyła w ciągłym zagrożeniu śmiercią. Dobrze więc, że była lubiana, że wszyscy starali się być dla niej mili.

Bardzo lubiła Jesienina. Czytałem jej często albo recytowałem z pamięci jego wiersze. Śpiewałem jej także ukraińskie i rosyjskie pieśni, o których tak mówił Kornel Ujejski: „Odgadnijcie, co rozbraja mnie z nienawiści do Rosjanów. Oto ich ludowe pieśni

smutne...”. Robiłem to z wielką przyjemnością. Z domu wyniosłem zamiłowanie do starych rosyjskich pieśni.

Z Janem Adamskim, Częstochowa 1966

Bardzo cieszyłem się, gdy Halinka odwiedzała mnie w Rzeszowie. Miła była świadomość, że może choć trochę odpocząć, kołysząc się w hamaku zawieszonym w ogrodzie domu, gdzie wynajmowałem pokój. Bardzo polubiła ją moja gospodyni [Michalina Szymończyk]. W ogóle we wszystkich Halinka wyzwalała same dobre strony.

Ktoś, kto ją widział po raz pierwszy, mógł pomyśleć, że jest młodziutką, roztrzepaną, przesadnie wesołą dziewczyną. Halinka broniła się przed myślą o śmierci, tworząc wokół siebie klimat radości i wesołości.

Zawsze była rozszczebiotana i szalenie żywa, bardzo towarzyska. Garnęła się do ludzi. Wszyscy ją lubili, bo nie sposób było jej nie lubić.

Ilekroć wspominam Halinkę, mam wrażenie, jakbym wspominał witraż w kościele – coś niesłychanie przejrzystego o kruchej, barwnej fakturze.

Kiedyś byliśmy razem w Dubrowniku. Bardzo jej sprzyjał tamtejszy klimat, będący mieszanką morskiego i górskiego. Stamtąd organizowaliśmy wypady do Kotoru – malowniczego, liczącego 11 kilometrów długości fiordu. Wieczorami słuchaliśmy jakże innych niż serbskie pieśni dalmatyńskich. Zaprzyjaźniliśmy się z kilkoma chorwackimi i serbskimi aktorami. W Belgradzie odwiedziliśmy m.in. mojego przyjaciela, wielkiego Serba i znawcę polskiej literatury, profesora Stojana Subotina. I on bardzo lubił Halinkę.

Z siostrą, Janem Adamskim i ukochanym psem Timem, Częstochowa 1967

Ostatni raz widziałem Halinę jednego z ostatnich dni wrześniowych 1967 roku w szpitalu przy ulicy Płockiej w Warszawie. Portier szpitalny na dźwięk słów „Halina Poświatowska” przepuścił mnie od razu, mimo że to nie był dzień przyjęć. Była w dobrym nastroju. Dowcipkowała i z ożywieniem mówiła mi o chorych i o lekarzach, z którymi zdążyła się już zaznajomić i zaprzyjaźnić. Wizyta była krótka. Pamiętam przestronną separatkę szpitalną o wysokich ścianach. Szpitalny stolik, na którym obok jej ulubionych książek leżał mały krucyfiks z czarnego drewna, dar od profesora Juliana Aleksandrowicza. Obok leżał też gruby tom Pisma Świętego w przekładzie księdza

Jakuba Wujka. Księgę tę ofiarowała jej siostra Małgosia i była to ostatnia lektura Haliny.

Ta druga operacja serca była konieczna i nieunikniona. Czekała na nią jak na wybawienie – ufnie, cierpliwie i spokojnie. Czekała dzielnie, bo była człowiekiem wielkiej wytrwałości i odwagi. Pożegnaliśmy się pogodnie i bardzo serdecznie. Widzę jej wiotką postać w różowym szlafroczku, jak znika mi z oczu za zakrętem oświetlonego wrześniowym słońcem korytarza. Do dziś pamiętam, jak machała mi ręką na pożegnanie. Wtedy widziałem ją po raz ostatni żywą...

Trzeciego października 1967 roku, kiedy ją operowano, byłem w szpitalu w Warszawie, lecz nie widziałem jej. Nie życzyła sobie tego. Chciała się skupić i nie rozpraszać. W kaplicy szpitalnej tego dnia odprawiona została msza święta w jej intencji i wiele osób spośród chorych przystąpiło do komunii. Wśród nich także matka poetki. Tego dnia musiałem wyjechać do Rzeszowa; obowiązki wzywały. Z Rzeszowa dzwoniłem codziennie do Małgosi, która wraz z matką czuwała na zmianę przy łożu siostry.

W ciągu tych dłużących się ponad miarę dni, od operacji aż do jej odejścia, wiadomości z Warszawy przypominały komunikaty bojowe. Małgosia mówiła mi przez telefon:

– Lekarze są zbudowani jej siłą woli, jej chęcią życia, jej cierpliwością.

– Dziś czuła się lepiej. Rozmawiała z nami.

– Dziś była bardzo słaba.

– Dziś stan był ciężki. Poważny.

– Dziś jakby lekka poprawa...

I tak przez dni osiem.

W jednym z ostatnich listów ze szpitala Halinka prosiła, bym kupił jej trochę orzechów laskowych. Wracając wieczorem z teatru, ze zdziwieniem stwierdziłem, że nie ma ich na targu. Coś mnie wtedy tknęło, bo dotąd coś podobnego się nie zdarzyło. I w domu odebrałem telefon od pani Stanisławy Mygowej – matki Halinki. Opanowanym głosem, za którym czaiła się wielka tragedia, oznajmiła, że Halinka nie żyje.

Tego wieczoru z powodu choroby jednego z aktorów odwołano przedstawienie, więc mogłem pojechać do Częstochowy. Stamtąd razem z ojcem Halinki pojechaliśmy do Warszawy. I wtedy w szpitalu na Płockiej zobaczyłem ją już naprawdę po raz ostatni. Piękną, spokojną, z uśmiechem na twarzy...

Jej pogrzeb zgromadził wielu, wielu ludzi. Za najbliższą rodziną szli, aby ją pożegnać, poeci krakowscy: Wisława Szymborska, Józef Andrzej Frasik, Tadeusz Nowak i Tadeusz Śliwiak. Nie pamiętam, czy były mowy nad grobem, czy nie. Halina Poświatowska spoczęła na cmentarzu pod wezwaniem św. Rocha

w Częstochowie obok wcześniej zmarłych siostry Elżuni i swego męża Adolfa Poświatowskiego.

FRAGMENTY LISTÓW HALINY POŚWIATOWSKIEJ DO JANA ADAMSKIEGO

czwartek czerwiec 1966 r.
[hotel Kvarner, Opatija]

No widzisz przyleciałam i tylko dwie godziny i wcale nie było źle, bardzo byłam dzielna i pocieszałam dziewczynkę w wieku Margosi, co to leciała po raz pierwszy i bardzo się bała. Do Opatiji śliczna droga – takie duże góry i małe kościółki, i kukurydza, i słońce też – wcale nie grzeje mocniej niż w Krakowie. Z Zagrzebia przyjechałyśmy [z Caroline Karpinski] po 6 godzinach i ulokowałyśmy się w tym hotelu, co już wiesz. Ekskluzywnym tuż nad morzem i z dancingiem – właśnie liryczny tenor kończy coś śpiewać – nie może skończyć – skończył. Morze ciepłe – more z zawiasem na końcu. Oddychać można, nareszcie można oddychać. Po drugiej stronie świeci Rijeka. Nie lubię ekskluzywnych hoteli. Niewdzięczna jestem. Jugosłowianie coraz lepiej rozumieją po polsku – mleko to mleko i w ogóle. Idę do kościoła i pomodlę się. I kazałam tej dziewczynie, co leciała do Rzymu, wrzucić pieniądze do fontanny, ode mnie, żeby się spełniło.

Z przyjaciółkami: Anną Orłowską (z lewej) i Caroline Karpinski, 1965

Czerwiec 1966 r.
[hotel Kvarner, Opatija]

Wczoraj miałam napad nostalgii i opowiadałam Caroline przez pół dnia o tym, co się dzieje w Częstochowie na podwórku i jak pięknie jest w Spychowie. Opatija ładna, tak, ale ja mam serce niewdzięczne i Polska będzie dla mnie najładniejsza.

[Dubrownik] Lipiec [19]66 r.

Pod oknem jest serenada – nie, to pewnie nie na naszą cześć, bo my przyjechałyśmy kilka godzin temu i jeszcze się towarzysko nie udzielałyśmy. Cykady były – do zachodu słońca, potem było bardzo cicho, aż dokąd nie wysypało się to bractwo motorówek. Niesamowite te jeziora – głębokie i spokojne i gwiazdy trochę większe niż nad morzem. Do wody boję się wejść, bo od razu za głęboko, a w drugą stronę strome skały – czuję się jak więzień. Mogę łazić tylko wąską drogą, wokół najmniejszego jeziora, bo stosunkowo płasko – ale w dzień jest na niej tyle okropnego białego słońca. Miło to będzie pamiętać w zimę, w naszą długą zimę, ale teraz to męczy i straszy. Śpiewają: boli serce moje – czy srce – bardzo rzewnie. Caroline na pewno uśnie, bo brzmi jak kołysanka [...].

HALINA POŚWIATOWSKA

ZNAJOMY z KOTORU

Tę niezwykłą historię opowiedział mi mój przyjaciel paryski w jeden z pochmurnych listopadowych wieczorów. Biegliśmy właśnie bulwarem Saint Michel, od Sekwany wiał zimny wiatr, wiatr coraz to silniejszy, kiedy moją uwagę przyciągnął klniający się nam człowiek. Dokładniej: klniący się przyjaciel-wł; mimo szczerych chęci, nie mogłem przypomnieć sobie, aby mi była znajoma ta sylwetka wysoka, zgarbiona, jak gdyby pod fizycznym ciężarem, ten ubiór zaniedbany i niestosowny na tę, bodaj najzimniejszą w Paryżu, porę roku. Człowiek, który zwrócił moją uwagę, nie tylko nie miał na sobie płaszcza, ale najwyraźniej nie posiadał także koszuli. — Pytasz skąd znam tego człowieka? Wstąpmy na róg napić się czerwonego wina i jeśli chcesz, to opowiem ci tę historię. W sam raz dobra na taki pół czas. Deszcz wisi w powietrzu i za chwilę będziemy mieli ładną ulewę. Wiatr coraz silniejszy. Pospieszmy się zanim przewidujący nie zajmą wszystkich miejsc. — Poznałem go... ale to potrwa chwilę, wolałbym abyś zdjął płaszcz, usiadł wygodnie...

Sierpień, to był sierpień, gorący, dalmatyński... Popatrz w okno, widzisz jak siecze zakosami... A teraz pomyśl o wielkim słońcu dalmatyńskim, które jest zaprzeczeniem wszystkich paryskich listopadów. O wszechobecnym, życiodajnym, mniejsza o komplet jego funkcji, mnie potrzebne są tylko dwie, ciepło i światło. Wyobraź sobie plac w słońcu, ciemnawe wnętrze restauracji z jasnym prostokątem otwartych drzwi... Stanęli właśnie w progu odcinając dostęp światłu. Spojrzałem na nich... Najpierw popatrzyłem na dziewczynę, powiesz, to zrozumiałe, niedługo wszakże, tylko tyle, ile było potrzeba, aby zauważyć jak była szczupła i jak mocno jej wąska sylwetka gięła się w kierunku tej drugiej — męskiej. Spojrzałem na niego, przypatrywałem mu się chciwie, dokładnie, musiałem mu się przyjrzeć. On, widzisz, nie był ani młody, ani szczupły, był duży, masywny, ona przy nim wyglądała jak dziecko. Siwe włosy, dobrze już przerzedzone kędzierzawiły mu się na skroniach, twarz miał dużą, pełną o szeroko rozstawionych kościach policzkowych, o nosie z lekka spłaszczonym i jasnych brwiach. Zmrużonymi oczyma nienawykłymi do mroku przeszukiwał salę... Musisz ci wyznać, że zainteresowała mnie jego twarz i mógłbym przysiąc, że nie zauważyła mnie nawet. Gdyby ją ktoś zapytał jak wyglądam — nie mogłaby odpowiedzieć. Jestem pewien, że nie dostrzegła tego, że byłem niewiele starszy od niej, młodszy może... Z bliska jej twarz nosiła ślady lekkiego zmęczenia, które postarzało ją w sposób nieuchwytny; błękitne cienie pod dużymi oczyma, dwie małe kreski obok kącików ust — jej wargi poruszały się lekko, mówiła. On uśmiechnął się do niej, wstał, z sąsiedniego stolika przyniósł jadłospis, położył go przed nią. Czytała głośno, szybko, zachłannie. Zadawała mu pytania i żądała tłumaczenia. Musiał znać barbarzyński język Serbów, bo tłumaczył biegle i po chwili z tym samym rozbrajającym uśmiechem zwrócił się do kelnerki. Jego słowa miały siłę zniewalającą, bo senna i jak zdążyłem zauważyć mrukliwa raczej dziewczyna odpowiedziała mu promiennym uśmiechem i pobiegła do kuchni. Na ceratowym blacie stołu, poplamionym papryką i oliwą, siadali jako dodatek do zamówionej przeze mnie potrawy. Nauczyłem się żądać: tylko wino, tylko befsztyk, tylko parówki, tylko, tylko, tylko, a gdy proponowano mi dalmatyńskie specjały, mówiłem zdecydowanie dziękuję i nie trzeba. Przysłuchiwałem się więc z uwagą dźwiękom, które nie były dla mnie obce, w których jednakże nie potrafiłem rozpoznać ani jednego ze znanych mi słów, zastanawiałem się nad ich etymologią, zanim jednak zdążyłem zebrać myśli, on zwrócił się do mnie z tym swoim ufnym uśmiechem — powiedział — Jesteśmy Polakami... Ona spojrzała szybko spłoszona. Przemknęła oczyma po mnie, ja mniej, ona bardziej niedbale. Drobiła ciastko na zupełnie małe okruchy, po czym zbierała je końcem widelca i kładła do ust. Być może ta zabawa zabijała gęsty smak kukurydzianego syropu. On pochłaniał już trzecie ciastko... — Jeszcze, pan pozwoli jeszcze? — Z przyjemnością — odparłem wbrew sobie i mój talerz zapełnił się nową porcją ociekającego syropem ciasta. Ona odmówiła ruchem głowy, wskazując jeszcze ciągle zajęty talerz. Jej metoda okazała się lepsza, skuteczniejsza, drobione ciastko wystarczało na dłużej i broniło przed inwazją następnych. Czwarte ciastko — dosyć. — Bakława — to wspaniała rzecz — błękit wniebowzięcia w jego oczach przeszedł w miękki odcień granatowoszary, a może to światło pochmurniało w małym wciśniętym w ciasną uliczkę sklepie. Byliśmy przecież w Kotorze, w mieście otoczonym starymi murami, o uliczkach nie szerszych niż dwa męskie rozpostarte ramiona.

Udawałem, że lubię bakławę, udawaliśmy, ona i ja. Nareszcie byliśmy w czymś razem, konspirowała mi rękę i odwróciła się do niego. Poszukała spojrzeniem jego oczu i przez moment ściągnięta twarz złagodniała w uśmiechu. Patrzył na nią z czułością i troską — taka była krucha i drobna przy nim. Przez chwilę usiłowałem wyobrazić sobie ją w rzeczywistości. Jasne są jej proporcje bez tego przytłaczającego tła, ale szybko dałem spokój. Wyrastał ponad nią, obok niej, przy niej, jego ręce szukające jej rąk, nie mogłem sobie wyobrazić jej oddzielnie od niego.

Nie wypiła wina. Poczekała aż on wypije swoje i zamieniła kieliszki. Chłopiec śpiewał coraz rozleglejszej i mężczyzna słuchał w skupieniu. W gardłowym głosie przewijały się wschodnie motywy, wyrazy zalamywały się w nostalgicznym zawodzeniu. Skończył, odstawił pustą szklankę, zasalutował w naszym kierunku, wyszedł. Wysączyłem powoli ostatnią krople ciężkiego słodkiego wina. Koniec, koniec. Wstała lekko i poszła ku drzwiom. On wyszedł za nią. Za nimi ja.

Tańczyła przed studnią — chwytała wodę w stulone dłonie, podbiegała do niego. Pochylał głowę i długo, powoli pił z jej rąk. Wspięła na palce podnosiła ręce wysoko, aż woda przelewała się poza obręb zwiniętych dłoni. Rozprysk wiała ją otwierając ręce i znowu biegła do studni. Mokrymi palcami zwilżyła mu czoło i policzki. Krople wody osiadły mu na zmierzwionych brwiach, dostały mu się do oczu, bo bezradnie mrugał powiekami. Tańcząc, wyciągnęła chusteczkę, wytarła mu twarz. Krzyknęła coś rozpościerając mokrą chusteczkę pod słońce, po czym wsunęła ją do kieszeni i znowu wróciła do niego, żeby palcami jeszcze wilgotnymi da, zanim pozwolą mi odejść. Szedłem za nimi. Ona biegła przodem i zaglądała do każdego baru. Tu nie, i tu nie, z trzeciego baru do którego weszła płynęła muzyka i odgłosy przeciągłego śpiewu. Weszliśmy tam — siedziała naprzeciw młodego chłopca, który obejmując szklankę czerwonego wina — taki, takiego, jak to, które w tej chwili stoi przed nami — śpiewał. Uśmiechnęła się do mnie, rzuciła mi spojrzenie, poprosiła o wino. Mężczyzna zawahał się, popatrzył na nią z troską, po czym wstał i pewnym krokiem podszedł do bufetu. Oparty o kontuar, profilem zwrócony w naszą stronę, pertraktował z małym ciemnookim barmanem o wydatnym nosie. Chłopiec śpiewał. Mężczyzna powrócił i wzrokiem pełnym kontemplacji przywarł do jego twarzy. Wtedy odgadłem. Ona słuchała dla niego. Nie tego, który śpiewał, ale dla niego słuchającego razem z nią. Czarnooki barman o ptasim nosie ustawił przed nami trzy miniaturowe kieliszki. Skinęła głową, uniosła kieliszek w górę — i kiedy on, powtarzając jej gest przybliżył swój kieliszek do jej kieliszka, potrącone szkło wydało lekki brzęk — dopiero wtedy umoczyła w winie ładnie zarysowane usta.

Wysoki rząd schodów. Podniegła i przystanęła przed nimi, głowę przechyliła na bok. Wyglądała jakby się dziwiła, liczyła może... Potem szybko odwróciła się w tył, popatrzyła na niego. W jej oczach był znowu wyraz popłochu. Pospieszył ku niej i ujął jej rękę. Ucyrnił taki gest, jak gdyby chciał ją podnieść, ale ona, rzuciwszy na mnie ukośne spojrzenie, wyrwała się, jak krnąbrne dziecko. Nie, nie! — Rozpoczęli ruch głowy, odetargi miały jednoznaczny wyraz. Ruszyła się w kierunku schodów. Chwycił jej łokieć, łagodnie, ale stanowczo hamował jej kroki. Postępowałem za nimi. — Mam słabe serce — wyjaśnił mi zwracając się ku mnie — nie mogę iść szybko po schodach. Zadyszana, odwróciła się gwałtownie, przystanęła. Kłamca, kłamca — krzyknęła po francusku — to ja mam wadę serca, to ja nie mogę chodzić, a on kłamie, żeby mi nie było przykro!... Zamilkła i ukryła zarumieniona twarz na jego ramieniu. Nie protestowała gdy podniósł ją lekko, przycisnął do siebie i ciężkim krokiem począł się wspinać do góry.

Stali tam wszyscy troje w otwartych drzwiach kościoła, ona pierwsza, my za nią. Oddychała szybko, chwytała powietrze uchylonymi ustami, patrzyła przed siebie. Kościół był pusty i zaniedbany, jedynie zabytkowy ołtarz świecił w głębi posrebrzaną romańską płaskorzeźbą. Odetchnęła głęboko, odzyskując utraconą oddech i bez słowa ruszyła przed siebie. On pociągnięty jej nagłą decyzją poszedł za nią. Zatrzymała się przed samym ołtarzem i ukląkła na wypolowanym, wzorzystym niegdyś dywanie. Z dwóch okien prawie prostopadłe umieszczonych ponad jej głową spływało słońce, pyłki kurzu tańczyły w powietrzu. Klęczała ze złożonymi rękoma. Widziałem jej delikatne brązowe palce o równo obciętych paznokciach — przypominały dłonie dziecka. On klęczał obok niej. Jego dłonie były takie złotoże. Dłonie — na jednej z nich połyskiwała obrączka. Popatrzyłem szybko na jej ręce, nie, nie były ozdobione kościoła, prawda? W jego głosie była zniewalająca prośba. Skinąłem głową, działałem pod wpływem niezrozumiałego impulsu, w głowie mej nie powstała myśl, że mógłbym nie pójść. Dopiero potem, potem... teraz ciągle jeszcze byli mi niezbędni, a raczej to ja im byłem niezbędnie potrzebny. Ale i to zrozumiałem dopiero potem.

[Dubrownik] 10 VII [19]66 r. środa

Dubrownik taki śliczny i chciałabym wszystkie uliczki zachodzić, ale się znowu nie da. Gorąco i tylu ludzi, i wszystkie ścieżki pną się pod górę. Dzisiaj siedzę na plaży i Caroline pójdzie do miasta sama. Mam wspaniały leżak i dwie gruszki [...].

[Dubrownik] Lipiec [19]66 r.

Wczoraj były gwiazdy – takie zupełnie duże i spadały, spadały... Leżałam na naszej ścieżce, a potem były gwiazdy w jeziorze też i woda była zupełnie cicha, i znowu było strasznie.

To miejsce jest do oglądania, ale nie żeby żyć w nim. A jednak tam, gdzie teraz jest hotel, to był kiedyś klasztor i oni tu mieszkali całe lata – hm! Tęsknię wpierw za Wami, a potem pewnie za Polską – ojczyzną też trochę.

Listy i świadectwa

HALINA POŚWIATOWSKA DO JANA ADAMSKIEGO

[Paryż] 14 X 1966[1]

Ça va mieux, mój najmilszy, ça va mieux.[2] *Byłam w muzeum i widziałam tę dziewczynę, co to harda taka, właśnie dlatego piękna, że harda*[3] *— i tę, co bez głowy, za to ze skrzydłami takimi.*[4] *Fajnie nie mieć głowy! I Fra Angelico, co najpiękniejszy i da Vinci — perfidny ten da Vinci — i wróciłam wydawszy sobie to, co powinno starczyć na cały tydzień. Nie starczyło. Tak już ze mną. A teraz mocno Cię całuję i pisz do mnie, bo zwariuję! Jest ciepło i ślicznie — a na drugiej stronie to jesteś ty*[5] *—*

Halina

[1] Od 8 X 1966 roku Halina Poświatowska przebywała w Paryżu na zaproszenie francuskiego rządu. Upragnione stypendium pozwoliło jej na dwumiesięczny pobyt w stolicy Francji.

[2] Jest lepiej, mój najmilszy, jest lepiej.

[3] Prawdopodobnie mowa o Wenus z Milo — najpiękniejszej greckiej rzeźbie Afrodyty (ok. 150-125 roku p.n.e.), przechowywanej w paryskim Luwrze.

[4] Posąg Nike z Samotraki — jedna z najsłynniejszych rzeźb greckich, przedstawiająca zwycięską Nike (ok. 190 roku p.n.e.).

[5] Na kartce przysłanej z Paryża widnieje słynny obraz Giotta z muzeum w Luwrze — „Święty Franciszek nauczający ptaki" (XIII/XIV w.).

[Paryż] 15 X 1966

Jaś kochany!

Nie mogłam spać dziś w nocy, myślałam o tobie; nagle bałam się znowu, tak strasznie, że mogłoby cię nie być — zapaliłam światło i otwarłam okno szeroko — ale to nie pomogło, bałam się i tak. — Pszczoła do mnie przyszła, trzeba ją wysłać, tak, już, już poleciała. — Potem czytałam panią Nathalie Sarraute — a potem było rano...

Wczoraj widziałam tyle zupełnie prześlicznych rzeczy — byłam w Luwrze — nie, nie będę opisywać — wyszukałam dla Ciebie kartkę ze świętym Franciszkiem, bo bardzo kocham świętego Franciszka — pewnie był akurat taki jak ty. A ja jestem to największe ptaszysko, co to jest zazdrosne o wszystkie inne i nie słucha kazania, tylko przyszło się najeść.

Dziś pójdę pooglądać jednorożca — w Cluny — pojadę tam ślicznie autobusem zaraz po obiedzie — znalazłam sobie taki jeden autobus co mnie wozi i nie trzeba wspinać się po

[2 X 1967 (?)][1]

Przepiórko wystraszona!

nie helikopteruj dokoła kliniki. Siedź grzecznie i słuchaj mamy. Lękę mam, ale stosunkowo małą.

Całuję Cię mocno
Halina

[1] Ostatnia wiadomość od Haliny Poświatowskiej nie nosi żadnej daty. Karta pocztowa, zaadresowana: W-ny Pan Jaś, została prawdopodobnie przekazana czekającemu na zewnątrz kliniki panu Adamskiemu w poniedziałek poprzedzający operację.

Jan Adamski — aktor, pisarz, kolekcjoner strojów i haftów podolskich; ur. w 1923 roku w Buczaczu nad Strypą. Po wojnie trafił do Krakowa, gdzie rozpoczął studia prawnicze, a następnie naukę w studium teatralnym Iwo Galla. W 1946 roku, już jako członek zespołu Teatru Rapsodycznego w Krakowie, zdał państwowy egzamin eksternistyczny. W latach 1954-66 związany ze Starym Teatrem, gdzie zagrał kilka znaczących ról, m.in. Bubnowa w „Na dnie" Maksyma Gorkiego, w reżyserii Lidii Zamkow. Następne lata spędził w Rzeszowie, w Teatrze Objazdowym im. Wandy Siemaszkowej, by w 1972 roku powrócić do Krakowa, tym razem do zespołu aktorskiego Teatru im. Juliusza Słowackiego.

Jest barwną postacią krakowskiego świata artystycznego. Znany ze swego złotego serca, niewyczerpanego optymizmu i niezliczonej ilości przyjaciół... W swych zbiorach posiada listy siostry Jesienina — Aleksandry Aleksandrownej, poetki Beaty Obertyńskiej, a nawet samego Ojca Świętego Jana Pawła II. Jest autorem dwóch książek („Odwiedziny", „Przed odlotem") i wielu opowiadań. W najbliższym czasie ukaże się kolejna, przygotowywana przez krakowskie Wydawnictwo „Zebra" pozycja pt. „Batiar".

[Paryż] 14 X 1966

Ça va mieux, mój najmilszy, ça va mieux [Jest lepiej, mój najmilszy, jest lepiej]. Byłam w muzeum i widziałam tę dziewczynę, co to harda taka, właśnie dlatego piękna, że harda [Wenus z Milo] – i tę, co bez głowy, za to ze skrzydłami takimi [Nike z Samotraki]. Fajnie nie mieć głowy! I Fra Angelico, co najpiękniejszy i da Vinci – perfidny ten da Vinci – i wróciłam wydawszy sobie to, co powinno

starczyć na cały tydzień. Nie starczyło. Tak już ze mną. A teraz mocno Cię całuję i pisz do mnie, bo zwariuję! Jest ciepło i ślicznie – a na drugiej stronie to jesteś ty [na kartce obraz Giotta *Święty Franciszek nauczający ptaki*] –

Halina

[Paryż] 15 X 1966

Jaś kochany!

Nie mogłam spać dziś w nocy, myślałam o tobie; nagle bałam się znowu, tak strasznie, że mogłoby cię nie być – zapaliłam światło i otwarłam okno szeroko – ale to nie pomogło, bałam się i tak. – Pszczoła do mnie przyszła, trzeba ją wysłać, tak, już, już poleciała. – Potem czytałam panią Nathalie Sarraute – a potem było rano...

Wczoraj widziałam tyle zupełnie prześlicznych rzeczy – byłam w Luwrze – nie, nie będę opisywać – wyszukałam dla Ciebie kartkę ze świętym Franciszkiem, bo bardzo kocham świętego Franciszka – pewnie był akurat taki jak ty. A ja jestem to największe ptaszysko, co to jest zazdrosne o wszystkie inne i nie słucha kazania, tylko przyszło się najeść.

Dziś pójdę pooglądać jednorożca – w Cluny – pojadę tam ślicznie autobusem zaraz po obiedzie – znalazłam sobie taki jeden autobus co mnie wozi i nie trzeba wspinać się po tysiącu schodów w metrze. A schodów to w ogóle mnóstwo – i wszyscy biegają po nich, jakby w ogóle nie mieli ani serc ani nóg – czasem zazdroszczę – mam tę brzydką skazę na charakterze.

W przyszłym tygodniu postaram się wedrzeć do Sorbony i nawiedzę ambasadę naszą, rodzimą, co to miałam iść do niej zaraz na początku. Nie poszłam – ambasada może czekać.

A teraz przyszła miła pani, co to zarządza tym studenckim hotelem dla dziewcząt (znowu dla dziewcząt!) i musiałam gadać po francusku – Jaś najmilszy, żebyś ty wiedział jaki ja bałagan wprowadzam w ten

śliczny język; no i co będzie, no i co?! Pisz do mnie, kochanie, pisz prawdę; a jeśli prawda będzie smutna – to ja najpierw przepiję te pieniądze, co mi zostały – a potem mogę się nawet utopić w Sekwanie. To będzie fajnie i z tradycją! Tęsknię za tobą jak wariatka i tak mi ciężko, kiedy myślę, że trzeba się bać – powrotu. Całuję Cię mocno, mój jedyny – nie ma Cię, nie ma Cię zupełnie – całuję Cię –

Halina

CENTRE RÉGIONAL DES ŒUVRES UNIVERSITAIRES ET SCOLAIRES
39, Avenue de l'Observatoire - PARIS V^e^

M. Poświatowska Halina
né le 9 juillet 1935
à Czechowice
Nationalité : Pologne
Faculté ou école : Faculté des Lettres
Adresse : Résidence Universitaire
61 rue Faubourg

a été invité à poursuivre ses études en France, en qualité de Boursier du Gouvernement Français.

Paris, le : 10/10/66
Le Directeur :

Signature de l'étudiant :
Halina Poświatowska

Carte N° PLCDA 1070

Tout changement d'adresse doit être signalé sans retard au service de l'Accueil.

Legitymacja studencka, Paryż 1966

[Paryż] 19 X 1966

Jaś kochany,

Znowu byłam w dwóch ślicznych muzeach, panią z jednorożcem też widziałam [...] to już razem w czterech muzeach i Dzielnica Łacińska, moja, prawie cała przemaszerowana, to chyba dzielnie jak na tego słabszego z dwóch kisynów [tak nazywała Halina siebie oraz młodszą siostrę Małgosię], co? I jeszcze wczoraj nie byłam pewna – a dzisiaj to już wiem, że Kraków jest najpiękniejszym miastem na świecie... Żeby jeszcze klimat miał inny, żeby to taki, jak tutaj, wiesz, wiatr musi przychodzić znad samego oceanu – szeroki taki i tak się nim dobrze oddycha i – to zupełnie dziwne – mogę chodzić, męczę się, ale szybko odpoczywam i łażę dalej. Miły, dobry wiatr...

Jaś – gdzie jesteś? Tęsknię za tobą i za tym miejscem gdzie jesteś, dlatego musisz mi powiedzieć, gdzie i jak to jest. Jeszcze ciągle nie ma listu od ciebie – pewnie nie może jeszcze być – a ja już chodzę koło skrzynki i zaglądam. I czekam tak bardzo i... boję się tego listu, bo jeśli będzie w nim znowu za mało, to co, to co... To nie, nie martw się Jaś, zapalę jeszcze jedną świeczkę w Notre Dame, przejdę jeszcze jedną, może dwie ulice – usiądę gdzieś sobie, przed czymś ładnym usiądę. Z parku za Luwrem przyniosłam sobie dzisiaj liść klonu – ogromny – wisi nad lustrem teraz – na ścianie. Jeszcze ich zostało dużo, szeleszczą i pachną. Smutno mi jest coś – policzyłam dni – jeszcze 40 zostało, „jeszcze”, czy „już tylko”. Nawet tego nie wiem. Całuję Cię [...] –

Halina

[Kraków] sobota 15 I [19]67 r.

Halniak wiał całą noc i jeszcze dzisiaj. Trudno mi było prowadzić ćwiczenia. Musiałam przerwać w połowie godziny, otworzyć sobie szeroko okno i pooddychać zimnym powietrzem. Studenci byli trochę

zdziwieni, ale siedzieli cicho. Skończyłam wcześniej i przyszłam do domu, i załadowałam się do łóżka z całą biblioteką na kołdrze. I zamiast ich nauczać tego, co inni już wymyślili, to sama wymyślam filozofię. I teraz muszę sprawdzić, czy aby całkiem głupio nie wymyślam.

[Częstochowa] 30 I 1967

Jaś kochany!

Gdyby nie moje podłe serce – mogłabym być z tobą w tej chwili, byłabym z tobą, bo kto by mnie odwiódł od tego pociągu, co to jedzie do Rzeszowa. Ale nie mogę, Jaś, nie mogę.

Zła byłam i jestem – płaczę i nie potrafię sobie ze sobą dać rady. To taki trudny okres; okres, w którym jestem na tyle mocna aby wszystkiego chcieć, a kiedy próbuję zrobić cokolwiek to plecy bolą i duszno – i na poduszkach wysoko leżeć trzeba i... I co ci ze mnie, Jaś?! No co?

Kot śpi ze mną, mama pokrzykuje na Tima, Margoś uczy się czegoś na kanapie – nieznośny ten dom, kiedy się chce być gdzie indziej i z tobą. Będziemy – być może, że będziemy – ale ja mam serce jak memento, co to przeszkadza wierzyć nawet w to.

A ty się nie martw – śpij dużo, maszeruj dużo i nie objadaj mi się ciastkami – już ja znam twoje sposoby szerzenia sympatii.

I o mnie myśl – nie za dużo, a jeśli – to nie o mnie tej ostatniej z histerią szpetną i ozorem.

Całuję Cię mocno w ten poniedziałek –

Halina

[Kraków] 17 II 1967

Jaś kochany,

[...] W domu źle Jaś bez ciebie, a tutaj [w Krakowie] – tutaj tak pusto, jak na zupełnej pustyni, ale dobrze mi tak, bo nareszcie wiem, jaki Ty musisz być sam w Rzeszowie. I że dla mnie tam jesteś taki sam – mój najmilszy, mój jedyny, jakże chętnie spakowałabym św. Augustyna i koszulę – i pojechała do ciebie. Ale widzisz, jeszcze nie mogę. Jeszcze muszę trochę wzmocnieć, żebyś nie miał ze mną kłopotu, żebym jednak potrafiła uwarzyć śniadanie i kolację, jeśli nawet nie tobie, to przynajmniej sobie. I żebym mogła pójść z tobą na spacer – na mały.

Bądź zdrowy, mój kochany, jeszcze trochę poczekaj, a potem już będę przyjeżdżać do ciebie. Bardzo dzielnie pociągiem – a potem ty do mnie, a potem...

(2 godziny później)

Wiesz, co twój bohater zrobił – wsadził pysk w poduszkę i pospał sobie [...] i od razu jest odważniejszy. [...] Już się nie martw o mnie Jaś, już będę dzielna, tylko musisz zawsze mnie kochać i musisz być ze mną, chociażby nawet daleko, ale ze mną.

Całuję Cię kochany, bardzo mocno –

Halina

[Kraków] 19 II [19]67 r. niedziela

Czytam świętego Augustyna – bardzo piękny, tylko jak zwykle straszne są te pobożne komentarze bogobojnych i przytępawych ojczaszków – jest wprawdzie na nich sposób – a mianowicie – nie czytać po prostu. I Gandhi jest na pewno do św. Augustyna podobny. Na pewno!

[Kraków] 28 II [19]67 r.

Za oknem jest burza – wiatr taki straszny i deszcz, i nawet przed chwilą był grad – i dusi mnie troszkę, i smutkom trudno się opędzić, chociaż próbuję jak mogę. Może jednak powinnam przestać? – uczyć – może powinnam przestać? – tak chcę żyć przecież, a to pewnie mi szkodzi – uczenie znaczy. Trudno nie uczyć, a i uczyć coraz trudniej. W tej chwili na przykład jestem uzależniona od najmniejszego kaprysu pogody. I kiedy stoję przed nimi, i nie mogę złapać oddechu – to jest mi bardzo źle i trudno uwierzyć, że przyjdą dni pogodne. I wieczór się zrobił i trzeba iść spać – i jutro iść znowu na ćwiczenia. Boję się – zaczęłam się bać, odkąd wiem, że może mi zabraknąć oddechu, albo (to uczucie chyba znasz), że mogę nagle zapomnieć słowa, jakiegoś terminu w pół zdania, i że trzeba będzie tak niezbyt składnie skończyć [...].

Halina Poświatowska
własnoręczny podpis ubezpieczonego

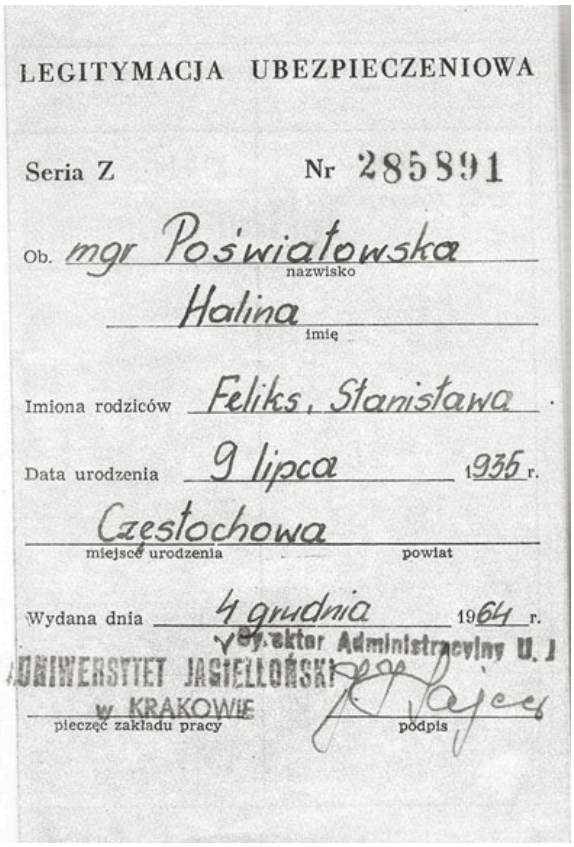

LEGITYMACJA UBEZPIECZENIOWA

Seria Z Nr 285891

Ob. mgr Poświatowska
nazwisko
Halina
imię

Imiona rodziców Feliks, Stanisława

Data urodzenia 9 lipca 1935 r.

Częstochowa
miejsce urodzenia powiat

Wydana dnia 4 grudnia 1964 r.

Dyrektor Administracyjny U. J
UNIWERSYTET JASIELLOŃSKI
w KRAKOWIE
pieczęć zakładu pracy podpis

Jaś kochany głuptasie,

[...] Załatwiam sobie urlop [naukowy]. Obłaskawiam Hempolińskiego, Leszczyńskiego, jeszcze trzeba Kochańskiego [...] i pisemnie Rektora [prof. dr Mieczysław Klimaszewski]. Tylko na rok, ale rok to dużo, na pewno przez ten czas coś godziwego w sensie pracy przygotuję. Przeczytałam prześliczny rozdział o czasie u Świętego i śpiąca jestem, okrutnie śpiąca – już nie mam siły czytać nic bardzo mądrego, tylko najwyżej kawałek powieści po francusku. *Carmen* to już umiem prawie na pamięć – bardzo wspaniały jest ten Mérimée. Nie gniewaj się na mnie, że nie chcę do ciebie przyjechać. Po prostu jestem słaba, dlatego musisz poczekać, aż będę mocniejsza. A w przyszły poniedziałek – no to wiesz – wtorek, środa – ćwiczenia i potem podróż do Częstochowy – znowu gotowa być nad te moje mizerne siły. A ja muszę je szanować, oszczędzać je muszę i gromadzić jak jakiś wstrętny skąpiec. Ale dla ciebie przecież gromadzę, więc nie wolno, nie trzeba żebyś był smutny. [...] zdaje się, że będziesz musiał przyjechać po mnie, zatulić (nie wiem w co zatulić) i zabrać sobie. Albo porwać. Jedną dziewczynę w Bieszczadach to on (On) porwał konno. Potem nawet filmy o nich kręcili. Żyją gdzieś w namiocie i stację turystyczną budują. Margosia opowiadała – z wypiekami na twarzy opowiadała. No to przyjedź konno (gdzieś jeszcze konie powinny być) i porwij mnie do tego namiotu. I ja już wtedy nigdzie nie pójdę. No to już wiesz.

[...] Dobranoc Jaś [...]

[Kraków] 5 III [19]67 r.

Margoś dziś przyszła i zabrała mnie do „Warszawianki” na obiad – tam się je bez soli, a potem namówiła na Hasiora i poszłam. Trochę mnie zmęczyło, ale bardzo się opłacało to zmęczenie. Ten Hasior jest absolutnie genialny. Filozof on jest i prorok.

Tam są zupełnie fascynujące historie zrobione z chleba, starych wyżymaczek, gwoździ i wytartego futerka. Anioły latają, pod

skrzydła z odrzutowcami.

[Kraków] 6 marzec [19]67 r.

Teraz za małą chwilę zabiorę się do naszego świętego mediolańsko-częstochowskiego i jeszcze przedtem trochę poczytam o Plotynie – zawsze lubiłam tego Plotyna, ale jakoś nigdy nie miałam czasu, żeby go się nauczyć. Teraz mam całe *Enneady* i jak przeczytam, to Ci opowiem dokładnie. We wrześniu poproszę pana dziekana o urlop bezpłatny na rok, albo nawet na dwa lata na robienie pracy doktorskiej. Chyba powinno to się załatwić.

[Kraków] 7 III [19]67 r.

Żywopłot i sad, i droga, po której nie hulają stada aut i pole, co już niedługo będzie zielone. Tak mieszkam. Profesor [Julian Aleksandrowicz] także z zagranicy wrócił chudy i trosk pełen, przynajmniej tak wygląda, jakby ta ludzkość nie chciała mu się poprawić. Potem ucho przyłożył pod mą pierś lewą i powiedział: „Powiedz, czemu ci teraz serce bije dużo spokojniej?”.

[Kraków] 14 III [19]67 r.
wieczorem

Nic nie umiem o nieskończonościach. Dzisiaj zrobiłam w głowach kilku uważających studentów (szczęściem, reszta drzemała błogo) straszny bałagan i teraz wyprowadziłam z półek wszystkie książki, gdzie to jest, ułożyłam w stos na dywaniku i krążę koło nich. Pewnie mądrzejsza z tego nie będę, ale mam mnóstwo dobrych chęci. Pewien

student podbiegł dziś w pąsach i rzekł „Ach, pani magister (to ja) mam jedną nieobecność! Cóż mam począć, żeby to jakoś odrobić?”. Najpierw chciałam mu zaproponować, żeby mi umył podłogę na święta, a potem powiedziałam, niech się pan nie trapi, bo jeszcze pan w ciężką chorobę wpadnie. I poszedł z bardzo niepewną miną. Taki ze mnie urwis.

[Kraków] 15–16 III 1967

Włóczęgo mój najmilszy,

Środek nocy a mnie się spać nie chce. Mapę starą na szafie znalazłam, do łóżka sobie przywlokłam i śledzę za tobą. Bardzo daleko jeździsz – cyganie kochany, jedyny, kochany. I Jarosław znalazłam i Lesko i Sanok i Wolę Stalową – i zmęczony pewnie wracasz i śpisz – i już dwa dni nie było listu. Od ciebie.

Margoś zrobiła to, że zaraziła mnie katarem i teraz mam nos czerwony, powycierany taki i aspiryną się karmię. Na szczęście jutro dzień wolny, to sobie posiedzę w domu i przejdzie. Musi przejść. Przysłali dzisiaj antologię *Dla zakochanych* [Wiersze polskich poetów, wybrała Barbara Olszańska, Warszawa 1966] i tam są cztery moje wierszyki, a może tylko trzy – zaczyna się od Kochanowskiego a na Iredyńskim się kończy – (prawie) – straszne, co? [...]

Mapę oglądam – a potem – wiesz – zafundujemy sobie paszporty do ZSRR – zagraniczne i pojedziemy oglądać Lwów i Buczacz. Pokażesz mi Strypę co to do Dniestru i Dniestr i wieś i ziemię... Ziemia ważna i ostatecznie to nic nie szkodzi że zagraniczna się zrobiła. Nie musimy być takimi strasznymi nacjonalistami. Po prostu pojedziemy sobie popatrzeć – tylko, czy pozwolą – lepiej niech pozwolą.

Jaś, Jaś kochany, bo widzisz, najbardziej lubię z tobą mówić kiedy jestem śpiąca i wiesz co jeszcze – odkąd jesteś, kochany, to mogę siedzieć godzinami w tym pokoju i nigdy nie wydaje mi się pusty. I nigdy na nikogo – bo ty nie możesz tu przyjść – czekam, no, może

tylko na kisyna małego, ale tylko na nią i na nikogo więcej. I kiedy jestem sama, to nie jestem sama – tylko z tobą. Oglądam sobie twoje kartki, albo twój pysk na zdjęciu (co je mam!), albo po prostu tęsknię za tobą. I wtedy – Jaś – mówię – Jaś. Niedługo – mówisz – długo jeszcze – jeszcze 7 dni. Jeszcze trzy ćwiczenia, jeden dyżur; jeszcze do fryzjera włosy przyciąć (bo odrastają!), do profesora – życzyć świąt – i – już pewnie wszystko. A teraz to się uczę Kartezjusza. Całuję Cię, kochany, mocno, najmocniej – zdrowy bądź i mój bądź, bo cię bardzo kocham

Halina

[Częstochowa] 1967 r. marzec
wtorek, a może już nie?

Wszyscy tak mocno śpią i Tim, i Mama, i Margosia, i tylko ja sobie siedzę, dokładnie obtulona, i właśnie kończę ten rozdział o dowodach na istnienie Boga. Bardzo misterne te dowody-wywody, tylko zupełnie niepotrzebne, no bo tak, jak ktoś wierzy, to mu żaden dowód niepotrzebny, a jak nie wierzy – to te dowody nie przekonują, wcale nie. Ale się nauczyłam, ontologicznego, to nawet w dwóch wersjach [...].

[Kraków] poniedziałek 3 IV 1967

Jaś kochany,

Czy ja ci podziękowałam za czekoladki – jeśli nie, to znaczy, że jestem podła i że łeb mam nabity innym czymś. A dzisiaj dostałam jeszcze całe 500 zł – strasznie ci się opłaca pożyczać pieniądze skoro z takim niezmiernym procentem zwracasz, jak przyjadę do ciebie, to ci, kochany, pożyczę znowu. A czekoladki były bardzo dobre –

marcepanowe rządki (3 rządki) zjadłam sobie sama, a resztą dzielimy się uczciwie z Margosią [...].

Piszesz, że robisz zakupy i zrobiło mi się zazdrość i poszłam, podreptałam do PKO na piętro i kupiłam koc – wspaniały, w kratę ogromną, wełniany i puszysty za całe 12 dol. Teraz się w niego zawinęłam i siedzę sobie. Nawet martwić się raźniej w takim kocu. To jest dla mnie, ale u ciebie – to znaczy, on będzie rezydował w Rzeszowie i będzie do zatulania na leżaku i do przykrywania w nocy. Zobaczysz, jaki miły.

I jeszcze kupiłam humoreski Awerczenki i połowę przeczytałam przy obiedzie – dobre, chociaż nie takie jak Zoszczenki; trochę, trochę smutniejsze. [...]

Halina

[Kraków] 18 IV 1967
wtorek – wieczorem

Jaś kochany,

W koc zakutana po uszy przyjechałam do Krakowa i było brzydko i zimno okropnie, tak że na przystanku taksówek też sobie stałam w kocu – i dzięki temu nie przeziębiłam się chyba. Potem dzielnie pomaszerowałyśmy z Margosią na obiad, a potem na ćwiczenia. Nie umiałam zbyt wiele, chociaż w pociągu doczytałam te dwadzieścia stron – ładnie było, zielono za oknem – ale ćwiczenia poszły dobrze, bo duch nowy we mnie wstąpił. Nagle przypomniałam sobie wszystko to, co mówiłam rok temu przy podobnej okazji i wypadło całkiem mądrze. Za to oni nic nie umieli, więc profilaktycznie powstawiałam parę dwój. Oni i tak wiedzą, że to nie na serio, ale jak się bawić, to czemu nie na wszystkie możliwe sposoby. No to dzisiaj byłam pan magister groźny.

[...] I list do mamy napisałam i prosiłam, żeby się o poduszkę postarała, bo mi potrzebna całkiem własna w Rzeszowie. I wiesz co

zrobię, spróbuję kupić maciejkę, mnóstwo maciejki, i skopiemy sobie malutki kawałek pod oknem (u nas) i zasiejemy tam maciejkę, to nam będzie ślicznie pachniało cały czerwiec i lipiec – zobaczysz, jak będzie fajnie. I oprawię te dwa obrazki, co mi dałeś, i przywiozę – to sobie powiesimy na ścianie zamiast tego zielonego paskudztwa [...] – i... ach, Jaś to bardzo miło myśleć, że się ma dom, wreszcie gdzieś dom i że nie jesteśmy już tacy zupełnie biedni i bezdomni. [...] No to już cię całuję, mocno cię całuję – i idę pouczyć się trochę. Naprawdę pouczyć.

Futereczko bądź zdrowe – kładź sweterek w zimne dni i czekaj na mnie

Całuję Cię –

Halina

wtorek, czerwiec 1967 r.
(Kopernika 17, III Klinika
Chorób Wewnętrznych, sala IV)

Profesor najmilszy na świecie, ale o wypuszczeniu mnie słyszeć nie chce. Konsylium może będzie w piątek, jeśli nie – to dopiero w przyszłym tygodniu, tymczasem karmią mnie tym co przedtem, z dodatkiem tabletek nasennych. Mówił, że serce lepsze, ale od tych wszystkich trosk boli mnie wątroba – on zresztą mówi, że nie od trosk, tylko od serca... No to będę tu, dokąd każe.

[Kraków] 16 VI [19]67 r. piątek

Cewnikowanie im wypadło bardzo pięknie, to tylko mnie łapa boli i to prawa – bo prawą kroili. Profesor wręcz dumny z siebie i pewnie

mnie już z łap nie wypuści, a jeśli to tylko na chwilę – i będę musiała leżeć, leżeć, leżeć [...].

[Kraków] 17 VI 1967 sobota

Dobrze przewidziałam – profesor już mnie nie puści, 6 tygodni będę leżała tu, a potem do Warszawy. Zamówiłam sobie mamę na lipiec, żeby mnie karmiła, pewnie przyjedzie.

[Kraków] [19]67 r. lipiec

Był profesor, powiedział, że mu się we mnie różne rzeczy podobają takie np. jak wątroba i że czekamy (my czekamy: on i ja) na termin i jak nas zawiadomią, to jedziemy. Rozglądaj się czy leszczyny nie rosną w Borowej nad Wisłą i jeśli rosną, to podwędź trochę orzechów.

[Kraków] Czwartek, wrzesień 1967 r.

Profesor Aleksandrowicz pobiegł do profesora Króla i dzwoniliśmy do prof. [docenta] Sitkowskiego prawie cały dzień, i ten powiedział, że do końca września wyznaczy termin. No, to znaczy – czekamy, a już bardzo mi się nie chce [...].

[Warszawa] 21 IX [19]67 r.
ul. Płocka 26, oddział VI, sala 16

Jestem od wczoraj w nowym szpitalu i jeszcze bardzo się boję, i nic nie wiem. Obejrzeli mnie pobieżnie, zrobili kilka badań i nic nie powiedzieli. Jeden pan doktor tylko pofalował rzęsami nad moją wątrobą i powiedział: „ładną pani książkę napisała, właśnie się zastanawiam, co oni tam pani zrobili” (z sercem), a w kalendarzu u siostry oddziałowej pod datą 20 IX 67 r. pisało „serce z Krakowa”.

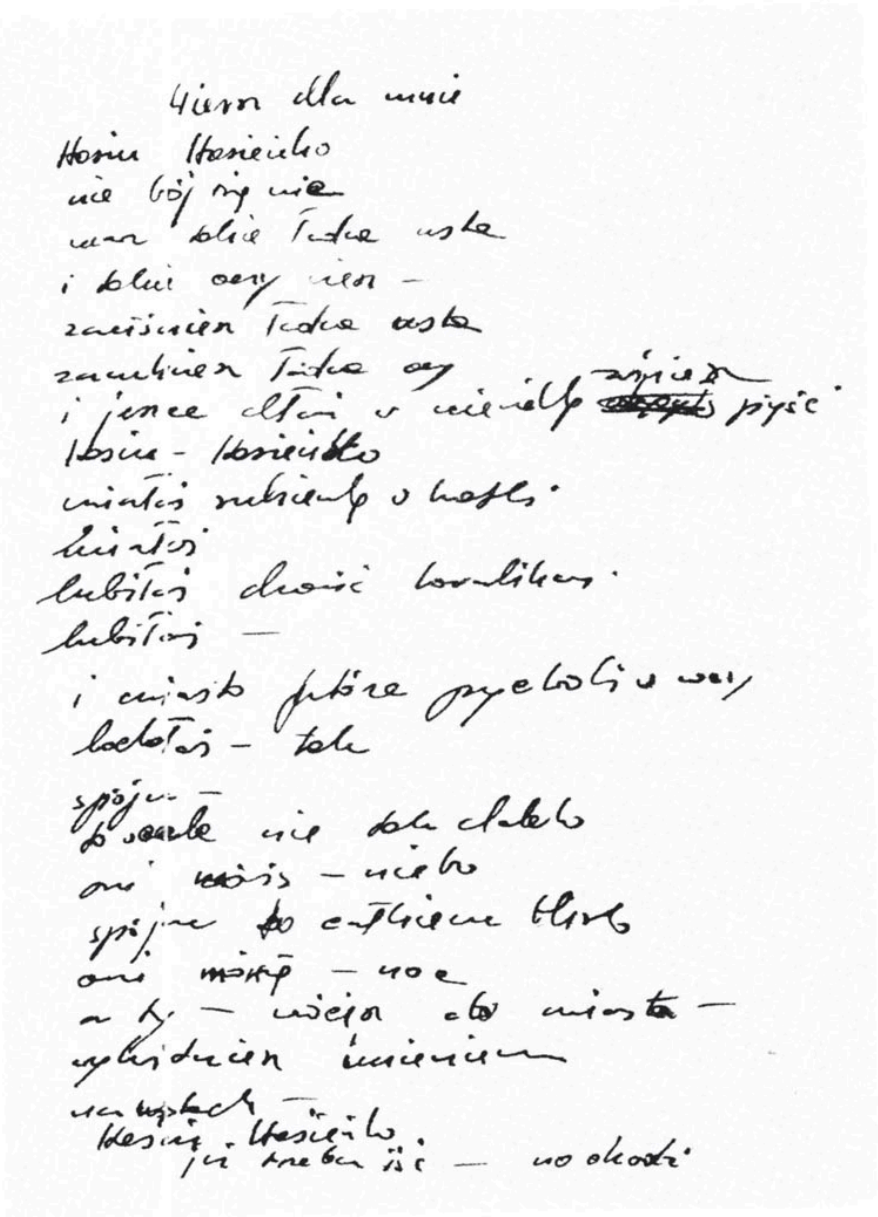

[Warszawa] 27 IX 1967

Jaś futerkowa przepiórko,

Dzisiaj był profesor ten na M – nie wiem jak go się pisze [Leon Manteuffel-Szoege] i bardzo się ucieszył, że mnie znalazł i powiedział, że już odpisał profesorowi Ingardenowi, że się mną zajmie. I prof. Aleksandrowicza mają sobie na operację wezwać. Powiedzieli, że mam ogromną niedomykalność, a poza tym już nic. Bardzo się bałam, a teraz już mniej. Mama zaraz przyjdzie i trzeba będzie znowu cały dzień jeść. Okropnie dużo gadam – całe dnie. [...] wszyscy zdrowieją raczej ładnie. Aż trudno uwierzyć. Bo przedtem, wiesz, to tak nie zdrowieli. Nie bój się, przepióreczko, i znowu przyjedź do mnie. Albo się bój – do towarzystwa. [...]

I już nie mam co pisać. Całuję Cię mocno

Halina

[Warszawa] piątek [29 IX 1967]

Jaś kochany,

Jednak już we wtorek [operacja], dlatego chcę odwołać twoją poniedziałkową wizytę. Nie złość się, przepiórko, ale lepiej żebym sobie w ten poniedziałek poleżała grzecznie i zwyczajnie bez żadnej metafizyki i roztkliwiań. Ja wiem, że ty jesteś dzielna przepióra, ale umówiliśmy się, że w ostatni dzień tuż przed nie przyjedziesz no to dotrzymaj umowy.

Odkąd wiem, już się zupełnie nie boję, tym bardziej że z prof. M. zaprzyjaźniliśmy się nadzwyczajnie. Mówi, że w tym gimnazjum, gdzie Ingarden uczył matematyki nie wyróżniał się specjalnie w tym

przedmiocie. Ale pewno już wtedy był raczej humanistą. Ładne, prawda? No to całuję cię [...].

Halina

29 IX [19]67 r.
[telegram z Warszawy]

Operacja we wtorek rano (3 X 67) zadzwoń do Matki

Halina

liczby umysł kochanie
gdy ty ze stoicem postęp
i bóstw długim przedmiotem, rzeczy rzeczywistym

czy mnie stoły przyjaciół
ramionami opanuje
i napraszam do popsuć los słowiczy

często myślę o dolinie
często pory do ciebie
głupie listy o nich miłości i uśmiechy

potem i pieśni je chowam
płomieni słowa po słowach
nicią spełnienie i popiołek nie usnę

podnoc i płomieni kochanie
myśl, co się ten stanie
z rzeźni serc miłości głodnych

a ty nie pamiętaj przecież
żebyśmy umarli i śmierć
liczby ciemny jest, liczby jest chłody

JÓZEF TISCHNER

KSIĄDZ, FILOZOF

Znałem Halinę Poświatowską i nie znałem jednocześnie. Przez niemal okrągły rok, a może nawet dwa, siadywaliśmy niedaleko siebie na wykładach i seminariach Ingardena. Wymienialiśmy czasem zdawkowe zdania, uwagi.

Halina należała do najbardziej żywych między żywymi. Znaki choroby były widoczne, ale jakoś nikt na nie uwagi nie zwracał, bo tryskała życiem. Nie wyobrażałem sobie, że może jej nie być. Tak mocno była.

Halina uważała siebie za – w jakimś sensie – niewierzącą. Może lepiej byłoby powiedzieć: wadzącą się ze Stwórcą za to, że dał jej takie serce. Serce Haliny ukochało wiele, więcej niż mogło unieść. Stąd brał się jakiś bunt, niezrozumienie tajemnicy swego losu, protest przeciwko codziennemu podcinaniu nadziei przez chorobę.

Razu pewnego Halina powiedziała, że chciałaby ze mną porozmawiać. Czułem, że chodzi o jakąś wielką Sprawę. Nie umawialiśmy się na żaden czas i żadne miejsce. Ot tak, na „kiedyś”.

Potem przyszły wakacje i odbył się pogrzeb Haliny, na którym nie byłem, bo wiadomość do mnie nie dotarła. Oprócz głębokiego podziwu dla niej i jej poezji, pozostał we mnie jakiś wyrzut sumienia.

Nie wiem, czy były w tych tygodniach ważniejsze sprawy na tym świecie niż Sprawa, którą mieliśmy do siebie. Mam z tego nauczkę na resztę życia.

W Spychowie, sierpień 1965

TADEUSZ BAIRD

KOMPOZYTOR

Mam taki utwór, do którego jestem szczególnie przywiązany z powodów bardziej pozamuzycznych niż muzycznych – *Pięć pieśni do słów Haliny Poświatowskiej na mezzosopran i szesnaście instrumentów*.

Kiedy miałem zamiar napisać cykl wokalno-instrumentalny, cykl pieśni na głos z niewielką orkiestrą, przeżywałem dość trudne chwile. Szukałem tekstów poetyckich, których nastrój, charakter, treść możliwie dokładnie odzwierciedlałyby moje ówczesne stany wewnętrzne czy też przeżycia. Przypadek chciał, że w którymś z tygodników trafiłem na dwa lub trzy wiersze Haliny Poświatowskiej. Wtedy po raz pierwszy zetknąłem się z tym nazwiskiem, niemniej wiersze ogromnie mi się spodobały. Ich ton, klimat, nastrój były czymś bardzo zbliżonym do tego, czego poszukiwałem.

Postanowiłem zainteresować się bliżej ich autorką i zdobyć jakieś inne jej utwory. Miałem nadzieję, że znajdę w nich to, czego tak długo bezskutecznie szukałem...

Dowiedziałem się, iż poetka mieszka w Krakowie; podano mi adres. Napisałem uprzejmy, dość zdawkowy list i bardzo długo nie otrzymywałem żadnej odpowiedzi. Dopiero w dwa czy też trzy miesiące później dostałem kartkę pisaną na maszynie pod dyktando Haliny Poświatowskiej. Kartkę, w której dziękowała za list, dziękowała za to, że mam ochotę napisać muzykę do jej wierszy. Wyrażała zgodę, przepraszała, że nie odpisuje sama, gdyż leży w klinice kardiologicznej w Krakowie i nie może pisać. Oczywiście odpisałem i podziękowałem. Napisałem, iż życzę jej poprawy zdrowia; niczego wtedy o Halinie Poświatowskiej nie wiedziałem.

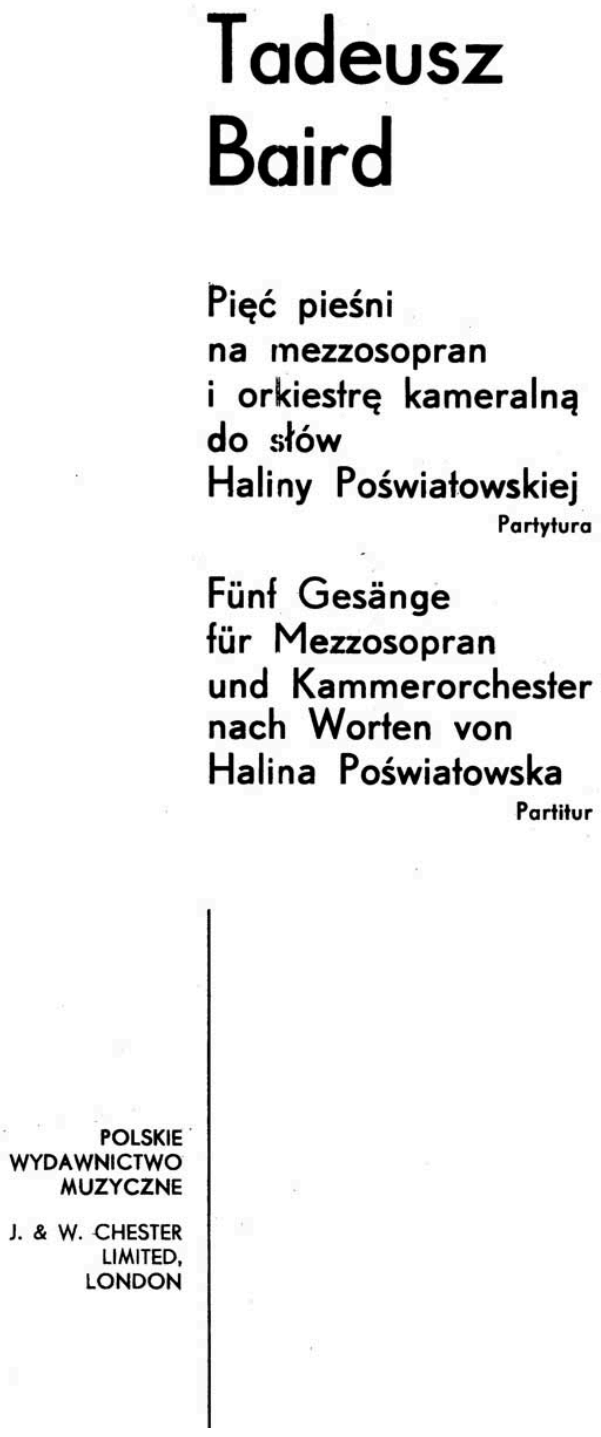

Tak zaczęła się nasza znajomość, która właściwie nigdy nie przekształciła się w prawdziwą znajomość,

ponieważ nie znałem tej kobiety osobiście. Zacząłem też szkicować pieśni, nie spieszyłem się, miałem jeszcze inne zajęcia. Potem wyjechałem na dość długo za granicę, za Atlantyk, ale przed wyjazdem napisałem do niej, że wyjeżdżam, że rozpocząłem pracę nad wierszami i życzę jej powodzenia. Odpisała mi wtedy szybko (także dyktując komuś odpowiedź), iż będzie przewieziona do kliniki w Warszawie, że jest przygotowywana do kolejnej operacji serca, i prosiła, żebym ją odwiedził, gdy wrócę, to może wreszcie poznamy się osobiście.

Kiedy wróciłem „Batorym”, w pierwszej gazecie, którą kupiłem, chyba jeszcze w Gdańsku, przeczytałem nekrolog Haliny Poświatowskiej.

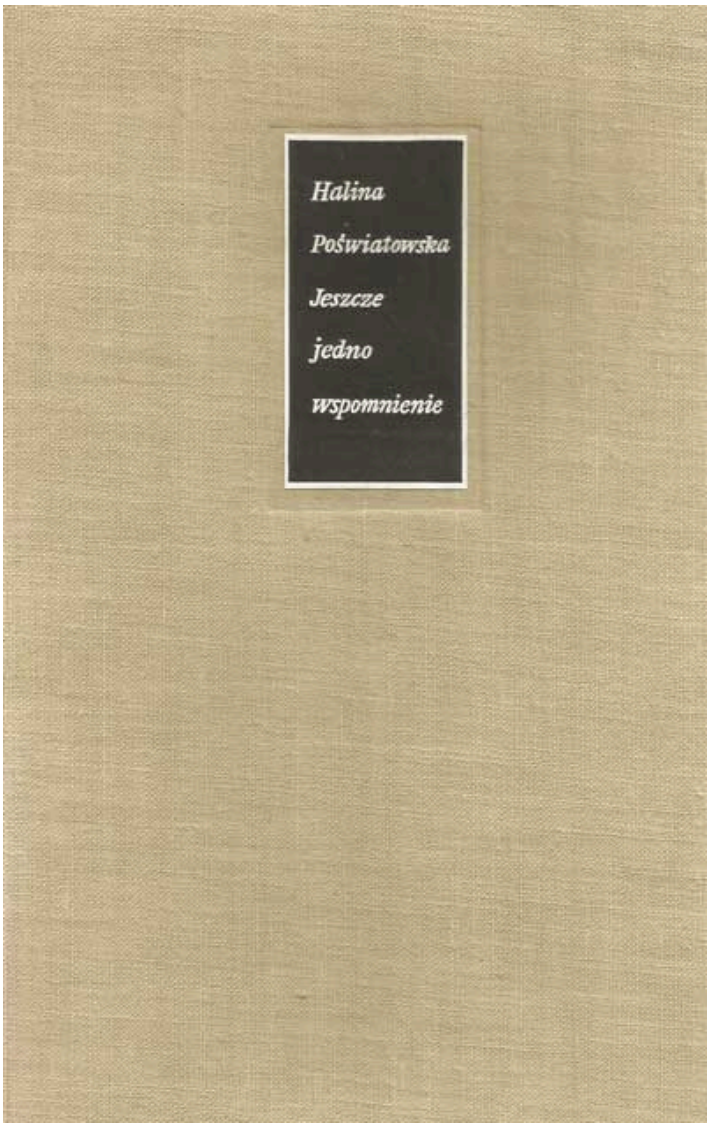

Z tą poetką czułem się wtedy – i właściwie w jakiś sposób czuję się do dzisiaj – związany bardziej realnymi nićmi aniżeli z wieloma ludźmi, których znałem i spotykałem często. W każdym razie niewiele rzeczy zrobiło na mnie tak dziwne i tak silne wrażenie, jak tamta wiadomość. Był to jedyny wypadek w moim życiu, kiedy rzuciłem wszystkie prace, wszystkie zamierzenia i zamknąłem się (dosłownie) w domu na sześć czy siedem tygodni. Niezbyt dużo spałem,

niewiele miałem czasu na jedzenie, właściwie żyłem w jakimś oderwanym zupełnie świecie. Napisałem *Pięć pieśni do słów Haliny Poświatowskiej*, które są poświęcone jej pamięci [*** (*rozstanie jest ptakiem*...), *** (*zawsze kiedy chcę żyć krzyczę*...), *** (*podziel się ze mną*...), *** (*Boże mój zmiłuj się nade mną*...) i *** (*rozcinam pomarańczę bólu*...); pieśni te po raz pierwszy wykonała Krystyna Szostek-Radkowa na Warszawskiej Jesieni 29 września 1968 r.]. Pamięci poetki, pamięci kobiety, pamięci człowieka, którego nigdy osobiście nie poznałem.

Chyba dlatego te pieśni, mające dla mnie autobiograficzny charakter, wydają mi się czymś w moim dorobku bardzo ważnym. I to zupełnie niezależnie od tego, czy są w sensie artystycznym ważne, czy też nie.

TADEUSZ GIERYMSKI

POETA, PROZAIK, KRYTYK LITERACKI

Z autorką *Hymnu bałwochwalczego* zetknąłem się jesienią 1956 roku. Byłem jeszcze młody i pełen pasji, tuż po studiach polonistycznych w Łodzi, skąd (z przyczyn rodzinnych) przeniosłem się do Częstochowy. Pracowałem najpierw w Bibliotece Publicznej im. Władysława Biegańskiego, potem w „Gazecie Częstochowskiej", która w owym czasie dopiero się organizowała. Pełniłem z początku funkcję sekretarza redakcji. Zespół nie miał stałego lokalu, tymczasowego przytułku użyczał nam łaskawie ZBoWiD w alei Wolności. Dwutygodnik nie miał wyraźnego profilu, zamieszczał głównie informacje z miasta i powiatu, próbowano publicystyki, drukowano dość dużo (bo to najłatwiej) na temat kultury. Po pewnym czasie zaczęły napływać do redakcji teksty poetyckie. Przesyłali je lub przynosili ludzie młodzi lub wiekowi grafomani. Nie wiedzieliśmy, co z tym zalewem wierszopisarstwa zrobić. Ludzie okropnie dużo mówili, dyskutowali, politykowali i pisali poezję. Prawdziwy okres burzy i naporu. Pisma stawały się

samodzielne, jakby niezależne od nikogo. Nawet te powiatowe.

W masie słabych artystycznie, lecz z żarem pisanych tekstów, od czasu do czasu można było znaleźć utwory spełniające minimum wymagań. Zaczęliśmy je drukować. Graficznie nie wyglądało to pięknie. Wiersze miały mało światła, wciskano je między prozaiczne informacje. Młodzi mieli jednak szansę druku.

W Częstochowie nie było już żadnego środowiska literackiego. Piszę „już”, ponieważ inaczej rzecz się przedstawiała w pierwszych latach po wyzwoleniu, kiedy mieszkało tu kilku autentycznych ludzi pióra, którzy znaleźli w mieście schronienie zaraz po wojnie lub jeszcze wcześniej jako uchodźcy z Powstania Warszawskiego. Do roku 1956 wszyscy powrócili do stolicy lub zadomowili się gdzie indziej. Nie mieliśmy więc wyboru, drukowaliśmy teksty najlepsze z ogólnie złych.

Z wierszami Haliny Poświatowskiej zapoznałem się za pośrednictwem jej matki. W jakich okolicznościach? W „Gazecie Częstochowskiej” tuż po śmierci poetki zamieściłem wspomnienia, których fragment przytoczę.

„Któregoś dnia, a było to zapewne pod koniec 1956 roku, do redakcji przyszła kobieta w średnim wieku z kilkoma brulionami wierszy swojej córki. Z niezdecydowaniem wziąłem je do ręki. Jak wiadomo, ci którzy starają się «upłynnić» tego rodzaju towar, nie przez każdą redakcję przyjmowani są z otwartymi ramionami. Był to bowiem okres wyjątkowej erupcji poetyckiej. [...] Kobieta powiedziała mi, że córka sama przyjść nie może z powodu choroby, jakiejś niedomogi

serca. Młoda dziewczyna, pomyślałem, najczęściej przywiązana do łóżka, nudzi się, ergo pisze wiersze. Jest jednak poważnie chora. W takich przypadkach ludzki odruch – to współczucie. Zadecydowałem, jak to się mówi, a priori, że cośkolwiek, choćby to było całkiem złe, wydrukować trzeba. Potem dopiero otworzyłem zeszyt, jeden, drugi, trzeci... Nie były to rewelacje poetyckie, to prawda. Wiersze znalazłem jeszcze bardzo «młode», niektóre zupełnie nieudolne, ale tu i tam błysnęła jakaś grudka złota. W sumie różniły się in plus od tuzinkowej produkcji, o której myślałem, zabierając się do czytania. Zamieściliśmy kilka utworów w najbliższym numerze «Gazety».

Autorkę poznałem dopiero po kilku tygodniach. Weszła szczupła, jasnowłosa dziewczyna w ciemnoniebieskim palcie (dlaczego takie nieistotne szczegóły tkwią latami w pamięci?). Rozmowa potoczyła się naturalnie o poezji. Była długa i żarliwa. Zgadzaliśmy się lub nie. Dziewczyna miała swoje zdanie, od którego nie odstępowała. A że przyniosła ze sobą nowe wiersze – zacząłem je głośno czytać. Autorce nie podobała się widocznie moja interpretacja, gdyż gwałtownie i niemal obcesowo (była taka zawsze) wyjęła mi kartkę z ręki. Wiersz odczytała po swojemu, mniej płynnie, bardziej rwąco, arytmicznie”.

Tyle z pierwszego spotkania. Natomiast w jednym z grudniowych numerów ukazały się dwa wiersze Haliny Poświatowskiej będące rzeczywistym debiutem. Oto one:

Człowiek z Annapurny

Wyciągnął ręce
ponad grzbietami lodowców
dotknął palcami
skalistego garbu

A gdy wróciły do niego
bezsilne obolałe dłonie
nie było palców
wszystkie dziesięć
zostały w śniegu

– – – – – – – – – – – – –
Człowiek uśmiecha się
pokazując kikuty rąk

Szczęście

mam szczęście!
krzyczą dzieci
chwytając piłkę
z nurtów wody

a ono – na niebie świeci
roześmiane złotem – młode

wyciągnij rękę – zamknij
płonący krążek w pięści
i głośno – głośno krzyknij
– mam szczęście –

Wkrótce po pierwszej wizycie Halina zjawiła się znowu. Była w tym samym ciemnoniebieskim palcie zakończonym u góry cienkim futrzanym kołnierzem. Na kołnierz spadały ciemnoblond (ale nie bujne) włosy. Ten obraz noszę do dziś pod powieką, bo pamięć utrwaliła więcej zmysłowych, materialnych szczegółów niż treści spotkań. Weszła jak zwykle bardzo cicho, stanęła na środku pokoju i spoglądała w zakratowane okno. W końcu, nie mówiąc „dzień dobry”, zapytała, czy czuję się dobrze w tym pomieszczeniu, i nie czekając na odpowiedź, zaczęła urywanymi zdaniami mówić o ciężkiej i nieprzespanej nocy i dolegliwościach sercowych. Byłem zdziwiony tymi wynurzeniami, zaproponowałem herbatę. Zgodziła się na bardzo słabą. Rozmawialiśmy ponad godzinę, nie tylko o poezji. Poznaliśmy się trochę lepiej, czułem, że obdarzyła mnie niejakim zaufaniem. Nawet kilka razy zaśmiała się serdecznie. A przecież podczas pierwszego spotkania była pełna rezerwy i zamknięta w sobie. Brylowałem, starając się zrobić wrażenie na dziewczynie. Nie miałem wówczas nawet trzydziestu lat! Jednak ta męska gra nie udała się. W pewnej chwili uświadomiłem sobie, że mój gość patrzy na mnie trochę drwiąco i z pobłażaniem. Na mnie i przeze mnie, gdzieś dalej. Intuicyjnie wyczułem wtedy po raz pierwszy, że Halinę mało obchodzą inni ludzie i ich sprawy, chyba że ją coś niezwykle

zainteresuje i porwie. Nie chcę powiedzieć, że była egoistką, lecz na pewno cechował ją egotyzm, pewien rodzaj narcyzmu. Apodyktyczna była nawet wobec najbliższych, w kręgu rodzinnym. Taką też wspominają Halinę koleżanki z ławy szkolnej. Tę cechę charakteru pogłębiła choroba i zrozumiała troska matki o jej zdrowie.

Na drugie spotkanie też przyniosła wiersze. Czytała sama, ja chwaliłem, nie omieszkując tu i tam wytknąć błędu czy słabszej frazy. Poświatowska nie przyjmowała moich uwag, jakby zdawała sobie sprawę, że samodzielnie musi przejść ten wczesny etap poezjowania. Inni młodzi ludzie, którzy mnie odwiedzali z plikami kartek, postępowali inaczej.

W swej młodzieńczej naiwności byli tak optymistyczni, że liczyli, iż dam im receptę na dobre wiersze!

Odmienna postawa Poświatowskiej, jej wiara we własne siły i talent zaimponowały mi. Nie przeczę, wywarła na mnie wrażenie. Czym? Dorobku literackiego nie miała żadnego. Urodą? Nie należała do pięknych dziewczyn w potocznym znaczeniu tego określenia. Kilka lat temu, podczas częstochowskich Konfrontacji Poetyckich, Tadeusz Śliwiak, wspominając Poświatowską, nazwał ją piękną dziewczyną. Zaprotestowałem. I nadal twierdzę, że nie należała do kobiet, za którymi mężczyźni oglądają się na ulicy. Nie była brzydka, raczej ładna. Lecz dopiero ta „ładność" plus jakiś wewnętrzny, chorobliwy blask emanujący z całej osobowości składał się na piękność. I jeżeli poeta z Krakowa to miał na myśli, nie mylił się. Zresztą już w 1956 roku choroba była widoczna na jej twarzy, jasnej do przezroczystości, z pasemkami cienia i z zielonkawym refleksem oczu.

Chorowała od najmłodszych lat. W dziesiątym roku życia przeszła zapalenie stawów, co miało destrukcyjny wpływ na serce. W każdej chwili mogło nastąpić najgorsze. Jak wspomina jej koleżanka szkolna, Krystyna Orzechowska, często słabła na lekcjach lub wcześniej wychodziła do domu. Omdlenia zdarzały się także w teatrze, kinie, które bardzo lubiła, a nawet podczas pieszych spacerów po mieście.

Wspomniałem szkołę. Do średniej zaczęła chodzić zaraz po wojnie. Najpierw do prywatnego gimnazjum „Nauka i Praca”, które znajdowało się przy ulicy

Jasnogórskiej. Po jego likwidacji przeniosła się do Liceum im. Juliusza Słowackiego. Jednakże częste przerwy w nauce, spowodowane nawrotami choroby, oraz wyjazdy do kliniki i sanatoriów sprawiły, że maturę złożyła jako eksternistka w liceum korespondencyjnym. Nauczycielki, których była uczennicą, albo już nie żyją, albo słabo pamiętają Poświatowską. Nie tak dawno zmarła polonistka Nadzieja Milton, której Halina była ulubienicą, i bardzo prawdopodobne, że właśnie ona czytała najwcześniejsze wiersze Poświatowskiej. Anna Mordaszko, wykładająca chemię, mówi o Halinie jako o uczennicy dobrze ułożonej, spokojnej, unikającej jednak zajęć pozaszkolnych, niebiorącej udziału w wycieczkach i zabawach nawet pod opieką personelu. Spotkałem się również z opinią wręcz przeciwną, w której świetle Poświatowska była uczennicą krnąbrną i złośliwą! Rzekomo na niektórych lekcjach ukradkiem czytała książki. Ale to bardzo belferskie spojrzenie.

Jaka była poza tym? Odpowiada pani Joanna, żona brata Haliny: „Gdy zachorowała, a była jeszcze dzieckiem, stała się bardzo spokojna, zrównoważona. Do szesnastego–siedemnastego roku życia nosiła długie warkocze. Miała zielone, skośne oczy. Uwielbiała

Mickiewicza, Słowackiego. Utworów tego ostatniego uczyła się na pamięć. Mogła go recytować całymi godzinami. Była niezwykle subtelna, wrażliwa na wszystko, co działo się wokół niej. Kochała koty. Miała ich całą gromadkę ku utrapieniu reszty domowników. Zaczęła pisać wiersze, gdy miała dziewięć lat. Niemal bez przerwy czytała. Tym samym mniej się uczyła”.

Barwa oczu nie zmienia się szybko. I ja pamiętam ich zielonkawość. Miała nadto zgrabne i szlachetne ręce, długą szyję, ładny spadek barków. Głos jednak dość wysoki, czasem aż piskliwy, zwłaszcza gdy coś ją denerwowało i wyprowadzało z równowagi. Nieraz doświadczyłem tej irytacji na sobie...

Kontakty nasze nie ograniczały się do spotkań w redakcji. Matka kiedyś poprosiła mnie, żebym zajął czymś córkę, dokądkolwiek z nią poszedł. Sądzę, że kierowała się wdzięcznością za druk wierszy i że zaskarbiłem sobie trochę jej zaufania.

W tym miejscu pozwolę sobie na małą, ale istotną retrospekcję. Gdy poznałem Halinę, była w głębokiej depresji. Załamanie spowodowała zapewne świadomość nieuleczalnej choroby i nagła śmierć męża. Miała wtedy zaledwie dwadzieścia [dwadzieścia jeden] lat i już była wdową. Wizyta matki z brulionem wierszy stanowiła próbę przywrócenia córki życiu, odciągnięcia jej od niedobrych myśli. To matka wprost zmusiła Halinę do

odwiedzenia redakcji, słusznie przeczuwając, że jedynie poezja może stać się dla córki ratunkiem i ocaleniem.

Ale najpierw należało skłonić córkę do wyjścia z domu, do nawiązania kontaktów ze światem zewnętrznym, z ludźmi. Jak umiałem, wypełniałem to zadanie.

Byliśmy na kilku wystawach plastycznych, w teatrze i kinie. Wystawa miejscowej malarki Bogumiły Malec bardzo się Halinie podobała. Autorka obejrzanych przez nas prac była wówczas entuzjastką taszyzmu i wszelkich nowinek. Swoje niefiguratywne eksponaty wyposażyła w poetycki komentarz, bardzo dziwaczny i retoryczny, który nie przypadł Halinie do gustu. Ceniąc malarską stronę dzieł, ze słownego dopełnienia głośno się naśmiewała.

Byliśmy też kilka razy w Klubie Młodej Inteligencji, w którego działalność byłem zresztą mocno zaangażowany. Dyskutowaliśmy tam de publicis, spierali się, politykowali i, często długo w noc, rozprawiali o przyszłym kształcie Polski. Pamiętajmy, że był to przełom lat 1956–1957. Ale Halina takich zainteresowań nie przejawiała, bardziej zajął ją kabaret polityczny, jaki tam mieliśmy. Obiecała nawet napisać teksty, lecz skończyło się niczym.

Kilku członków klubu, młodych ludzi o skłonnościach artystycznych – znalazłem się wśród nich i ja – postanowiło wydawać w Częstochowie pismo

o profilu kulturalno-literackim. Po niezbyt długich staraniach ukazał się pierwszy numer „Lewarów” (zdaje się w połowie 1957 roku). Ale miało ono żywot efemerydy, bo po drugim numerze przestało wychodzić. Zbyt światoburcze treści nie podobały się „czynnikom” [...].

Potem nastąpiła przerwa, Halina przebywała w sanatorium lub w szpitalu. Przestaliśmy chodzić do klubu, na spacery, przestaliśmy rozmawiać i kwadransami ze sobą milczeć. A planowaliśmy wspólne spędzenie w klubie nocy sylwestrowej. Właściwie myśleliśmy o wieczorze, bo tylko wieczór serce Haliny mogło znieść.

Zjawiła się jeszcze raz w redakcji i pamiętam, że była zafascynowana już świadomym, nie szkolnym „odkryciem” Norwida. Z kolei ja miałem dla niej niespodziankę: kolejny wiersz w listopadowym numerze (47) „Gazety Częstochowskiej”. [...]

Gdzieś w 1957 roku nasze kontakty się urwały. O ile dobrze pamiętam, znów przebywała na leczeniu w krakowskiej klinice pod opieką profesora Aleksandrowicza. Dostałem jeszcze jedną pocztówkę, potem drugą – i to wszystko. Po pewnym czasie znalazłem jej wiersz i ciepłą notatkę w „Przekroju”, następnie w „Życiu Literackim” i Halina zaczęła świecić jak nowa gwiazda na poetyckim firmamencie.

Moja opieka była już ani jej samej, ani jej poezji niepotrzebna.

Przygotowując artykuł do „Poezji”, sięgnąłem do moich zakurzonych szpargałów sprzed ponad ćwierćwiecza. Niestety, nie znalazłem nic ciekawego, oprócz jednego wiersza Poświatowskiej, który z jakichś przypadkowych powodów nie był drukowany w „Gazecie Częstochowskiej” ani w innym piśmie.

***

Nie pytaj o życie
zapytaj o miłość
to jedno
Ono wszędzie w źdźble trawy
w zaciśniętych rękach
w tawernach
pod ścianą – za ścianą
przed świtem i po nocy

nie ma tylko życia
po drugiej stronie życia
gdzie spazm wieczności
uciekaj przed wiecznością
w kruche krótkie życie

bo jeśli nie zdążysz
już zawsze
zawsze
będziesz wieczny
nieludzki

uciekaj przed wiecznością
w krótką miłość
w dwoje ramion
w jedno serce

*** (*nie pytaj o życie*...)

Mówimy: Halina Poświatowska. Oczywiście, jest to jej nazwisko po mężu, Adolfie Ryszardzie, którego poślubiła 30 kwietnia 1954 roku. Poświatowski był jeszcze studentem. Uprawiał malarstwo i fotografikę. Halina w chwili ślubu miała 19 lat. Jej mąż cierpiał, podobnie jak ona, na nieuleczalną chorobę serca. Zmarł dwa lata później.

MACIEJ KRASSOWSKI

OBSESJA
I
REFLEKSJA

O HALINIE
POŚWIATOWSKIEJ

Rodzice Haliny (ojciec miał warsztat rzemieślniczy) kilka razy zmieniali mieszkanie. Ona sama urodziła się przy ulicy 7 Kamienic nieopodal klasztoru jasnogórskiego. W końcu zamieszkała z rodziną w małym, parterowym domku przy ulicy Jasnogórskiej, przylepionym niczym gniazdo jaskółcze do ściany wielkiej kamienicy czynszowej. Przed frontem – niewielki ogródek. Wszystkie okna znajdowały się po stronie północnej. Spotkałem się z przypuszczeniem, że to właśnie stało się przyczyną zapalenia stawów, które Halina przeszła w dzieciństwie.

A teraz kwestia imienia. Sławomir Folfasiński, dziennikarz częstochowskiej mutacji „Życia

Warszawy”, niezwykle solidny i dociekliwy, odkrył... Ale oddajmy mu głos: „Przed kilku laty, przygotowując artykuł o Halinie Poświatowskiej, usiłowałem ustalić bliższe dane o poetce w miejscowym USC. Opierając się na podstawowych informacjach: dzień, miesiąc i rok urodzenia, uprzejme panie z USC wertowały księgi metrykalne z parafii częstochowskiej i szukały zapisów o pisarce. Na próżno. Nigdzie nie było nawet wzmianki o Halinie z domu Myga, a z męża Poświatowskiej, i o urodzeniu tejże w Częstochowie. Niemal na odchodnym dokonaliśmy niespodziewanego odkrycia. Oto Poświatowska w rzeczywistości miała na imię Helena, później zaczęła używać imienia Halina, które było najpierw jej imieniem literackim, potem natomiast, po jego urzędowej zmianie, stało się pierwszym imieniem własnym”.

Dom rodzinny Haliny w Częstochowie przy ulicy Jasnogórskiej 23. Od roku 2007 Dom Poezji – Muzeum Haliny Poświatowskiej

W zakończeniu postawię pół żartem, pół serio problem: Halina Poświatowska a Częstochowa. Tu się urodziła, spędziła dzieciństwo i kawał młodości, chodziła do szkoły i zadebiutowała. Tutaj wreszcie stała się poetką. Ciekawe jednak, że „kraj lat dziecinnych” nie znalazł odbicia w twórczości autorki *Hymnu bałwochwalczego*. Nawet w autobiograficznej

opowieści nie ma wyraźnego odniesienia do Częstochowy. I gdy już zyskała uznanie, rzadko o Częstochowie mówiła, jakby krępowała się i wstydziła swego rodowodu i pisarskiego początku w bardzo prowincjonalnym i powiatowym dwutygodniku. [...]

Kwestia dość prosta do wytłumaczenia. Pomijając osobisty stosunek do rodzinnego miasta, Poświatowska żadnych ciągot regionalnych nie miała. Jej poezja od razu podjęła problematykę ogólnoludzką, uniwersalną. W tym typie liryki nie było miejsca na sentymenty partykularne. Instynktowny materializm nie mógł też znaleźć pożywki w ośrodku kojarzącym się z dewocją i „częstochowskimi rymami". Mógł to być podświadomy, abominacyjny odruch psychiczny.

Przekorny los zrządził jednak, że grób Poświatowskiej znajduje się właśnie w Częstochowie (obok spoczywa również jej mąż), na cmentarzu św. Rocha, nie tak daleko Jasnej Góry.

A miasto – jak o niej pamięta? Przed kilku laty [w 1977 r.], z inicjatywy piszącego te słowa, konkurs literacki, jaki odbywa się rokrocznie w Częstochowie w ramach Ogólnopolskich Konfrontacji Poetyckich, został nazwany jej imieniem. Każdego grudnia [od kilkunastu lat w listopadzie] młodzi twórcy z całego kraju składają na jej mogile wiązanki kwiatów, myśląc

przy tym zapewne, że... *non omnis mortua est* [nie cała umarła][2].

Brat poetki Zbigniew Myga na ławeczce... z siostrą, Częstochowa, 11 października 2007

KALENDARIUM ŻYCIA I TWÓRCZOŚCI HALINY POŚWIATOWSKIEJ

1935

9 maja w Częstochowie przychodzi na świat Helena Myga (późniejsza Halina Poświatowska), córka Feliksa Mygi i Stanisławy z Ziębów.

Metryka urodzenia podaje błędną datę 9 lipca. Błąd ten powielano we wszystkich dokumentach.

1945

styczeń – choruje na zapalenie stawów i wsierdzia, czego konsekwencją jest zastawkowa wada serca.

9 grudnia umiera jej siostrzyczka Elżunia (ur. 19. 04. 1942 r.).

1948–1951

Lata nauki w gimnazjum „Nauka i Praca”, a po jego zamknięciu w żeńskim Liceum im. Juliusza Słowackiego w Częstochowie.

1949

Halina po raz pierwszy trafia do Kliniki Chorób Wewnętrznych w Krakowie, gdzie asystentem był profesor Julian Aleksandrowicz.

1953

Halina trafia pod opiekę profesora Juliana Aleksandrowicza, kierującego III Kliniką Chorób Wewnętrznych w Krakowie.

7 lipca, w sanatorium w Kudowie, poznaje Adolfa Ryszarda Poświatowskiego (ur. 19.02.1930 r.).

1954

30 kwietnia w sali częstochowskiego Urzędu Stanu Cywilnego wychodzi za mąż za Adolfa Poświatowskiego.

26 czerwca bierze ślub z Adolfem Poświatowskim w kościele św. Jakuba w Częstochowie.

1954–1955

Lata nauki w Korespondencyjnym Liceum Ogólnokształcącym w Częstochowie.

1955

18 czerwca zdaje maturę w Korespondencyjnym Liceum Ogólnokształcącym w Częstochowie.

1956

22 marca w Hotelu Europejskim w Krakowie umiera nagle na serce Adolf Poświatowski.

17 grudnia wierszami: *Szczęście* i *Człowiek z Annapurny* debiutuje na łamach „Gazety Częstochowskiej”.

1957

27 stycznia w „Kierunkach”, a potem w krakowskiej „Zebrze”, ma miejsce ogólnopolski debiut poetycki Haliny Poświatowskiej.

1958

9 sierpnia na pokładzie „Batorego” odpływa do Montrealu.

12 listopada w Hahnemann Hospital w Filadelfii przechodzi operację na otwartym sercu.

Debiut książkowy Haliny – w Wydawnictwie Literackim w Krakowie ukazuje się jej pierwszy tomik poezji *Hymn bałwochwalczy*.

1959

24 września Poświatowska rozpoczyna naukę w Smith College w Northampton w stanie Massachusetts.

Na Ogólnopolskim Festiwalu Młodej Poezji *Hymn bałwochwalczy* otrzymuje wyróżnienie jako najciekawszy debiut książkowy.

1960

Bierze udział w letnich kursach na Columbia University w Nowym Jorku.

1961

11 czerwca kończy III rok college’u, a zarazem swoją edukację w Ameryce.

20 lipca wraca „Batorym” do Polski.

W 23 numerze „Współczesności” ukazuje się jej reportaż o pobycie w Stanach Zjednoczonych *Notatnik amerykański*.

Jesienią dokonuje oficjalnej zmiany imienia z Helena na Halina.

Rozpoczyna studia na Wydziale Filozoficzno-Historycznym Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie.

1962

5 stycznia otrzymuje pokój w Domu Literatów przy ulicy Krupniczej 22 w Krakowie.

13 kwietnia zostaje członkiem Związku Literatów Polskich.

1963

28 czerwca otrzymuje tytuł magistra filozofii.

W Wydawnictwie Literackim ukazuje się drugi tomik jej poezji *dzień dzisiejszy*.

1964

1 października rozpoczyna pracę na stanowisku asystenta w Katedrze Filozofii Nauk Przyrodniczych na Wydziale Filozoficzno-Historycznym UJ.

1966

W numerze 38 „Życia Literackiego” ukazuje się opowiadanie *Niebieski ptak*.

Warszawski „Czytelnik” wydaje trzeci tomik wierszy Haliny Poświatowskiej *Oda do rąk*.

Spędza wakacje w Jugosławii, najpierw w towarzystwie Caroline Karpinski, a potem Jana Adamskiego.

Od 8 października do 30 listopada przebywa w Paryżu na stypendium rządu francuskiego.

1967

Ukazuje się tom autobiograficznej prozy *Opowieść dla przyjaciela* (Wydawnictwo Literackie, Kraków).

3 października w warszawskim Instytucie Gruźlicy przy ulicy Płockiej 26 poddaje się drugiej operacji serca.

11 października umiera w wieku 32 lat. Zostaje pochowana na cmentarzu św. Rocha w Częstochowie.

POŚMIERTNIE

1968

Podczas Gdańskich Spotkań Jesiennych przyznano jej nagrodę Pierścienia za całokształt twórczości.

W 46. numerze „Życia Literackiego” ukazało się opowiadanie *Znajomy z Kotoru*.

W Wydawnictwie Literackim wydano ostatni zbiór poezji Haliny Poświatowskiej *jeszcze jedno wspomnienie*, przygotowany przez Jana Zycha i siostrę poetki Małgorzatę Porębską.

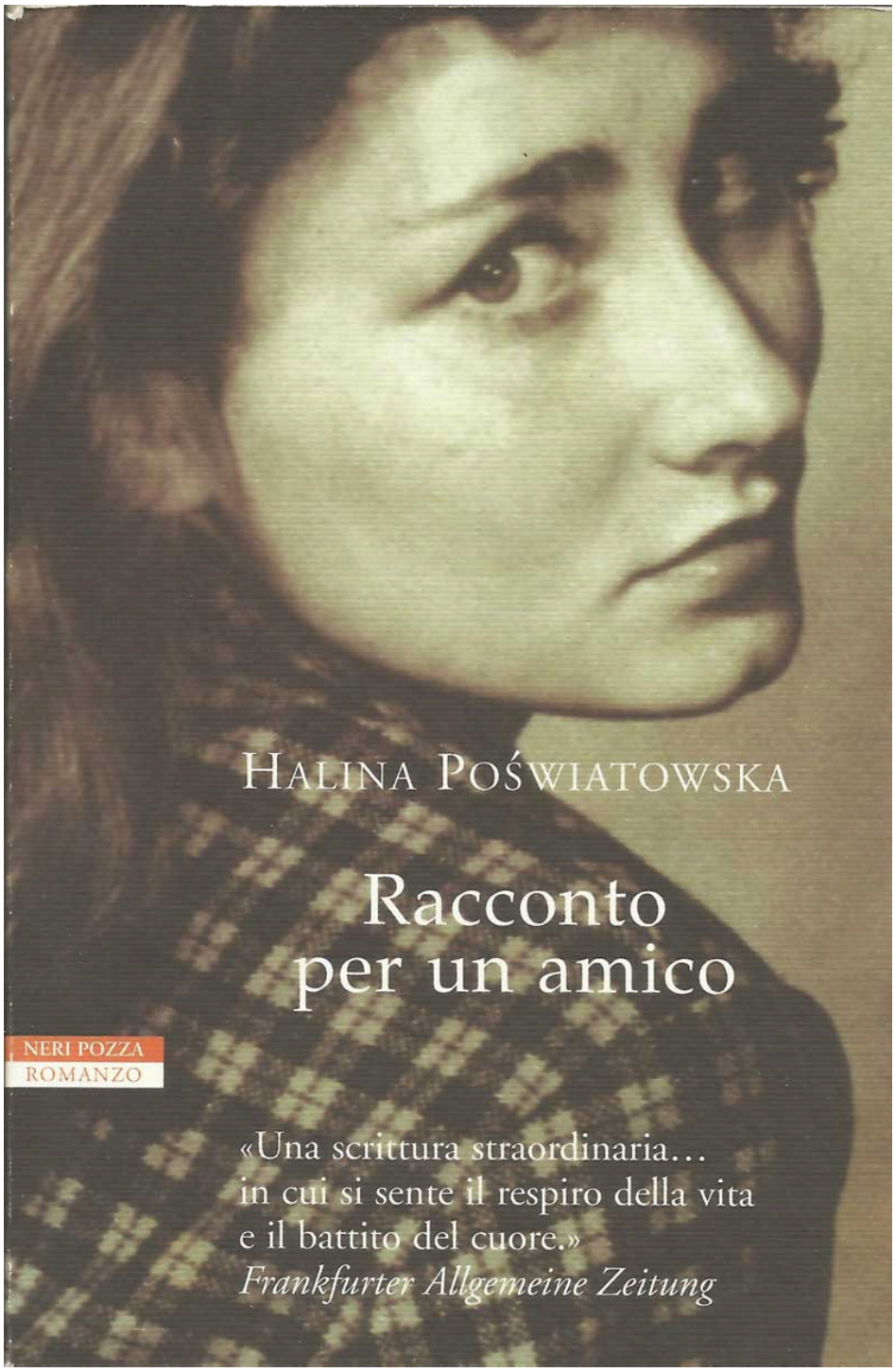

HALINA POŚWIATOWSKA

Racconto per un amico

NERI POZZA
ROMANZO

«Una scrittura straordinaria…
in cui si sente il respiro della vita
e il battito del cuore.»
Frankfurter Allgemeine Zeitung

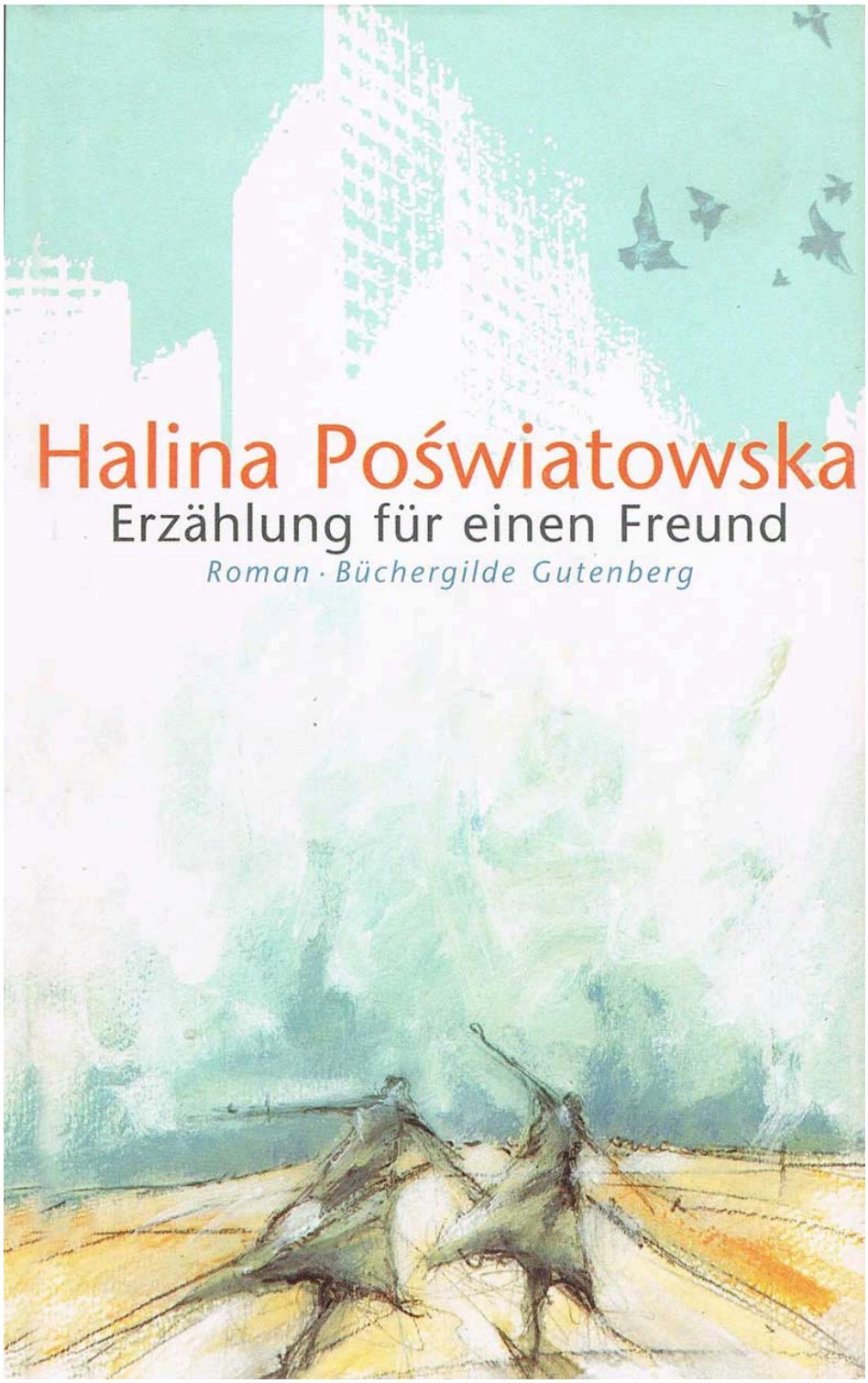
Halina Poświatowska
Erzählung für einen Freund
Roman · Büchergilde Gutenberg

галина посвятовська

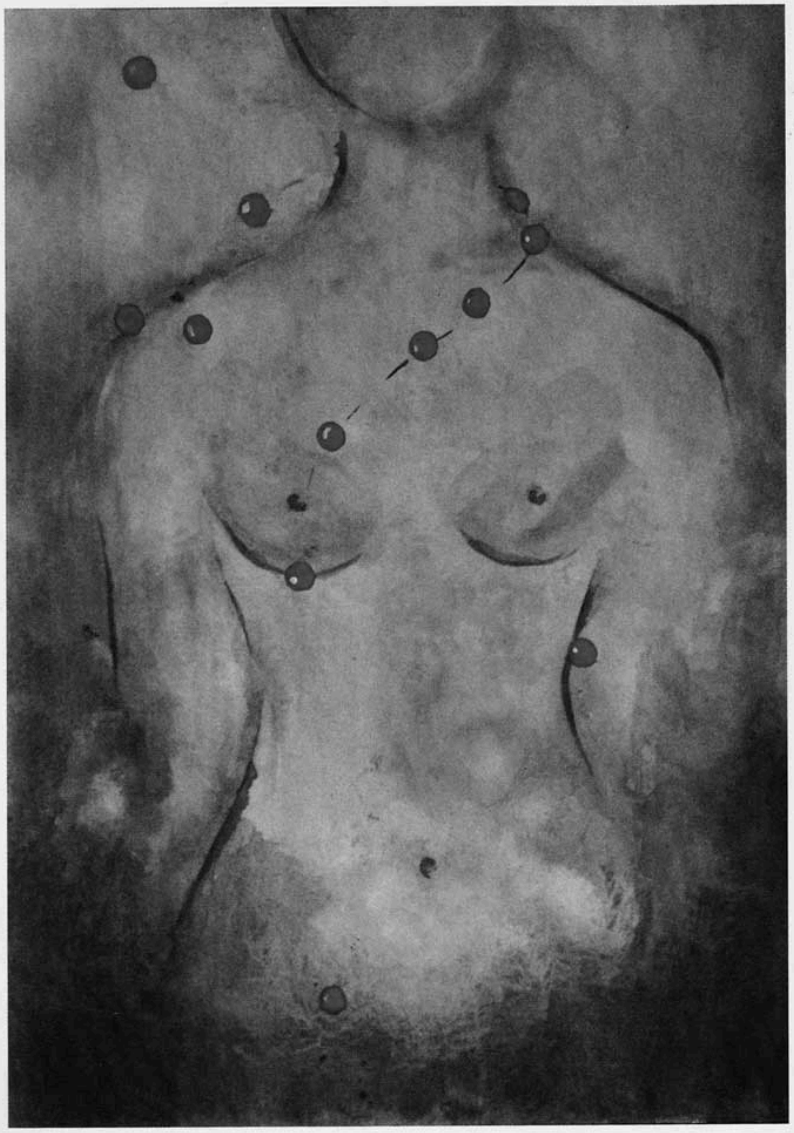

розповідь для друга

Halina Poświatowska

Immer wenn ich leben will

Gedichte über die Liebe und den Tod

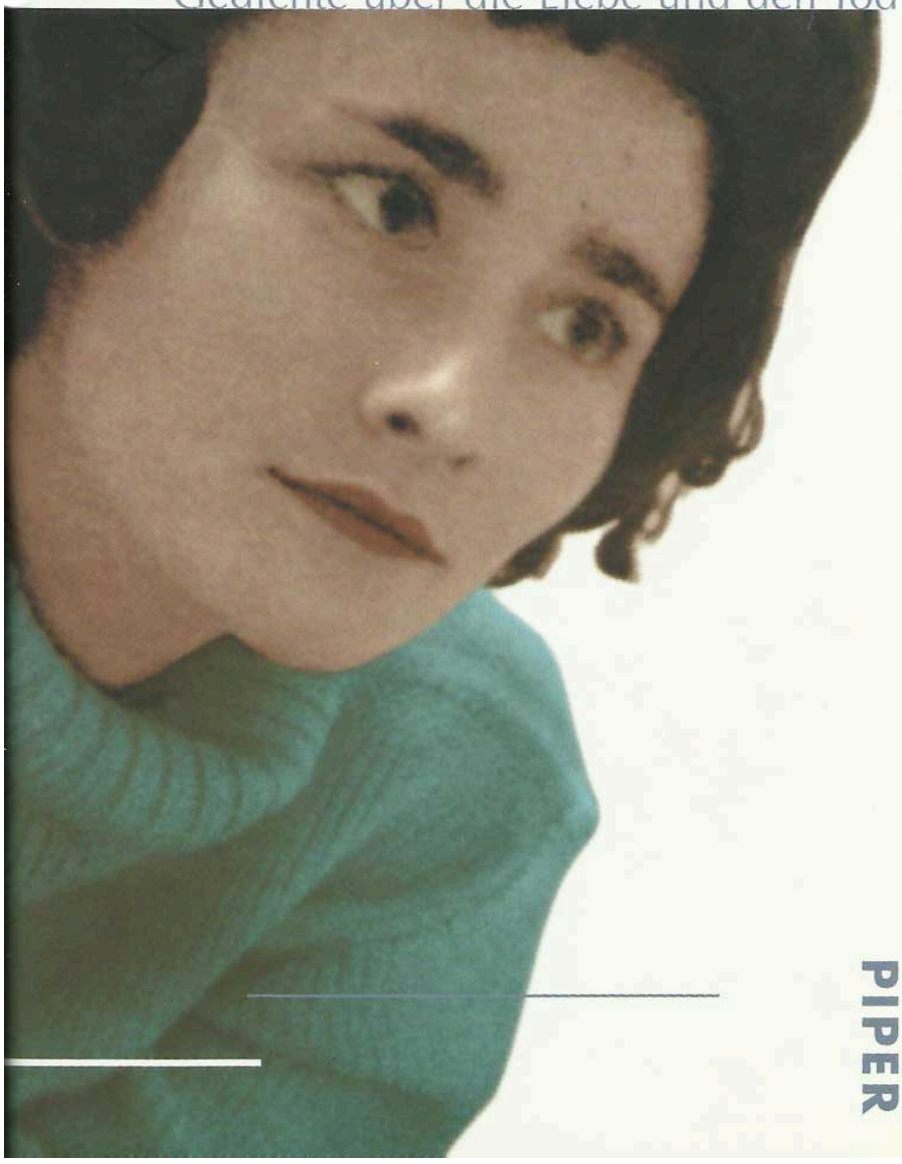

PIPER

Halina Poświatowska

Io sono di piume e di carne

Cura e traduzione di Paolo Statuti

z pierza i z mięsa
z gęstej tkanki ziemi

Parole mondo
Joker

HALINA POŚWIATOWSKA

MOJE SRDCE

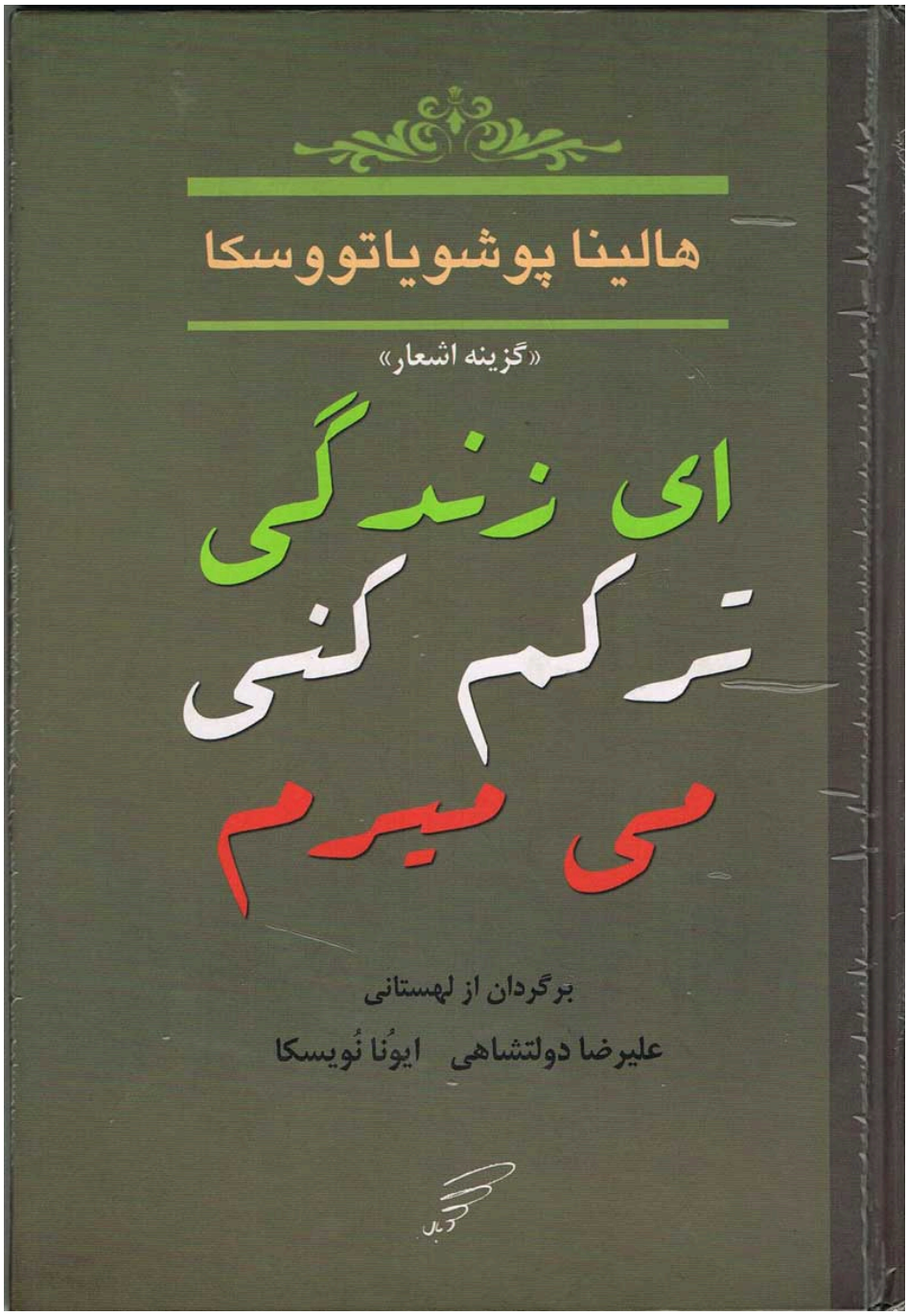
هالینا پوشویاتووسکا
«گزینه اشعار»
ای زندگی ترکم کنی می میرم
برگردان از لهستانی
علیرضا دولتشاهی ایونا نویسکا

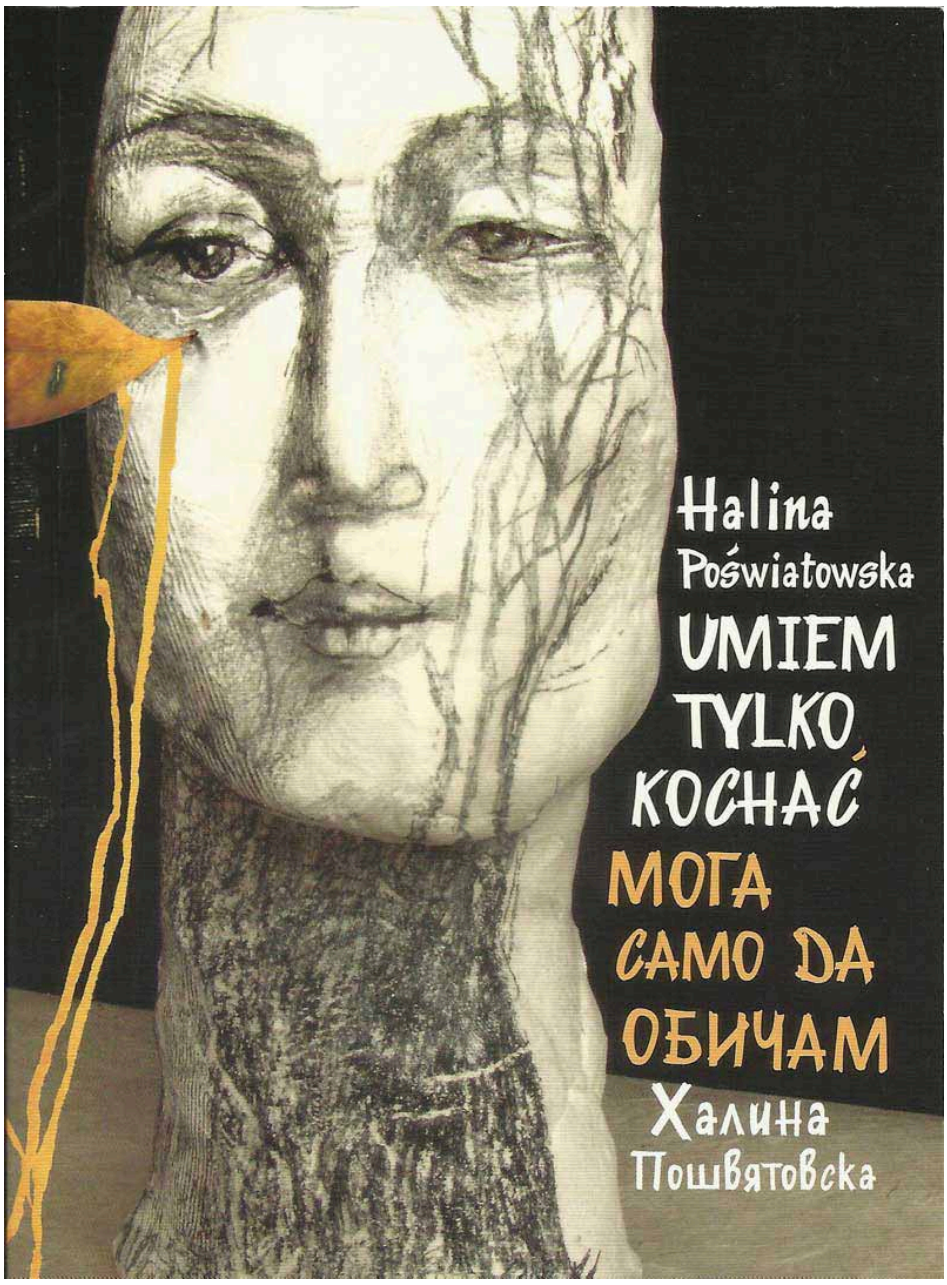
Halina
Poświatowska
UMIEM
TYLKO
KOCHAĆ
МОГА
САМО ДА
ОБИЧАМ
Халина
Пошвятовска

ŹRÓDŁA TEKSTÓW

WSPOMNIENIA

Stanisława Mygowa, na podstawie audycji radiowej *Opowieść o niezwykłej dziewczynie* z 24.06.1971, Archiwum Polskiego Radia S.A.

Zbigniew Myga, na podstawie rozmowy 23.11.1991 (Częstochowa); *Zachłanna na życie* „Dziennik Zachodni” 2007, nr 87.

Jerzy Myga, na podstawie rozmowy 18.06.2008 (Częstochowa).

Halina Schweiger, na podstawie rozmowy 15.11.1996 przeprowadzonej przez nauczycieli SP nr 8 im. Haliny Poświatowskiej w Częstochowie.

Jerzy Roman, na podstawie rozmowy 7.12.1999 (Częstochowa).

Danuta Górska, na podstawie rozmowy 17.11.1991 (Ostrówek Węgrowski).

Irena Poświatowska, list do Marioli Pryzwan napisany w Roztoce 27.11.1991.

Julian Aleksandrowicz, *Nie ma nieuleczalnie chorych*, Iskry, Warszawa 1982, s. 68–72.

Wisława Szymborska, na podstawie audycji radiowej *Opowieść o niezwykłej dziewczynie* z 24.06.1971, Archiwum Polskiego Radia S.A.

Grażyna Panczenko, tekst dostarczony przez autorkę (2015).

Bogumiła Panczenko-Kresowska, tekst dostarczony przez autorkę (1992).

Ludmiła Waluszewska, tekst dostarczony przez autorkę (1991).

Anna Orłowska, na podstawie audycji radiowej *Opowieść o niezwykłej dziewczynie* z 24.06.1971, Archiwum Polskiego Radia S.A.

Ireneusz Morawski, list do Marioli Pryzwan napisany we Wrocławiu 6.01.2011.

Anna Smolińska, na podstawie rozmowy 18.06.2008 (Częstochowa).

Lidia Bank-Wyrobiec, na podstawie rozmowy 1.03.1992 (Kraków).

Magdalena Samozwaniec, list do Zofii Jachimeckiej, 1957, archiwum Rafała Podrazy.

Jerzy Pawłowski, na podstawie rozmowy 5.03.1992 (Warszawa).

Jerzy Bigosiński, na podstawie rozmowy 16.06.1998 (Warszawa).

Halina Wittlin, list do Małgorzaty Szułczyńskiej napisany w Nowym Jorku 5.10.1982.

Elżbieta Wittlin-Lipton, list do Marioli Pryzwan napisany w Nowym Jorku 23.10.1998.

Juliusz Kydryński, list do Marioli Pryzwan napisany w Krakowie 8.10.1991.

György Gömöri, *Kilka słów o Halinie Poświatowskiej*, „Twórczość" 2003, nr 4.

Yasuko Nogami-Suzuki, list do Kaliny Błażejowskiej 6.03.2012; z ang. przeł. Kalina Błażejowska.

Marian Kwaśny, *„Śmierć dziewczyna"*, „Przekrój" 1987, nr 2209.

Leopold Zgoda, na podstawie rozmowy 8.12.1991 (Kraków).

Janina Szarek, tekst dostarczony przez autorkę (1991).

Beata Szymańska-Aleksandrowicz, na podstawie rozmowy 11.10.1991 (Kraków).

Stanisław Stanuch, tekst dostarczony przez autora (1992).

Joanna Rawik, tekst dostarczony przez autorkę (2008).

Tadeusz Nowak, [w:] Maria Aniśkowicz, *Księżniczka trubadur*, „Magazyn Kulturalny" 1983, nr 3/4.

Jan Pieszczachowicz, tekst dostarczony przez autora (1992).

Michał Hempoliński, tekst dostarczony przez autora (1995).

Ryszard Kłyś, na podstawie rozmowy 5.09.1991 (Kraków).

Jerzy Lisiewicz, tekst dostarczony przez autora (1992).

Zdzisława Piątek, list do Marioli Pryzwan napisany w Zakopanem 3.12.1991.

Stanisław Grochowiak, *Krzywda*, „Kultura” 1967, nr 44.

Ryszard Matuszewski, *Alfabet. Wybór z pamięci 90-latka*, Iskry, Warszawa 2004, s. 371–372.

Jan Zych, fragm. wstępu do *Wierszy wybranych* Haliny Poświatowskiej, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1992, s. 5–14.

Jan Adamski, *Od adresata listów*, „Osnowa” 1984, nr 5/6; Z Janem Adamskim rozmawia Joanna Boniecka, „Odra” 1993, nr 12.

Józef Tischner, tekst dostarczony przez autora (1992).

Tadeusz Baird, na podstawie audycji radiowej *Niedzielne spotkania* z 7.03.1982, Archiwum Polskiego Radia S.A.

Tadeusz Gierymski, *Garść zetlałych wspomnień*, „Poezja” 1985, nr 2.

KORESPONDENCJA

Listy Haliny Poświatowskiej do Stanisławy Mygowej, „Przekrój” 1958, nr 714–716:

- list z [Filadelfii], datowany 7-my dzień po operacji [19.11.1958]

- list z [Filadelfii], bez daty [listopad 1958].

Listy Haliny Poświatowskiej do Zbigniewa Mygi, z archiwum domowego adresata listów:

- list z [Yonkers], datowany 15.02.[19]59

- kartka [z Mljetu], datowana 6.08.[1966]

- kartka z Paryża, datowana 10.10.1966.

Listy Haliny Poświatowskiej do Jerzego Romana, z archiwum domowego adresata listów:

- list [z Kudowy Zdroju], datowany 5.02.[1953]

- list [z Częstochowy], datowany lipiec [1953]

- list [z Kudowy Zdroju], datowany 8.07.[1953]

- list [z Kazimierza Dolnego], datowany 20.07.[1954]
- list [z Rabki], bez daty [październik 1956]
- list [z Yonkers], datowany 12.12.[19]58.

List Haliny Poświatowskiej do Danuty Górskiej, z archiwum domowego adresatki listu.

List Haliny Poświatowskiej do Juliana Aleksandrowicza, „Przekrój” 1958, nr 714–716.

Listy Stanisławy Mygowej do Ludmiły Waluszewskiej, z archiwum domowego adresatki listów:

- list z Częstochowy, datowany 3.02.1958
- list z Częstochowy, datowany 9.09.1958
- list z Częstochowy, datowany 16.09.1958
- list [z Częstochowy], datowany 21.09.1958
- list [z Częstochowy], datowany 6.11.1958
- list [z Częstochowy], datowany 12.11.1958
- telegram [z Częstochowy], datowany 13.11.1958
- list [z Częstochowy], datowany 31.01.1959
- list [z Częstochowy], datowany 23.02.1959
- list [z Częstochowy], datowany 10.03.1959
- list [z Częstochowy], datowany 4.05.1959
- list z Częstochowy, datowany 16.11.[19]59
- list z Częstochowy, datowany 22.11.1959
- list z Częstochowy, datowany 27.09.1960
- list z Częstochowy, datowany 24.11.1960
- list z Częstochowy, datowany 15.12.1960
- list z Częstochowy, datowany 2.06.1961
- list z Częstochowy, datowany 5.07.1964
- list [z Częstochowy], datowany 23.11.1966
- list [z Częstochowy], datowany 6.01.1967

- list z Częstochowy, datowany 14.01.1970.

Listy Haliny Poświatowskiej do Anny Orłowskiej, „Fakty” 1985, nr 27:

- list [z Częstochowy], bez daty [1958]
- list [z Częstochowy], bez daty [1958]
- list [z Częstochowy], datowany 1.07.1958
- list [z Jastarni], datowany 3.08.1958
- list [z Nowego Jorku], datowany 26.12.1958
- list [z Northampton], datowany 3.01.1960
- list [z Northampton], datowany 2.02.1961
- list [z Northampton], datowany 20.05.1961
- list [z Jastarni], datowany lipiec 1961
- list [z Częstochowy], datowany 5.02.1965
- list [z Krakowa], datowany 1965
- list [z Krakowa], datowany 21.11.1965
- list [z Krakowa], datowany 25.01.1967
- list [z Krakowa], datowany 1.03.1967
- list [z Krakowa], datowany 4.05. 1967
- list [z Krakowa], datowany czerwiec 1967
- list [z Krakowa], datowany sierpień 1967
- list [z Krakowa], datowany 14.09.1967.

Listy Haliny Poświatowskiej do Ireneusza Morawskiego, „Czas Kultury” 1992, nr 1–2:

- list [z Krakowa], bez daty [marzec/kwiecień 1957]
- list [z Częstochowy], bez daty [czerwiec 1957]
- list z Rabki, bez daty [luty 1958]
- list [z Częstochowy], bez daty [1958]
- list [z Częstochowy], bez daty [maj 1958]
- list [z Częstochowy], bez daty [21/22.05.1958]

- list [z Jastarni], bez daty [lipiec 1958]

- list [z Jastarni], bez daty [lipiec 1958]

list [z Yonkers], datowany 28.08.[1958]

- list [z Merchantville], bez daty [wrzesień 1958]

- list [z Filadelfii], bez daty [1958]

- list [z Yonkers], bez daty [19.06.1959]

- list [z Nowego Jorku], bez daty [23.08.1959].

Listy Haliny Poświatowskiej do Lidii i Ignacego Banków, z archiwum domowego adresatów listów:

- list [z Jastarni], bez daty [lipiec 1958]

- list [z Yonkers], datowany 29.01.[1959].

List Haliny Poświatowskiej do Jana Niwińskiego, „Przekrój” 1986, nr 2167–2168.

Listy Haliny Poświatowskiej do Haliny i Józefa Wittlinów, ze zbiorów Muzeum Literatury im. A. Mickiewicza w Warszawie (za zgodą Elżbiety Wittlin-Lipton):

- list [z Merchantville], bez daty [7.09.1958]

- list datowany 11.09.[1958]

- list [z Yonkers], bez daty [18.09.1958]

- list [z Deborah], datowany 24.09.[1958]

- list [z Deborah], bez daty [9.10.1958]

- list [z Filadelfii], datowany 21.10.[1958]

- list [z Deborah], datowany 30.10.[1958]

- list [z Northampton], datowany 2.10.[1959]

- list [z Northampton], datowany 12.11.[1959].

Listy Haliny Poświatowskiej do Tadeusza Śliwiaka, „Poezja” 1985, nr 2:

- list datowany 3.10.[1958]

- list datowany 30.10.[1958]

- list datowany 8.12.[19]58

- list datowany 26.01.[1959]
- list datowany 23.03.[1959]
- list datowany 19.06.[19]59
- list datowany 15.09.[19]59
- list [z Northampton], datowany 24.09.1959
- list [z Northampton], datowany 1.02.1960
- list [z Northampton], datowany 2.02.[19]60
- list [z Nowego Jorku], bez daty [1960]
- list [z Northampton], datowany 1.02.1961
- list [z Jastarni], datowany 4.08.1961.

Listy Haliny Poświatowskiej do Györgya Gömöriego, „Twórczość” 2003, nr 4:

- list [z Yonkers], datowany 24.06.[1959]
- list [z Northampton], datowany 14.02.[1960]
- list [z Northampton], datowany 22.01.[1961].

Listy Haliny Poświatowskiej do Mariana Kwaśnego, „Przekrój” 1987, nr 2209:

- list [z Northampton], datowany 13.11.[1959]
- list [z Northampton], datowany 12.12.[1959]
- list [z Northampton], datowany 25.01.[1960].

Listy Haliny Poświatowskiej do Jana Adamskiego, „Osnowa” 1984, nr 5/6 i „Odra” 1993, nr 12:

- list [z Opatiji], datowany czerwiec 1966
- list [z Opatiji], datowany czerwiec 1966
- list [z Dubrownika], datowany lipiec [19]66
- list [z Dubrownika], datowany 10.07.[19]66
- list [z Dubrownika], datowany lipiec [19]66
- list [z Paryża], datowany 14.10.1966
- list [z Paryża], datowany 15.10.1966

- list [z Paryża], datowany 19.10.1966
- list [z Krakowa], datowany 15.01.1967
- list [z Częstochowy], datowany 30.01.1967
- list [z Krakowa], datowany 17.02. 1967
- list [z Krakowa], datowany 19.02.1967
- list [z Krakowa], datowany 28.02.1967
- list [z Krakowa], bez daty [marzec 1967]
- list [z Krakowa], datowany 5.03.[19]67
- list [z Krakowa], 6.03.[19]67
- list [z Krakowa], datowany 7.03.[19]67
- list [z Krakowa], datowany 14.03.[19]67
- list [z Krakowa], datowany 15–16.03.67
- list [z Częstochowy], datowany marzec 1967
- list [z Krakowa], datowany 3.04.1967
- list [z Krakowa], datowany 18.04.1967
- list [z Krakowa], datowany czerwiec 1967
- list [z Krakowa], datowany 16.06.[19]67
- list [z Krakowa], datowany 17.06.1967
- list [z Krakowa], datowany lipiec [19]67
- list [z Krakowa], datowany wrzesień 1967
- list z Warszawy, datowany 21.09.[19]67
- list [z Warszawy], datowany 27.09.1967
- list [z Warszawy], datowany 29.09.[19]67
- telegram [z Warszawy], datowany 29.09.[19]67.

SPIS ILUSTRACJI

Str. 9 Siedmioletnia Halinka z siostrzyczką Elżunią, 1942

Str. 10 Z matką i Elżunią, Częstochowa 1943

Str. 11 Stanisława i Feliks Mygowie z córkami: Halinką i Elżunią, 1945

Str. 12 Kilkuletnia Halinka z lalką

Str. 13 W dniu Pierwszej Komunii Świętej, Częstochowa, 24 czerwca 1941

Str. 14 Fragment życiorysu napisanego przez Halinę

Str. 15 Z siostrą Elżunią, 1945

Str. 16 Metryka urodzenia Heleny Poświatowskiej z d. Myga. Imię zmieniła oficjalnie dopiero w 1961 roku

Str. 19 Rękopis wiersza Haliny Poświatowskiej poświęconego matce

Str. 20 Na górze: Halina – uczennica Liceum im. Juliusza Słowackiego w Częstochowie, 1951

Str. 20 Na dole: Zbyszek z matką, Częstochowa 1958

Str. 21 Northampton, czerwiec 1961. Zdjęcie podarte przez Halinę, a potem przez nią sklejone

Str. 22 Dedykacja dla brata Zbyszka

Str. 24–25 List do brata

Str. 26 Kartka do brata z Paryża

Str. 27 Kartka do ojca z Mljetu

Str. 28 Nad Morskim Okiem z ojcem, stryjenką Ireną i stryjecznym bratem Jurkiem Mygą ok. 1947

Str. 29 Portret; fot. Stanisław Krakowiak

Str. 31–32 Świadectwo dojrzałości

Str. 33 Z ciotecznym bratem Jerzym Romanem, Żarki, czerwiec 1951

Str. 37 Adolf Ryszard Poświatowski, 1954

Str. 38 Książka ewidencyjna Wyższej Szkoły Filmowej w Łodzi

Str. 39 Portret Haliny namalowany przez Adolfa ok. 1954

Str. 40 Świadectwo ślubu

Str. 43 List do Jerzego Romana

Str. 44 Rodzeństwo Poświatowskich: Danusia i Adek

Str. 46 Adela Poświatowska z dziećmi, Warszawa 1940

Str. 48 W ogródku przy Jasnogórskiej w Częstochowie ok. 1955. Jedyna zachowana fotografia, na której Halina jest razem z mężem Adolfem. W środku Aurelia Toboła, świadek na ślubie Poświatowskich.

Str. 49 Profesor Julian Aleksandrowicz

Str. 50 Halina w obiektywie profesora Aleksandrowicza, Kraków 1958

Str. 52 Rękopis wiersza *** (*ptaku mojego serca*...)

Str. 53 List profesora Juliana Aleksandrowicza do Haliny, 1958

Str. 54 List profesora Houcka E. Boltona do profesora Aleksandrowicza, 1958

Str. 56 Dedykacja Wisławy Szymborskiej na jej tomiku *Wołanie do Yeti*

Str. 58 Na tle obrazu namalowanego przez męża, Częstochowa 1957; fot. Stanisław Krakowiak

Str. 59 W swoim pokoju w Częstochowie

Str. 60 Dedykacja dla Grażyny Panczenko na tomiku *Hymn bałwochwalczy*

Str. 61 Wiersz *Serenada*

Str. 64–66 Kartki świąteczne do państwa Panczenków

Str. 69 Ludmiła Waluszewska

Str. 70–71 „Zebra” 1957, nr 12

Str. 72 Z matką w ogrodzie przy Jasnogórskiej, Częstochowa 1954; fot. Adolf Poświatowski

Str. 73 Kartka do Ludmiły Waluszewskiej

Str. 79 „Kierunki” 1959, nr 15

Str. 80 Pierwszy tomik *Hymn bałwochwalczy*

Str. 82 Rękopis wiersza *Człowiek z Annapurny*

Str. 85 Rękopis wiersza *** (*Czasem stęskniona okrutnie*...)

Str. 86 Dyplom ukończenia Smith College, czerwiec 1961

Str. 87 W Stanach Zjednoczonych ok. 1960

Str. 89 Z Anną Orłowską w Kobierzynie, 1958; fot. Ludmiła Waluszewska

Str. 92 Kartka do Anny Orłowskiej

Str. 96–98 Oryginał kartki do Anny Orłowskiej

Str. 100 Halina planowała wyjazd do Bułgarii, do którego niestety nie doszło

Str. 101 Oryginał listu do Anny Orłowskiej

Str. 104 Ireneusz Morawski, połowa lat pięćdziesiątych

Str. 105 Portret; fot. Stanisław Krakowiak

Str. 106 „Kierunki” 1957, nr 3

Str. 110 Fotografia autorstwa Adolfa Poświatowskiego

Str. 113 W obiektywie Stanisława Krakowiaka

Str. 115 Dedykacja dla Ireneusza Morawskiego na tomiku *Oda do rąk*

Str. 116 Ireneusz Morawski przy pianinie

Str. 117 To zdjęcie Haliny Ireneusz nosił w swoim portfelu

Str. 119 Halina na tle obrazów męża, 1957; fot. Stanisław Krakowiak

Str. 122 Z kotem w ogródku w Częstochowie, 1957

Str. 125 Prawdopodobnie w Rabce ok. 1955

Str. 128 Portret z profilu; fot. Adolf Poświatowski

Str. 130 W Yonkers, 1958

Str. 132 W sanatorium Deborah, Brown Mills, październik 1958

Str. 135 Maszyna do pisania Olympia, którą Halina przywiozła ze Stanów Zjednoczonych

Str. 136 Okładka pierwszego wydania *Opowieści dla przyjaciela*

Str. 138 W Yonkers, 1958

Str. 142 „Przekrój” 1958, nr 714–716

Str. 143 „Współczesność” 1962, nr 2

Str. 144 „Życie Literackie” 1964, nr 20

Str. 145 Koperta adresowana do Lidii Bank

Str. 149 Portret; fot. Stanisław Krakowiak

Str. 150 Na tle obrazów namalowanych przez Adolfa, Częstochowa 1957; fot. Stanisław Krakowiak

Str. 153 Przed obrazem namalowanym przez Irenę Mścichowską-Niwińską, 1957; fot. Stanisław Krakowiak

Str. 155 W ogródku, 1957

Str. 159 Z ciotką Hanką w jej domu w Yonkers, wrzesień 1958

Str. 160 Wuj Henry Fiedorowicz

Str. 161 Z Haliną i Józefem Wittlinami, sanatorium Deborah, październik 1958

Str. 162 Z Adelą Zachariasiewiczową, Yonkers, sierpień 1958

Str. 163 Halina podpisała tę fotografię: „pytają się jakiego jestem wyznania”, Nowy Jork 1958

Str. 164 Z Józefem Wittlinem, 1958

Str. 167 Przed operacją, Filadelfia, listopad 1958

Str. 170 Smith College w Northampton; fot. Kalina Błażejowska

Str. 172 W Ameryce ok. 1960

Str. 173 W Yonkers, 1959

Str. 174 Portret, 1957

Str. 175 Z lewej: Elżbieta Wittlin-Lipton

Str. 175 Z prawej: Halina w Filadelfii, wrzesień 1958

Str. 177 Tadeusz Śliwiak

Str. 179 W Stanach Zjednoczonych, 1959

Str. 182 Rysunek węglem, Stany Zjednoczone 1959

Str. 185 „Współczesność” 1959, nr 5

Str. 187 Dedykacja Tadeusza Śliwiaka na jego tomiku *Co dzień umiera jeden bóg*

Str. 188 Nad Atlantykiem, Nowy Jork 1959

Str. 191 Zejście nad Hudson; fot. Grażyna Panczenko

Str. 194 Plan Smith College w Northampton

Str. 198–199 Nad Niagarą – Halina, ciotka Hanka Fiedorowicz i ciotka Zofia Merda, kwiecień 1959

Str. 201 Koperta adresowana do Tadeusza Śliwiaka

Str. 202 „Współczesność” 1961, nr 23

Str. 205 Stany Zjednoczone, 1961

Str. 207 International House na Riverside Drive w Nowym Jorku; fot. Grażyna Panczenko

Str. 209 W Nowym Jorku, wrzesień 1959

Str. 211 U wujostwa Fiedorowiczów w Yonkers, sierpień 1959

Str. 212 Nad rzeką Hudson, Nowy Jork, wrzesień 1959

Str. 215 Z Yasuko, Northampton 1961

Str. 216 Smith College; fot. Kalina Błażejowska

Str. 219 W obiektywie Jerzego Kosińskiego, Nowy Jork, Central Park, lato 1959

Str. 221 Northampton, czerwiec 1961

Str. 225 Okładka tomiku *dzień dzisiejszy*

Str. 227 Dyplom ukończenia studiów wyższych, 28 czerwca 1963

Str. 228 Indeks Haliny Poświatowskiej

Str. 229 Okładka *Opowieści dla przyjaciela*

Str. 230 Tak wyglądała w roku 1963

Str. 232 Dedykacja dla Leopolda Zgody na tomiku wierszy *dzień dzisiejszy*

Str. 233 Karta biblioteczna (Biblioteka Jagiellońska)

Str. 234 W Krakowie, 1961

Str. 236 Dedykacja dla Janiny Szarek na tomiku poezji *Oda do rąk*

Str. 237 Na dziedzińcu Collegium Maius w Krakowie, październik 1962

Str. 239 Legitymacja ZLP, 1962

Str. 241 Dom Literatów przy ulicy Krupniczej 22 w Krakowie; fot. Mariola Pryzwan

Str. 243 Halina w karykaturze Andrzeja Stopki

Str. 244 W Montrealu przed powrotem do Polski, 11 lipca 1961

Str. 246 „Życie Literackie” 1966, nr 38

Str. 247 „Gazeta Wyborcza” (wydanie śląskie) 2012, nr 7

Str. 249 W Częstochowie, 1966; fot. Zbigniew Myga

Str. 251 W Yonkers z magnetofonem, 1959

Str. 252 Jedno z ostatnich zdjęć Haliny

Str. 254 Z siostrą Małgorzatą na plaży w Cetniewie

Str. 255 Telegram do matki

Str. 257 Legitymacja asystenta UJ, Kraków 1964

Str. 258 Dedykacja Stanisława Grochowiaka na tomiku jego wierszy *Kanon*

Str. 259 „Kultura” 1967, nr 44

Str. 261 W Stanach Zjednoczonych, 1959

Str. 264 *Myśliciel* Rodina przed budynkiem wydziału filozofii Uniwersytetu Columbia w Nowym Jorku; fot. Grażyna Panczenko

Str. 265 W Montrealu, lipiec 1961

Str. 268 Odłamek posągu z Metropolitan Museum

Str. 269 Metropolitan Museum of Art w Nowym Jorku; fot. Grażyna Panczenko

Str. 270 Z siostrą Małgosią na wakacjach w Spychowie, 1965; fot. Zbigniew Myga

Str. 272 Okładka *Ody do rąk*

Str. 273 „Cały świat", 1976

Str. 276 Z Janem Adamskim, Częstochowa 1966; fot. Zbigniew Myga

Str. 277 Z siostrą, Janem Adamskim i ukochanym psem Timem, Częstochowa 1967; fot. Zbigniew Myga

Str. 279 Z przyjaciółkami: Anną Orłowską i Caroline Karpinski, 1965

Str. 280 „Życie Literackie" 1968, nr 46

Str. 281 „Odra" 1993, nr 12

Str. 283 Legitymacja studencka, Paryż 1966

Str. 286 Legitymacja ubezpieczeniowa, 1964

Str. 294 Rękopis *Wiersza dla mnie*

Str. 296 Rękopis wiersza *** (*kiedy umrę kochanie...*)

Str. 297 W Spychowie, sierpień 1965

Str. 299 Tadeusz Baird: *Pięć pieśni na mezzosopran i orkiestrę kameralną do słów Haliny Poświatowskiej*

Str. 300 Okładka tomiku *jeszcze jedno wspomnienie*

Str. 301 Portret z lat pięćdziesiątych

Str. 303 Częstochowa 1958; fot. Stanisław Krakowiak

Str. 305 Portret; fot. Adolf Poświatowski

Str. 306 Portret ołówkiem autorstwa koleżanki szkolnej Krystyny Orzechowskiej, 1975

Str. 307 Portret

Str. 309 Portret z profilu; fot. Adolf Poświatowski

Str. 311 „Poezja" 1985, nr 2 w całości poświęcona Halinie Poświatowskiej

Str. 314 „Życie Literackie" 1985, nr 34

Str. 316 Dom rodzinny Haliny w Częstochowie przy ulicy Jasnogórskiej 23. Od roku 2007 Dom Poezji – Muzeum Haliny Poświatowskiej; fot. Zbigniew Myga

Str. 317 Brat poetki Zbigniew Myga na ławeczce... z siostrą, Częstochowa, 11 października 2007

Str. 324–325 Okładki zagranicznych wydań *Opowieści dla przyjaciela*

Str. 326–331 Obcojęzyczne wydania wierszy Haliny Poświatowskiej

Ze zbiorów Muzeum Haliny Poświatowskiej w Szkole Podstawowej nr 8 w Częstochowie str. 10, 15, 19, 31–32, 205

Z prywatnego archiwum Stanisławy Mygowej str. 20, 29, 52, 58, 82, 85, 87, 105, 113, 119, 167, 251, 270, 294, 296

Z prywatnego archiwum Anny Smolińskiej str. 28, 159, 160, 163–164, 173, 175

Z prywatnego archiwum Jerzego Romana str. 33, 43

Z prywatnego archiwum Zbigniewa Górskiego str. 37, 44, 46

Z prywatnego archiwum Barbary Szymańskiej str. 38, 48, 172

Z prywatnego archiwum Jana Adamskiego str. 50, 244, 265, 276

Z prywatnego archiwum Grażyny Panczenko str. 60–61, 64–66

Z prywatnego archiwum Ludmiły Waluszewskiej str. 69, 73, 89

Ze zbiorów Biblioteki Publicznej m.st. Warszawy – Biblioteki Głównej Województwa Mazowieckiego str. 70–71, 79–80, 106, 143–144, 225

Z prywatnego archiwum Marioli Pryzwan str. 96–98, 101, 136, 142, 185, 191, 202, 207, 229, 241, 243, 246, 264, 268–269, 272– 273, 280–281, 299–300, 311, 312, 316–317

Z prywatnego archiwum Heleny Morawskiej str. 104, 115–117

Z prywatnego archiwum Lidii Bank-Wyrobiec str. 145

Z prywatnego archiwum Małgorzaty Szułczyńskiej str. 149, 161, 201

Z prywatnego archiwum Kaliny Błażejowskiej str. 170, 194, 216

Z prywatnego archiwum Elżbiety Wittlin-Lipton str. 175

Z prywatnego archiwum Leopolda Zgody str. 232

Z prywatnego archiwum Wiesławy Stefańskiej str. 234

Z prywatnego archiwum Janiny Szarek str. 236

Pozostałe fotografie i dokumenty pochodzą z prywatnego archiwum Zbigniewa Mygi.

PODZIĘKOWANIA

Wydawnictwo Marginesy serdecznie dziękuje za udostępnienie zdjęć Panu Zbigniewowi Mydze oraz Państwu:

Kalinie Błażejowskiej, Zygmuntowi Górskiemu, Helenie Morawskiej, Grażynie Panczenko, Jerzemu Romanowi, Annie Smolińskiej, Wiesławie Stefańskiej, Barbarze Szymańskiej, Janinie Szarek, Elżbiecie Wittlin-Lipton i Leopoldowi Zgodzie.

Dziękujemy również za udostępnienie zbiorów Bibliotece Publicznej m.st. Warszawy – Bibliotece Głównej Województwa Mazowieckiego oraz Muzeum Haliny Poświatowskiej w Szkole Podstawowej nr 8 w Częstochowie.

Wydawnictwo i Autorka serdecznie dziękują Pani Kalinie Błażejowskiej za udostępnienie listu Yasuko Nogami-Suzuki oraz Panu Rafałowi Podrazie za

udostępnienie listu Magdaleny Samozwaniec do Zofii Jachimeckiej.

PRZYPISY

[1] Wszystkie listy publikowane są z oryginalną interpunkcją poetki – przyp. red.

[2] Dziewiątego maja 2005 roku na domu, w którym urodziła się Halina Poświatowska, przy ulicy 7 Kamienic 17 odsłonięto tablicę pamiątkową. Dwa lata później przy Jasnogórskiej 23 otwarto Dom Poezji – Muzeum Haliny Poświatowskiej, którego kustoszem został brat poetki Zbigniew Myga. W czterdziestą rocznicę śmierci Haliny, 11 października 2007 roku, w alei NMP przy placu Biegańskiego odsłonięto ławeczkę Poświatowskiej autorstwa Roberta Sobocińskiego według projektu Tadeusza Koseli i Włodzimierza Karankiewicza.